

WOJCIECH CHMIELARZ
KRÓLOWA GŁODU



Wojciech Chmielarz

Królowa Głodu

Prolog

Nowa Holandia ze swoimi gęstymi, mrocznymi borami, gdzie rozłożyste korony drzew odcinały ziemię od promieni słońca i gdzie nawet w środku mroźnej zimy panował stęchły zaduch, była nieprzyjazną człowiekowi krainą. Zamieszkiwały ją plemiona żlebodźwiedzi, stada dzikich psów i wilków czy żarłoczne, kryjące się wśród bagien płaskogrzbiety. Łatwo było się tam zgubić, stracić orientację wśród mokradeł, wilgotnych wąwozów czy potężnych, bo ich średnica sięgała nieraz podwójnej wysokości dorosłego człowieka, powalonych pni i potem tygodniami błędzić po groźnych ostępach, powoli pogrążając się w szaleństwie wywołanym głodem, zmęczeniem i samotnością.

Bram właśnie stamtąd pochodził. Od dziecka brał udział w polowaniach. Przyzwyczyił się do niebezpieczeństw, potrafił poruszać się po leśnych ścieżkach, nie bał się drapieżników i potworów, które mogą się czaić w głębi kniei. Ale to miejsce... To miejsce było po prostu złe.

Wyczuwał to przez skórę. Pachniało krwią i śmiercią. Z tyłu głowy wyczuwał dziwne swędzenie, jakby ktoś wbijał mu tam tysiące małych igiełek, niepozwalające zapomnieć o niepokoju, który dręczył go, od kiedy cztery dni temu przekroczył granice Federacji i ruszył w stronę Kaźni.

Kiedy był w ruchu, czuł się bezpieczniej, więc niechętnie stawał na odpoczynek. Zapadł jednak zmrok i dalsza podróż stała się zbyt ryzykowna.

Obóz rozbił z dala od szlaku, w skalnym załomie — gdzie, samemu będąc niewidocznym, mógł obserwować najbliższą okolicę. Rozsiodłał i oporządził konia, przywiązał go do konara uschniętego drzewa i przygotował sobie lekką kolację. A potem usiadł pod skałą, z karabinem myśliwskim na kolanach i szablą pod ręką, i pomiędzy jednym a drugim sucharem modlił się szeptem o spokojną noc.

Wierzchowiec prychnął przestraszony i zaczął bić kopytami o ziemię. Bram wstał po cichu.

Podniósł karabin. Odbezpieczył broń. Nagle do jego nosa doszedł zapach, który koń musiał poczuć już wcześniej: ostry smród zgnilizny i potu. Żaden drapieżnik nie mógł tak pachnieć, bo ofiara odkryłaby jego obecność przy najmniejszym powiewie wiatru. Żaden — poza tymi, które polowały na ludzi.

Stanął na lekko rozstawionych nogach. Zerknął na szablę i sprawdził, czy będzie mógł po nią szybko sięgnąć. Przybrał pozycję strzelecką. Zapach stawał się coraz bardziej intensywny. W ciemności trzasnęła łamana gałąź. Cokolwiek się zbliżało, było wielkie. Sapało jak miech kowalski, podniecone i głodne.

Otarł pot z czoła. Dłonie miał już śliskie. Lekko drżały. Przełknął ślinę i wziął dwa głębokie oddechy. Musiał się uspokoić, odzyskać ostrość myślenia.

Zza najbliższej skały wyłonił się żlebodźwiedź. Poruszał się nieśpiesznie, wręcz lekceważąco. Miał wielkie, lekko obłe, napakowane ciało. W niektórych miejscach, szczególnie na grzbiecie i pysku, pokrywały je grube, kostne guzy.

Holender nieznacznie obniżył lufę karabinu.

— Wkroczyłem na twój teren, prawda? Nie chciałem. Pozwól mi tylko, a stąd odejdę i nie będę cię więcej niepokoił.

Żlebodźwiedź w odpowiedzi wyszczerzył długie na palec i ostre jak brzytwa kły w grymasie, który można by wziąć za szyderczy uśmiech. Koń zarżał dziko. Szarpał się na

wszystkie strony tak mocno, że uzda złobiła krwawe pręgi na jego pysku.

Holender nie miał szans na ucieczkę. Żlebodźwiedz, ciężki i na pozór niezdarny, na krótkich dystansach biegał znacznie szybciej od człowieka.

Potwór zrobił krok w stronę Brama. Ugiął się na przednich łapach, wyprężył grzbiet i ryknął, aż zadrżały okoliczne drzewa. Odór z jego pyska sprawił, że suchary powędrowały z żołądka z powrotem do ust. Mężczyzna przyłożył kolbę karabinu do ramienia i strzelił.

Pierwsza kula uderzyła w kostny guz, odbiła się od niego i rykoszetem trafiła w pobliski pień. Druga, taką przynajmniej Holender miał nadzieję, wbiła się w ciało stwora, który jednak nawet tego nie zauważył. Ruszył pędem, wystawiając do przodu potężne, pokryte zakrzepłą krwią łapy uzbrojone w cztery lśniące czernią pazury.

Bram odrzucił karabin i chwycił za szablę. Pchnął na oślep, desperacko, z całej siły, ale z przerażeniem poczuł, że uderzył prosto w kostną płytę. Ostrze w ostatniej chwili zjechało w bok, zadając potworowi niewielką, płytką ranę, która jednak nie mogła zrobić na nim większego wrażenia niż ukłucie komara.

Holender cofnął się o kilka kroków. Szablę trzymał w obu dłoniach, nie potrafiąc powstrzymać drżenia ramion. Żlebodźwiedz odwrócił się pyskiem do Brama. W jego oczach tańczyły iskry drwiny.

— Nie zbliżaj się! — ostrzegł go Bram i machnął szablą ostrzegawczo.

Żlebodźwiedz tylko prychnął, a wraz z prychnięciem z pyska wyleciała chmura śliny oraz pary. Nagle skoczył przed siebie tak szybko, jakby jego wielkie cielsko składało się z powietrza, a nie z twardych jak stal kości i masywnych mięśni.

Bram uniknął ataku w ostatniej chwili. Pazury przeleciały mu tuż przed twarzą, ale w tej samej sekundzie powalił go cios drugiej łapy wymierzony w nogi. Holender ciął z całych sił.

Ostrze delikatnie zmieniło trajektorię i trafiło w wolną przestrzeń pomiędzy płytami, tuż pod pazurami. Musiał tam być jakiś nerw, bo żlebodźwiedz ryknął przeraźliwie i stanął na tylnych łapach.

Mężczyzna poderwał się z ziemi i pobiegł przed siebie, byle dalej od potwora. Ledwo zrobił dwa kroki, coś ciężkiego i wielkiego spadło na jego głowę. Świat zatańczył mu przed oczyma, nogi same się ugięły pod ciężarem tułowia i Holender poleciał wprost w objęcia twardej, zimnej ziemi. Nawet nie poczuł upadku. Ogarnęła go ciemność. Żlebodźwiedz ryczał tryumfalnie.

Uschnittę drzewo poddało się wreszcie naciskom przerażonego wierzchowca i pękło, uwalniając zwierzę. Koń galopem przebiegł obok Holendra, który w ostatnim odruchu świadomości zacisnął dłoń na rękojeści szabli. Nim stracił przytomność, wydawało mu się, że słyszał huk wystrzału.

A potem nie było już nic.

*

Stan Biszek miał pociągłą, wąską twarz, odstające uszy, wielkie oczekiwania wobec świata oraz więcej marzeń niż rozumu. Teraz siedział w ciemnym pokoju, który rozświetlała tylko jedna, tłąca się z trudem świeca; wsłuchiwał się w dochodzące z dołu odgłosy pijackiej zabawy, popijał wódkę i rozmyślał o tym, że co jak co, ale nie zrobił przecież nic złego i on swojej części tej pojebanej umowy dotrzymał. Taka była prawda i Siren, jeśli był porządnym człowiekiem, a za takiego się przecież podawał, musiał to zrozumieć.

Drżącymi palcami odstawił kieliszek na stół. Sięgnął do kieszeni kurtki po brudną od kurzu i smarków chusteczkę. Otarł pot z czoła, a potem starannie wytarł ręce. Ktoś z dołu

zarechotał wyjątkowo głośno. Stanowi wydawało się, że to z niego się śmieją. Zacisnął ze złości zęby, chwycił na wpół pustą butelkę i uzupełnił zawartość kieliszka. Wypił go jednym haustem.

Wściekle ciepło rozlazło się po całym jego ciele.

Spojrzał w kąt pokoju, gdzie leżała związana dziewczynka.

— Zamknij się, ty mała dziwko — warknął w jej kierunku, chociaż dziecko od dłuższego czasu się nie odzywało. Z trudem oddychało przez szmatę, którą miało wcisniętą w usta.

Stan wstał. Musiał podeprzeć się ściany, żeby nie upaść.

— Zamknij się, kurwo — powtórzył.

Dziewczynka strzeliła przestraszona oczyma i przytuliła się do ściany. Stan zdecydował, że powinien ją ukarać. W końcu to także z jej powodu znalazł się tutaj dzisiejszej nocy. A właściwie, uświadomił sobie nagle, ona nie miała z tym nic wspólnego, ale przecież kiedy ją tu prowadził, przemykając wśród cieni tylnymi uliczkami niczym złodziej, ugryzła go w rękę aż do krwi.

Bolało go do teraz, czuł jak rana pulsuje pod prowizorycznym opatrunkiem. Trzeba pokazać tej małej, gdzie jest jej miejsce. Im szybciej, tym lepiej.

Nie zdążył wcielić swojego zamiaru w życie. Drzwi od pokoju otworzyły się i do środka wszedł Stary Lukas z lampą naftową w jednej i taboret w drugiej dłoni. Lampę położył na stole, a taboret naprzeciwko krzesła, które zajmował Stan. Za Lukasem pojawił się Iwan. Potężny Rosjanin o białych, krótko ostrzyżonych włosach i ciepłych, brązowych, przyjaznych jak u cocker spaniela oczach, zlustrował pomieszczenie. Kiedy stwierdził, że żadna ze znajdujących się tam osób nie stanowi zagrożenia, po prostu oparł się o ścianę.

Dopiero na końcu wszedł Siren. Przywitał się ruchem głowy z Lukasem, klepnął w ramię Iwana i zasiadł na taborecie.

— Stan — powiedział.

Dźwięk tego głosu, spokojny i łagodny, sprawił że Biszek poczuł się tak, jakby tysiące mrówek przemaszerowało mu po plecach.

— James.

Siren dłonią wskazał na stolik.

— Pozwolisz, Stan?

— Oczywiście, James.

Siren sięgnął po kieliszek i butelkę wódki. Nalał sobie i odstawił alkohol odrobinę bliżej siebie niż poprzednio. Wypił jednym haustem i stęknął z zadowoleniem.

— Masz coś dla mnie, Stan? — zapytał, ocierając rękawem usta.

Stan pokiwał głową.

— Tam — szepnął.

Siren nawet nie zerknął na leżącą w kącie dziewczynkę. Sięgnął po butelkę i nalał sobie kolejny kieliszek.

— Czy to twoja córka, Stan?

Serce Biszeka zabiło gwałtownie. Przełknął z trudem ślinę.

— Nie, James. To nie jest moja córka, James. Ale ta jest lepsza. Ładniejsza od mojej. Moja to pokurecz, brzydka jest. Ta jest śliczna. Będziesz miał z nią dużo uciechy. Dużo, dużo uciechy.

Siren cmoknął rozczarowany.

— Prosiłem cię o twoją córkę, Stan.

— Ale ta dziewczyna jest lepsza.

— Gdzie jest twoja córka, Stan?!

Biszek zdrętwiał. Przez dłuższą chwilę nie potrafił wydobyć z siebie żadnego słowa.

Drżącym palcem wskazał na butelkę. Siren podał mu pełen kieliszek. Stan przyjął go z wdzięcznością i szybko wypił.

— Nie wiem — powiedział wreszcie. — Uwierz mi, James, ale nie wiem. Ta kurwa z nią uciekła. Nie wiem, gdzie są.

— Jaka kurwa?

— Sara.

— Twoja żona? Twoja żona wzięła twoją córkę i uciekła? Mówiłeś, że trzymasz je krótko, że nie będzie żadnego problemu.

— Tak było. Trzymałem je krótko, James. Trzymałem. Ale Sara uciekła. I zabrała małą.

— Gdzie uciekła?

— Nie wiem, James. Nie wiem. Szukałem ich, ale nie wiem. Ale przecież nic się nie stało.

Przyniosłem ci inną dziewczynkę. Lepszą. Będziesz się z nią świetnie bawił. Będziesz...

Biszek zamilkł w pół słowa. Siren spuścił głowę i wpatrywał się w podłogę.

— O Stan... O Stan... Zaufałem ci, Stan. Prosiłeś mnie o pomoc, a ja ci pomogłem. Za to się płaci, Stan.

— Wiem, James.

— To prawda, dużo żądałem. Zdaję sobie z tego sprawę, ale przecież tak dużo dałem ci w zamian, Stan.

— James...

— Zawiodłeś mnie, Stan.

Nim Biszek zdążył zareagować, ręka Sirena zakreśliła łuk i butelka wódki uderzyła Stana w głowę. Kawałki szkła wbiły się w czaszkę mężczyzny, krew zalała mu oczy, a wódka sprawiła, że poczuł się tak, jakby w mózgu zapłonął mu żywy ogień.

Poderwał się na nogi, ale w tym momencie ktoś pchnął go na ścianę i coś, delikatnego jak tchnienie wiatru, przemknęło równą linią po jego gardle. Zrobiło mu się słabo. Upadł na ziemię.

Krew strumieniem trysnęła z przeciętej tętnicy.

Siren nachylił się nad drgającym, charczącym — z sekundy na sekundę coraz słabiej — Biszekiem i starannie wytarł nóż w jego ubranie.

— Co to za dziewczynka? — zapytał.

Iwan podszedł do dziecka, obrócił je do siebie i długo się przyglądał przestraszonej twarzyczce.

— To córka Suarezów — powiedział wreszcie.

Miał zachrypnięty, zmęczony głos.

— Suarezów? — jęknął Siren — Jezu Chryste. To tacy dobrzy ludzie.

— Mam ją do nich odstawić?

Siren pokręcił przecząco głową.

— Nie — zdecydował po chwili zastanowienia — Za dużo wie. Zabij ją i pozbądź się ciała.

— Tak jest, szefie.

Siren przetarł palcami włosy i spojrzał na martwego Stana.

— Tyle kłopotów z takim gównem — mruknął pod nosem.

Ruszył do drzwi. Po drodze zauważył przerażone oblicze Starego Lukasa, który jak zahipnotyzowany wpatrywał się w dziewczynkę. Siren zatrzymał się przed właścicielem oberży.

Stał tak blisko, że niemal stykali się nosami.

— Masz z tym problem? — zapytał Siren.

Stary Lukas zbladł gwałtownie i zadrżały mu kolana.

— Nie, szeryfie.

Siren uśmiechnął się lekko i klepnął staruszka po ramieniu.

— Tak myślałem, przyjacielu — powiedział.

Wyszedł z pomieszczenia. Po chwili można było usłyszeć, jak jowialnie wita się z kimś we wspólnej sali.

Stary Lukas zamknął za nim starannie drzwi i oparł się o nie całym ciałem. Delikatnie kiwnął głową, dając znak, że nikt ich nie podgląda ani nie podsłuchuje. Iwan wyciągnął nóż z kieszeni i podszedł do związanej dziewczynki.

Rozdział 1. Marzenia i koszmary

Śniło mu się, że jest z powrotem na Kle. Stał wysoko na białej skale, a pod nim płonęła Nowa Holandia. Niebo było czerwone od ognia i szare od dymu, a wapienie płakały, słysząc jęki zabijanych Holendrów. Trzymał karabin i wystrzeliwał jeden nabój za drugim, zdając sobie sprawę, że jest to zupełnie bezcelowe i bezsensowne. Że wszystko już zostało zadecydowane, że nic się już nie da zmienić. W tym śnie Kieł miał dobre sto metrów wysokości i sto bram, ale ani jedno, ani drugie nie stanowiło przeszkody dla głodnego potwora, który unicestwiał dom Brama.

Płakał wtedy. Płakał i strzelał. Potem siekał. Ze swoją szablą w dłoni, trafiał w odnóża stwora o sześciu gardłach, a po każdym jego ciosie wylewała się na niego zielona flegma, dusząca i dziwnie słodka, zlepiająca gardło, nos, powieki.

Oczekiwał pomocy. Błagał o nią, modlił się. Ale wiedział też, że na żadną nie może liczyć.

Oddali Utherowi wszystko. Żołnierzy, pieniądze, technologię, a w końcu swój honor. A on zostawił ich na łasce potwora.

Stwór machnął ogonem i pomimo tego, że Bram się zasłonił, cielsko strąciło go ze skały. Spadał. Prosto w dym i płomienie.

Obudził się spocony, z bijącym mocno sercem i drżący. Coś przeraźliwego, jakaś obręcz, ścisnęła mu czaszkę tak mocno, że Holender miał wrażenie, że głowa eksploduje mu zaraz szarą chmurą mózgu i kawałków kości. Ręce miał wolne. Macał koc wokół siebie, próbując bezskutecznie się spod niego uwolnić..

— Spokojnie — rozległ się nieznany mu głos — Jesteś bezpieczny. Nic ci nie grozi.

Podniósł głowę. Patrzył na szczupłego mężczyznę o rozumnej, zmęczonej twarzy. Czarne włosy, lśniące od potu i tłuszczu, gładko zaczesał do tyłu. Pod wydatnym, orlim nosem pyszniły się sumiaste wąsy, które sięgały aż do podbródka. Ubrany był prosto i praktycznie: w wojskowe, znoszone spodnie i zwykłą, lnianą koszulę.

Bram próbował szybko wyrobić sobie zdanie na temat tego człowieka. Uznał, że nie ma się czego bać. Gdyby mężczyzna chciał mu zrobić krzywdę, nie czekałby aż Holender się obudzi.

Tymczasem czarnowłosa ściągnął z żeliwnego piecyka czajnik i nalał wrzątku do kubka. Położył go obok Brama.

— Herbata brzozowa. Napij się.

Bram podziękował ruchem głowy. Mężczyzna usiadł na krześle w pobliżu. Z kieszeni spodni wyciągnął skórzaną torbę z tytoniem i kawałek papieru. Skręcił papierosa i włożył sobie do ust.

— Zaatakował cię źlebodźwiedz — stwierdził. — Trochę pokiereszował, ale nie jakoś bardzo strasznie. Będziesz zdrów.

— Pamiętam. Zaskoczył mnie. Nie spodziewałem się tutaj źlebodźwiedzi.

— Jedno z plemion żyje dwa, trzy dni drogi na północny zachód stąd — wyjaśnił mężczyzna

— Ten, który cię zaatakował, to był renegat. Ludojad. Skrzywdził już jedną rodzinę. Tropiłem go od pewnego czasu.

Mężczyzna włożył patyczek do płonącego piecyka, poczekał aż chwyci go ogień, po czym odpalił od niego skręta. Zaciągnął się głęboko aromatycznym dymem.

— Piotr Lisiecki — przedstawił się po chwili i zatoczył łuk ręką. — To moja chata. Chyba można tak powiedzieć. Została opuszczona w czasie wojny. Nie wiem czy pierwszej, czy drugiej.

Korzystam z niej, kiedy jestem w pobliżu.

Holender wziął do rąk parujący kubek i napił się gorącego naparu. Potrzebował chwili, żeby zebrać myśli i rozważyć odpowiedź.

— Bram Huygens — powiedział wreszcie.

— Holender?

— Tak.

— Ja jestem Polakiem.

— Wieczny tułacz.

— Tak nas nazywają — przyznał Lisiecki — Twierdzą, że nie mamy ojczyzny, domu. Ale powiedz szczerze, czy ta twoja Nowa Holandia naprawdę jest twoim domem? Nie. Nasz dom jest daleko stąd. Bardzo daleko. Czasami, późno w nocy, kiedy siedzę tutaj sam, zastanawiam się, czy ktoś tam, po Końcu, jeszcze żyje, a jeśli tak, to czy czasami o nas myślą. O tych, których pozostawili...

Zaciągnął się papierosem.

— Za dużo gadam — stwierdził nagle — Twój koń uciekł. Nie wiem, gdzie jest i nie miałem czasu go szukać. Wziąłem za to twoje sakwy.

— Dziękuję.

— Kim jesteś, Bram?

Holender odłożył kubek na podłogę.

— Przysłała mnie kompania handlowa Reynsensa i Klaasa. Mam zbadać sytuację, zdać raport.

Lisiecki pokręcił głową.

— Przedstawiciel kompanii handlowej? Przyjacielu, widziałem twoje papiery. Nieźle wyglądają, ale niedużo trzeba, żeby się domyśleć, że są fałszywe. Żadna kompania nie wysłałaby swojego przedstawiciela w taką drogę samego. Przynajmniej jeśli chciałaby, żeby żywy dotarł do celu.

— To pilna sprawa.

— Poza tym — kontynuował Polak — która kompania płaci tak wiele, że jej przedstawiciele stać na to?

Lisiecki sięgnął za siebie i wyciągnął szablę Holendra. Wycelował czubek pióra w jego twarz. Bram podniósł się powoli z łóżka do pozycji półsiedzącej. Serce zabiło mu mocniej.

— Nie lubi mnie — stwierdził Polak.

— Mało kogo lubi.

— Dalej twierdzisz, że pracujesz dla kompanii handlowej?

Holender wpatrywał się w ostrze szabli. Zastanawiał się, czy jest ona na tyle silna, żeby powstrzymać ramię Polaka. Mógłby próbować rzucić w niego kubkiem, a potem, z odrobiną szczęścia, powaliłby Lisieckiego na ziemię.

Polak uśmiechnął się nagle. Delikatnie wziął ostrze w dłoń, po czym obrócił szablę rękojeścią w stronę Brama. Holender chwycił ją zaskoczony.

— Jest twoja. Czuję to. Tyle żywmetal. Musi być warta majątek. Niemożliwe, żebyś pracował dla kompanii. Musisz być szpiegiem, przyjacielu.

Bram zacisnęła ciasno usta. Polak roześmiał się, widząc zacięty i wrogi wyraz twarzy Holendra.

— Nie martw się, przyjacielu. Mnie to nic nie obchodzi, a w Kaźni wcale się nie będziesz wyróżniał. Tam każdy dla kogoś szpieguje. To dla Federacji, to dla Korporacji, dla kompanii handlowych, poszczególnych lordów i książąt. A ty, Bramie? Komu będziesz słał meldunki?

Holender nie odpowiedział. Polak zaciągnął się po raz ostatni papierosem i wyrzucił niedopałek na podłogę. Zgniół go podeszwą buta.

— Masz rację, że nie odpowiadasz. A mnie to naprawdę nic nie obchodzi.

Drzwi od chaty otworzyły się i do środka wmaszerowała drobna dziewczynka, ubrana w liczne warstwy ubrań tak grubych, że właściwie trudno było ocenić, jaką ma sylwetkę. W rękach niosła naręcz drewna. Polak kazał jej położyć szczapki i gałęzie obok piecyka. Zrobiła to bez słowa. Potem, również bez słowa, położyła się na posłaniu, które było rozłożone w jednym z kątów chaty i do piersi przytuliła lalkę z gałganów. Lisiecki obserwował ją uważnie.

Bram posłał mu pytające spojrzenie. Polak po chwili wahania nachylił się nad rannym mężczyzną

— Pamiętasz, że mówiłem o innych ofiarach źlebodźwiedzia? — zapytał szeptem.

— Tak.

— Jej matka. Nie wiem, co się stało z ojcem.

— Zabijeś tego renegata?

Lisiecki pokiwał głową, wstając.

— Dzisiaj zjesz połędwicę ze źlebodźwiedzia. A teraz odpocznij jeszcze. Trochę snu i będziesz jak nowy.

Długo leżał bez ruchu, udając że śpi, a w rzeczywistości spod przymkniętych powiek obserwował Polaka. Mężczyzna zajmował się mięsem. Oprawiał, a potem solił grube, tłuste kawałki połędwicy. Na chwilę wyszedł z chaty, żeby wrócić z baniakiem pełnym wody. Wziął się do gotowania. Dziewczynka najpierw spała, potem zaś bawiła się lalką. Mężczyzna i dziecko nie zamienili ze sobą nawet słowa. Wszystko to było takie zwyczajne i takie nudne, że Bram, wbrew sobie, wreszcie zasnął.

Obudził go zapach mięsa i ślina, która napłynęła mu na ust. Wciąż znajdował się w chacie.

Tak za oknami, jak i w środku było już ciemno. Jedyne, słabym źródłem światła był ogień buzujący w piecyku.

Holender podniósł się z łóżka. Dziewczynka siedziała już przy stole, przy drewnianej misie i czekała na swoją porcję. Lisiecki postawił przed nią dymiący gar z jedzeniem.

— Wstawaj, przyjacielu — rzucił przez ramię. — Czujesz się już lepiej?

— Tak — odpowiedział Bram.

Nie kręciło mu się już w głowie, a ucisk wokół czaszki znacząco zelżał. Minęła też słabość ciała, która dopadła go wcześniej.

Szabla wciąż leżała obok niego. Wziął ją w ręce i poczuł, że zadrżała delikatnie, a ostrze zaśpiewało cicho w sposób, który tylko on słyszał. Uśmiechnął się. Odłożył broń i zasiadł do stołu. Polak postawił przed nim miskę i nalał brązowej, apetycznej potrawy, w której pływały spore kawały szarego mięsa.

Jedli w milczeniu, powoli i uważnie, zagryzając kawałkami suchego chleba, który był tak

twardy, że wcześniej trzeba go było moczyć w zupie. Kiedy skończyli, Lisiecki pozbiierał naczynia i wrzucił do wiadra pełnego wody.

— Pozmywaj, a potem kładź się spać — rozkazał dziewczynce.

Dziecko posłusznie wykonało polecenie. Bram przypatrywał się jej, kiedy krzątała się po chatce. Wyczuwał coś dziwnego w tym dziecku. Niepokojącego. Coś, czego nie mogło wytłumaczyć nawet to, że dzień wcześniej straciła matkę. Dopiero po chwili, kiedy ostrożnie myła drewniane miski, każdą obracając delikatnie w swoich drobnych dłoniach, zrozumiał co go zaniepokoiło. Była zbyt rozważna na swój wiek. Zbyt spokojna. Równocześnie nieobecna i skupiona.

Lisiecki tymczasem podszedł do południowej ściany, stanął na palcach i sięgnął dłonią do krokwi podtrzymującej dach. Ściągnął z niej lekko zakurzoną butelkę, którą postawił zaraz na stole pomiędzy sobą a Bramem. Dołożył do tego dwa kubki. Bez pytania rozlał zawartość sobie i Holendrowi.

— No to siup — mruknął.

Wziął potężnego łyka. Bram, chcąc nie chcąc, musiał pójść w jego ślady. To była wódka. Bardzo mocna, smakująca odrobinę ziołami. Paliła przyjemnie język i przełyk. Holender poczuł, że krew uderzyła mu do głowy.

— Dobrze — szepnął.

— Aha — przytaknął Polak.

Wzięli kolejny łyk.

— Jutro rano zaprowadzę cię do Kaźni — stwierdził Lisiecki — Musisz odpocząć, żeby być w pełni sił, bo wędrówka zajmie prawie cały dzień. Będziemy szli pieszo, bagaże na plecach.

Skorzystamy z bocznych ścieżek, a nie z głównego traktu, więc jest bardzo duża szansa, że podróż przebiegnie bez żadnych przykrych niespodzianek. Pasuje ci to?

Bram przytaknął.

— Czego chcesz w zamian? — zapytał, przełykając kolejny łyk wódki.

— Pożywienia dla mnie i dziewczyny na co najmniej pięć dni. Nowego noża. Zimowego ubioru dla małej i nowych spodni dla mnie. Amunicji. Dziesięciu metrów sznurka. Garnka. I pokoju w hotelu na wieczór.

Polak uniósł kubek do ust i uśmiechnął się pod wąsem, wpatrzony w Brama.

— Nie rób takiej miny, przyjacielu. Nie pamiętasz, że sprawdziłem, co masz w sakwach? Stać cię na to wszystko i bardzo dużo ci zostanie. Proszę o nieprzyzwoicie mało, biorąc pod uwagę, że uratowałem ci życie.

— A jeśli się nie zgodzę?

Lisiecki wzruszył ramionami.

— Pójdiesz jutro rano swoją drogą i na własną rękę spróbujesz trafić do Kaźni. W najlepszym razie stracisz kilka dni na włóczeniu się po kniei, w najgorszym zginiesz z wyczerpania, głodu, rąk rabusiów czy bestii, które tutaj mieszkają. Twój wybór, przyjacielu.

Holender wstał i podszedł do okna. Przez chwilę wpatrywał się w ciemność kryjącą się za matową szybą z grubego, niekształtnego szkła.

— Twoja oferta brzmi uczciwie — stwierdził wreszcie.

Polak wstał, podniósł dłoń, splunął na nią i wyciągnął w stronę Brama. Holender uściśnął ją.

Mężczyźni przez chwilę patrzyli sobie w oczy, a potem uśmiechnęli się do siebie równocześnie.

Napięcie, które między nimi panowało w trakcie negocjacji znikło, jakby nigdy go nie było.

Wrócili do stołu. Polak wyjął torbę z tytoniem i zrobił skręta. Odpalił go w ten sam sposób, co poprzednio.

— Widziałem, jak walczyłeś z tym źlebodźwiedziem — powiedział, kiedy zaciągnął się po raz pierwszy. — Jesteś żołnierzem, prawda?

— Wszyscy Holendrzy są. W mniejszym lub większym stopniu.

— Ale ty w większym.

— To prawda — zgodził się Bram. — Ja w większym. A ty?

— Ja? Byłem żołnierzem.

— Gdzie?

— Tutaj. Walczyłem na wojnie.

— Pierwszej czy drugiej?

— Obu.

— Po naszej stronie?

— A która była nasza?

— Federacji.

Polak pokiwał głową

— W takim razie tak, chociaż nie do końca. Służyłem w wojsku księcia Kuźni.

Bram spojrział na swoje dłonie.

— Zapewne więc nie darzysz zbytnią sympatią Holendrów?

Polak zaciągnął się papierosem, a potem strzepnął resztkę popiołu na podłogę.

— Nie mam nic do ludu — stwierdził — Ale tobie radziłbym się nie przyznawać, że jesteś jednym z nich. Tych, którzy mieszkali tu przed wojną pozostało niewiele, ale oni ciągle mają żal do twojego narodu.

— Ale ty nie?

— Ja nie. Ale powiem ci przyjacielu, gdyby los skrzyżował kiedykolwiek moje ścieżki ze ścieżką lorda z Kła, to jeden z nas nie wyszedłby z tego spotkania żywy. Boże... Pamiętam Kaźń, naszych żołnierzy na wałach, a wokół pełno korporacyjnych żołdaków. Walczyliśmy z nimi wszędzie. W lasach, na skałach, pod murami miasta. I modliliśmy się, żebyście w końcu nadeszli z odsieczą. Ale wy się nie pojawiliście... Kto by pomyślał, że nienawidzicie nas mocniej niż Korporacji.

Lisiecki skończył palić, przydeptał niedopałek i natychmiast zaczął zwijać następnego skręta.

— Ale ty jesteś pewnie za młody, co? Pewnie tego wszystkiego nie pamiętasz — rzucił.

— Pamiętam — odpowiedział Bram. — Miałem wtedy pięć lat. Może trochę mniej.

Wszyscy

mężczyźni byli wtedy spakowani i gotowi do drogi. Czekali tylko na rozkaz. Ale ten nigdy nie padł. Dopiero później... Dziesięć lat później, podczas drugiej wojny.

— Ale wtedy przyszliście w kupie. Z Utherem i całą tą resztą.

Lisiecki zamyślił się z papierosem tkwiącym w kąciku ust.

— To była dobra wojna — powiedział po chwili. — Wtedy też nie walczyłeś, prawda?

— Miałem piętnaście lat. Chciałem. Ale ojciec zabronił. Kazał pilnować gospodarstwa.

— I miał rację. To nie było walka dla piętnastolatków. Widziałem takich wtedy. Strasznie niecierpliwi. Ginęli przy pierwszej nadarzącej się okazji. Nie potrafili czekać. A to była wojna czekanie, przyjacielu. Leżeliśmy po kilka godzin, skryci wśród listowia, aż Korporacyjni podejda tak blisko, że będzie widać białka ich oczu.

Polak zwiesił na chwilę głowę. Ciężką dłonią podniósł kubek i uniósł do ust.

— Skończyło się — powiedział i dołał sobie oraz Holendrowi.

Wzniesli cichy toast za wspólne zdrowie.

— Po wojnie, po rozejmie, kiedy i Federacja, i Korporacja odeszły, było tu strasznie pusto.

Niewielu chciało się zostać na tej ziemi. Porozrzucalo nas. Było tak, że sąsiad do sąsiada miał czasami nawet dzień drogi. Potem zbudowano Kaźń. A potem... Potem odkryli tu żywmetal. I to wszystko zmieniło. Ściągnęła tu cała masa ludzi. Z całego świata, jak mówią. I podobno ciągną tu kolejni. To prawda, przyjacielu?

— Prawda. Wieść o złożach się rozniosła.

Lisiecki pokręcił z niesmakiem głową.

— Żywmetal to najgorsza rzecz, jaka mogła spotkać tę ziemię.

— Niektórzy powiedzieliby, że to błogosławieństwo.

Polak prychnął i wycelował palec w stronę Brama.

— Żywmetal rozpala głowy i serca, ale jest niczym więcej jak tylko i wyłącznie pokusą.

Marzeniem o wielkim bogactwie, władzy, kobietach czy kto co tam sobie chce.

Rozmawiałem z tymi, którzy odkryli pierwsze złoża. Wcześniej byli to porządni, ciężko pracujący ludzie.

Żywmetal zmienił ich nie do poznania. Stali się butni, władczy, przemądrzali. Wydawało im się, że z powodu tego, że raz się los do nich uśmiechnął, że zaczęli kopać w dobrym miejscu, sam Pan Bóg w niebiosach spojrział na nich łaskawym okiem, obdarzył swoją łaską i wyniósł ponad nas, zwykłych śmiertelników. A to nieprawda. Jeden z tych ludzi już nie żyje, zamordowany w głębi puszczy nie wiadomo przez kogo i obrabowany. Drugi stracił wszystko grając w karty w oberży. Trzeciego wypadek w kopalni pozbawił nogi i rozumu. Czwartego dopadł Głód.

Żywmetal to złudzenie, przyjacielu, złudzenie łatwego, szczęśliwego, życia; życia za darmo, bez pracy, bez wysiłku, bez łez i cierpienia. Żywmetal mąci umysł i zatruwa serce. To marzenie o szczęściu osiągniętym tylko dzięki uśmiechowi losu. I dlatego żywmetal to bajka, przyjacielu. A każda bajka jest kłamstwem. Może pięknym, ale tylko kłamstwem.

Lisiecki skończył mówić. W chacie zapadła cisza. Polak bez pośpiechu nalał sobie wódki i natychmiast wypił zawartość kieliszka. Potem zabrał się za skręcanie papierosa.

— Rozgadałem się niepotrzebnie, prawda? — zapytał, układając palcami tytoń na bibułce.

Bram wzruszył ramionami. Polak palił w milczeniu.

— A poza tym, przez żywmetal zainteresuje się nami i Federacja, i Korporacja — stwierdził nagle. — Ta ziemia widziała już dwie wojny. Trzeciej nie potrzebuje.

Holender kiwnął głową w geście, który mógł być uznany za potwierdzenie, ale tak naprawdę znaczył cokolwiek. Wstał od stołu. Dopiero wtedy poczuł, ile wypił. Z trudem utrzymał równowagę.

— Pójdę już spać.

— Tak. Wyśpij się.

Bram położył się do łóżka i zasnął niemal natychmiast. Polak zaś jeszcze długo siedział nad kieliszkiem wódki, z coraz to nowym papierosem w dłoni. Na jego twarzy na przemian pojawiał się wyraz irytacji, gniewu, rezygnacji, smutku i zdecydowania. Żadne z tych uczuć nie potrafiło jednak zagościć na niej na dłużej, przeganiane przez następne tylko po to, żeby powrócić wraz z kolejnym kieliszkiem czy cichym beknieniem. Wreszcie Lisiecki wzniosł niemy i wściekły toast, rzucił tłący się na pomarańczowo niedopałek na podłogę i udał się na spoczynek.

Rozdział 2. Kaźń

Dziwną stanowili kompanię. Mała dziewczynka, która odzywała się tylko do krzewów i roślin, a na postojach czule głaskała kamienie; Polak, który wyglądał tak, jakby żałował, że zgodził się na tę wyprawę i który co chwila zarządzał postój, żeby sprawdzić ślady lub ruszyć samotnie na zwiad boczną ścieżką i wreszcie Bram, ciągle obolały, syczący co trzeci krok z bólu.

Do tego nie potrafił się pozbyć rosnącej mu w żołądku kuli lęku. Nie wiedział, czego się bał i dlaczego. Ale to coś nie potrafiło dać mu spokoju.

Próbował porozmawiać o tym z Polakiem, ale ten zbył go szybko machnięciem ręki.

— Tutaj większość tak ma, przyjacielu. Szybko się przyzwyczaisz — powiedział tylko i nakazał ruszyć dalej w drogę.

Wreszcie, po prawie całodziennym marszu, Bram zobaczył po raz pierwszy cel swojej podróży — Kaźnię.

Miasto miało kształt długiego, wijącego się robaka, którego boki stanowiły mury domów.

Niedaleko znajdowało się kilka skalistych wzniesień, z których dostarczano budulec oraz niewielka rzeka. Kaźń składała się z dwóch części. Pierwszą stanowiło stare miasto, powstałe jeszcze przed odkryciem żywmetal. Widać było, że budowano je z rozmysłem. Budynki nachodziły na siebie tak, żeby stanowić dla siebie nawzajem ochronę; a w poprzek głównej ulicy stała brama broniąca wejścia. Zachowano także miejsca na stanowiska strzeleckie. Same domy zaś wydawały się mocno, solidnie i starannie zbudowane. Druga część Kaźni musiała powstać już po odkryciu złóż, a zamieszkiwali ją ci, którzy przybyli do miasteczka w poszukiwaniu sławy i bogactwa. Budowali swoje schronienia naprędce i byle jak, nie przykładając się specjalnie.

Część z nich zadowalała się tylko płóciennymi namiotami. Miejsca wybierali bez zastanowienia.

W rezultacie kilkaset szop i chałup zmieniło się w istny labirynt małych uliczek, wewnętrznych podwórek, ślepych zaułków. Łącznie, jak szybko ocenił Bram, Kaźń mogło zamieszkiwać nawet grubo ponad tysiąc osób.

— Codziennie jedni przybywają, a drudzy wyruszają na szlak w poszukiwaniu żywmetal.

Kaźń przypomina teraz prawdziwy rój — powiedział Lisiecki.

Jeszcze godzinę zajęło im, zanim w końcu dotarli na miejsce. Polak poprowadził ich do oberży znajdującej się w starszej części miasta. Zgodnie z umową, Bram wynajął mu i dziewczynce pokój. Zapłacił zadek w bonach żywnościowych, chociaż w Federacji normalnie płacono monetami z żywmetal lub innych kruszców, i umówił się z Lisieckim, że na zakupy wyruszą wspólnie jutro rano. Polak miał pokazać Holendrowi, gdzie można kupić konia, zapasy i broń, a przy okazji pomóc w targowaniu się.

Po pożegnaniu Bram wyruszył w poszukiwaniu miejsca, które znał jako Hotel Sava.

Odnalazł go w najstarszej części Kaźni. Tworzył ją niewielki plac, z pojedynczą kolumną z białego kamienia pośrodku. Otaczały ją szczelnie — niczym mury — przysadziste, kanciaste budynki.

Hotel Sava okazał się sporym, starannie podmurowanym, dwupiętrowym domem zbudowanym z mocnego, twardego drewna. Ściany zdobiły obrazy lub rzeźby przedstawiające nagie kobiety zobrazowane tak szczegółowo i w tak wyuzdanych pozach, że jeśli ktokolwiek miałby wątpliwości z czego naprawdę żyje właściciel hotelu, szybko musiałby się ich pozbyć.

Bram wszedł do środka i natychmiast otoczył go kłęb siwego, tytoniowego dymu, tak mocnego, że szczypał w oczy. Pomiędzy smugami Holender wyczuwał, podobne do

pojedynczych kwiatów na szarej łące, delikatne muśnięcia woni marzyziela i opium.

Trochę zajęło mu, zanim przyzwyczał się do dymu. Znajdował się w dużej, pojedynczej izbie, które zajmowało niemal cały parter budynku. Pod jedną ze ścian znajdował się bar i wejście do pomieszczenia, które najprawdopodobniej było kuchnią. Pozostałą przestrzeń zajmowały stoliki do kart i ruletki, kanapy, leżanki; pozbierane chyba zewsząd i ustawione tak, że trudno było dojrzeć w tym jakąkolwiek logikę i porządek. Na ścianach wisiały wypreparowane łby upolowanych w okolicy zwierząt: szablozębego wilka o kłach jak sztylety i bardziej przypominającego kota niż psa, stukojki z jej trującym rogiem czy ksalomonta, który pomimo groźnego wyglądu, szerokich zębów — jakby stworzonych do kruszenia kości — był łatwiejszy do upolowania od dzikiej świni. Trofea były jednak stare, zeżarte przez mole, a tam, gdzie kiedyś znajdowały się kłęby gęstej, lśniącej sierści, teraz widać było tylko żalosne, gołe placki popękanej skóry.

Kilka z siedzisk zajmowanych było przez grupę znudzonych kobiet, ubranych tak lekko i wyuzdanie, jak tylko pozwalał na to panujący w budynku chłód. Zbite w gromadę, wymieniały leniwie półsłówka dzieląc się cienkimi skrętami i resztką wódki z poprzedniego dnia. Wyglądały na zniechęcone, zmęczone i wściekłe, a Brama zaszczyliły tylko krótkimi, ale pełnymi pogardy spojrzeniami.

Za dziewczynami, na leżankach spało dwóch mężczyzn, o uśmiechniętych i spokojnych twarzach. Holender zwrócił uwagę na ich buty — solidne, wojskowe, zadbane, pastowane najdalej wczoraj wieczorem. Potem na spodnie; jednakowe, w kolorze zgniłej zieleni, z kieszeniami po bokach. Jedna z kobiet, być może z poczucia obowiązku, postanowiła go zaczepić.

— Czołem rycerzu. Chcesz się zabawić?

— Może nie dzisiaj, panienko — odpowiedział, wpatrzony w mężczyzn.

Obok łóżek leżały pancerze. Lekko przygniecione i zabrudzone, ale wciąż w bardzo dobrym stanie. Kilka elementów było świeżo wymienionych. Chroniły głównie klatkę piersiową oraz ramiona, zapewniając równocześnie maksimum swobody ruchu oraz niewielkie obciążenie.

Broniły przed większością broni białej, a także, przy odrobinie szczęścia, przed bronią palną.

Wykorzystywała je zazwyczaj lekka piechota i kawaleria oraz zwiadowcy.

Pancerze ułożono na wojskowych kurtach. Bram wyprostował rękaw jednej z nich. Tak jak się spodziewał, znalazł tam logo Korporacji, wstęgę Mobiusa z trzema gwiazdami pośrodku i slogan wyszyty na szarym kawałku materiału czarną, opalizującą nicią — *Biznes to ludzie*.

Korporacja jest z Tobą.

Pomiędzy mężczyznami leżała duża misa z dopalającymi się fajkami z marzyzielem. To tłumaczyło spokojny i słodki sen żołnierzy. Bram przypatrywał się im jeszcze chwilę, próbując zapamiętać ich twarze i zastanawiając się, co ma zrobić. Jeszcze w Federacji przekazano mu, że Hotel Sava to dla niego jedyne pewne i bezpieczne miejsce w całym dawnym księstwie Kuźni. A kiedy już się tu dotarł, na miejscu znalazł dwóch żołnierzy Korporacji. Ciekawe, gdzie były ich pasy z bronią? Z drugiej strony — nie wyglądali na zbyt niebezpiecznych. Ale w mieście mogło być ich więcej. Przytomnych, nie naćpanych.

— Mogę w czymś pomóc!?

Za barem stał łysy mężczyzna w białej koszuli i kamizelce. Musiał mieć około czterdziestu lat. Wpatrywał się uważnie w Holendra. Dłonie trzymał schowane pod ladą, zapewne zaciśnięte na rewolwerze, kuszy lub jakiejś innej broni.

Bram uśmiechnął się przyjaźnie i powoli podszedł do barmana.

— Witam. Właśnie szukałem kogoś, kto mógłby mnie obsłużyć.

— Ja cię chciałam obsłużyć! — odezwała się prostytutka, która wcześniej zaczepiła Brama

— Ale ty nie chciałeś! Mick, to jakiś pedał jest. Powiedz mu, że my w Kaźni nie lubimy pedałów!

— Zamknij się, Mette! — wrzasnął barman.

Prostytutka zmierzyła go wściekłym spojrzeniem, ale zaraz spuściła głowę. Wróciła do dopalania marnej resztki papierosa, która jarzyła się jej pomiędzy palcami. Kobieta mruczała coś pod nosem.

Mężczyzna o imieniu Mick uśmiechnął się do Brama przepraszająco.

— Przepraszam pana. Mette bywa... — przez chwilę szukał odpowiedniego słowa — natarczywa.

— Szukam Savy.

Barman uniósł lekko jedną brew.

— Savy? Ma pan jakichś interes? Chce pan coś zostawić, przekazać?

— Przekazać.

— Co takiego?

— Że w Bramie Północy róże kwitną nawet zimą.

Mick, nawet jeśli był zdziwiony, słysząc tę absurdalną kwestię, to nie dał tego po sobie poznać. Jego twarz była jak wykuta z kamienia. Widać na niej było tylko pełne skupienie i, być może, kilka rys irytującej zyczliwości, którą mają w sobie tylko ludzie uważający, że widzieli już wszystko.

— Mette — krzyknął, nie spuszczać oka z Holendra.

Prostytutka niechętnie podniosła się z fotela.

— Idź do pani Savy i przekaż jej, że...

— W Bramie Północy róże kwitną nawet zimą — powtórzył Bram.

Oczy dziwki zmieniły się w dwa znaki zapytania.

— Idź! — wrzasnął Mick.

Mette prychnęła lekceważąco, ale popędziła schodami na piętro.

— Napije się pan czegoś? Zje pan coś? Chciałby pan podupczyć? — zapytał tymczasem barman.

— Napiłbym się.

Bram zajął miejsce przy barze. Rzucił obok swoje torby.

— Czego pan sobie życzy?

— Macie piwo?

— Miejscowe. Trochę mętne i mocno ziołowe. Z jakiegoś powodu nasi dostawcy nie potrafią się pozbyć tych aromatów.

— Może być.

Barman wyciągnął spod lady drewniany kufel, przetaił go szmatą i podszedł do beczki stojącej niedaleko. Odkręcił mosiężny kurek i napelnił naczynie, po czym podał je Holendrowi.

Zawartość mocno się pieniała, miała słaby żółty kolor o lekko zielonkawym zabarwieniu, ale może była to wina koloru drewna, z którego wykonano kufel. Z duszą na ramieniu Bram wziął łyk. Smakowało tak sobie, było mocno rozwodnione, ale, tak jak mówił barman, miało intensywnie ziołowy, trochę gorzkawy, a trochę kwaskowaty aromat.

— I co, dobre? Pasuje panu? — zapytał Mick.

Wciąż mówił z tą denerwującą manierą, na pograniczu rozbawienia i protekcjonalności.

— Sava mówi, że ten facet ma do niej przyjść — krzyknęła Mette, schodząc z piętra na parter.

Barman kiwnął głową.

— Mette pana zaprowadzi. Drugie piętro, trzeci pokój po lewej stronie.

Bram sięgnął po swoje rzeczy. Mick powstrzymał go gestem.

— Niech pan zostawi. Przypilnujemy.

— Dobrze.

Holender ruszył w kierunku schodów.

— Powinien pan też zostawić broń.

Bram zawahał się. Wreszcie wzruszył ramionami, odpiął pas z rewolwerem i szablą, i rzucił go na podłogę.

— Niech nic nie zginie — rzucił w stronę barmana.

— Ma pan to jak w banku.

Holender poszedł za Matte. Dziwka zaprowadziła go na drugie piętro, a potem pod odpowiednie drzwi. Zapukała.

— Wejść! — rozkazał ktoś w środku.

— Teraz radź sobie sam — mruknęła dziewczyna, odchodząc.

Holender obserwował jak schodzi, potem wziął głębszy oddech i wszedł do pokoju.

Jeśli na dole panował chaos i przepych, to to pomieszczenie było urządzone prosto, wręcz ascetycznie. Na skromne umeblowanie składała się komoda z ciemnego drewna, spora szafa i niewielki, stojący pod jedną ze ścian stół, na którym leżały jeszcze resztki obiadu. Centralne miejsce pokoju zajmowało zawalone papierami biurko. Siedziała za nim kobieta, w której Bram rozpoznał Savę. Wyglądała dokładnie tak, jak mu ją opisywano — wysoka, szczupła, ubrana w prostą szarą suknię, o bladej cerze, wielkich czarnych oczach i lekko kręconych kasztanowych włosach, które opadały jej do ramion. Przypominała łagodną, może trochę przestraszoną łanię, ale Holender wiedział, że to mylne wrażenie. Sava potrafiła bowiem kąsać jak żmija.

— Pani, przybyłem...

Nim zdążył dokończyć, poczuł jak czyjaś dłoń zaciska mu się na ramieniu, a w plecy, mniej więcej na wysokości wątroby, wbija się czubek noża. Z trudem się opanował, żeby natychmiast nie obrócić się lub rzucić do walki. Taki krok zapewne kosztowałby go życie.

— Nie ruszaj się! — warknął ktoś za jego plecami. To był damski głos, suchy i zachrypnięty.

Dłoń opuściła jego ramię i zaczęła powolną wędrówkę wzdłuż ciała w dół, po drodze sprawdzając każdy zakamarek i kieszeń w ubraniu.

— Jest czysty — powiedziała zachrypnięta.

— Puść go.

Czubek noża odsunął się od Brama. Holender wypuścił z ulgą powietrze z płuc. Spojrzał za siebie. Stała za nim niewysoka, ostrzyżona na jeża dziewczyna w męskim ubraniu. Jej twarz szpeciła czerwona, nabrzmiąta blizna, która ciągnęła się od lewego oka aż do piersi. Nieznajoma miała na wysokości bioder pas, z którego zwisało kilka noży o różnej długości ostrzy.

— Mówiłeś, że przybyłeś... Skąd? — zapytała Sava.

Bram mógłby przysiąc, że w kąciku jej warg pojawił się złośliwy uśmiezek.

— Wolałbym mówić z tobą na osobności.

— Ale proszę nie przejmować się Ellen. Jesteśmy, można powiedzieć, jednością. Co mówisz mnie, równie dobrze możesz od razu powiedzieć jej. W drugą stronę też to działa.

— Pomimo tego, nalegam.

Sava po chwili namysłu pstryknęła palcami. Ellen niechętnie wyszła z pokoju.

— Teraz możesz mówić.

— Przybyłem z Bramy Północy. Przysyła mnie Uther.

Sava ułożyła usta w uroczy dzióbek.

— Uther? Sam władca Federacji?

— Tak. Miałś dostać informacje...

— I dostałam — przerwała mu — że Federacja kogoś prześle na przespiegi. Federacja, byt nieokreślony, dość niemrawy i niejasny. Uther... Uther to coś zupełnie innego.

Kobieta uśmiechnęła się tajemniczo i sięgnęła do kredensu. Wyciągnęła dwa kieliszki z kryształu i butelkę.

— Napijesz się? — zapytała — Czerwone. Słoneczne z Białej Wyspy.

— Nie, dziękuję.

— Oczywiście — stwierdziła — Przecież na pewno przywykłeś do picia lepszych trunków.

Bardziej wykwintnych, dworskich. Słoneczne zapewne niegodne jest twojego podniebienia, nieprawdaż?

Holender posłała Savie pytające spojrzenie.

— Widziałam cię podczas jednego z tych głupich turniejów organizowanych w Bramie Północy przez naszego ukochanego króla Uthera — wytłumaczyła Sava — Startowałaś chyba w boksie i, o ile pamiętam, zająłeś trzecie miejsce. Ty jesteś Bram van der Hagenhooper, syn i dziedzic lorda Kła i stadhoudera Nowej Holandii.

Bram poczuł, jak jeżą mu się włoski na karku.

— Swoją drogą — kontynuowała Sava — Uther musi mieć niezły tupet, żeby to właśnie ciebie tutaj przysyłać.

Holender przełknął ślinę.

— Jednak poproszę o wino — powiedział.

*

Szeryf James L. Siren lubił myśleć, że Kaźń należy tylko do niego. Pod pewnymi względami zresztą naprawdę tak było. Oczywiście, nie był właścicielem wszystkich budynków w mieście.

Były miejsca, takie jak Hotel Sava, nad którymi nie miał kontroli. Jednak nie było wątpliwości, że nikt w okolicy nie trzyma w swoim ręku tyle władzy, ile właśnie on. Świadomość tego faktu napępiała jego serce dumą.

Jedną przykrą stroną tej sytuacji było to, że Siren Kaźni po prostu nienawidził. I nie było to tylko puste sformułowanie czy rzucona w gniewie uwaga, ale raczej krystalicznie czyste, gorące jak wylewająca się z prymitywnych hutniczych pieców surówka uczucie, które czasami jego samego przerażało. Nienawidził Kaźni, nienawidził tłumu marnych poszukiwaczy żywmetal, którzy ściągali tu z całego świata, mając nadzieję na spełnienie marzeń, a powodując tylko kłopoty. Jedyne pożytek, jaki z nich był, to taki, że dawali się oskubać do sucha każdemu, kto miał choć odrobinę oleju w głowie. Lecz pomimo tego służył tym tępym bydlętom jako szeryf najlepiej, jak potrafił. A to dlatego, że był dobrym człowiekiem — a przynajmniej lubił tak o sobie myśleć.

Wstał z krzesła, podszedł do barku, skąd wyciągnął butelkę whisky i nalał sobie pół szklanki.

Wziął łyk, przełknął niechętnie i wrócił do rozrzuconych na biurku papierów. Zaczął leniwie przewracać w rękach kartkę, na której jakiś poszukiwacz dziecinny, nierównym pismem opisał, robiąc przy tym pełno błędów, kolejny napad chudzieli na północnym wschodzie. Zginęła jedna osoba.

Wieść o tym wydarzeniu rozniosła się już po mieście. Wiedział więc, czego ma się spodziewać. Wkrótce grupa zatroskanych obywateli przyjdzie do niego i przestępując z nogi na nogę, miętoląc trzymane w dłoniach kapelusze zażąda płaczkliwym, proszącym tonem, żeby zajął się chudzielcami. Oczywiście, żaden z nich nie będzie chciał wysupłać ze swojej spiżarni bochenka chleba na zorganizowanie ekspedycji. Siren zniżył kartkę w kulkę i rzucił ją na podłogę.

Wziął kolejny papier, list od doktora Carridana, wysokiego jak tyczka, chuderlawego mężczyzny o krowich oczach, o którym nawet nie było wiadomo, czy naprawdę ma prawo nazywać się lekarzem. Carridan skarżył się, że brakuje mu miejsca w szpitalu oraz jedzenia w jadłodajni dla ubogich. Kolejne ofiary Głodu leżały na ziemi upakowane tak ciasno, że nie dało się pomiędzy nimi przejść, a biedni szturmowali kuchnię, grożąc kucharzowi, który pokazywał im puste garnki. Carridan błagał o kolejny namiot oraz więcej jedzenia. Siren poczuł męczący ucisk na czaszkę. Czasami miał wrażenie, że najlepszym rozwiązaniem problemu Głodu byłoby pójście do tej umieralni, szumnie nazywanej szpitalem, z rewolwerem i kilkoma pudełkami naboju i strzelenie każdemu z tych nieszczęśników w łeb. Czy kiedykolwiek, ktokolwiek wyleczył się z Głodu? — zadał sobie pytanie. Nie potrafił sobie przypomnieć. A co do ubogich... To mogli, kurwa, zdychać.

Tyle że nie tego od niego oczekiwano. Dobrzy obywatele Kaźni chcieli, żeby poskromił chudzielców, zorganizował pomoc dla Głodujących i ubogich, a do tego zapewnił porządek w mieście i bezpieczeństwo na szlakach. Ciekawe, skąd miał wziąć na to ludzi i pieniądze? A najgorsze było to, że nie mógł po prostu rzucić tych wszystkich papierów do kominka, a potem jednemu i drugiemu dać po mordzie na uspokojenie. Nie dlatego oczywiście, że ich się bał. Nie spodziewał się również, żeby którykolwiek z mieszkańców Kaźni miał dość jaj, żeby próbować go odwołać ze stanowiska — chociaż oczywiście mogli od czasu do czasu rozmawiać o tym. Ale tylko wtedy, kiedy byli pewni, że nie usłyszy ich on ani żaden z jego ludzi. Nie, chodziło o coś innego. Siren był przekonany, że prędzej czy później Korporacja albo Federacja przyślą do Kaźni kogoś, jakiegoś wielkiego chojraka z wielką spluwą i kilkoma osiłkowatymi pomagierami, kto będzie próbował zająć jego miejsce. Zbyt dużo żywności w tej ziemi, zbyt wielkie bogactwo do zdobycia, żeby ktoś nie próbował położyć na tej miejscinie swojej łapy. A kiedy ten dzień w końcu nadejdzie, Siren wołał mieć mieszkańców Kaźni po swojej stronie.

A do tego była jeszcze córka Biszeka.

Sięgnął po szklanę z whisky i upił kolejny łyk. Ciekawe, co się z nią stało. Rozesłał za nią ludzi, ale nie znaleźli jej ani w Kaźni, ani w okolicznych siedliskach. Wszystko wskazywało na to, że dziewczynka razem z jej tępą matką padła ofiarą chudzielców, dzikich psów czy tego źlebodźwiedzia, który miał się pojawić w okolicy. A był już tak blisko — pomyślał ze złością.

Jednym haustem dopił resztkę whisky i odłożył szklanę z impetem na stół, a potem beknął przeciągle.

W tym samym momencie do biura wszedł Iwan. Olbrzym kiwnął na przywitanie głową i bez słowa oparł się o ścianę. Siren dolał sobie whisky, wrócił za biurko i dał mu ręką znak, że może mówić.

— Przyjechał nowy.

— Codziennie przyjeżdżają nowi — mruknął w odpowiedzi szeryf.

— Ten jest inny, szefie.

Siren zmrużył powieki i przyjrzał się uważnie Iwanowi. Rosjanin nie należał ani do specjalnie inteligentnych, ani do specjalnie spostrzegawczych. Ale nie był też głupi. Jeśli uznał, że w przybytku było coś niepokojącego, to należało go przynajmniej wysłuchać.

— Mów — rozkazał szeryf.

— Przyjechał sam, z tego co wiem. Bez karawany, bez towarzyszy, bez bagaży, szpadli, sitek, motyk.

To rzeczywiście było niepokojące. Uczciwi ludzie przybywali do Kaźni z dwóch powodów.

Albo żeby handlować, ale wtedy prowadzili ze sobą wypchane jedzeniem i towarami na wymianę wozy, albo żeby szukać żywmetal, a wtedy również rzadko przyjeżdżali samotnie i bez podstawowego przynajmniej wyposażenia. Przybysz mógł również być zwykłym łotrem, który przybył do Kaźni tylko po to, żeby rabować poszukiwaczy, ale tacy zazwyczaj nie włączyli się w pojedynkę.

— Co dalej?

Iwan wzruszył ramionami, charknął i splunął na podłogę zielono-brunatną flegmą.

— Inaczej się rusza, szefie. Tak pewnie. Wie szef, tak jakby skurwiel myślał, że słońce wschodzi tylko dla niego. Poza tym buty. Dobrze, mocne. Drogie. Z baskijskiej ryby.

Baskijska ryba: wielkie, groźne, drapieżne bydlę żyjące we Wschodnim Oceanie. Z jej tłuszczu wytapiono świece, kości szkieletu służyły do szycia gorsetów, z płatów czołowych robiono pożądane przez żołnierzy pancerze, z zębów sztylety, którym ostrości nie potrafiło dorównać nic, co zrobił człowiek, a ze skóry najlepsze i najdroższe buty i kurty — wytrzymałe, mocne, ciepłe i nieprzemakalne. I drogie jak sama cholera. Siren przez chwilę zastanawiał się, w jaki sposób Iwan rozpoznał, że buty zrobione są właśnie z tego materiału. Ale postanowił nie pytać. W Kaźni każdy miał swoje małe sekrety. Szanował to.

— Gdzie teraz jest?

— U Savy, szefie. Tam poszedł najpierw chyba. Na nic się nie oglądał.

Siren pokiwał głową.

— Dobra robota, Iwan.

— Dzięki, szefie.

— Napij się, jeśli masz ochotę.

Rosjanin sapnął z lubością i dopadł do barku. Nalał sobie pełną szklankę whisky i od razu wypił połowę duszkiem. Otarł usta rękawem i wyszczerzył zęby w pustą przestrzeń. Oczy błyszczały mu z radości i od alkoholu.

Szeryf tymczasem przerzucał leżące na biurku kartki papieru, a jego wzrok ledwie prześlizgiwał się po zapisanych na nich słowach. Rozważał to, co usłyszał. Samotny przybysz.

Czyli w najlepszym razie szalony zbójnik, który szybko zginie w lasach wokół Kaźni, rozszarpany przez mieszkające tam dzikie zwierzęta, chudzieliców albo zastrzelony przez ludzi Starego. Ale populacja szalonych zbójników nie jest zbyt wielka i prawdopodobieństwo, że jeden taki właśnie przybył do Kaźni również nie należało do dużych. Dobrze buty z baskijskiej ryby, mocne, drogie. Tak — Siren mlasnął przełykając własną ślinę, w której wyczuwał jeszcze wyraźny smak podlej whisky — dobre buty kosztują. Poszukiwacze w takich nie chodzą. Nie stać ich. Jeśli ktoś ma dobre buty, to znaczy, że skądś je ma. A to już było niepokojące. No i Sava.

Cholerna, dumna dziwka, która zawsze traktowała go z góry, jakby to, że kupowała dziewczyny za parę żywnościowych bonów, żeby potem oddać je tabunowi brudnych, napalonych poszukiwaczy, czyniło ją w jakichś sposób lepszą od niego. Każde słowo, które do niego wypowiadała, ociekało pogardą. Siren niejednokrotnie miał ochotę chwycić w swoje dłonie jej kształtną czaszkę i ścisnąć tak mocno, aż kości pękną, a ze szczelin zaczną wypływać krwistoszara breja mózgu. Nie zrobił tego tylko dlatego, bo wiedział, że Sava przed śmiercią odgryzłaby mu przynajmniej dwa palce. A Siren lubił swoje palce.

Sava... Mówili o niej, że ma możnego protektora w Federacji. Kogoś, komu donosi o tym,

co się dzieje w Kaźni. Jakąś kompanię handlową albo kogoś na dworze Uthera. Siren podrapał się po policzku. Samotny przybysz, dobre buty, Sava. Potrafił dodać dwa do dwóch. Podjął decyzję.

— Przygotuj się Iwan — rzucił — Pójdziemy się przyjrzeć temu przybyszowi.

*

Ellen stała oparta plecami o ścianę i wyraźnie znudzona czubkiem noża wygrzebywała brud spod paznokci. Kiedy drzwi się otworzyły, a do pokoju weszła służebna dziewczka z wiadrem wrzątku, tylko zlustrowała ją wzrokiem, nawet się nie ruszając.

— Postaw wiadro. Sama naleję — rozkazała Sava, a służka posłusznie wykonała jej polecenie.

Bram leżał w na wpół napełnionej wannie i spod przymkniętych powiek przypatrywał się swojemu obliczu, odbitemu w miedzianej ścianie kadzi. Pod wpływem ciepłej wody jego mięśnie rozluźniły się i zniknął ból w zakwaszonych nogach. Sięgnął dłonią do pobliskiego stolika, ujął kielich i napił się wina. Miało przyjemny, mocny, cierpki smak, który osiadał na podniebieniu i języku. Pomyślał, że pasowałyby do niego holenderskie sery.

— A więc... — rozpoczęła Sava, podnosząc wiadro z wrzątkiem.

— Pomyliłeś się — powiedział Bram.

Kobieta stanęła nad nim, a dymiące naczynie oparła o brzeg wanny. Długo, bez żadnego skrępowania przyglądało się jego gołemu ciału.

— Nie sądzę — uznała wreszcie — Jesteś synem...

— Jestem — przerwał jej Holendrem. — Ale nie jego dziedzicem. Tym jest mój brat.

Uformowała usta w kształtny dzióbek i pokręciła głową.

— Nie pamiętam, żebyś miał starszego brata.

Zaczęła nalewać. Woda zrobiła się przyjemnie gorąca, aż zaczerwieniła się mu skóra na całym ciele. Piekiło trochę w okolicach rany zadanej przez źlebodźwiedzia, ale w sumie Bram musiał przyznać, że i Lisiecki dobrze go opatrzył, i on sam wyszedł z tego spotkania z niewielkimi obrażeniami.

— Mam młodszego.

Spojrzała na niego pytająco.

— Dopuszczamy poligamię — wyjaśnił — Ale prawo mówi, że dzieci pierwszej żony mają pierwszeństwo w dziedziczeniu przed tymi z drugiej, niezależnie od tego, które urodziło się wcześniej. Mojego brata urodziła pierwsza żona stadhoudera, mnie druga.

— Musiały się nie znosić.

Uśmiechnął się pod nosem.

— Nie wiem. Matka zmarła, kiedy byłem młody. Ale z opowieści, które słyszałem, wynika że tak — miała charakterek. I darła koty z matką Jaydena, to mój brat, i Lisy, to siostra.

Sava przestała nalewać wrzątek i odłożyła wiadro na podłogę.

— Każę przygotować świeże bandaże i maści — powiedziała, wskazując na rany Brama.

Kiwnęła dłonią na Ellenę, która schowała nóż do pochwy i wyszła z pokoju. — A ty mi opowiedz, po co Uther wysłał do Kaźni syna znienawidzonego tutaj stadhoudera?

— Szukam czegoś — powiedział z ociąganiem Bram.

— A ja zapewne mam ci w tych poszukiwaniach pomóc — domyśliła się.

— Powinnaś.

— Jeśli więc mam ci pomóc, to czy nie powinnam wiedzieć, czego szukasz?

Bram zacisnął palce na nosie i zanurzył się w wannie. Po pięciu sekundach wydobył się

na powierzchnię pryskając na boki wodą i prychnając radośnie.

— Tak — sapnął — Powinnaś chyba wiedzieć.

— Czego w takim razie szukasz?

— Pierwszego Miecza.

Sava najpierw wytrzeszczyła oczy z niedowierzaniem, a potem wybuchnęła śmiechem tak głośnym i szczerym, że musiała aż chwycić się za brzuch. Bram poczuł, że na policzkach pojawia mu się rumieniec.

— Pierwszego Miecza? Tego, którego nikt nie widział na oczy od czasów wojny?

— Tego samego — mruknął, chowając się za kieliszkiem z winem.

— Bram, kochany, ten miecz, jeśli jeszcze istnieje, zaginął wtedy, kiedy Korporacja urządziła rzeź Kuźni. Jakiś żołdak dorwał go w swoje łapy i zaniósł jako część łupu żonie. Zapewne trzyma go jako pamiątkę setki kilometrów stąd lub już dawno przetopił na brzęczącą monetę.

— Znam historię — warknął — I wiem, kiedy zaginął miecz władców księstwa Kuźni.

— Ale pomimo tego masz nadzieję, przepraszam, Uther ma nadzieję, że go tutaj znajdziesz?

Moim zdaniem możesz się już pakować, wracać do Bramy Północy i powiedzieć Staremu Sępowi, że nic z tego.

Holender zacisnął zęby, a potem jednym haustem wypił resztkę wina. Odłożył kieliszek i wskazał go ruchem brwi Savie. Kobieta otworzyła kolejną butelkę.

— Kilka miesięcy temu — zaczął Holender — w Bramie Północy zjawił się jeden z weteranów pierwszej wojny z Korporacją. Stary mężczyzna, zupełnie siwy, bez ręki — stracił ją podczas oblężenia. Teraz służy u jednego z mniej ważnych lordów. Opowiedział nam ciekawą historię. Według niego książę Johann podczas jednego z polowań znalazł w okolicy schron przeciwbombowy pochodzący z dawnych czasów. O jego istnieniu wiedzieli tylko najbliżsi współpracownicy. W chwili zagrożenia mieli się w nim schronić członkowie jego rodziny oraz dwór i bezpiecznie oczekiwać nadejścia odsieczy.

— Co w takim razie poszło nie tak? — zapytała kpiącym tonem, dolewając Bramowi wina.

— Bo, o ile pamiętam, Johanna rozstrzelali pijani żołnierze, księżną Izabelę najpierw gwałcili, a potem rozstrzelali, a dzieciaki księcia...

Nie dokończyła. Nawet po tylu latach ludzie bali się mówić o tym, co spotkało następców tronu księstwa Kuźni Zachodu. Korporacyjni mieli poćwiartować ich żywcem, a kawałkami ludzkiego mięsa nakarmić psy. Ile było w tym prawdy, nikt nie wiedział. Z biegiem czasu historia ta robiła się coraz bardziej okrutna i pod wieloma względami, coraz bardziej nieprawdopodobna.

Faktem jednak pozostawało, że nikt z rodziny księcia Johanna nie przeżył oblężenia, a podczas rzezi Kuźni wymordowano kilka tysięcy osób.

— Nie zdążyli. A może ciągle liczyli, że nadejdą Holendrzy — wyjaśnił z goryczą w głosie Bram. — Nie mam pojęcia, czym kierował się wtedy Johann podejmując decyzje. Może po prostu nie chciał opuszczać swojej stolicy?

— A co to wszystko ma wspólnego z mieczem?

— Johann nie opuścił Kuźni, ale Pierwszy Miecz tak. Według weterana, o którym wspominałem, dzień lub dwa przed zamknięciem oblężenia z miasta wyjechał konwój z największymi skarbami księstwa. Wśród nich miał być miecz. Celem karawany był schron przeciwbombowy. Weteran dodał, że książę dostał wiadomość za pomocą gołębia pocztowego, że konwój dotarł bezpiecznie na miejsce.

— Co więc stało się później?

Bram wzruszył ramionami.

— Nie mam zielonego pojęcia — przyznał szczerze. — Jeśli jednak stary mówił prawdę, to jest bardzo możliwe, że Pierwszy Miecz wcale nie znajdował się w Kuźni, kiedy miasto zdobyli żołnierze Korporacji. Być może wciąż jest gdzieś tutaj, na terenie dawnego księstwa. A ja mam go odszukać.

Sava podeszła do okna i oparła się o drewniany parapet.

— Czyli, jeśli dobrze zrozumiałam, poszukujesz mitycznego miecza, który zaginął wiele lat temu, a który ma, być może, się znajdować, w równie mitycznym schronie przeciwoatomowym, który nikt nie wie, gdzie jest? Dobrze to podsumowałam, czy coś mi umknęło?

Bram pominął jej sarkazm milczeniem.

— Wyjaśnij mi jeszcze, czemu Utherowi tak zależy na tym mieczu — ciągnęła, ciągle odwrócona do niego plecami — Przecież to zwykły kawałek żywmetal. Cenny, bo cenny, ale Uther ma dość pieniędzy, żeby wykuć sobie nowy.

— Pierwszy Miecz to coś więcej niż kawałek żywmetal. To coś więcej niż nawet symbol władzy księcia Kuźni. Pierwszy Miecz, na równi z krwią, jest tej władzy legitymizacją. A ponieważ cała książęca krew została przelana podczas rzezi, ten kto ma miecz staje się władcą księstwa.

Sava oderwała się od parapetu i zaczęła przechadzać się po pokoju.

— Uther nigdy nie zwracał uwagi na takie bzdury — odezwała się w pewnym momencie

— Ale już lordowie Federacji jak najbardziej. A skoro Utherowi zależy na ich opinii to... — zawiesiła głos i znacząco spojrzała na Brama. Holender wzruszył ramionami i po jego minie widać było, że nie zamierza nic powiedzieć. Ale też Sava wyjaśnień nie potrzebowała.

— A więc będzie wojna — stwierdziła. — No cóż, od kiedy odkryto tutaj żywmetal nie było wątpliwości, że pewnego dnia albo Federacja, albo Korporacja będą próbowały tu wrócić. Tak...

Miecz to doskonały pretekst, prawda?

Nim zdążył odpowiedzieć, drzwi otworzyły się i do pokoju weszła Ellen z naręczem bandaży oraz słoikami zawierającymi medykamenty. Położyła to wszystko na komodzie, oparła się o ścianę i wróciła do dłubania nożem w paznokciach.

— Siren jest na dole — powiedziała nagle, beznamyślnym, lekko znudzonym głosem.

Sava na dźwięk nazwiska szeryfa wyprostowała się gwałtownie, a w jej oczach zaświeciły groźne iskry.

— Czego chce?

— Spotkać się z tym tam — Ellena wskazała czubkiem noża na Brama.

Bram zaniepokojony wyprostował się w wannie.

— Kim jest ten Siren? — zapytał.

— Miejscowy szeryf — odpowiedziała Sava. — Muszę przyznać, że tylko dzięki niemu w tym mieście panuje jako taki porządek. Ale to niebezpieczny człowiek, Bram, groźny i bezwzględny.

— Ma coś wspólnego z Korporacją?

Pokręciła przecząco głową.

— Czego może ode mnie chcieć?

— Nie mam pojęcia. Ale uwaga Sirena to nigdy nie jest rzecz, którą chciałbyś na siebie ściągnąć. A tobie już to się najwyraźniej udało.

*

Siren wstał powoli na widok Savy, kiedy ta w towarzystwie Ellen i Brama zeszła na dół.

Lokal wypełniali już znużeni poszukiwacze, mężczyźni i nieliczne kobiety, młodzi i starzy, którzy tłoczyli się przy barze lub zaczepiali prostytutki. Te odpowiadały im uśmiechami i wulgarnymi obietnicami. Kilku klientów dobiło już targu i wraz ze swoimi towarzyszkami udało się do pokoi, ciągnąc za sobą butelki wódki lub whisky. Jednak nawet w tym tłoku, gwarze i papierosowym dymie, nietrudno było zauważyć, że wszyscy odnosili się do Sirena z niezwykłym, bojaźliwym szacunkiem.

— Sava! — krzyknął na jej widok i lekko skinął głową.

— Szeryfie... Iwanie.

Rosjanin, który stał z boku i wzrokiem pożerał rudą prostytutkę, która słała mu dziesiątki uśmiechów, pokłonił się właścicielce lokalu.

— Tania — Sava pstryknęła na rudą, a ta w mig zrozumiała, o co jej chodzi. prostytutka podbiegła do Iwana i chwyciła go za rękę. Zaskoczony Rosjanin zerknął na Sirena. Musiał dostrzec u niego jakichś wyraz aprobaty, bo już chwilę później szedł z dziewczyną na piętro.

— My się nie znamy — zwrócił się do Brama szeryf — Nazywam się James L. Siren — wskazał na srebrną gwiazdę na klapie swojej skórzanej kurty — Szeryf James L. Siren.

— Miło mi. Bram Huygens.

— Holender?

— Holender — potwierdził Bram.

— W takim razie musisz uważać na ludzi Starego. Mają w zwyczaju wieszać Holendrów na ich własnych jelitach. Gnoje wciąż mają do was uraz, że nie przyszliście im z odsieczą.

— Ludzie Starego? — Bram nic o nich nie słyszał.

— Starzy mieszkańcy tych ziem, jeszcze sprzed wojny. Część z nich uważa, że ciągle służą księciu Johannowi. Nie ma ich wielu, ale raczej nie lubią nas, poszukiwaczy z Kaźni. Natomiast Holendrów nienawidzą. No, ale co tam. Może siądziemy, co? A ty, kochanie — zwrócił się do Savy — podaj nam może coś do picia. Ale coś lepszego niż te sikacze, które serwujesz hołocie.

— Jak sobie zyczysz, szeryfie.

Sava z Ellen poszła w stronę baru, a Bram wraz z Sirenem usiedli przy stoliku. Szeryf bez słowa długo przypatrywał się Holendrowi zimnym, martwym spojrzeniem człowieka, który nigdy nie miał oporów przed tym, żeby sięgnąć po nóż.

— A więc Bramie Hugens...

— Huygens — poprawił go Holender.

— Huygens... Może być Huygens. Po co tu przyjechałeś, Bramie Huygens?

— Jestem wysłannikiem kampanii handlowej Reynsensa i Klaasa. Mam zbadać miejscowy rynek.

Siren uśmiechnął się pod nosem.

— Co tu badać? — zapytał — Przywozisz żywność, wywozisz żywmetal. Żywmetal przetapiasz na monetę czy grobowe talizmany, dla tych co bogatszych.

— Tak mówią — zgodził się Bram — Nam jednak zawsze wydawało się to być trochę bardziej... skomplikowane.

Szeryf przetarł palcami czuprynę.

— Przybyłeś do Kaźni sam, prawda?

— Zgadza się. Nie zdążyłem zabrać się z karawaną, a nie chciałem tracić czasu oczekując

na kolejną. Panowie Reynsens i Klaas spodziewają się mojego raportu, a oni lubią, kiedy informacje trafiają do nich najszybciej, jak to możliwe. Pan rozumie, szeryfie, biznes.

— I natychmiast po przybyciu udałeś się do Savy?

— Polecono mi ten przybytek jako najlepszy w Kaźni. Wygodne łóżka, dobre jedzenie i...
— znacząco zerknął w stronę prostytutek — doskonała obsługa. Ale dlaczego mnie pan wypytuje, szeryfie? Czyżbym zrobił coś złego?

Siren nachylił się w stronę Holendra.

— Jesteś tu nowy, przyjacielu. Dlatego musisz wiedzieć, kto przybywa do Kaźni. Zwykle są to porządni, bogobojni ludzie, którzy chcą tu wzbogacić się swoją ciężką pracą. Są też tacy, którzy liczą na łut szczęścia. Czasami im się trafia, zwykle nie. Są wreszcie zwykle skurwysyny, którzy chcą ograbić porządnych ludzi, zgwałcić żony i zabić mężów. A ja — szeryf postukał palcem w gwiazdę — pilnuję, żeby im się to nie udało.

— Czyżby w takim razie podejrzewał mnie pan, że jestem rabusiem? — zapytał z teatralnym niedowierzaniem Bram.

Szeryf prychnął rozbawiony, ale jego oczy pozostały zimne jak lód.

— Proszę nie być nedorzeczny, panie Huygens! Nie wygląda pan na rabusia. Jednak zdecydowanie wygląda pan na Holendra.

— Co to ma do rzeczy?

— Cóż... — Siren wstał z miejsca — Do Kaźni właśnie przyjechał boks, a ja mam trochę wolnej gotówki do obstawienia. Potrzebowałbym fachowej rady. Co pan na to, panie Huygens?

W tym momencie, po przebiciu się przez tłum klientów, przy stoliku pojawiła się Sava, a za nią dziewczka z tacą z napojami.

— Co się dzieje, panowie? — zagadnęła, widząc stojącego i gotującego się do wyjścia szeryfa.

— Wydaje mi się, że pan Siren zaprosił mnie właśnie na boks — wytłumaczył Bram.

— I nie przyjmę odmowy — dodał Siren.

Sava otworzyła usta, jakby chciała zapytać „co ty właściwie kombinujesz, szeryfie?”, ale zamknęła je, zanim jakiegokolwiek słowa się z nich wydobyło.

— W takim razie chyba musisz pójść, Bramie.

Coś w jej głosie mówiło, że nie powinien oponować. Holender po chwili wahania wstał od stolika, pożegnał się z Savą i wyszedł za Sirenem na zewnątrz.

*

Opuścili starą część miasta i szli główną ulicą, doliną namiotów, lichych szałasów skleconych naprędce z kilku desek i wozów. Zapadł zmrok, a z nieba leciała zimna, gęsta mżawka, która od czasu do czasu przeradzała się w raptowne, choć krótkotrwałe opady. Licho ubrani mężczyźni, o wychudzonych, ziemistych twarzach siedzieli w kucki, skryci pod płachtami materiału i palili pojedyncze, przechodzące z ust do ust papierosy. Umęczone kobiety o spracowanych dłoniach przygotowywały posiłki na marnych paleniskach, zaganiały pod dach taplające się w błocie dzieci lub po prostu leżały nieprzytomne, upojone alkoholem i marzyziem. Były jeszcze prostytutki, przemykające pomiędzy namiotami, w podartych ubraniach, pończochach upuszczonych do połowy ud, blade i ledwo trzymające się na nogach, czekające tylko na to, aż ktoś je zaczepi; watahy na wpół dzikich psów, bezkształtnych kundli o poobgryzanych uszach, ropiejących oczach i żebrach aż za dobrze widocznych pod cienką warstwą skóry i nie lepiej wyglądający od nich żebracy, którzy jednak nie odważyli się podejść do szeryfa. Wyciągali tylko przed siebie błagalnie dłonie. Wśród nich było zdecydowanie zbyt

wiele dzieci.

— Nic im nie dawaj — ostrzegł Brama Siren — Dasz jednemu, to wszystkie się na ciebie rzucą jak sępy. Poza tym mamy jadłodajnię dla ubogich.

Sama ulica, o ile uznać, że zasługiwała na to miano, tonęła w błocie, a Bram i Siren nie zapadali się w nim po kostki tylko dzięki ułożonym na ziemi deskom. Stąpali po nich ostrożnie, uważając, żeby się nie poślizgnąć i nie odzywali się do siebie nawzajem. Po kilkunastu metrach skręcili w stronę płynącej niedaleko rzeki i wzdłuż niewielkiego spadku zeszli na polanę. Tam, tuż za obozowiskiem, znajdował się bokserki ring. Obok niego zbudowano dwie niewielkie kryte trybuny, z wygodnymi miejscami siedzącymi. Zmieścić się tam mogło nie więcej niż pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt osób. Reszta widzów, a tych było kilka setek, tłoczyła się wokoło, moknąc w deszczu i racząc się szczerze alkoholem. Bram już wiedział, dlaczego samo obozowisko było takie puste. Niemal wszyscy mieszkańcy zebrali się tutaj, tworząc dziki tłum, rozochocony wódką i pragnący krwi, ale na tyle jeszcze trzeźwy, że rozstępował się przed kroczącym dumnie szeryfem.

— Chodźmy zobaczyć zawodników — oznajmił Siren i pociągnął Holendra w stronę pobliskiego namiotu. Pilnowało go dwóch rośliwych mężczyzn, o znużonych, spracowanych twarzach oprychów. Już na pierwszy rzut oka widać było, że potrafią użyć pięści, chociaż jeśli miałoby do tego dojść, biliby mocno, ale bez entuzjazmu, jak rzemieślnicy, którzy już dawno stracili serce do swojej pracy.

Ochroniarze innych ciekawskich przepędzali, ale szeryfa oraz Brama wpuścili bez słowa do środka. Tam podbiegł do nich właściciel boksu, wysoki, szpakowaty mężczyzna w brudnym garniturze i wściekle fioletowej kamizelce. Nad ustami wyhodował cienki, drobny wąsik, niemal niewidoczny, którym poruszał jak szczur to w lewo, to w prawo.

— Pan Siren — przywitał ich jowialnie, najpierw szeroko rozkładając ręce, a potem chwytając dłoń szeryfa i energicznie nią potrząsając. — Jakże miło nam pana gościć. Jesteśmy zachwyceni. W loży przygotowaliśmy już dla pana miejsce, ze świetnym, cudownym widokiem na ring! Czego pan sobie życzy, szeryfie? Wódki, whisky, a może coś mocniejszego? Ha, ha, ha!

I zaraz wydam dyspozycję, żeby miał pan u nas kredyt na zakładach, co pan na to? Na koszt boksu!

Właściciel wypluwał z siebie słowa z taką szybkością, że Bram ledwo go rozumiał.

— A kim jest pański szlachetny towarzysz, szeryfie?

— Bram Huygens.

— Holender, jak sądzę?

— Holender — przyznał Bram.

— Będzie pan walczył? — zapytał mężczyzna, mierząc Brama fachowym okiem od stóp do głów.

— Nie. Zdecydowanie nie.

— Szkoda, panie Huygens. To mogłaby być bardzo dobra walka.

— Dziękuję.

Mężczyzna klasnął i zatarł ręce.

— Pan szeryf pewnie chciałby zobaczyć bokserów, prawda? Żeby wiedzieć, kogo obstawiać?

Bardzo słusznie, bardzo słusznie.

— Kogo macie?

— Kogo nie mamy, panie Siren. Trzech Holendrów, słyszałem że, pan wybaczy, panie

Huygens, nie bardzo ich się w tych okolicach lubi, więc pewnie parę osób będzie chciało wyjść z nimi na ring, ażeby przetrzepać im skórę. Jednego Rosjanina, nie jest to zbyt popularna

nacja, ale mój człowiek potrafi rzucać obelgami jak nikt, kogo znam. Na pewno kogoś sprowokuje. Dwóch Anglików, takich sobie mówiąc szczerze. Polaka: młody chłopak i przyzwicie się bije, chociaż niedoświadczony — oraz Murzyna. Cóż, jak sami wiecie, czarnuchowi zawsze tłumy chcą mordę obić. No ale to nasz jedyny Murzyn, więc będziemy go oszczędzać. Nie więcej niż dziesięć pojedyneków na wieczór, ha, ha, ha...

— Obejrzę — oznajmił szeryf.

— Oczywiście, oczywiście, jeśli pan szeryf... — ale Siren już wkroczył między zawodników.

Ostrożnie i uważnie oglądał ich ze wszystkich stron, posuwając się do tego, że macał im ramiona lub kazał napiąć brzuchy, żeby samemu ocenić ich twardość.

— Na pewno nie będziesz walczył, panie Huygens? — zapytał właściciel boksu. Jego głos się zmienił. Mówił powoli, poważnie, znikła cała uległość.

— Na pewno.

Mężczyzna skinął głową.

— Gdybyś jednak się zdecydował, lepiej żebyś przyznał się do tego, kim jesteś.

— Znam zasady — powiedział zdecydowanie Bram.

— To dobrze, to dobrze... Lubimy, jak ludzie znają zasady, panie Huygens — w jego głosie zabrzmiała groźba.

Nagle zgiął kark, lekko ugiął kolana, zaczął nerwowo ruszać wąsami i znowu zmienił się w uległego, przymilającego się szeryfowi szczura w fioletowej kamizelce.

— I jak, panie szeryfie? Jest pan zadowolony, panie szeryfie? Będzie dzisiaj świetna walka, panie szeryfie — mruczał. — Pozwolą panowie, że was zaprowadzę na miejsca.

Mężczyzna chwycił Brama za rękaw i poprowadził go wraz z Sirenem na trybunę i wskazał ich łóżę. Nie kłamał. Mieli prawdopodobnie najlepszy widok na ring bokserski ze wszystkich widzów. Zaraz też ktoś postawił obok nich pełną butelkę brandy oraz dwie szklanki.

Po mniej więcej dziesięciu minutach, kiedy tłum zaczął już wnosić gniewne okrzyki, z namiotu w asyście ochroniarzy wyszedł pierwszy zawodnik. To był jeden z Anglików, szczupły, drobny chłopak, ale o żyłastych, twardych mięśniach, dobrze widocznych z daleka pod białą skórą. Szedł powoli, kroki stawał niepewnie, lękliwie rozglądał się na boki, a każda obelga, która na niego spadała była jak smagnięcie batem. Wszedł na ring, a za nim właściciel boksu.

— Szanowni państwo, panie i panowie, mieszkańcy Kaźni. Witajcie, witajcie na naszym wieczorze boksu holenderskiego! Zasady są proste, panie i panowie. Stawiam przed wami naszego boksera! Ten, kto go pokona otrzyma od nas dziesięć procent wartości zakładów w nagrodę! Czy jest odważny!? Czy jest ktoś dzielny na tyle, żeby stanąć przed naszym pierwszym zawodnikiem, Douglasem Millerem?! Jego ojciec był szkutnikiem, a matka świnią, tak mówią przynajmniej, ale kto go tam wie! Czy są chętni!?

Kilku mężczyzn wyrwało się do przodu. Ochroniarze wybrali jednego, szepnęli mu coś do ucha i wpuścili na górę.

— Mamy odważnego! Mamy odważnego, szanowni państwo!

Tłum zawiwatował.

— Zabiję gnojka! Wyrwę mu głowę i nasram do środka! — wrzeszczał wybraniec do tłumu.

Bokser przypatrywał mu się spod spuszczonego łba.

— Znacie zasady boksu holenderskiego! — ryknął właściciel — Bijemy wszędzie, tylko nie w jądra i oczy. Bijemy tak długo, aż któryś z zawodników się nie podda lub sędzia, czyli ja, nie przerwie walki!

To nie były prawdziwe zasady. W Nowej Holandii, skąd wywodził się ten sport, można

było bić również w krocze. Nie było też sędziego. Bito się tak długo, aż któryś z zawodników nie powie w końcu „stop”. Czasami nigdy do tego nie dochodziło i wtedy z ringu schodził tylko jeden żywy zawodnik.

— Oceńcie państwo w swej mądrości zawodników i prosimy, prosimy na zakłady!

Siren nachylił się do Brama.

— Na kogo powinienem stawiać? — zapytał.

Holender uśmiechnął się lekko.

— Z jednej strony masz brzuchatego, chwiejącego się na nogach mężczyznę, którego jedyną zaletą jest masa. Z drugiej młodego, ale doświadczonego boksera. Zapewne niespecjalnie silnego, ale diabelnie szybkiego.

— Wygląda na przestraszonego.

— Udaje — wytłumaczył Bram — Zawsze tak robią, żeby zachęcić ludzi do walki.

Proszę

się mu przyjrzeć uważnie, szeryfie, a w jego oczach ujrzy pan nie strach, ale dziką hardość.

Moim zdaniem to dobry zawodnik. Wasz człowiek nie ma szans.

— Czyli powinienem postawić na boksera.

— Boże broń! — zaprotestował Holender — Gdyby podczas pierwszej walki bokser stłukł miejscowego, nikt by potem nie wyszedł walczyć. Wasz człowiek zwycięży, ale nie dlatego, że jest lepszy, ale dlatego, że mu dadzą. Bokser padnie na deski, ale jestem pewien, że tak naprawdę nie dosięgnie go żaden cios. Wszystko chwyci na gardę lub zrobi minimalny unik. Poza tym proszę obserwować, jak mocno zaciska usta. Zapewne ma tam schowaną saszetkę z krwią, którą przegryzie w odpowiednim momencie.

Szeryf wysłuchał uważnie Holendra. Potem przywołał bukmachera i postawił bony na dziesięć bochenków chleba na miejscowego. Gdzie indziej to monety z żywym metalem stanowiły główną walutę. Jednak w Kaźni, gdzie ten metal był tak powszechny, za o wiele cenniejsze uważano papierowe bony, które wymieniano u wystawiających je handlarzy na żywność lub niezbędny sprzęt. Bram wiedział o tym przed swoim przyjazdem, jednak i tak zdumiewała go lekkość, z jaką poszukiwacze oddawali za kilogram słoniny tyle żywego metalu, za ile w Bramie Północy mogliby kupić kilkanaście czy nawet kilkadziesiąt kilogramów przedniego, wołowego mięsa. Ci ludzie równocześnie byli bardzo bogaci i bardzo ubodzy.

Zabrział gong. Miejscowy ruszył na boksera, bezwładnie wyrzucając przed siebie ciosy.

Ten udał zaskoczenie, cofnął się ostrożnie, równocześnie zakładając mocną gardę. W pewnym momencie zrobił unik i wyprowadził słaby, wolny cios. Jego przeciwnik powinien z łatwością się przed nim obronić, lecz najwyraźniej był już zbyt pijany lub tak podniecony, że na nic nie zwracał uwagi. Pięść boksera wylądowała na jego nosie. Miejscowy chwycił się za twarz, stęknął i padł na kolana. Przestraszony bokser zerknął na właściciela, ale ten dał mu znak głową, że ma dalej grać swoją rolę.

Te niuanse dostrzegał najprawdopodobniej tylko Bram i być może szeryf, bo uśmiechał się tajemniczo. Reszta widzów dała się nabrać.

Miejscowy po chwili pozbierał się z ziemi i skoczył na boksera. Ten dla dobra widowiska dał się najpierw pochwycić, potem obić żebra i wreszcie rzucić na ziemię. Umiejętnie zasłaniając się, przyjął na gardę kolejne ciosy, chociaż dla niewprawnego oka wyglądało to tak, jakby pięści przeciwnika raz po raz spadały na jego twarz. W pewnym momencie uznał, że już wystarczy, bo przegryzł woreczek, bluznął krwią i poprosił o przerwanie walki. Jego przeciwnik był jednak tak rozzuchwalony, że ciągle bił, aż musieli go ściągnąć ochroniarze. Bokser, udając, że jest pobity, cierpiący i obolały, uciekł do namiotu.

— Miałeś rację — pochwalił Brama szeryf — Dzięki tobie wygrałem ten zakład.

— Cieszę się, że mogłem pomóc, panie Siren.

Szeryf nalał mu brandy i stuknęli się szklankami, chociaż nie wzniesli żadnego toastu.

Kolejne walki były mniej lub bardziej ciekawe. Bokserzy czasami lali nieboraków, a czasami pozwalali wygrać miejscowym. Wszystko zgodnie z poleceniami właściciela, który był prawdziwym artystą w swoim fachu. Doskonale potrafił tak pokierować widowiskiem, żeby wyciągnąć z kieszeni miejscowych maksymalną ilość pieniędzy.

Wreszcie nadszedł kolejny pojedynek. Mżawka nieustannie spadała z nieba, tak że cała polana zmieniła się w wielkie grzęzawisko, a ring pokrywała warstwa błota. Oświetlono go kilkunastoma pochodniami.

Walczyć miał Holender, dla którego miał to być trzeci pojedynek tego wieczoru. Dwa poprzednie wygrał i Bram podejrzewał, że teraz się podłoży. Bił się całkiem nieźle, chociaż na pewno nie pokazał swoich wszystkich możliwości. Brakowało mu trochę szybkości, zbytnio polegał na swojej sile i wreszcie za mało myślał i planował, ale w zupełności wystarczał na amatorów z Kaźni.

Naprzeciwko niego stanął młodzieniec, który już lekko chwiał się na nogach i bezmyślnie szczyrzył zęby do tłumu. Wyglądał na silnego, ale niczym specjalnie się nie wyróżniał.

— Teraz ja ci dam radę, panie Huygens. Niech pan postawi na naszego chłopaka. Nie pożałuje pan — powiedział szeryf i puścił oko do Brama.

— Dlaczego?

— No cóż... — Siren nachylił się do Holendra i zaczął mówić szeptem — Powiedzmy, że chłopak ma pewne doświadczenie w boksie.

— Ma?

— I to całkiem, całkiem spore. To miejscowy mistrz.

Bram poczuł nieprzyjemne ukłucie w okolicach żołądka.

— Powiedział komuś o tym?

— Nie. Niech to będzie niespodzianka. Niespodzianka, dzięki której sporo zarobimy.

W tej samej chwili zjawił się przy nim bukmacher. Szeryf postawił na miejscowego, Holender, po chwili wahania, na boksera.

— Lepiej, żeby wasz chłopak się przyznał — oświadczył śmiertelnie poważnie.

Siren zmrużył powieki, ale zanim cokolwiek zrobił lub powiedział, zabrzmiał gong.

Miejscowy chłopak dobrze odgrywał swoją rolę. Lekko się zataczał, ale nie aż tak, żeby wzbudzić podejrzenia i udawał, że próbuje wyprowadzić nieporadne, chociaż szybkie ciosy. Ot, kolejny odważny dzięki wódce, który bardzo chce wygrać, pomimo tego, że nie potrafi za bardzo się bić. Chłopak pozwolił nawet, żeby trafił go jeden z ciosów boksera, a ten zrewanżował się uprzejmie tym samym.

Rywal miejscowego najwyraźniej nie zdecydował jeszcze, czy tym razem się podłoży. Tych początkowych kilkadziesiąt sekund walki wystarczyło jednak, żeby zakwalifikował swojego przeciwnika do grupy niegroźnych młodzików. Odprężył się, odrobinę obniżając gardę. I to był błąd, bo chłopak natychmiast wyczuł swoją szansę. Jego pięści uderzyły jak pioruny, przełamały zasłonę i dosięgły szczęki boksera, który zaskoczony tym natarciem i zamroczony cofał się pod gradem ciosów na twarz i korpus. Mniej więcej co drugi sięgał celów. Miejscowy przestał się chwiać, jego ruchu stały się diabelnie szybkie i precyzyjne. Tłum wyczuł krew i zaczął wiwatować na jego cześć.

Brama zaskoczył poziom, jaki prezentował młodzian. Spodziewał się kogoś, kto zna kilkanaście kroków, parę kombinacji uderzeń i może podstawowe taktyki walki, a chłopak najwyraźniej poświęcił na trening przynajmniej kilka miesięcy pod okiem kogoś

doświadczonego. Jednak jego przeciwnik był Holendrem, a w Nowej Holandii boks był czymś więcej niż tylko sportem. Każdy chłopiec wchodził w dorosłość rozgrywając pierwszą prawdziwą walkę z przeciwnikiem; walkę, do której przygotowywał się od dnia, kiedy postawił pierwsze kroki, walkę, w której nie było niemal żadnych zasad. Nie chodziło w niej o to, żeby wygrać, ale o to, żeby w dorosłe życie wejść jako wojownik, który ma już za sobą spotkanie oko w oko z wrogiem gotowym cię zabić, jeśli go do tego zmusić. Turnieje boksu rozgrywano przy okazji każdego małego czy dużego święta, a w szranki stawali wtedy i starzy i młodzi.

Zwycięzcy cieszyli się wielką sławą. W dniu ich wygranej każdy mężczyzna obdarowywał ich winem i piwem, a każda kobieta swoim uśmiechem, pocałunkiem, a często czymś więcej.

Wreszcie, kiedy żadna mediacja, żaden sąd ani nawet wyrok stadhoudera nie potrafił przeciąć sporu, boks pozostawał ostatnią instancją.

W Nowej Holandii boks był święty.

Holender przetrwał atak rywala, zamarkował ruch w prawo, ale naprawdę ruszył w lewo. Zmylił przeciwnika i wyprowadził potężny cios w korpus chłopaka, który zdążył się jeszcze zasłonić, ale konkurent już stał u jego boku i z całych sił uderzył w żebra, plecy i głowę.

Przynajmniej raz trafił i to na tyle mocno, że młodzian się zachwiał. Nie czekając bokser skoczył na niego, podciął nogą i obalił na ziemię, nie przestając bić.

Tłum, oglądając tak widowiskową walkę, wył z radości i ekscytacji.

Holender spadł na plecy rywala, kolanem uderzając w kręgosłup, a potem pięściami po nerkach, żebrach i plecach. Wreszcie chwycił młodziana za włosy i jego głową walnął w brudne od błota deski.

Trzasnął łamany nos, a tłum krzyczał jak opętany.

Holender walnął łbem przeciwnika o deski ponownie, potem jeszcze raz, jeszcze raz i jeszcze. Nie przestawał tłuc nawet wtedy, kiedy widzowie ucichli i wokół, w martwej, przerażonej ciszy słychać było tylko głucho uderzenia głowy o pokrytą błotem drewnianą podłogę.

Co dziwne, pojedyńku nie próbował nawet przerwać właściciel boksu, który stał obok ze zirytowanym i znudzonym równocześnie wyrazem twarzy, najwyraźniej pogodzony z tym, że tego wieczora walki już się skończyły.

Bokser uderzył łbem młodziana po raz ostatni, wstał, otrzepał ręce i wyzywająco spojrział w stronę widzów. Jego przeciwnik leżał na deskach, nie dając znaku życia. Nikt nawet się nie poruszył, żeby pójść mu z pomocą.

Holender zszedł z ringu. Z namiotu, przedzierając się przez tłum, wyszli jego koledzy z ekipy i otoczyli go szczelnym kordonem. Kilku z nich poszturchiwało co bardziej krewkich widzów, którzy stając oko w oko z umięśnionymi, gotowymi do walki przeciwnikami szybko potulnieli.

Cała grupa, razem z właścicielem, błyskawicznie znikła z polany, zostawiając widzów samych sobie. Tylko bukmacher wypłacał wygrane w zakładzie, chociaż niewiele osób miało dość odwagi, żeby do niego podejść. Jakichś dwóch mężczyzn zniosło bezwładne ciało chłopaka z ringu. Bramowi wydawało się, że młodzian oddychał, ale nie mógł być tego pewien.

— Kiedy obwoźni bokserzy walczą z amatorami — rozpoczął Bram — czasami wygrywają, czasami dają się pokonać. Ot tak, żeby interes się kręcił. Jeśli zaproponuje im się walkę z miejscowym mistrzem, zgadzają się. Takie walki najczęściej są uczciwe, ale bywa, że bokserzy robią przyjemność miejscowym i pozwalają się pobić lokalnemu championowi. Zawsze biją tak, żeby nie zrobić przeciwnikowi przesadnej krzywdy. Jednego tylko nie znoszą, tego kiedy ktoś ich próbuje oszukać. A tego właśnie próbował wasz człowiek. Wtedy nie mają litości.

Biją, żeby zabić. Tak jak teraz.

Siren słuchał tej przemowy w milczeniu i skupieniu. Napił się odrobiny brandy, odłożył kubek na stół i odwrócił się do Holendra.

— W takim razie obaj możemy wyciągnąć naukę z tego wydarzenia — oznajmił chłodno, patrząc Bramowi prosto w oczy — Kiedy udajesz kogoś, kim nie jesteś, to zawsze źle się kończy.

*

Kiedy wrócił do pokoju, czekała już na niego ciepła zupa, kawałek mięsa i otwarta butelka z winem. Jedzenie leżało na srebrnej tacy, obok sztuców i dwóch kryształowych kieliszków. Sava wstała na jego widok i uśmiechnęła się lekko.

Pokój był niewielki, służył raczej do pracy niż do tego, żeby w nim mieszkać. Znajdowało się tam łóżko, krzesło, miednica, nocnik, niewielki stolik i upchnięta gdzieś w rogu, rozpadająca się szafka z czarnego, brudnego, pełnego sęków drewna.

— Jak było na boksie? — zapytała Sava.

Bram minął ją, zdjął kurtkę i rzucił ją na krzesło. Odpiął pas z rewolwerem i szablą i położył go obok kurty.

— Nieźle walki. Bokserzy znali się na swojej pracy. Ale... Pod koniec zdarzyło się coś dziwnego.

— Co takiego?

Holender z lekkim ociąganiem opowiedział o ostatniej walce wieczoru i ostrzeżeniu szeryfa.

Sava słuchała uważnie, popijając od czasu do czasu wino. Kiedy skończył, uśmiechnęła się ze zmęczeniem pod nosem.

— To typowe dla Jamesa. Musisz coś o nim wiedzieć, Bram. Siren to tchórz.

— Nie wyglądał na tchórza.

— Może w takim razie źle się wyraziłam. Siren... Siren cały czas się boi.

— Czego?

— Tego, że Kaźni zjawi się ktoś taki jak ty.

Zmarszczył brwi.

— Co masz na myśli?

— Młody, silny, wysłany przez Korporację lub Federację, po to, żeby spróbował zająć jego miejsce.

— Nie chcę zająć jego miejsca.

— W takim razie nie dawaj mu powodów, żeby tak sądził, a nie będziesz miał z nim kłopotów.

Bram pokiwał głową. Sięgnął po mięso i odgryzł kawałek pieczeni. Żuł dokładnie, myśląc o tym, co powiedziała Sava.

— Po co tu przyszedłeś? — zapytał, kiedy przełknął. — Po co na mnie czekałaś?

— Myślałam, że może będziesz miał ochotę na ciepły posiłek, a może... — zawiesiła głos i rozpięła bluzkę, ukazując kształtne piersi, zwieńczone drobnymi, ciemnymi sutkami — na coś jeszcze.

Podszedł do niej i delikatnie musnął czubkami palców jej piersi. Miała piękną, gładką, pachnącą owocami skórę. Jęknęła pod jego dotykiem i poczuł ciepły, spragniony oddech na swojej szyi.

— A co na to Ellen? — zapytał.

— Ellen? — odpowiedziała, nie otwierając nawet oczu, kiedy wierzchem dłoni gładził

sutki.

— Mówiłaś, że jesteście jednym. Miałem wrażenie, że coś was łączy.

— Bo łączy. Ale nie będzie miała nic przeciwko. A może chcesz, żeby się do nas przyłączyła?

Wzdrygnął się, kiedy przypomniał sobie ozdobioną wielką blizną twarz nożowniczkii.

— Nie, nie chcę.

— W takim razie jej nie zawołamy — odpowiedziała i wpiła się ustami w jego usta. Nim się zorientował, padli na łóżko. Sava usiadła na nim, zdjęła z siebie sukienkę. Jęczała pod jego delikatnym dotykiem. A potem on jęczał, kiedy pieściła go ustami i językiem, z taką pasją i namiętnością, jakby od tego zależało jej życie.

— Wejdz we mnie — poprosiła.

Nie potrafił jej odmówić.

*

Otworzył oczy i w pierwszej chwili nie mógł zrozumieć, co go obudziło. Przez okno do pokoju wpadało brudne światło poranka. Sava stała obok i kończyła zakładać bluzkę. Podparł się na łokciu, a ona obrzuciła go obojętnym, pustym spojrzeniem.

— Myślałam o tym, co powiedziałeś.

— O czym takim?

Potrząsnęła głową, żeby strzepnąć z siebie ogłupiający sen.

— O bunkrze, gdzie Johann miał schować Pierwszy Miecz.

— Ach. O tym.

— Jeśli bunkier istnieje — kontynuowała Sava znużonym głosem — to jest tylko jeden człowiek, który może wiedzieć, gdzie on jest lub jak go odnaleźć.

— Kto to taki?

— Nazywa się Piotr Lisiecki. I podobno przebywa w mieście.

Sava uśmiechnęła się do niego na pożegnanie i wyszła z pokoju.

Rozdział 3. Łaska boska

Kiedy doktor Carridan badał dziewczynkę, Lisiecki wsłuchiwał się w dochodzące zza ściany monotonne jęki chorych i myślał, że proces umierania zawsze będzie kojarzył mu się z tą wiosną sprzed wielu, wielu lat, kiedy Korporacja najechała księstwo Kuźni Zachodu i luna płonącego miasta przez kilka nocy z rzędu rozświetlała mroczny granat nieba. Któregoś poranka, zaraz po przebudzeniu, ze zdumieniem stwierdził, że ziemię pokrywa cienka warstwa czegoś białoszarego. Wydawało mu się, że to śnieg. Dopiero po chwili, wraz z wonią spalenizny dotarło do niego, że to wiatr przywiął popiół, prochy mordowanej właśnie przez korporacyjnych siepaczy stolicy. Prawie potrafił wyczuć wtedy lepki zapach krwi. Pomyślał, że tak musiał wyglądać Koniec — kiedy, jak podawały legendy, pod niszczycielskim deszczem orbitalnych bombardowań krwawiły całe planety.

Minęły lata, czasy się zmieniły, na miejsce zabitych przybyli nowi ludzie, którzy może i pamiętali, ale niewiele ich to obchodziło. Ważny był tylko żywmetal, którego poszukiwali z taką gorliwością, jakby był sensem ich istnienia. Korporacja wybudowała niewielki, symboliczny fort na miejscu Kuźni i jej słabe patrole pilnowały bezpieczeństwa na szlakach. Z marnym zresztą

skutkiem.

Carridan przyjechał wraz z pierwszą falą poszukiwaczy. Tyle że on nie pożywał żywności.

Chciał po prostu pomagać ludziom. Najpierw jako kapłan, który odprawiał modły do wszystkich bogów, o których mu się wspomniało, a potem jako lekarz. Nikt nie wiedział, jakie Carridan ma kompetencje do uprawiania któregoś z tych zawodów. Ależ też nikt nie pragnął zająć jego miejsca. Nawet jeśli był w Kuźni lepszy lekarz lub lepszy ksiądz, to nie przyznawał się do tego, woląc poszukiwać bogatej żyły niż poświęcić się pracy dla bliźnich.

Kiedy wybuchła epidemia Głodu, Carridan wybudował szpital na ponad dwadzieścia łóżek, zdobył od mieszkańców fundusze na jego utrzymanie oraz zaczął prowadzić jadłodajnię dla ubogich. Wraz ze śmiercią kolejnych pacjentów malał jego entuzjazm dla tej ciężkiej, niewdzięcznej pracy i wyglądał teraz tak, jakby przy życiu trzymało go już tylko absurdałne poczucie obowiązku i odpowiedzialności.

Był bardzo wysoki, co starał się ukryć nieustannie się garbiąc, przez co ramiona trzymał na poziomie uszu. Miał wielkie, pełne naiwności i zmęczenia oczy, rzadkie, brązowe włosy i długie palce wieńczące szczupłe, blade dłonie. Poruszał się zwykle na lekko ugiętych nogach z dziwną, kobiecą gracją i młodzieńczą nieśmiałością.

— Wiesz, że w pierwszej chwili myślałem, że to dar boży — powiedział lekarz.

Lisiecki drgnął mimowolnie, a potem spojrział pytająco na Carridana.

— Głód — wyjaśnił doktor — myślałem, że Głód to dar od Boga. Bogów... w zależności w co wierzysz.

— W jaki sposób, doktorze?

— Nic tak nie zbliża do Boga, bogów, jak post. Poszczą wszyscy: buddyści, hinduiści, mahometanie, chrześcijanie, żydzi, wszyscy. Pseudo-Atanazy twierdził, że post leczy choroby, wysusza cielesne humory, wypędza demony i bezbożne myśli, rozjaśnia umysł, oczyszcza serce a wreszcie i ciało, i pozwala człowiekowi stanąć przed Bogiem. Post, głódówka może zaowocować jedynym w swoim rodzaju przełomem duchowym. Dlatego też jest darem Boga, bogów, jego lub ich, łaską i błogosławieństwem. Łaską, której to miasto, ta ziemia, tak bardzo potrzebowały. A przynajmniej tak kiedyś sądziłem.

— A teraz, doktorze?

Lekarz uśmiechnął się słabo i natychmiast lekko wykrzywił usta w pełnym bólu i smutku grymasie, kiedy usłyszał przeciągły, cichy, monotony jęk jednego z pacjentów.

— A teraz uważam, że w tym, co tu się dzieje, nie ma nic boskiego — odpowiedział.

Carridan wziął stetoskop, który pokrywały plamki rdzy, włożył słuchawki do uszu i podszedł do dziewczynki. Kazał jej zdjąć koszulę i osłuchał Darię najpierw na plecach, a potem na klatce piersiowej. Poprosił, żeby oddychała równo, a potem zakasłała trzy razy. Po wszystkim zawiesił stetoskop na szyi, palcem wskazującym i kciukiem otworzył usta dziewczynki i dokładnie ze wszystkich stron obejrzał jej język.

— Zamknij buzię — polecił. — Załóż koszulę.

Kiedy wykonała rozkaz, chwycił Darię za rękę i poprowadził pod okno, w miejsce, gdzie było więcej światła. Nachylił się nad nią i długo, uważnie badał spojówki. Później podpalił świeczkę i to zbliżał ją, to oddał od oczu dziewczynki, przyglądając się sam z boku ruchowi źrenic.

— Możesz iść — powiedział po wszystkim i zdmuchnął płomień.

— Siądź na taborecie w kącie — rozkazał Lisiecki.

Dziewczyna go posłuchała. Carridan podszedł do stołu, gdzie znalazł na wpół wypalony papierosa i wsadził go sobie w usta. Wydawał się być zdenerwowany i

przestraszony.

— I co, doktorze? — zapytał Polak.

— Nie choruje na Głód.

— Tego się sam domyśliłem doktorze, widziałem jej stolec. Złapała coś innego?

— Jest zdrowa — mruknął lekarz.

Zaciągnął się głęboko i ze zdumieniem stwierdził, że zapomniał podpalić niedopałek. Ze złością rzucił go z powrotem na stół.

— To córka Biszeków. Daria — powiedział Carridan.

— Wiem, doktorze.

— A wiesz, co się stało z jej ojcem? Znalaziono go wczoraj z podciętym gardłem — szeptał lekarz, nerwowo zerkając w stronę dziewczyny, jakby chciał się upewnić, że na pewno go nie usłyszała.

— Wiem, doktorze.

Lisiecki o śmierci Stana Biszeka dowiedział się poprzedniego dnia wieczorem, kiedy szukał krewnych dziewczyny. Długo wahał się, czy powiedzieć Darii o tym, co spotkało jej ojca, ale w końcu się zdecydował. Wypił na odwagę dwie setki wódki i w ustronnym miejscu wszystko jej wyznał. Reakcja podopiecznej go zdumiała. Informację przyjęła z doskonałą wręcz obojętnością.

Po prostu kiwnęła głową i wróciła do bezsensownego skubania rękawa.

— Nie wiem, co się stało z matką.

— Nie żyje, doktorze. Znalazłem jej ciało w lesie.

W oczach lekarza pojawiło się szczere przerażenie.

— W lesie? Chudzielce?

— Żlebodźwiedź, doktorze. Renegat z północy — wyjaśnił Lisiecki — Dorwał je, kiedy zmierzały nocą nie wiadomo gdzie i nie wiadomo dłaczego. Przecież one były tutejsze!

Biszekowa musiała sobie zdawać sprawę, jakie niebezpieczeństwo grozi jej i tej małej. Co ona sobie myślała!?

Wypuścił ze złością powietrze z płuc.

— Miała jakichś inny krewnych? — zapytał Polak, kiedy się uspokoił.

— Nie. Przynajmniej nie tutaj. Była tylko ona i on. Później pojawiło się dziecko.

— Znałeś ich, doktorze?

Carridan wzruszył ramionami.

— Nie. Nie mieszkali w Kuźni. Rzadko pojawiali się w mieście. On poszukiwał żywmetal, kiedyś nawet znalazł jakąś żyłę.

— Pamiętam.

— Wszystko przepuścił. Ona, ona nawet nie wiem, co robiła.

— Opiekowała się domem, doktorze.

— Pewnie tak.

Carridan westchnął ciężko i zaczerwienił się gwałtownie, kiedy poczuł na sobie badawcze spojrzenie Polaka.

— Chcesz mi coś powiedzieć, doktorze?

Lekarz odwrócił się do Lisieckiego plecami, żeby ukryć swoje zmieszanie i zgarbił się jeszcze bardziej niż zwykle, jakby na ramionach ktoś nagle położył mu niewidzialny ciężar.

Polak pomyślał, że Carridan pragnie mu coś wyznać, ale się boi. Równocześnie jednak był gotowy powiedzieć wszystko, co wie, o ile Lisiecki go do tego zmusi. Myśliwy zdał sobie sprawę, że chyba po raz pierwszy w życiu spotkał kogoś, kto chce, żeby go zastraszyć.

— Doktorze — powiedział Polak twardym, mocnym głosem, który świadczył o tym, że

nie ruszy się ze szpitala aż nie usłyszy satysfakcjonującej go odpowiedzi. Carridan z ulgą uległ temu niewypowiedzianemu szantażowi.

— Jakichś czas temu, tydzień, może dwa... Nie, na pewno dwa. Co najmniej dwa — poprawił się — Biszekowie przyszli do mnie z córką. Bali się o nią. Wydawało im się, że jest upośledzona.

— A jest, doktorze?

— Nie. Nie jest. Przynajmniej ja tak nie sędzę...

Zamilkł, odwrócił się i zerknął tęsknie w stronę odrzuconego niedopałka.

— Ale, doktorze?

— Ale co?

— Zawsze jest jakieś ale, doktorze.

Carridan opadł na taboret, tak w jego przypadku niski, że kolana prawie wbijały mu się w brodę.

— Mam podejrzenia — wyznał, chociaż słowa z trudem przechodziły mu przez gardło.

— Podejrzenia, doktorze?

— Podejrzenia, że ona może być widząca.

Lisiecki z niedowierzaniem zerknął na siedząc w kącie, wpatrzoną w czubki swoich butów dziewczynkę.

— Ona? Naprawdę?

— Urodziła się mniej więcej wtedy, kiedy Biszek odnalazł swoją żyłę. Prawdopodobnie jeszcze przed swoimi narodzinami i kiedy była mała przebywała w pobliżu dużych ilości żywmetal. Poza tym w grę wchodzi cechy dziedziczne. Jej matka też miała pewne uzdolnienia.

Niektóre kobiety przychodziły do niej na wróżby. Podobno niekiedy nawet się sprawdzały.

— Tak, ale przecież widzące... To cały proces, prawda doktorze?

Carridan zmarszczył brwi, przypominając sobie dawno zdobytą wiedzę.

— Ciągłe zbyt mało wiemy o tym, skąd się one biorą. W Federacji panuje przekonanie, że wstrzyknięcie pewnej ilości specjalnie przygotowanego żywmetal do krwiobiegu dziewczynki przed pierwszą menstruacją może spowodować uwolnienie u nich zdolności widzenia. Ale tak naprawdę większość dziewczynek poddanych temu eksperymentowi umiera. Niektóre zostają trwale upośledzone. Inne przeżywają go bez szwanku. Wreszcie jest ostatnia grupa, najmniej liczna — te, które naprawdę zaczynają widzieć. Z drugiej strony, znane są przypadki dziewczynek, które miały zdolności lub umiejętności widzenia bez wstrzyknięcia substancji i szkolenia. Jeśli więc mnie pytasz, czy do bycia widzącą koniecznie trzeba dostąpić rytuału przejścia, a potem wytrzymać tortury zwane treningiem, to nie, nie trzeba.

— Więc dziewczyna...

— Może tak, może nie. Ale wiele na to wskazuje. Wystawienie na działanie żywmetal w okresie płodowym, cechy dziedziczne, ale także inne zdarzenia. Jej matka wspominała, że córka zawsze potrafi powiedzieć, gdzie znajduje się zgubiony przedmiot, gdzie przebywa jej ojciec.

Potrafiła wcześniej powiedzieć, że ktoś się zbliża do ich domu, a także w przybliżeniu określić zamiary gościa.

— To mogły być zbiegi okoliczności, doktorze.

— Raz, dwa, może trzy razy tak, ale to miało się zdarzać częściej niż to możliwe! —

Carridan wznosił ręce nad głowę — Matka była naprawdę przestraszona. Bała się, że Darię opętał diabeł.

Lisiecki zagryzł wargę. Jeśli lekarz miał rację, to jego teoria wiele tłumaczyła. Myśliwy kilka razy prosił dziewczynę, żeby przyniosła mu jakichś przedmiot. Nigdy nie mówił jej, gdzie

on się znajduje ani jak wygląda, ale ona zawsze potrafiła go odnaleźć. Oczywiście, to nie było nic trudnego, pewnie każde rozgarnięte dziecko by sobie z tym poradziło, ale z drugiej strony...

Przerwał myśli, czując, że w gardle robi mu się sucho. Z drugiej strony kiedy odnalazł ciało Biszekowej i czuwającą przy nim Darię, dziewczynka dokładnie wyjaśniła mu, gdzie znajdzie źlebodźwiedzia. Nie mogła tego wiedzieć sama. Wtedy nie zwrócił na to uwagi, a teraz...

— Powiedziałeś im o tym?

Lekarz pokręcił przecząco głową.

— Nie. Nie byłem pewien. Nie chciałem ich straszyć.

Było coś w głosie Carridana, jakichś zgrzyt, który sprawił, że Lisiecki zadał kolejne pytanie.

— A komuś innemu, doktorze?

— Nie. Nikomu.

Polak zbliżył się do lekarza i położył mu dłoń na ramieniu.

— Doktorze... — nie powiedział nic więcej. Wystarczyło, że delikatnie zacisnął palce, wbijając je w obojczyki Carridana. Lekarz zagryzł usta.

— Przyszedł tutaj kiedyś — szepnął cicho — Dowiedzieć się, jak sobie radzę. Tego, czy zwiększa się liczba chorych i tego, czy kogoś udało się w końcu wyleczyć. Zapytał też, czy czegoś nie potrzebuję.

— Kto, doktorze?

— Zaczęliśmy rozmawiać. Rozumiesz, taka zwyczajna pogawędka. O tym i tamtym.

Plotki.

Przypadkiem... przypadkiem mogło mi się coś wymknąć.

— Kto doktorze?!

— Siren — wyznał skruszony i blady lekarz.

Polak zamarł. Siren. To jedno nazwisko sprawiło, że wszystko zrozumiał. Wiedział już jak zginął Stan Biszek, wiedział, dlaczego jego żona wolała uciekać nocą z dzieckiem w ramionach, niż zostać w domu i czekać aż szeryf przyjdzie odebrać jej córkę. Dziewczynka była widząca, potrafiła odnajdywać rzeczy, przedmioty, ludzi, a także, być może, żyły żywmetal. Siren wyczuł swoją szansę. I nie miał zamiaru wypuścić jej z rąk.

Lisiecki zerknął na dziewczynę, która, zupełnie niczego nieświadoma, siedziała dalej w kącie i dziwnie skupiona obserwowała przesuwający się pod podmuchami powietrza kłębek kurzu.

A potem Polak przypomniał sobie, że kiedy szedł do szpitala, po drugiej stronie ulicy spotkał

Sirena. Szeryf ukłonił się mu wtedy lekko, a jego oczy lśniły pijaną radością.

Siren wyczuł swoją szansę — powtórzył Polak w myślach — I już jej nie wypuści z rąk.

*

Bram z pomocą Savy i jej dziewczyn od rana poszukiwał Lisieckiego. Przy śniadaniu właścicielka hotelu opowiedziała mu wszystko, co wiedziała o myśliwym.

— Był tutaj przed przybyciem pierwszych poszukiwaczy. Jeden z tutejszych, ale nie przyłączył się do Starego. Zawsze samotny, znakomity zwiadowca, łowca. Ludzie tutaj darzą go wielkim szacunkiem.

— Dlaczego?

— Ponieważ, przynajmniej poza miastem, nie ma chyba nikogo, komu kiedyś by nie

pomógł — wyjaśniła, smarując cienką warstwą masła twardą bułkę. — Zrozum Bram. To dzika kraina, w której żyją dzicy ludzie. A tacy jak Lisiecki, uczciwi, ale twardzi, są jak diamenty w rzece gówna.

— Diamenty w rzece gówna?

Roześmiała się perliście.

— Właśnie tak, Holendrze. Właśnie tak.

Bram sięgnął po kubek zbożowej kawy.

— Szanują go poszukiwacze — kontynuowała Sava — bo pomógł im, kiedy się tutaj osiedlali. Pokazał, które okolice są bezpieczne, które nie. Czego się wystrzegać, przed czym uciekać. Wyznaczał główne szlaki. Szanują go ci nieliczni mieszkańcy, którzy zostali tu po wojnie. Bo był z nimi w tych ciężkich czasach. Szanują go wreszcie ludzie Starego i sam Stary, a to ze względu na to, że walczył z nimi w ramię w ramię podczas pierwszej i drugiej wojny, i zabijał Korporacyjnych.

— A Korporacja?

— Znasz ich. Wojna minęła. Zamiast roztrząsać stare dzieje, wolą się skupić na interesach.

Bram sięgnął po sztucce. Pomimo tego, że Sava należała do najbogatszych mieszkańców

Każni, jej śniadanie było dziwnie ubogie. Chyba nawet najbiedniejsi wieśniacy w Nowej Holandii jadaliby bardziej wartościowe posiłki. Na stole znajdowały się kilkudniowe, twarde bułki, małe kostki dziwnie pachnącego masła i kilka plasterków cienko krojonej szynki. Jako główne danie podano dwa jajka. Po jednym dla niej i dla niego. Bram pomyślał, że Każni nie najlepiej daje sobie radę z zaopatrzeniem w jedzenie. Z jakiegoś powodu nie było jednak kłopotów z alkoholem. Nawet przy śniadaniu stała butelka whisky, a Sava dołała sobie słuszną dozę do cienkiej kawy.

— Ten Stary. Siren też o nim wspomniał...

— Stary to szaleniec — mruknęła znad kubka Sava — Ostatni rycerz śpiącego w pokoju księcia Johanna, dla którego wojna wcale się nie skończyła. Poluje na Korporacyjnych, z przyczyn, które chyba rozumiesz, i na Holendrów, bo uważa, że twój ojciec zdradził Kuźnię podczas pierwszej wojny.

— Słusznie uważa — mruknął kwaśno Bram.

— Może. Polityka to zbyt skomplikowana rzecz jak dla mnie. Poza tym łupi poszukiwaczy i twierdzi, że zbiera w ten sposób podatki dla księcia. Wszyscy go nienawidzą, nikt nie ma siły mu się sprzeciwić. A on z kolei jest zbyt słaby, żeby zagarnąć dla siebie władzę nad całym terytorium.

— Groźnie to brzmi.

Przytknęła.

— Ostatnio jednak coraz mniej o nim słyszę — dodała zmyślona, jakby dopiero teraz zdała sobie z tego sprawę.

Po śniadaniu wyruszyli na poszukiwania Lisieckiego. Wkrótce Bram dowiedział się o wizycie Polaka w szpitalu i poszedł tam się z nim spotkać.

Złapał go w momencie, kiedy myśliwy wychodził od doktora Carridana. Polak miał ponury, zacięty wyraz twarzy i podejrzliwie rozglądał się dookoła, kurczowo trzymając dziewczynkę za przegub. Kiedy dostrzegł Holendra, zatrzymał się zaskoczony i zdezorientowany, jakby nie potrafił się zdecydować, jak ma właściwie zareagować.

— Bram — mruknął.

— Piotrze.

Holender lekko pokłonił głowę. Stali naprzeciwko siebie, mierząc się wzrokiem i

pozwalając, żeby ludzie przechodzili obok nich. Jedynie żółty kundel o niekształtnym pysku podniósł na chwilę łeb zza zwałów błota.

— Czego chcesz? — zapytał Polak.

— Mam interes do zrobienia. Potrzebuję pomocy.

— Już ci pomogłem. Znajdź kogoś innego — odpowiedział Lisiecki i minął Brama, ciągnąc za sobą dziewczynkę. Mała ledwie za nim nadążała.

— Szukam myśliwego. Kogoś, kto zna dobrze te tereny.

— Mały Hans jest dobry. Jest teraz w mieście. Znajdziesz go u Starego Lucasa.

— Potrzebuję ciebie.

Polak zatrzymał się wpół kroku. Myślał chwilę nad czymś, podczas gdy dziewczynka podeszła do żółtego kundla i zaczęła go głaskać. Pies, który do tej pory powarkiwał na przechodniów, wyciągnął się na ziemi i odsłonił brzuch na pieszczotę. Lisiecki nawet na chwilę nie spuścił oka z Darii.

— Potrzebuję ciebie — powtórzył Bram — I dobrze płacę. Wiesz, że mam czym.

Myśliwy zagryzł wargę.

— Dobrze — zdecydował — Ubijemy interes. O co chodzi?

— Wolałbym o tym porozmawiać na osobności. Najlepiej u Savy.

Lisiecki kiwnął głową i bez słowa podążył za Holendrem.

*

Jean Franz Gurka nie lubił się bać. Całe swoje życie poświęcił temu, żeby bać się jak najmniej. Musiał jednak sam przed sobą przyznać, że nie wyszło mu to najlepiej. Obawa bowiem przez większość dni była mu najwierniejszym, choć niechcianym towarzyszem.

Teraz też się bał, mlaskając bezzębnymi dziąslami, ściskając w dłoniach rondo zniszczonego kapelusza. James L. Siren go przerażał. Nie dlatego, że jego oczy były pełne lodu, ani nie dlatego, że, jak szeptali niektórzy, zamiast serca miał kawał twardego kamienia, ale dlatego, że szeryf był człowiekiem, jakim Gurka zawsze chciał się stać. I chociaż Gurka miał na swoim sumieniu wiele grzechów, to przed popełnieniem największych podłości zawsze powstrzymywał go strach, który spadał na niego ciężkim płaszczem, pętając ciało i odbierając wolę. Ten sam strach, który Siren strząsał ze swoich ramion, jakby to był zwykły pyłek.

— Mów, Jean — rozkazał szeryf.

Gurka chrząknął, żeby dodać sobie otuchy.

— Lisiecki, którego kazałeś mi pilnować, szeryfie...

— Wiem, co ci kazałem robić, Jean. Skup się.

— Tak jest, szeryfie.

Starzec przetarł czoło, na które wystąpiły perlister, tłuste krople potu.

— Po tym, jak wyszedł od Carridana...

— Z dziewczynką?

— Tak, szeryfie. Oczywiście. Z dziewczynką. Więc jak wyszedł od doktora, to spotkał jakiegoś mężczyznę. Rozmawiali, a potem poszli razem do...

— Jakiego mężczyznę? — przerwał mu szeryf.

— Taki wysoki, szeryfie. Czarnowłosa. W dobrych butach, szeryfie. Ja się tam nie znam szeryfie, ale mi wyglądał na Holendra. Miał takie, takie — starzec pociągnął dłonią wzdłuż twarzy, ale najprawdopodobniej nawet on sam nie do końca wiedział, co ma wyrażać ten gest.

— Bram — mruknął pod nosem szeryf — Skurwysyn jeden.

Siren wstał od biurka i zaczął wściekle przechadzać się od ściany do ściany. Nie podobał

mu się ten Holender. Był zbyt przemądrzały. A teraz z jakiegoś powodu skumał się z Lisieckim.

Szeryf zagryzł zęby. Ta dziewczynka, jeśli Carridan miał rację, a cholerny doktor zwykle miał rację, jakby kutas posiadał jakąś magiczną, szklaną kulę, to okazja jedna na milion. Siren nie miał zamiaru jej przegapić i nie pozwolił, żeby na drodze stanęli mu Polaczek z Holciem.

— Dokąd poszli?

— Do Hotelu Sava.

— Do Savy? — warknął. — I co dalej?

— Zostali tam, szeryfie. Poczekałem na nich, ale nosa nie wyściubili. I natychmiast przybiegłem tutaj, szeryfie.

Siren sapnął ciężko i zmarszczył brwi. Staruszek skulił się pod jego zagniewanym spojrzeniem, przestraszony, że jednak zrobił coś źle i teraz czeka go kara. Jednak zamiast wymierzać razy, szeryf tylko ledwie dostrzegalnie kiwnął głową. Stojący do tej pory w milczeniu Iwan zrobił krok w kierunku Gurki i rzucił mu bochenek chleba oraz zwitek papierków.

Staruszek chwycił najpierw chleb, potem podniósł papiery i je rozwinął. Uśmiechnął się szeroko, kiedy zobaczył, że to bony żywnościowe na cztery obiady mięsne u Starego Lucasa. Skoczył na równe nogi, skłonił się głęboko do samej ziemi.

— Dziękuję, panie szeryfie. Dziękuję — mamrotał — Jakbym był potrzebny szeryfie, to szeryf wie, gdzie mnie szukać.

— Znikaj — warknął do niego Iwan.

— Tak, tak — oczywiście.

Starzec, zamiatając kapeluszem podłogę, zaczął się wycofywać.

— Gurka — rzucił do niego Siren.

— Tak, panie szeryfie?

— Dobrze się spisałeś, Gurka.

— Dziękuję, panie szeryfie.

— Ale teraz naprawdę znikaj.

— Tak jest, panie szeryfie.

Gurka zniknął za drzwiami, które zamknął za nim Iwan. Rosjanin upewnił się, że staruch odszedł i że nikt ich nie podsłuchuje. Dał ręką znak, że wszystko w porządku.

— Co teraz, szeryfie? — zapytał. — Bierzemy się za nich?

Siren podrapał się po brodzie.

— Sava — szepnął do siebie.

Nie rozumiał tej kobiety. Wydawało mu się, że udało im się wypracować pewien niepisany układ. On się nie wtrącał w jej interesy, tolerował drobne wykroczenia, a ona nie podważała jego pozycji. Ten układ się sprawdzał i obie strony były z niego zadowolone. Dlaczego więc teraz przyjęła pod swój dach kogoś, kto najprawdopodobniej był wrogiem szeryfa? Co chciała od Lisieckiego? Co właściwie ta mała dziwka planowała?

— Idziemy do niej? — domyślił się Iwan.

— Nie — szeryf pokręcił głową. Bezpośrednie starcie to była ostateczność. Wygrałby je. Nie miał co do tego wątpliwości. Ale to zwycięstwo mogło za drogo go kosztować. Musiał ostrożnie gospodarować swoimi siłami. — Kto jest w mieście? — zapytał.

Rosjanin wznosił oczy w górę i zaczął coś liczyć na palcach.

— Mamy Klusky'ego.

— Klusky nie poradziłby sobie z własną dupą, a co dopiero z Lisieckim!

— Beniamin.

Siren skrzywił się, jakby właśnie połknął coś śliskiego i obrzydliwego.

— Żydki są dobre, żeby komuś obić mordę, ale nie do takiej roboty. Poza tym zawsze jak

są potrzebni, okazuje się, że mają szabas albo jakieś pierdolone Yom Kippur, cokolwiek to kurwa jest.

— Są jeszcze bracia Popescu.

Szeryf zmarszczył brwi.

— Popescu mogą być — zdecydował po chwili zastanowienia — Rozmów się z nimi.

Dowiedz się, ile będą chcieli za głowę Lisieckiego i tego Holendra. A dziewczynkę chcę żywą.

Powiedz im, że to moja bratanica czy coś takiego, a Polak ją porwał. Oni lubią takie łzawe historie. Czują się dzięki nim lepsi.

— Dobrze, James.

— I słuchaj uważnie, Iwan. Chcę, żeby to się stało za miastem, jasne?

— Jasne. Ale co jeśli oni nie wyjdą?

— Wyjdą. Lisiecki nigdy nie usiedział w Kaźni więcej niż dwa dni. Przyjeżdża tu tylko wysłuchać plotek, uzupełnić zapasy i rusza w las. Teraz będzie tak samo. Jeśli weźmie ze sobą dziewczynę, mają ją odbić. Jeśli ruszy sam, niech puszczą go wolno i przyjdą do mnie.

— I co wtedy?

— Wtedy złożymy wizytę Savie.

Rosjanin uśmiechnął się szeroko. Pomysł szeryfa bardzo przypadł mu do gustu.

*

Lisiecki rozsiadł się za stołem. Z torby przy pasie wyciągnął zwitek pomiętego papieru i paczkę z tytoniem. Papier wyprostował. Oderwał kwadratowy kawałek, który później zgiał w pół, odgiął i położył na blacie przed sobą. Nasypał na niego tytoń, który delikatnie rozprowadził palcem i wreszcie zwinął bibułę. Skręta włożył w usta i rozpoczął poszukiwanie zapalek.

— O czym chciałeś gadać? — zapytał Lisiecki, grzebiąc w kieszeniach.

Bram potarł nos i zerknął na Savę, która siedziała naprzeciwko Polaka z kieliszkiem wina w dłoni.

— Chciałbym, żebyśmy porozmawiali na osobności.

— Ellen, weź małą i wyjdź — rozkazała Sava, nie odrywając oczu od chlupoczącego cicho w kryształach alkoholu.

Ellen, która swoim zwyczajem podierała ścianę i palcem gładziła główkę noża, raptownie podniosła głowę i obrzuciła Holendra a potem Savę podejrzliwym, pełnym urazy spojrzeniem.

— Dorośli chcą zostać sami, co? — rzuciła gniewnie. Jej głos był suchy jak ostatni, jesienny liść.

Sava delikatnie odłożyła kieliszek i obróciła się w stronę swojej pracownicy.

— Właśnie, Ellen. Dorośli chcą zostać sami — powiedziała twardo. — Bierz małą i zmykaj.

Lisiecki znalazł zapalki i odpalił skręta.

— Tylko na nią uważaj — powiedział, wskazując na dziewczynkę.

Ellen widząc, że nikt się za nią nie ujmie, tylko sapnęła coś gniewnie do siebie. Chwyła dziewczynkę za przegub, poderwała z ziemi i na przemian szarpiąc i ciągnąc wyprowadziła z pokoju. Na pożegnanie z impetem trzasnęła drzwiami.

— Pokłóciłyście się? — zapytał Lisiecki.

— Nie twoja sprawa, Polaczku — odpowiedziała mu natychmiast Sava.

— Słusznie. Nie moja — zgodził się myśliwy i zaciągnął się mocno. Długo trzymał dym

w ustach, a potem w płucach, żeby wreszcie wypuścić szare smużki nosem.

Bram chrząknął. Polak poprawił się na krześle i spojrzał w jego stronę.

— Rozumiem, że to sygnał, żebyśmy przeszli do interesów?

— Tak, właśnie.

— W takim razie, czego ode mnie oczekujesz, Holendrze?

Bram przełknął ślinę i zaczął opowiadać o tajnym bunkrze króla Johanna. Nie wspomniał jednak o Pierwszym Mieczu ani o tym, że jest wysłannikiem Uthera. Skupił się na skarbach, które książę podobno wywiózł z Kuźni tuż przed rozpoczęciem oblężenia. Miał nadzieję, że wizja ukrytego bogactwa skusi Polaka do pomocy.

Lisiecki słuchał Brama uważnie, ale trudno było wyczytać cokolwiek z jego poważnej, jakby wykutej z kamienia twarzy. Kiedy Holender skończył, myśliwy dalej siedział bez słowa, z leniwie żarzącym się papierosem w kąciку ust. Wreszcie wyjął resztkę skręta, nie dłuższą niż dwa centymetry, rzucił ją na podłogę i dokładnie przydeptał.

— Wybacz — powiedział do Savy — nie widzę popielniczki.

— Nic nie szkodzi. Ktoś to posprząta.

Polak odkasznął i otarł usta wierzchem dłoni.

— A więc szukasz zaginionego bunkra pełnego skarbów, o którym nie wiadomo czy istnieje, a jeśli istnieje, to nie wiadomo, gdzie on się znajduje?

— Można tak to ująć.

— Chciałem się tylko upewnić, czy wszystko dobrze zrozumiałem — rzucił drwiąco Polak.

— Dobrze zrozumiałeś.

Lisiecki kiwnął głową.

— Szalony z ciebie Holender. Nie mógłbyś zacząć po prostu szukać żywmetal, jak każdy inny, kto tu przyjeżdża ze wschodu?

— Nie. Muszę odnaleźć ten bunkier.

— Co tam naprawdę jest?

Bram zmarszczył brwi.

— Mówiłem ci, skarb Kuźni.

Polak parsknął śmiechem.

— Nie żartuj sobie ze mnie, Bram! Chodzisz po ziemi, która kryje w sobie być może największe złoża żywmetal odkryte w przeciągu ostatnich dziesiątek, jeśli nie setek lat i naprawdę chcesz mi wmówić, że zależy ci na tych kilku błyskotkach, które mógł wywieźć z Kuźni książę?

— Tak właśnie jest.

— Gówna prawda.

Mężczyźni długo mierzyli się wzrokiem. Sava tymczasem wzięła nóż stołowy i uderzyła nim o kryształ kieliszka. Delikatny, ale mocny, drżący dźwięk rozszedł się po pomieszczeniu.

Poczekala, aż i Bram i Polak zwrócą się w jej stronę.

— To nie jest ważne, dlaczego Bram chce odnaleźć bunkier i czy to głupie, czy nie — oznajmiła. — Przynajmniej z twojej perspektywy, Piotrze. Dla ciebie jest ważne to, czy Bram ci zapłaci, a jeśli tak, to ile. Nie uważasz?

— Pewnie — mruknął Lisiecki. — Ile dajesz?

— A ile chcesz?

— Proszę panowie — jęknęła Sava — nie to samo, nudne targowanie się. Naprawdę nie możecie od razu podać ceny?

Bram uśmiechnął się lekko i pokręcił rozbawiony głową.

— Trzy dzienne bony żywnościowe za każdy dzień — zaproponował.
— Śniadanie, obiad, kolacja?
— Tak.
— Chcę cztery — oznajmił Polak — Mam jeszcze dziewczynkę na utrzymaniu.
— Zgoda.
— I to ty kupujesz zapasy, amunicję, sprzęt.
— Zgoda.
— Dziewczynka idzie z nami.
— To chyba nie jest najlepszy pomysł.
— Albo idzie z nami, albo nici z umowy — stwierdził Lisiecki.
— Będzie nas opóźniać i zjadać zapasy — zaprotestował Holender.
Polak wzruszył ramionami.
— To twój problem.
Holender zerknął błagalnie na Savę, szukając u niej pomocy.
— Piotr wydaje się być zdecydowany. Moim zdaniem, Bram, musisz się pogodzić z tym, że dziewczynka idzie z wami — powiedziała właścicielka hotelu.
— W takim razie niech będzie — jęknął Holender.
Sava uśmiechnęła się promiennie.
— A więc cztery całodniowe bony żywnościowe dziennie. Czy ma być jakaś szczególna kompania handlowa? — zwróciła się do myśliwego.
— Jakakolwiek.
— Znakomicie. Cztery całodniowe bony żywnościowe dziennie, kupno zapasów i amunicji na koszt Brama, dziewczyna idzie z wami — podsumowała Sava, a potem odwróciła się do Brama — Umowa? — zapytała.
Holender kiwnął głową.
— Umowa? — zapytała teraz Polaka.
— Umowa.
Niemal równocześnie splunęli na dłonie i podali je sobie w mocnym uścisku. Puścili się, a wtedy Sava każdemu z nich podała po kieliszku wina.
— Życzę powodzenia — powiedział i wzniosła toast.
Holender wypił łyk, natomiast myśliwy trzymał niezgrabnie nóżkę kielicha w palcach, jakby się bał, że ją złamie.
— Zaraz przygotuję ci listę zakupów. Powinieneś jak najszybciej dokonać sprawunków — oznajmił. — Wyruszamy jutro rano.
— Dlaczego tak wcześnie? — zdziwił się Bram.
— A na co chcesz czekać?
— Nie powinniśmy się najpierw zastanowić, gdzie szukać?
Myśliwy pokręcił przecząco głową.
— Wydaje mi się, że wiem, gdzie jest ten bunkier — powiedział i jednym haustem wypił swoje wino.

Rozdział 4. Oszukany

Opuścili Kaźń, kiedy na dworze było jeszcze ciemno, a na ziemi iskrzyły się drobiny lodu.

Mieli ze sobą tylko jednego konia; silnego, przysadzistego wałacha o grubej szyi, który niósł ich zapasy, i na którym spała, przywiązana dla bezpieczeństwa między pakunkami, dziewczynka.

Lisiecki przekonał Brama, że nie potrzebują wierzchowców do jazdy, bo ścieżki którymi będą się poruszać są zbyt strome i zbyt wąskie, i po prostu bezpieczniej jest poruszać się na piechotę.

Poza tym koni w Kaźni na sprzedaż było niewiele. Myśliwy wyjaśnił, że zwierzęta są kupowane do pracy w kopalniach żywmetal, a jeśli jakieś zostają, to natychmiast przerabia się je na kabanosy. W Kaźni nawet najlepszy rumak kawaleryjski, który nie nadawał się do sztolni, więcej był wart jako parówka, niż gdyby pozostawić go całego i zdrowego.

Wyruszyli na północ starym, przedwojennym traktem, który prowadził w stronę majaczących na horyzoncie ciemnych skał i posępnych wzgórz. Po kilku kilometrach trakt zakręcał na zachód, w stronę zniszczonej Kuźni, gdzie teraz znajdował się fort Korporacji. Lisiecki zdecydował się odbić na wschód i podążyć nierówną, zniszczoną i wąską ścieżką, na której z trudem zmieściłoby się trzech mężczyzn idących w ramię w ramię.

— Ta droga prowadzi do Saint Paris — wyjaśnił myśliwy, kiedy przeszli kolejny kilometr — Francuska osada, jedna z większych w okolicy. Liczy kilkadziesiąt mieszkańców, może ponad setkę. Mają dużą kopalnię i trafili na bogatą żyłę. Ale są tak opętani żądzą żywmetal, że żadnemu z nich nie chce się zadbać o szlak.

— To tam ma być bunkier?

— Nie. Oczywiście, że nie.

— W takim razie gdzie?

Lisiecki poprawił przewieszony przez ramię karabin myśliwski.

— Daleko. W mniej więcej tej okolicy, skąd przybył źlebodźwiedź.

— Na terenie plemienia?

Polak pokręcił przecząco głową.

— Nie aż tak daleko, ale gdzieś w tamtym miejscu. To zawsze były najmniej zbadane tereny księstwa. Same bagna. Przed wojną spotkałem przyjaciela, który był tam na zwiadzie.

Opowiadał, że coś odkryli. Coś wielkiego. Coś pod ziemią. Oczy mu się świeciły i ciągle stawał kolejkę. Nie chciał zdradzić więcej. Dopiero po rozmowie z tobą zrozumiałem, o czym mógł wtedy mówić.

— Jeśli to tam, to jak znajdziemy ten bunkier na bagnach?

— Znajdziemy lub nie. Wiem, którędy miał iść patrol. Wątpię, żeby bardzo zoczyli z trasy.

Rozejrzemy się, poszukamy, może dopisze nam szczęście. Poza tym, jeśli przysposobili go do użytku, powinniśmy trafić na ślady robót ziemnych czy coś w tym stylu.

Zamilkli, bo musieli pokonać około dwudziestometrowe, strome wzniesienie. Lisiecki prowadził konia, Bram szedł z tyłu i pilnował, żeby dziewczynka nie spadła. Droga znów zakręcała i biegła teraz blisko stumetrowym odcinkiem pomiędzy dwoma stromymi skalnymi ścianami.

— Ciekawe, co się z nimi stało? — powiedział Bram.

— Z kim?

— Z tymi ludźmi z Kuźni, którzy mieli ukryć się w bunkrze — wyjaśnił Holender. — Od wojny nic o nich nie było słyhać.

— To były straszne czasy. Nawet wtedy, kiedy główna armia wroga jeszcze nie podeszła pod Kuźnię, już się ganialiśmy z Korporacyjnymi po lasach w tę i z powrotem. Był taki moment, że nie mogłeś iść w krzaki, żeby nie naszczać na nasz lub ich patrol. Może ten konwój nigdy nie

dotarł do celu?

Polak przystanął, sięgnął po wcześniej przygotowanego skręta i zapalił. Zauważył pytające spojrzenie Brama.

— Nie bronilem Kuźni — wyjaśnił myśliwy — I pewnie tylko dlatego ciągle jeszcze żyję.

Byłem w tak zwanym oddziale partyzanckim. Naszym zadaniem była dywersja na tyłach, przeprowadzanie zasadzek, sianie chaosu i dezinformacji. Oczywiście Korporacyjni wysłali takie same grupy na nas. I tak bawiliśmy się w kotka i myszkę. Raz to my ich goniliśmy, raz oni nas...

Przerwał, żeby się zaciągnąć.

— A Kuźnia umierała — dokończył, wypuszczając dym z płuc.

— Może oni ciągle tam są? — zaryzykował Bram.

— Kto?

— Oni. Konwój.

Lisiecki zaśmiał się chrapliwie.

— Od dwudziestu lat! Ha! To byłby wyczyn. Wątpię, żeby zabrali ze sobą dość jedzenia, a zapasy w bunkrze, nawet przeciwatomowym, nie starczyłyby na tak długo.

— Mogliby rozpocząć uprawy, polować.

— Zdradzę ci coś, Holendrze. Myślisz, że żywność jest tu taka droga tylko dlatego, że większość woli uganiać się za żyłami żywmetal, a nie uprawiać rolę. Trochę masz rację. Ale jest też inny powód — Polak podniósł garść kamienistej ziemi i podsunął ją pod nos Bramowi — To ziemia nie rodzi. Przed wojną tak, przed wojną mieliśmy tu pola złotej pszenicy i stada bydła, ale nie teraz. Drzewa usychają, zboże nie wzrasta, krowy padają. A co do polowania... Są takie dni, że nawet ja niczego nie ustrzelę.

Lisiecki rzucił ziemię i splunął. Szarpnął konia za cugle i poszli dalej. Po kilkudziesięciu metrach przeszli przez wąwóz i stanęli na postój na rozstaju dróg. Jedna wiodła na wschód, w kierunku Saint Paris, o czym informował drogowskaz. Druga odbijała na północny zachód.

— Zrobimy tu postój — zdecydował Polak.

Bram przytaknął z ulgą. Pomimo tego, że przeszli nie więcej niż dziesięć kilometrów był już zmęczony, a w głowie mu szumiało. Rana zadana przez źlebodźwiedzia wciąż nie dawała mu spokoju.

Holender podszedł do konia, wyciągnął z bagaży swoją manierkę i z lubością wypił cztery potężne łyki wody. W tym czasie Polak rozsiadł się na przywiedłej, szarej trawie i powoli zjadał kromkę czarnego chleba. Uważnie i długo żuł każdy kęs. W pewnej chwili przestał, odrzucił chleb, poderwał się na równe nogi i mrużąc oczy wpatrywał się w stronę wejścia do wąwozu, który przed chwilą pokonali.

— Co się dzieje? — zapytał zaniepokojony Bram.

— Nie wiem — mruknął Polak i podniósł karabin.

Holender schował manierkę i sięgnął po swoją broń. Lisiecki uspokoił go ruchem ręki.

— Może się mylę, ale od pewnego czasu mam wrażenie, że ktoś za nami idzie — powiedział myśliwy.

— Kto?

Polak wzruszył ramionami i zagryzł końcówkę wąsa.

— Poczekaj tutaj z dziewczynką. Pójdę to sprawdzić.

Nim Holender zdążył cokolwiek powiedzieć, Lisiecki biegł już truchtem przez wąwóz, z nisko pochyloną głową i karabinem w dłoniach. Wkrótce zniknął za skałami po drugiej stronie.

Bram zawiesił broń na ramieniu i przypasał szablę. Rozejrzał się po okolicy. Wąwóz rozdzielał dwie duże, trudne do obejścia skały. Bram uznał, że z nich raczej nie powinien

spodziewać się ataku. Ściągnął z wałacha dziewczynkę, która obudziła się i złęknioma zaczęła poszukiwać wzrokiem Polaka.

— Spokojnie. Zaraz przyjdzie — szepnął jej do ucha Holender, mając na myśli Lisieckiego.

Zaniósł Darię w pobliskie krzaki, położył w płytkim zagłębieniu i przykrył kilkoma uschniętymi gałęziami. Ktoś, kto jej by szukał, odnalazłby ją bez większego trudu. Jednak z drogi trudno było ją zauważyć.

— Leż tutaj i czekaj na Piotra — rozkazał.

Wrócił do konia i poprowadził go kilka metrów w bok, gdzie przywiązał go do drzewa.

Zaczął rozglądać się za schronieniem dla siebie, skąd miałby dobry widok na wąwóz, a równocześnie byłby chroniony przed ostrzałem.

Ze zdziwieniem stwierdził, że niemalże się nie boi. Odczuwał tylko przyjemne swędzenie w okolicach krzyża.

Hałas staczanego kamienia zwrócił jego uwagę. Odwrócił się, próbując równocześnie ściągnąć karabin z ramienia, ale ręka zamarła mu w pół ruchu. Mniej więcej w połowie wąwozu znajdowali się trzej mężczyźni. Nie zauważył ich wcześniej, musieli się skradać, chować za skalnymi załomami, a teraz, kiedy znalazł się w zasięgu ich broni, postanowili się ujawnić. Jeden z nich, najwyższy, miał strzelbę myśliwską, stary model, pokryty lekką warstwą rdzy. Trzymał ją pewnie, a jego mina wskazywała na to, że nie zawaha się jej użyć. Całkowicie łysy, wysoki, dobrze umięśniony, na białą koszulę zarzucił skórzaną kurtkę. Kiedy się uśmiechał, Holender dostrzegł pod nierówno przystrzyżonym wąsem szary błysk zęba z żywmetal.

Drugi z mężczyzn, bardzo szczupły o posępnej twarzy i czarnych jak węgiel, sięgających do ramion, zaczesanych do tyłu włosach celował do Brama z wojskowego rewolweru. Chociaż to może było złe określenie. Trzymał bowiem broń nonszalancko, z delikatnie opuszczoną lufą, jakby chciał zasugerować, że to całe zdarzenie to tylko głupia pomyłka.

Był jeszcze trzeci mężczyzna. Bez broni palnej, ale z długim oszczepem w dłoni i z przytroczonymi do pasa dwoma nożami o szerokich, potężnych ostrzach. Najmłodszy z całej trójki, o pociągłej twarzy, lekko kobiecej urodzie, nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia lat i nieudolnie starał się zapuścić zarost. Na brodzie wyrastała mu w kształcie litery v rzadka kępka włosów. Wszyscy mieli ciemną cerę i brązowe oczy. Nie nieśli ze sobą żadnego większego bagażu. To był zły znak.

— Witaj — rzucił pogodnie ten z rewolwerem.

— Witajcie — odpowiedział Bram.

Nie był pewien, czy powinien sięgnąć po karabin. Bał się, że kiedy wykona nieodpowiedni ruch, zaczną od razu do niego strzelać.

— Gdzie jest Lisiecki? — zapytał największy z mężczyzn.

— Kto?

Odpowiedzieli mu krótkim, szyderczym śmiechem.

— Nie pokrywaj z nami, Holciu — Bramowi zadrżały dłonie, kiedy usłyszał pogardliwe określenie Holendra — Wiemy, że rano opuściłeś Kaźń z tym Polaczkiem i małą. Powiedz nam w takim razie, gdzie jest Lisiecki.

— Poszedł do Saint Paris. Rozdzieliliśmy się.

— I zostawił ci konia? — mruknął z niedowierzaniem i rozbawieniem mężczyzna — Zapytam po raz trzeci i ostatni, gdzie jest Lisiecki?

— Sika.

Mężczyzna z rewolwerem westchnął cicho i mocniej chwycił broń. Cała trójka wciąż szła w kierunku Holendra, który powoli się cofał, chociaż nie miał gdzie uciekać. Teren za wąwozem

był płaski, schować mógłby się tylko za drzewem. To jednak niewiele by mu dało. Nie sądził, żeby dał radę wygrać strzelaninę z aż trzema napastnikami.

— Słuchaj, Holciu. Nic do ciebie nie mamy. Chcemy Lisieckiego i dziewczynkę. Gdzie oni są?

— Nie wiem.

— Nie chcesz współpracować, co, Holciu? — warknął największych.

— Zastrzel go, Ladimir. I tak mieliśmy ich wszystkich zabić — rzucił najmłodszy. Pozostali dwaj zerknęli na niego zagniewani, jakby młodziak rzucił o jedno słowo za dużo.

Wycelowali broń w Brama.

— Teraz to już chyba musimy, Petru, debilu — oznajmił ten z rewolwerem.

Rozległ się strzał. Piers największego z napastników eksplodowała czerwienią. Krzyknął jeszcze głośno i nacisnął spust, ale kula poleciała w ziemię. Jego towarzysz z rewolwerem próbował się odwrócić, ale to był błąd. Powinien paść płasko i schować się za najbliższą skałą.

Najpierw dostał w ramię. Pocisk strzaskał kość i rozerwał mięśnie. Kolejna kula trafiła go w szyję, skąd natychmiast trysnęła fontanna krwi.

Mężczyzna z dzidą dojrzał Lisieckiego u wyjścia z wąwozu. Wiedział, że nie ma szans na dotarcie do Polaka, więc z krzykiem ruszył na bliższy cel — na Brama. Holender zdążył zdjąć karabin z ramienia, ale nie było mowy o oddaniu strzału. Kolbą zbił cios pędzącej w stronę jego piersi włócznie i skoczył w bok. Napastnik cofnął się o dwa kroki i wrzeszcząc zaatakował ponownie. Celował jednak zbyt wysoko, więc Bram z łatwością uniknął pchnięcia.

W tym samym momencie rozległ się kolejny strzał, a młodzian wypuścił z rąk dzidę i chwycił się obiema dłońmi za brzuch. Z przerażeniem i łzami w oczach obserwował, jak pomiędzy palców zaczyna wypływać mu gęsta, ciemna krew. Padł najpierw na kolana, a potem na ziemię.

Bram otarł pot z czoła. Lisiecki tymczasem przeładował karabin, pozbierał leżące na ziemi łuski i schował je do kieszeni kurty. Upewnił się, że dwaj pozostali w wąwozie napastnicy nie żyją. Rewolwer należący do jednego z nich schował za pas. Leżącą obok strzelbę dokładnie obejrzał, a potem wyrzucił. Zabrał tylko amunicję i podszedł do Holendra.

— Nie ci nie jest? — zapytał.

— Nic.

— Gdzie dziewczynka?

Holender wskazał na kępę krzaków. Polak odnalazł Darię, odgrzebał gałęzie i wziął ją na rękę. Szeptał jej coś przez chwilę na ucho, a potem posadził na koniu.

— Dobra robota. Z dziewczyną — pochwalił Holendra.

— Dziękuję.

— Zapalisz?

— Nie.

— Ja też nie. Niedobrze jest palić przy zmarłych.

— Kto to był?

— Bracia Popescu. Rumuni. Wyjątkowe skurwiele.

Myśliwy podszedł do jęczącego z bólu Petru, który ciągle trzymał się zza brzuch. Twarz miał białą jak pierwszy śnieg, po policzkach ciekły mu łzy, a z ust wylatywały krwawe bańki.

— Kto cię nasłał, Petru? — zapytał Lisiecki.

— Pierdol się, pedale — wyjęczał Rumun.

— Petru... Nie rozumiesz sytuacji. Mogę ci tutaj zostawić, Petru, z dziurą w brzuchu i poszatowaną wątrobą. Będziesz umierał godzinami.

— Nie chcę umierać!

— Ale umrzesz, Petru. Pytanie, czy szybko i z mojej ręki, czy będziesz tu leżał, czekając na to, aż jakieś miłosierne zwierzę czy chudzielec rozerwie ci gardło.

Rumun jęczał i płakał. Próbował coś mówić, ale z ust wylatywały tylko krwiste strumienie śliny. Wokół śmierdziało kałem.

— Nie chcę... — wyszeptał wreszcie niewyraźnie.

— Przykro mi, Petru — powiedział Lisiecki, i Bram ze zdumieniem usłyszał w jego głosie naprawdę głębokie współczucie.

— Nie chcę...

— Kto was nasłał, Petru?

Rumun odchylił się i spojrzał prosto w oczy myśliwemu.

— Siren — powiedział.

— Dziękuję. To nie będzie bolało.

Myśliwy przyłożył lufę karabinu do piersi młodzieńca i nacisnął spust. Rozległ się huk, a chwilę potem przez ciało Rumuna przeszedł ostatni spazm. Polak przez dłuższą chwilę obserwował go w milczeniu. Wreszcie oderwał wzrok i podszedł do konia.

— Czego Siren od nas chciał? — zapytał Bram.

— Nie mam pojęcia — odpowiedział Lisiecki, wyjmując nóż myśliwski z pochwy. Na oczach zaskoczonych Brama zaczęła odcinać kolejne pakunki z rzeczami, które należały do Holendra.

— Co robisz?!

Lisiecki zrzucił z konia ostatni ładunek, szepnął coś do dziewczynki i schował nóż. Zwrócił się w stronę Holendra i przejechał językiem po spierzchniętych wargach.

— Nie idziesz dalej nami — oznajmił.

Brama zamurowało i przez kilka sekund po prostu nie wiedział, co ma odpowiedzieć.

— Przecież zawarliśmy umowę. Obiecałeś, że zaprowadzisz mnie do bunkra.

— Kłamałem.

Holender mrugnął dwa razy, aż nagle do niego dotarło.

— Wiedziałeś, że za nami pójdą — powiedział, wskazując na ciała.

— Nie.

— W takim razie wiedziałeś, że Siren kogoś za nami pošle.

Polak przez moment zastanawiał się nad odpowiedzią.

— Tak — przyznał wreszcie.

— Dlaczego? Co takiego zrobiłem Sirenowi, że chce mnie zabić? A może chce zabić ciebie?

O co tu chodzi?!

Myśliwy wzruszył ramionami i zrobił dwa kroki w stronę Holendra.

— Słuchaj, Bram. Wtedy, kiedy mnie zaczepiłeś w Kaźni, powiedziałem wyraźnie, żebyś znalazł kogoś innego. Nie chciałeś mnie słuchać. A ja... No cóż. We dwóch mieliśmy większe szanse obronić się przed siepaczami Sirena. Kogokolwiek by nasłał.

— A więc chodziło o ciebie, prawda? Wykorzystałeś mnie.

— Ujmę to tak, Holendrze. Uratowałem ci życie, kiedy powalił cię zlebodźwiedz. Teraz ty mi pomogłeś. Powiedzmy, że jesteśmy kwita.

Stali naprzeciwko siebie. Bram z ogniem w oczach i zaciśniętymi pięściami, Polak spokojny, ale czujny, gotowy w każdej chwili do obrony. Dłoń trzymał blisko rękojeści noża. Nagle uśmiechnął się lekko, obrócił na pięcie i ruszył do konia. Zaczął przekładać pozostałe pakunki na grzbiecie zwierzęcia tak, żeby ciężar był równomiernie rozłożony. Kiedy skończył,

odwiązał uzdę od drzewa.

— Miałeś mi pomóc odnaleźć bunkier — powtórzył Bram.

Polak przystanął.

— Bram... — przerwał, żeby zapalić trzymanego w zębach papierosa — wracaj do Kaźni, do Savy. Im prędzej tym lepiej. Zanim Siren zorientuje się, co się stało z jego ludźmi. Za resztę bonów kup szybkiego konia i pędź ile sił do Nowej Holandii, Bramy Północy czy innego miasta, gdzie żyje twój mocodawca. To nie jest miejsce dla ciebie. Uciekaj, a może ocalisz życie.

— Bunkier...

— Ten bunkier nie istnieje! — wrzasnął Lisiecki — Nie istnieje, rozumiesz?

— Mówiłeś, że...

— Kłamałem, żebyś poszedł ze mną. Nie wiem, dlaczego szukasz tego bunkra i co się spodziewasz w nim znaleźć, ale wiedz, że on nie istnieje. I nigdy nie istniał. Walczyłem w obu wojnach, zostałem tutaj, kiedy ziemia była jeszcze mokra od krwi zamordowanych przez Korporację, a ze wsi i miast zostały tylko zgliszcza. Znam tę krainę lepiej niż ktokolwiek inny i wierz mi Bram, nigdy nie było żadnego bunkra. Ktoś cię oszukał.

Holender zachwiał się i poczuł, że opuszczają go siły. Przełknął ślinę.

— Nie idź za nami — przestrzegł go Polak — Nie próbuj nas śledzić. I posłuchaj dobrej rady. Uciekaj stąd. Uciekaj, nim będzie dla ciebie za późno.

Chwycił mocniej uzdę i poprowadził konia drogą w stronę Saint Paris. Holender obserwował go bez ruchu, aż myśliwy z dziewczynką nie znikli wśród szaro-brunatnych pni drzew.

*

Najpierw odpoczywał. Potrzebował chwili dla siebie, żeby odsapnąć, ocenić sytuację i wymyślić plan działania. Nie potrafił się zdecydować czy powinien wracać do Kaźni i ryzykować spotkanie z Sirenem, czy samotnie udać się do Saint Paris. Jednego był pewien, nie będzie uciekał. A przynajmniej, dodał zaraz w myślach, jeszcze nie.

Po odpoczynku zabrał się za przygotowania do drogi. Przepakował rzeczy tak, żeby mógł je wygodnie nieść w plecaku. Część się nie mieściła, więc ostrożnie ocenił, co powinien ze sobą wziąć, a co zostawić. W pierwszej grupie przedmiotów znalazła się broń, amunicja, większa część żywności, woda, bandaż, stara pałatka, pieniądze i ubrania na zmianę. W drugiej: liny, większość ubrań, pochodnie. Plecak położył pod drzewem, a resztę przedmiotów ukrył tam, gdzie poprzednio schował dziewczynkę. Liczył, że kiedyś będzie miał okazję po nie wrócić.

Wreszcie zabrał się za chowanie zmarłych. Nie potrafił zostawić ciał tam, gdzie leżały.

Wcześniej przeszukał napastników. Znalazł tylko kilka zawieruszonych po kieszeniach naboju, trzy pomięte bony żywnościowe i trzy niewielkie grudki żywmetal. Sprawdził też porzuconą strzelbę, ale ta do niczego się nie nadawała. Lufa była lekko skrzywiona, co niemalże uniemożliwiało celowanie. Cały mechanizm pokrywała rdza i Bram obawiał się, że po naciśnięciu spustu broń wybuchnie mu w rękach.

Wykopał trzy płytkie groby w twardej, skalistej ziemi. Nie znał zwyczajów pogrzebowych Rumunów, nie orientował się też, w jakich konkretnie bogów wierzą, jeśli wierzą w jakichkolwiek. Złożył więc po prostu ciała do dołów i przysypał ziemią oraz kamieniami. Zajęło mu to wszystko dobre kilka godzin.

Kiedy skończył, dostrzegł, że ktoś wchodzi do wąwozu. Miał dość czasu, żeby przypasać szablę i wziąć karabin. Schował się za upatrzonym wcześniej, grubym drzewem o solidnym, mocnym pniu. Nie po to, żeby się ukryć, ale po to, żeby mieć osłonę w razie ewentualnego

starcia.

Osoba, która weszła do wąwozu na chwilę znikła mu z oczu, żeby zaraz wyłonić się zza załomu. Bram zmrużył oczy, żeby przyjrzeć się jej dokładnie i wtedy z jego ust wydobyło się pełne zaskoczenia jęknięcie.

— Możesz przestać się chować za tym drzewem! Widzę cię! — krzyknęła w jego kierunku

Ellen.

Dziewczyna była ubrana w prosty, ale praktyczny męski strój myśliwski z kapturem, który teraz miała zarzucony na plecy. Nie niosła broni, jeśli nie liczyć długich noży przypiętych u pasa i potężnej lagi, którą się podpierała podczas marszu.

Bram po chwili zastanowienia wyszedł zza pnia, ale wciąż zachowywał bezpieczną odległość od dziewczyny.

— Ellen. Co tu robisz?

— Gdzie jest Lisiecki? — odpowiedziała pytaniem.

— Ja byłem pierwszy. Co tu robisz?

Nie odpowiedziała, zamiast tego uważnie przyjrzała się śladom krwi i brudom wyłobionym w ziemi, które powstały, kiedy Bram ciągnął ciała do grobów.

— Napadli was — stwierdziła — Pewnie ludzie Sirena, co?

— Skąd wiesz?

Splunęła.

— Tego skurwiela zawsze najpierw podejrzewam.

— Co tu robisz?

— A gdzie jest Lisiecki?

Westchnął ciężko.

— Zostawił mnie. Pojechał sam z dziewczynką.

— Ale żyje?

— Żyje.

— To dobrze.

— Powiesz mi wreszcie, co tu robisz? — zapytał gniewnie.

Ellen spojrzała na niego zdumiona, jakby nie rozumiała, dlaczego się zdenerwował.

— Poszłam za wami. Miałam nadzieję, że was dogonię szybciej, ale miałam drobne problemy z wymknięciem się z miasta. Sava nigdy by mnie nie puściła bez zadawania zbyt dużej ilości pytań, na które ja z kolei nie mam ochoty odpowiadać. Ty też — wskazała Brama palcem

— lubisz zadawać pytania, co?

— Taki ciekawski ze mnie Holender — odpowiedział zgryźliwie. — Po co poszłaś za nami?

— Bo chcę ci pomóc, Bramie van der Hagenhooper!

Wzdrygnął się słysząc swoje prawdziwe imię i nazwisko, a ona roześmiała się głośno.

— Ojej! Naprawdę sądziłeś, że Sava nikomu nic nie zdradzi! Ona nie potrafi utrzymać języka za zębami. Szczególnie w stosunku do osób, które nie potrafią utrzymać języka z dala od jej cipki.

— Powiedziała ci?

— Wszystko. Kim jesteś, kto cię wysłał, czego naprawdę szukasz i to, jak ją dymałeś.

Wyszczrzyła zęby w drapieżnym uśmiechu.

— Muszę ci wyznać Bramie — kontynuowała — że była trochę rozczarowana.

Spodziewała się po tobie o wiele więcej. A ten orgazm, wierz mi, że go udawała. Kiedy przeżywa prawdziwy, krzyczy inaczej. Bardziej z brzucha.

- Czego chcesz?
- Słyszałeś przecież, pomóc ci odnaleźć ten miecz.
- Dlaczego?
- A tego dowiesz się we właściwym czasie.

Bram oparł się ramieniem o drzewo. Nie rozumiał tej dziewczyny. Nie wiedział kim jest, czego właściwie chce i dlaczego opuściła Kaźń. Ona zaś zachowywała się tak, jakby to wszystko powinno być dla każdego oczywiste.

- Niby jak mi możesz pomóc? Wiesz, gdzie jest ten bunkier?
- Nie — przyznała szczerze — Ale znam ludzi, którzy mogą wiedzieć.
- Mogą? Tylko tyle?
- A czego się spodziewałeś, Bram? — zapytała szyderczo — Poszukiwacze przekopali tą ziemię w jedną i drugą stronę. Jeśli oni nie znaleźli tego bunkra, to musi być naprawdę, ale to naprawdę dobrze ukryty.

Kiwnął głową na znak, że rozumie.

- A dlaczego miałbym ci zaufać, Ellen?
- Bo nie masz wyjścia, Holendrze. Lisiecki cię opuścił, a sam w tych lasach nie dasz sobie rady.
- Dawałem sobie radę w Nowej Holandii.
- Czy w Nowej Holandii są chudzielce?
- Nie.
- Sam widzisz. Tutaj wystarczy, że zmrużysz na chwilę oczy, a obudzisz się, bo jeden z tych skurwieli zacznie obgryzać ci nogę.

— Nie boję się chudzielców — powiedział, chociaż nie do końca orientował się, o czym dziewczyna dokładnie mówi. Żałował, że przed wyruszeniem w drogę nie miał dostępu do pełnych raportów wywiadowczych. To, co udało mu się zdobyć, to były ledwie strzępy informacji na temat Kaźni, jej mieszkańców i terytorium dawnego Księstwa. I coraz boleśniej to odczuwał. Cud, że w ogóle udało mu się dostać kontakt do Savy i wysłać jej wcześniej wiadomość.

- A boisz się Sirena? Bo on ci tego — zatoczył dłonią szeroki krąg — nie daruje.
- Jest aż tak groźny?
- Wiesz, Holendrze — odpowiedziała po chwili skupienia — wolałabym stanąć z nożem, nie z patykiem, przeciwko dwunastu... nie, dwudziestu chudzielcom niż przeciwko jednemu Sirenowi. Nawet jeśli on też będzie miał tylko patyk.

Holender najpierw zmarszczył brwi, a potem uśmiechnął się szeroko.

- Chyba trochę przesadzasz Ellen, co?
- Trochę. Ale i tak się boję tego skurwiela. I ty też powinieneś — odpowiedziała śmiertelnie poważnie.

Bram westchnął cicho. Założył trzymany do tej pory karabin w dłoniach na ramię i podszedł do bagaży. Wyciągnął z plecaka manierkę i wypił kilka łyków cudownie chłodnej wody.

- Możesz... — zaczęła Ellen.
- Wiem, wiem — przerwał jej — Mogę wracać do Kaźni, gdzie dorwie mnie Siren, uciekać stąd albo iść z tobą, co? To chciałaś powiedzieć? Ale Lisiecki już mnie oszukał, dlaczego tobie miałbym wierzyć?

Pomyślał, że każdy rozsądny człowiek zrezygnowałby z misji i wrócił z podkulonym ogonem. Każdy rozsądny, ale nie on. Jeśli istniał choć cień szansy na odnalezienie miecza, musiał spróbować. Nie dla siebie, ale dla Nowej Holandii. Jeśli nie chcieli stać się ofiarą

kolejnego „agresywnego przejęcia” Korporacji, pomiędzy dwoma państwami musiało się znaleźć coś więcej niż tylko banda poszukiwaczy. Najlepiej, żeby to była silna armia na czele z władcą, który wie, ile zawdzięcza Bramowi.

Ellen spuściła wzrok i podeszła do niego nieśmiało. Kiedy podniosła głowę, z jej twarzy zniknął zwykły wyraz szyderstwa, a pojawiła się obawa. Bram ze zdziwieniem stwierdził, że Ellen jest ładna. Blizna ją szpeciła, ale miała delikatną, białą skórę, pełne usta i piękne chabrowe oczy, w których można było zatonać. Najpierw poczuł jej oddech na swoim policzku, a potem szybsze bicie własnego serca.

— Potrzebuję cię, Bram — szepnęła — Nie mogę ci jeszcze powiedzieć dlaczego, ale potrzebuję cię.

— Ja...

— Tak długo na ciebie czekałam.

Sam nie wiedział, kiedy zaczął ją całować.

Początkowo wędrowali drogą do Saint Paris, ale zanim doszli do osady, odbili mniejszą ścieżką na zachód. Bram próbował protestować, wciąż mając nadzieję, że w wiosce dogonią Lisieckiego.

— Jeśli poszedł na Saint Paris, to tylko dlatego, że chciał, żebyś myślał, że tam właśnie się udał — wyjaśniła Ellen — Na pewno zszedł ze szlaku po dwóch, trzech kilometrach.

— Znajdziemy go?

— Przecież go nie szukamy — odpowiedziała mu i uśmiechnęła się szeroko.

Miała piękny, biały, pełen wdzięku uśmiech. Bram nie potrafił zrozumieć, w jaki sposób jedna blizna potrafiła zasłonić mu całą jej urodę.

Zmrok zapadł po kilku godzinach marszu po trudnym, kamienistym terenie pełnym wzniesień, wzgórz i skał, które omijała licha, słabo wydeptana droga. W ciemności, którą rozrzedzał tylko mdły blask księżyca, szli jeszcze przez kilkanaście, kilkadziesiąt minut, aż Ellen w pewnej chwili po prostu zeszła ze szlaku. Bram, zbyt już zmęczony, żeby się zdziwić lub cokolwiek powiedzieć, podążył za nią.

Dziewczyna kręciła się w kółko, podchodząc to do jednego głazu, to do drugiego, aż w końcu znalazła potężny buk, który rósł na skraju niewielkiego, podłużnego rowu. Ellen wskoczył do środka, podeszła do jednego z brzegów i na klęczkach zaczęła odgarniać liście i ziemię.

Holender z ulgą zrzucił plecak z ramion i skoczył jej pomóc. Wkrótce dokopali się do desek, które okazały się klapą wejściową. Ellen szarpnęła nią, odwaliła na bok i znikła we wnętrzu ciemnej jamy.

— Przynieś rzeczy — rozkazała ze środka.

Bram posłusznie poszedł po bagaże. Kiedy wrócił, paląca się słabo stara, zakurzona lampa karbidowa oświetlała wnętrze niewielkiej ziemianki. Znajdowały się tam cztery posłania, jeśli można tak było nazwać kupę zatechłych i wilgotnych szmat, jeden niski stoliczek oraz półka, na której leżały butelka z wódką, paczka zapalek, koc i jeszcze jedna karbidówka. Było również malutkie palenisko, otoczone kamieniami. Uwagę zwracało wejście. Ktoś zadał sobie trud, żeby zabezpieczyć je budując kamienną, wzmocnianą cementem framugę. Dzięki temu po założeniu klapy można było ją zamknąć od środka za pomocą czterech solidnych, żelaznych skobli. I tak właśnie zrobiła Ellen, kiedy Bram kładł plecak na posłanie.

— Co to za miejsce? — zapytał Holender.

— Jedno ze schronień, które wybudowali partyzanci podczas pierwszej wojny z Korporacją — wyjaśniła dziewczyna — Teraz korzystają z niego niektórzy myśliwi i wędrowcy tacy jak my.

— A te skoble?

— Dla ochrony przed dzikimi zwierzętami. Dzięki temu żadne tutaj nie wejdzie, kiedy będziemy spali.

Bram sięgnął do plecaka. Wyciągnął manierkę z wodą, wypił spory łyk, a potem sięgnął po pół bochenka chleba i biały ser. Za pomocą noża podzielił porcję na pół. Jedną część oddał Ellen, drugą zostawił sobie. Usiedli naprzeciwko siebie na szmatach.

— Może zrobimy sobie coś ciepłego? — zapytał Bram i wskazał na palenisko.

Ellen pokręciła przecząco głową, równocześnie przełykając kęs sera.

— Lepiej nie.

Było coś w jej głosie, niewypowiedziana obawa, co sprawiło, że Holender wolał się nie upierać przy swoim pomysłe.

— Gdzie właściwie mnie prowadzisz? — zapytał.

— Musisz wiedzieć?

— Wolałbym.

— Jakieś pół dnia drogi stąd znajduje się niewielka osada Davestadt. Chociaż to *stadt* jest bardzo mocno naciągane. To ledwie kilka chałup, otoczonych lichym ostrokołem. Kiedy nadchodzi większe niebezpieczeństwo, mieszkańcy uciekają do Kaźni. Burza przechodzi, a oni wracają do swoich domostw, odbudowują je i żyją dalej.

— Czemu właśnie tam idziemy?

Ellen oderwała kawałek chleba, włożyła go do ust i długo, uważnie żuła.

— Znam tam rodzinę myśliwych. Głową jest tam starzec, nazywa się Gustav Handke. Kiedy był młodszy znał te tereny niemal tak dobrze jak Lisiecki. Ale kilka lat temu w starciu z chudzielcem stracił nogę. Teraz tylko siedzi w domu i czeka na śmierć.

— I to on miałby nam pomóc?

Przytknęła.

— Podczas pierwszej wojny był jednym z adiutantów księcia. I jako jeden z nielicznych ocalał z rzezi Kuźni — wyjaśniła — Jeśli ktokolwiek wie coś o tym bunkrze, to musi być on.

Skończyli jeść. Ellen uważnie wybrała okruszki, które spadły na ziemię, zawinęła je w chustkę i schowała do kieszeni. Holender sprawdził karabin i położył razem z szablą nad zajmowanym przez siebie posłaniem. Dziewczyna ściągnęła koc z półki, zawinęła się w niego i zgasiła karbidówkę. Bram usłyszał jeszcze, jak Ellen kładzie się na posłaniu obok. Leżeli przez chwilę w zupełnej ciemności, a z zewnątrz dochodził ich posępny szum drzew.

— Zimno jest — szepnął.

Nie odpowiedziała.

— Zimno jest — powtórzył.

— To prawda — przyznała.

— Może położę się obok ciebie? Będzie nam ciepłej.

— To dobry pomysł.

Ostrożnie, macając drogę przed sobą, przeszedł na posłanie dziewczyny i schował się pod kocem. Położył dłoń na jej brzuchu, skrytym pod warstwą ubrań, a jego palce same znalazły drogę do nagiej, delikatnej jak jedwab skóry. Zbliżył wargi do jej szyi i złożył na niej pocałunek.

Wtulił twarz w krótkie włosy Ellen i pomyślał, że pachną pulchną, mokrą ziemią, zroszoną pierwszym, jesiennym deszczem. To był dobry zapach. Bardzo miły.

A potem zasnął.

Rozdział 5. W niewoli

Obudził go ruch, zmieniony oddech Ellen lub dziwny dźwięk na zewnątrz. Otworzył oczy

i spadła na niego ciemność. W pierwszej chwili nie wiedział, gdzie jest ani co się z nim dzieje.

Dopiero palce dziewczyny na jego karku przywróciły go do rzeczywistości. Wierzchem dłoni przetarł powieki.

— Ktoś jest na dworze — szepnęła.

I jakby na potwierdzenie jej słów, ktoś, a może coś przejechało pazurami po drewnianej klapie.

— Kto to?

— Nie wiem. Nic dobrego.

Przeturlał się na swoje miejsce. Sięgnął po karabin. Odbezpieczył broń. Ellen musiała usłyszeć szcęk zamka, bo zaraz doszedł do niego jej szept.

— Weź szablę. Żadnej broni palnej. Huk ściągnie innych.

Zrobił to, co kazała. Kiedy brał ostrze w dłonie, poczuł jak po rękojęści przechodzi uspokajające drżenie.

— Będę pilnować prawej, a ty lewej — szepnęła Ellen.

Na zewnątrz rozległ się długi, przeciągły, piskliwy jęk, ociekający tłumioną wściekłością i dzikim pragnieniem. Bramowi kojarzył się ze skowytem zgrai dzikich psów, które po dniach głodu rzucają się na upragnioną zdobycz.

Po pierwszym jęku rozległ się drugi, trochę dalszy.

— Chudzielce — wymruczała dziewczyna.

Potwór przejechał pazurami po klapie po raz kolejny i wydał z siebie skrzek. Nagle z całych swoich sił szarpnął nią, aż jęknęły deski. Skoble poruszyły się, ale pozostały w miejscu.

Szabla w dłoni Brama dodała mu otuchy, ale równocześnie trwała w doskonałym opanowaniu. Holender zawsze cenił swoje ostrze. Uważał, że pragnie ono zwycięstwa, ale nie krwi.

Chudzielec znowu chwycił za klapę, ale tym razem z mniejszą mocą i niewielkim zapalem.

Gdzieś z dala rozległo się monotonne wycie. Potwór odpowiedział mu niechętnie.

Uderzył jeszcze raz w klapę, a potem już go nie słyszeli.

Trwali w bezruchu, oboje z gotową do użycia bronią w dłoniach. Nie odzywali się do siebie, bojąc się, że jakikolwiek dźwięk może zwrócić uwagę chudzielców. Wreszcie Ellen podeszła cicho do klapy i zajrzała na zewnątrz przez cienką szparę pomiędzy deskami.

— Chyba poszły — szepnęła i wróciła na swoje miejsce.

Bram dopiero teraz poczuł, że cały spływa potem. Włosy miał całkowicie mokre, a koszula przywierała mu do pleców. Szabla w jego dłoni zmieniła się w zwykły kawałek stali.

— Co teraz? — zapytał.

— Musimy czekać na świt. Zwykle żerują w nocy.

— Chudzielce?

— Tak. Chudzielce.

Wypuścił z cichym świstem powietrze z płuc i usłyszał, że dziewczyna zachichotała nerwowo.

— Mówiłam ci, Holendrze, że te lasy są niebezpieczne.

*

Poczucie nieobecności Ellen uderzyło w Savę niespodziewanie, jak gwałtowna eksplozja pustki. Jej brak stał się namacalny, bolesny, niczym ssanie umęczonego z głodu żołądka. Pokonać go mógł tylko ciepły oddech na nagich plecach, pieszczota palcami u stóp, które

zsuwają się łagodnym ruchem po łydce, zapach potu po spełnieniu i wypukłość biegnącej wzdłuż twarzy blizny.

Przez większość życia uważała, że to uczucie samotności, osamotnienia definiuje ją najlepiej i najpełniej. Wydawało jej się, że tak było i zawsze będzie. W dzieciństwie, w Bramie Północy, gdzie nie знаła ojca, jej rodzeństwo umierało jedno po drugim, a matka, pachnąca ługiem i otumaniona marzyzielem ledwo potrafiła zwlec się z łóżka, żeby swoimi spracowanymi, czerwonymi, popękkanymi dłońmi wyprać kolejną balię brudnych, śmierdzących ubrań; kiedy dorastała i ten mężczyzna, którego twarzy teraz nawet nie pamiętała, chwycił ją za włosy, kazał otworzyć usta i przycisnął mocno do swojego krocza, a kiedy skończył, zostawił jej tylko połowę tego, co obiecał; nawet wtedy, kiedy wyruszyła do Kaźni uzbrojona w jeden tępy nóż oraz zapas determinacji i odwagi, których sama po sobie się nie spodziewała, a które pozwoliły jej wyrąbać w tej dzikiej krainie własne miejsce; zawsze była sama. Aż do momentu, kiedy w jej życiu pojawiła się Ellen.

Po nocy spędzonej z Bramem była zła. Nie powinna tego robić, nie powinna pakować mu się do łóżka, nie powinna korzyć się przed nim w ten sposób, jakby był panem i władcą jej życia.

Wstręt, ten najgorszy jego rodzaj, bo odnoszący się do samej siebie, przepełniał ją. Ale potem przyszły długie godziny wspólnej rozkoszy z Ellen, a Sava na przemian płakała i krzyczała, kiedy przez każdą komórkę jej ciała przechodziła fala kolejnego orgazmu. I wstręt, chociaż nie zniknął, stał się mniej dotkliwy, przykryty dywanem ognistych pocałunków.

A teraz Ellen nie było. Sava nie słyszała jej głosu, nie czuła zapachu. Wstręt narastał, a za nim czaiła się samotność, teraz straszniejsza niż kiedykolwiek. Żadna zemsta za to, że Sava miała czelność usunąć ją ze swojego życia.

Ellen znikła rankiem, nic nikomu nie mówiąc ani nie wspominając, kiedy zamierza wrócić.

W tym nie było jeszcze niczego dziwnego. Dziewczyna miała zwyczaj wychodzić nie wiadomo gdzie na kilka, czasami nawet kilkanaście godzin, bez słowa wyjaśnienia, ale zawsze wracała na noc do hotelu, wiedząc że jest tu potrzebna. Stado pijanych i żądnych dziwek poszukiwaczy z dziwnego, nie do końca dla Savy zrozumiałego powodu czuło większy respekt przed jej nożami niż przed wiekowym obrzynem Micka i pałkami wynajętych osiłków, z których zresztą żaden nigdy nie zagrzał długo w hotelu miejsca. Jeśli zaś wyjeżdżała na dłużej, dwa lub więcej dni, (co zdarzało się rzadko, ale się zdarzało) zawsze wcześniej uprzedzała Savę, tak że ta mogła zatrudnić dodatkowych ludzi do ochrony. Zniknięcie na całą noc było niepokojące i nie w jej stylu.

Sava skończyła podliczać księgi i dopiła resztkę cienkiej, zbożowej kawy. Podeszła do lustra i upewniła się, że dobrze wygląda. Na wszelki wypadek przeczesła raz jeszcze włosy i spięła je srebrną, zdobioną turkusami spinką. Odpowiedni strój i makijaż były podstawą jej sukcesu.

Musiała z jednej strony wzbudzać respekt, a z drugiej pożądanie, które potem klienci kierowali w stronę dziwek. Sava była pewna, że niejeden z poszukiwaczy, który zabawiał się z jedną dziewczyną, przymykał oczy i wyobrażał sobie, że bierze właścicielkę przybytku, a nie jej marną pracownicę, którą przed nim miało dziesiątki innych, a za drzwiami w kolejce czekało kilku następnych. Ta niedostępność, połączona z plotkami o jej romansie z Ellen — plotkami, które niejednokrotnie sama wzbogacała o pikantne szczegóły, rozbudzała zmysły. Sava była marzeniem, nigdy nie zaspokojonym pragnieniem. Bardzo jej ta rola odpowiadała.

Kastet na wszelki wypadek schowała do wszytej z boku kieszeni sukni, podczas gdy po drugiej stronie ukryte miała niewielkie, ale ostre jak brzytwa ostrze. W Bramie Północy nauczyła się posługiwać nożem w ulicznych bójkach, ale to dopiero Ellen pokazała jej, jak za pomocą

takiego maleństwa pozbawić przeciwnika życia w góra trzech, a najczęściej jednym, oszczędnym ruchu.

Zeszła na dół, mijając na schodach dziwki, które ciągnęły do pokoju swoich ogłupiałych z lubieżności klientów, i zanurzyła się w śmierdzącym marzyzielem, tytoniem i alkoholem tłumie.

Brodaty poszukiwacz w brudnym kapeluszu i z kuflem piwa w dłoni wpadł na nią, a potem natychmiast skłonił się dworsko w przesadnym geście przeprosin, zrzucając przy okazji swoje nakrycie głowy na ziemię. Uśmiechnęła się do niego chłodno, ale to wystarczyło, żeby oczy zaświeciły mu się z radości, jakby właśnie dokopał się do nowej żyły.

Reszta klientów posłusznie usuwała się jej z drogi, kiedy torowała sobie przejście do baru niczym burzowa chmura. Machnęła dłonią do Micka. Barman skończył nalewać kolejkę trzem obdartym, bezzębnym mężczyznom, którzy zapłacili mu kładąc na ladzie grudkę żywego metalu i podbiegł do swojej pracodawczyni.

— Gdzie jest Ellen? — zapytała chrapliwie.

Zmarszczył brwi, a potem wyciągnął głowę w górę, rozglądając się po całej sali.

— Nie ma jej? — powiedział z niedowierzaniem.

— Oczywiście, że jej nie ma — warknęła.

Zbladł lekko i raz jeszcze obrzucił spojrzeniem tłum poszukiwaczy.

— Sava, przepraszam. Osadnicy z Kleeve zwalili się dzisiaj do miasta i mamy tu taki zapierdol, że dziewczyny będą miały na udach otarcia do gołego ciała. Doktorek będzie miał z nimi pełne ręce roboty.

— Nic mnie to obchodzi.

Zagryzła mocno wargę. Mocniej niż się spodziewała, bo aż skrzywiła się z bólu.

— Zostaw bar — zdecydowała.

— Ale młody...

— Młody sobie poradzi. Niech weźmie w razie czego którąś z dziewczyn do pomocy. Ty masz się rozpytać, gdzie do cholery jest Ellen. Zrozumiałeś? — powiedziała głosem nieznośnym sprzeciwu.

Mick posłusznie kiwnął głową i gwizdnął na pomagającego mu przy barze wysokiego, chudego jak szczapa chłopaka. Szepnął mu coś na ucho i klepnął w plecy, a potem wyszedł z za baru. Sava kazała nalać sobie wódki, wypić ją szybko, rozkoszując się mdłym ciepłem, które rozlało się falą w jej żołądku i wróciła do siebie na górę.

Barman pojawił się po mniej więcej półgodzinie. Przyproceedził ze sobą Delphine — młodzieńką, przysadzistą Francuzkę z brązowymi, wiecznie tłustymi włosami, nierównymi zębami i twarzą pokrytą piegami. Dziewczyna nie była zbyt popularna, ale miała grono wiernych klientów, którzy z jakiegoś powodu lubili jej absolutny brak entuzjazmu do wykonywanej pracy oraz spojrzenie skrzywdzonego cielęcia.

Mick postawił Delphine przed biurkiem i lekko pchnął ją w stronę siedzącej po drugiej stronie Savy.

— Mów to, co mi powiedziałaś — mruknął i stanął z boku, na drodze do drzwi.

Skrzyżował ręce, chrząknął zbierając flegmę, ale kiedy miał splunąć, zauważył minę Savy, więc zamiast tego ją przełknął.

Tymczasem Delphine przestępowała z nogi na nogę, niepewna jak ma się zachować i co właściwie powiedzieć. Mrugała nerwowo jakby miała nadzieję, że kolejne mrugnięcie w magiczny sposób przeniesie ją w cudowną krainę pełną zielonych łąk, jednorożców i szynki rosnącej na drzewach.

— Mów, dziewczyno! — wrzasnęła Sava.

Delphine sapnęła przestraszona.

— Ten... Ja widziałam Ellen dzisiaj rano, madame — zaczęła.

— I co?

— Miała noże, strój podróżny, plecak. To mnie zdziwiło, bo nie słyszałam, że miała się gdzieś wybierać.

— Spytałaś ją, gdzie idzie?

— Tak, madame.

— I co odpowiedziała?

— Żeby nie wtykała nosa w nie swoje sprawy, bo mi go obetnie. A potem wyciągnęła jeden ze swoich noży i podsunęła mi go pod policzek.

Sava mimowolnie uśmiechnęła się pod nosem. Ellen zwykle była bardzo miła dla dziewczyn, pomagała im w drobnych sprawunkach i pilnowała, żeby nikt im nie zrobił krzywdy, ale jeśli któraś wchodziła jej w drogę, nie patyczkowała się.

— Co było dalej?

— Dalej to mnie zapytała, czy wiem, kiedy wyszedł pan Holender z panem Lisieckim, madame.

Sava drgnęła na krześle. Nachyliła się w stronę Francuzki.

— Dlaczego miałyby cię o nich pytać?

— Nie wiem, madame. Ale dla mnie to wyglądało tak, jakby Ellen miała zamiar ich gonić, madame.

Sava z trudem zachowała kamienną twarz. Delphine wydawała się mówić szczerze, ale dlaczego Ellen miałyby gonić Brama z Lisieckim? To nie miało sensu. Poczula uścisk podejrzania w sercu. Bardzo nieprzyjemny i bardzo zimny.

— Dlaczego mi tego wcześniej nie powiedziałaś? — zapytała.

Delphine zerknęła przestraszona na Micka, który ciągle stał obok z założonymi rękoma i obojętnie patrzył w przestrzeń tuż obok biurka. Słusznie założył, że najrozsądniejszą dla niego strategią będzie udawanie, że w ogóle go nie ma w tym pomieszczeniu.

— Nie wiedziałam, że powinnam, madame.

Sava pokręciła z dezaprobatą głową.

— To cię nie tłumaczy, Delphine. Ani trochę cię nie tłumaczy.

Otworzyła szufladę biurka i wyjęła z niej długą, cienką dyscyplinę. Cielęce oczy Francuzki rozszerzyły się jeszcze bardziej niż zazwyczaj.

— Nie zrobiłam nic złego — szepnęła.

— O tym ja zadecyduję — powiedziała Sava.

Delphine nie czekała na ciąg dalszy. Rzuciła się do ucieczki. Ale nim zdążyła osiągnąć drzwi, za włosy i koszulę chwycił ją Mick. Barman rzucił dziewczynę na ścianę i przygniótł.

Chwilę się szamotali, ale Mick uderzył Francuzkę w brzuch, a potem wykręcił rękę tak mocno, że niemal wyłamał jej bark.

— Na biurko — rozkazała Sava.

Barman przeciągnął Francuzkę i przelożył przez mebel. Jednym szybkim ruchem zarzucił jej spódnice na plecy, ukazując blade pośladki. Sava wzięła zamach i uderzyła. Dziewczyna wrzasnęła z bólu. Sava obserwowała, jak na skórze pojawia się czerwona pręga. Uderzyła jeszcze raz, a potem kolejny. Za czwartym razem po udach bitej spłynęła żółtawa strużka moczu. Przy kolejnych uderzeniach dziewczyna już nie krzyczała. Płakała tylko i mamrotała coś niewyraźnie, z ustami pełnymi śliny i łez.

Kiedy Sava skończyła, rzuciła dyscyplinę na biurko i kazał dziewczynie się wynosić.

Delphine ledwo utrzymywała się na nogach, więc Mick musiał ją wypchnąć. Wrócił po chwili z butelką wódki, którą postawił przed szefową.

— Mogę coś jeszcze zrobić?

Pokręciła przecząco głową. Mick lekko się skłonił i ruszył do wyjścia. Zatrzymała go dopiero wtedy, kiedy przekraczał próg.

— Przynieś mi trochę marzyziela — poprosiła.

Barman zamknął za sobą drzwi i zostawił ją samą.

*

Strumień przypominał strugę roztopionego srebra, krążącą wśród kamieni i grubych brył lodu, pamiątek po niedawnej zimie. Bram położył karabin w zasięgu ręki i zaczął napełniać manierki. Nocne wydarzenia sprawiły, że bał się chodzić bez broni. Z samego rana, kiedy jeszcze sen sklejał mu powieki, a rozgorączkowany umysł miał problem, żeby odróżnić jawę od snu wydawało mu się, że mroczne, drapieżne kształty czają się za każdą skałą i każdym drzewem.

Skończył napełniać pierwszą manierkę i zabrał się za kolejną. Rozkoszował się dotykiem lodowatej, orzeźwiającej strugi i pomyślał, że woda jest w tej krainie jedyną rzeczą, która nie pachnie śmiercią.

Zakręcił bukłak i odłożył go na ziemię. Sprawdził, czy karabin leży na swoim miejscu i czy szybko może do niego sięgnąć. Potem ściągnął koszulę. Umył pachy, klatkę piersiową i wreszcie obmył twarz w strumieniu. Pod palcami poczuł twardy zarost i stwierdził, że powinien się ogolić.

Założył koszulę, podniósł manierki i karabin, i nagle zamarł. Jakieś trzysta, czterysta metrów od niego, tam gdzie ledwo widoczny trakt wchodził w łagodny zakręt za zbitym bukowym zagajnikiem, wyłoniła się grupka czterech lub pięciu jeźdźców. O ile Holender mógł to ocenić z tej odległości, nie wyglądali na żołdaków Korporacji. Nie mieli jednorodnego umundurowania.

Ale, biorąc pod uwagę trudności z kupieniem konia w Kaźni, sam fakt pojawienia się ludzi z wierzchowcami budził niepokój. Do tego nie były to kuce czy zwierzęta pociągowe, ale konie bojowe, odważne i wielkie, które dobrze wyszkolone potrafiły kopnięciem zabić człowieka i nie bały się szarżować na ukryte za tarczami i pikami szeregi piechoty.

Strumień biegł zagłębieniem, więc była szansa, że jeźdźcy jeszcze nie dostrzegli Brama.

Holender dopadł do najbliższego drzewa, a potem chyłkiem pobiegł do ziemianki, gdzie Ellen właśnie kończyła przygotowywać posiłek. Mężczyzna klepnął ją w ramię.

— Na szlaku. Czterech, pięciu jeźdźców — szepnął.

Dziewczyna spojrzała na niego zaskoczona, a potem skinęła głową.

— Skąd przyjechali?

— Z północy. Chyba.

— Jak wyglądali?

— Duże konie, zielonkawe stroje.

Nim skończył mówić, usłyszeli rzenie konia. Bram przyłożył palec do ust i zaczął rozglądać się za dogodną pozycją strzelecką. Ziemianka wydawała się dobrym miejscem, gdzie można było bronić się przed chudzielcami, czymkolwiek te potwory były, ale jeśli tylko przeciwnik miał broń palną, zmieniała się w śmiertelną pułapkę.

Ellen tymczasem ostrożnie, czołgając się cicho, wdrapała się po zboczu wąwozu i zerknęła w stronę, skąd dochodziło rzenie. Przez chwilę zastygła w bezruchu, a potem zjechała do Brama.

— Wiesz, kto to? — zapytał.

— Nie.

Znowu rozległo się rżenie konia. Tym razem jakby bliżej. Bram odbezpieczył karabin i nagle poczuł ostrze noża na swojej grdyce.

— Lepiej, żebyś rzucił broń — szepnęła mu Ellen do ucha.

— Co ty robisz? — zapytał zdumiony.

Nacisk ostrza zwiększył się i po szyi Holendra spłynęła kropla krwi. Posłusznie wypuścił karabin z dłoni.

— Grzeczny chłopiec — pochwaliła go dziewczyna. — Tutaj! Tutaj! — krzyknęła.

Bram usłyszał jak jeźdźcy spinają konie i ruszają w ich stronę. Już chwilę później mógł im się dobrze przyjrzeć, kiedy podjechali do zbrocza wąwozu.

Było ich pięciu. Czterech mężczyzn i kobieta. Tylko dwóch z nich miało broń palną, stare, ale zadbane myśliwskie strzelby. Kobieta posługiwała się kuszą, a pozostali mieli tylko włócznie i miecze. Wszyscy nosili zielonkawe, maskujące stroje, spod których wystawały kawałki kolczugi. Na piersi wymalowano im czarnym barwnikiem kowadło z młotem, w których Bram z trudem rozpoznał dawny symbol księstwa Kuźni.

— Witaj, Ellen — odezwał się dowódca grupy. Był to ponadczterdziestoletni mężczyzna, o pociągłej twarzy, małych oczkach i orlim nosie. Długie brązowe włosy, przeplatane jednak pasemkami siwizny, opadały mu na ramiona.

— Joachim — powiedziała dziewczyna, nie spuszczając noża z gardła Brama.

Orlonosy kiwnął na dwóch mężczyzn z włóczniami i we trójkę zeszli z koni. Zeszli na dno wąwozu. Włócznicy mierzyli w Brama.

— Kto to jest? — zapytał Joachim.

— Holender.

Twarz Joachima rozjaśnił szeroki uśmiech, od którego Bramowi przeszły ciarki po plecach.

Domyślał się, z kim ma do czynienia. To musieli być ludzie Starego, ostatniego rycerza księcia Johanna, o którym wspominała Sava.

— To nie jest zwykły Holender — powiedziała Ellen — Przyjrzyj mu się.

Joachim zmrużył oczy. Długo i uważnie przyglądał się Bramowi.

— Nie znam go — powiedział.

— Jesteś pewien? Skup się, Joachim i pomyśl, kogo byś się tu najmniej spodziewał? A potem zastanów się, jak by wyglądał jego syn?

Rycerz podniósł dłoń do ust i podrapał się w zamyśleniu po brodzie.

— Nie! — jęknął nagle z niedowierzaniem.

— Tak — potwierdziła Ellen.

Joachim chwycił Brama za twarz i ścisnął. Trzymał go tak przez kilkanaście sekund, jakby chciał zmiażdżyć mu czaszkę.

— Masz oczy swojego zdradzieckiego ojca — warknął.

W tej samej chwili, kiedy Holender poczuł, że Ellen zdejmuje mu nóż z gardła, Joachim uderzył go w żołądek. Bram zgiął się w pół i padł na kolana.

— Jeden cios wystarczy — stwierdziła ostro dziewczyna.

Rycerz Starego zamarł ze wzniesioną pięścią.

— Co takiego?

— Słyszałeś. Jeden cios wystarczy.

— Powinniśmy tego gnoja powiesić na najbliższym drzewie!

— Na wieszanie przyjdzie czas. A teraz z tym tutaj chce porozmawiać Stary.

Joachim wahał się czy uderzyć, czy nie, ale wreszcie posłusznie opuścił pięść. Splunął na leżącego na ziemi Holendra.

— Ty wiesz lepiej, czego chce Stary — mruknął do Ellen — W końcu jesteś jego córką.

*

Najprzyjemniejsza jest ta chwila, ten krótki moment w czasie, kiedy sen splata się z jawą. Zawsze miała wtedy ulotne wrażenie, że jest w stanie przeniknąć przez maskę rzeczywistości i ujrzeć prawdziwe oblicze świata.

Najpierw uderzył w nią podmuch wiatru, a dopiero potem piekący ból na policzku. Poleciała w dół, wprost w miękkie objęcia materaca.

— Do niczego się nie nadaje, szefie — zadudnił głos nad jej głową.

Obróciła się do ściany, wtuliła twarz w kołdrę, która wciąż jeszcze pachniała nocami spędzonymi z Ellen. Uśmiechnęła się do szczęśliwych wspomnień, ale zaraz zachciało jej się płakać. Zacisnęła zęby na skrawku materiału.

— Do niczego się nie nadaje, szefie — powtórzył głos. — Czujesz jak tu śmierdzi marzyziem? Musiała tego wypalić całą skrzynkę.

— Posuń się. Spróbujemy tego.

Miękkie puknięcie wlało się do uszu Savy i w jej głowie eksplodowała chmura pluszu. To było nawet przyjemne. Nagle coś ostrego wbiło się w nozdrza kobiety, żeby powędrować wyżej, w górę, aż do mózgu. Chciała krzyknąć, ale udało się jej tylko stęknąć i drugi policzek zapiekł żywym ogniem.

Z trudem otworzyła oczy. Przed sobą ujrzała skupioną, pełną nienawiści twarz.

— Siren? — szepnęła i zorientowała się, że usta ma suche jak pieprz. Z trudem poruszała językiem, który zmienił się w drewniany kołek.

— Słyszysz mnie, Sava?

Kiwnęła głową.

— Nie... Nie powinienes... Skąd się tu wzięłeś, James?

— Przepraszam, Sava — jęknął trzeci głos.

Zmusiła się do tego, żeby podnieść się na łokciach. Przez moment głowa jej się chwiała, kiedy próbowała doprowadzić do tego, żeby obraz przed oczyma nabrał ostrości. Iwan, z maczetą w dłoni, stał przy otwartych drzwiach. Co chwila przez nie wyglądał, upewniając się, że nikt nie próbuje wtargnąć do pokoju. Siren nachylał się nad nią, a buteleczkę z solami trzeźwiącymi rzucił na podłogę. Miał na sobie swój brązowy, skórzany płaszcz i słynny pas z dwoma rewolwerami. Mick zaś leżał przy ścianie, tuż obok drzwi. Do brzucha przyciskał zwiniętą szmatę, spod której wypływała krew.

— Przepraszam... — wyjęczał — Nie dałem rady...

Chciała coś mu odpowiedzieć, ale jak na złość, wszystkie właściwie słowa schowały się przed nią, zanim zdążyła zdecydować, które ma wypowiedzieć.

— Skup się, Sava — powiedział szeryf i pstryknął palcami przed nosem kobiety — Mick leży tutaj z paskudną raną. Najprawdopodobniej wykrwawi się i umrze. Jedna z twoich dziwek, całkiem przytomnie, pobiegła po Carridana, który czeka już na dole ze swoją torbą. Ale ja go tutaj nie wpuszczę, Sava, dopóki nie usłyszę odpowiedzi na kilka pytań, rozumiesz? Im szybciej powiesz mi to, co chcę usłyszeć, tym większa szansa, że Mick przeżyje to nasze małe spotkanie.

Dotarło do ciebie?

— Tak.

Podjęła próbę, żeby usiąść na łóżku. Savie wydawało się, że ma nogi wykute z kamienia. Musiała przesunąć je rękoma, jakby była niepełnosprawna. Plecami oparła się o oparcie łóżka.

Nie była to zbyt wygodna pozycja, ale przynajmniej ogarniała spojrzeniem cały, kołyszący się pokój.

— Gdzie jest Holender? — zapytał Siren.

A więc chodziło o Brama, zdążyła pomyśleć. Przypomniała sobie, że Ellen z nim uciekła i natychmiast przed jej oczyma pojawiła się wizja gołej, wygiętej w łuk dziewczyny, za którą stoi Holender i bierze ją długimi, mocnymi pchnięciami. Ellen miała otwarte usta w niemym krzyku, bo rozkosz była tak potężna, że uniemożliwiała wydobyć głos z gardła. Jej małe, okaleczone piersi skakały to w przód, to w tył, w rytm ruchu bioder mężczyzny. Bram zaś stękał jak świnia i wymierzał dziewczynie klaps za klaps, aż na pośladkach kochanki pozostał czerwony, wyraźny odcisk jego dłoni.

Zrobiło się jej niedobrze. Musiała zasłonić usta dłonią, żeby się nie zwymiotować.

— Poszedł z Lisieckim.

Stęknęła.

— I z Ellen — dodała po chwili. Zdała sobie sprawę, że po raz pierwszy wymawiając to imię czuła nie błogość, a lodowaty gniew.

— Po co? Kim jest ten Holender? Po co przyjechał?

Wiedziała, że jeśli chce kłamać, a chciała, musi się skupić. Siren był sprytny. Nawet bardzo. I wyjątkowo nieufny. Wierzył chyba wyłącznie Iwanowi.

— Nie wiem, James — wyjąkała.

— Sava, Sava, Sava — powtarzał Siren kręcąc głową — Ty chyba nie rozumiesz, prawda?

Biedny Mick tu leży i umiera, dociera to do ciebie? I umrze, jeśli nie odpowiesz na moje pytania.

A kiedy to się stanie, wezmę tutaj jedną z twoich dziwek i wbiję jej nóż w brzuch. Powtórzmy ten cyrk tak dużo razy, aż w końcu trafię na kogoś, na kim ci zależy. Lepiej oszczędź sobie i mnie tej przyjemności, i powiedz, kim jest ten pierdolony Holender i czego kurwa chce?

— Nie wiem — powtórzyła płaczliwym głosem.

— Sava. Sava! — powtórnie pstryknął jej palcami przed nosem — Skup się kobieto! Podnieś głowę i spójrz na biednego Micka.

Posłusznie wykonała polecenie. Miała łzy w oczach. Ciężko nad nimi pracowała. Barman leżał błydy, spocony, dłoń, która trzymała szmatę przy ranie, drżała mu niepokojąco, jakby zaraz miał odpuścić i pozwolić, żeby krew zaczęła łać się z niego strumieniem.

— Kim jest Holender? — zapytał po raz kolejny Siren.

— Przyszłali go tu z Federacji.

— Po co?

Pokręciła rozpaczliwie głową.

— Po co, Sava?

— Żeby zajął twoje miejsce, James — szepnęła.

Szeryf wyprostował się i spojrzał na nią badawczo z góry. Pomimo zamroczenia marzyzielem widziała wyraźnie jego skupioną, nieufną twarz.

— Zajął moje miejsce?

— Tak, James. To przez żywmetal. Chcą kontrolować miasto.

Siren zacisnął pięści i dzięki temu prostemu gestowi Sava wiedziała, że uwierzył w jej kłamstwo.

— Nie chciałam mu pomagać, ale zmusił mnie...

— Zamknij się! — przerwał jej.

Nozdrza drgały mu, jakby był bykiem, który szykuje się do ataku. Zawsze był opanowany, niemal do granic niemożliwości. Nie było nikogo, kto potrafiłby go wytrącić z równowagi. Sava czasami zastanawiała się nawet, czy ten człowiek w ogóle ma serce. Ale teraz, kiedy Siren stanął oko w oko ze swoim największym koszmarem, wydawał się być słaby jak kilkuletnie dziecko zagubione w ciemnym lesie, które uwierzy we wszystko, co powie mu napotkana przypadkiem Baba Jaga.

— Gdzie się udali?

— Nie wiem. Ale mieli pójść do Saint Paris. Bram chciał najpierw zebrać poparcie wśród miejscowych, żeby potem wraz z nimi wrócić do Kaźni.

— A Ellen?

— Pomaga mu.

— Wydawało mi się, że jesteście razem.

— Byliśmy. Pokłóciłyśmy się dwa tygodnie temu.

Siren pokiwał głową, a potem machnął ręką do Iwana. Rosjanin wychylił się przez drzwi i krzyknął na dół kilka niezrozumiałych słów. Już po chwili Sava usłyszała, jak ktoś biegnie po schodach, a zaraz potem doktor Carridan wparował do pokoju. Rzucił torbę lekarską na podłogę i klęknął przy rannym Micku. Ostrożnie podniósł prowizoryczny opatrunek ze szmaty do przecierania blatów i przyjrzał się ranie.

— James... — zaczął z dezaprobatą.

— Chcesz coś powiedzieć, doktoru? — zapytał z groźbą w głosie Siren.

Lekarz przełknął ślinę i spuścił głowę.

— Nie — odpowiedział ledwo dosłyszalnie.

— Tak właśnie myślałem. Zajmij się lepiej szyciem.

Siren podrapał się po brodzie i zwrócił się w stronę właścicielki hotelu. Odgarnął włosy z czoła i delikatnie się uklonił.

— Do widzenia, Sava. Mam nadzieję, że spotkamy się w przyszłości w odrobinę przyjemniejszych okolicznościach.

— Ja również.

— Doktorze...

— Do widzenia, James — odpowiedział ponuro lekarz, grzebiąc w swojej torbie.

Szeryf machnął na Iwana i wspólnie wyszli z pokoju. Sava westchnęła z ulgą. Przymknęła powieki i poczuła, że resztką krążącego w jej żyłach marzyziela próbuje porwać ją do krainy marzeń. Nie stawiała oporu.

*

Siren podjął decyzję zanim doszedł do biura. Obracał ją jeszcze w głowie, zastanawiając się nad wszystkimi plusami i minusami, ale z każdym krokiem coraz bardziej był przekonany o słuszności przyjętego planu. Rumuni powinni dawno temu wrócić, z głowami ofiar lub z pustymi rękoma, a jeśli nie wracali, to znaczyło, że stało się coś złego. Albo zginęli, albo ten cały Bram zdołał ich w jakichś sposób przekabacić. Tak czy siak, musiał interweniować. Dlatego zdecydował się zaatakować Savę na jej terytorium. A jeśli powiedziało się A, to należy powiedzieć też B. Nie miał innego wyjścia — musiał wyruszyć za Holendrem i Lisieckim.

Oczywiście poza Kaźnią groziło mu zdecydowanie większe niebezpieczeństwo niż w mieście, ale z drugiej strony, i szeryf doskonale zdawał sobie z tego sprawę, nic nie niszczyło jego ciała i duszy bardziej niż wymuszona beczynność oraz wyczekiwanie na atak przeciwnika.

Siren był człowiekiem czynu. Musiał działać, podejmować decyzje, nawet wydawałoby

się najgłupsze, inaczej coraz bardziej się denerwował, coraz bardziej niecierpliwił i w rezultacie popełniał błąd za błędem. Już lepiej było stawić czoła przeciwnościom, mając przynajmniej iluzję kontroli nad sytuacją.

Weszli do biura, gdzie Siren natychmiast wyciągnął butelkę whisky i dwie szklanki. Nalał sobie i Iwanowi. Rosjanin podziękował za poczęstunek ruchem głowy. Stuknęli się i wypili duszkiem. Alkohol smakował kurzem. Szeryf przełknął, skrzywił się i nalał następną kolejkę.

— Jadę za nimi — oznajmił — Jutro z samego rana.

Iwan zamarł ze szklanką w dłoni.

— Ty tutaj zostajesz, Iwan. Masz pilnować porządku i tego, żeby nikt nie kopał pode mną dołków, rozumiesz?

— Tak, James.

— I dobrze.

Siren ściągnął kłódki z szafy z bronią i wyciągnął skrzynki z amunicją. Przeliczył naboje. Do rewolwerów powinno wystarczyć, ale uznał, że powinien dokupić amunicję do swojej strzelby.

Nazwał ją Sara, na cześć ognistej Żydówki, poznanej jeszcze zanim przybył do Kaźni.

Dziewczyna pchnęła go nożem, kiedy dowiedziała się, że ją zdradził. Ostrze otarło się o żebra i minimalnie minęło serce. Przez wiele dni leżał, niepewny czy przeżyje, czy umrze, i myślał, że jeśli ma stracić życie z powodu tak błahego jak zazdrość kobiety, to równie dobrze może zginąć próbując rzeczywiście coś osiągnąć. Zmienił się wtedy bardzo. Niektórzy mówili, że przestał odczuwać strach, ale to nie była prawda i Siren sam wiedział o tym najlepiej. Po prostu był świadom, że strach nie może być już dla niego przeszkodą.

Kiedy wreszcie stanął na nogi powiedziano mu, że Sara uciekła z jakimś gachem, którego zresztą poznała tego samego wieczora, kiedy próbowała zabić Sirena, i na zawsze znikła z życia szeryfa. Wspominał ją z rozrzewnieniem i myślał, że gdyby jeszcze kiedyś ją spotkał, być może potrafiłby jej nawet wybaczyć.

Mimowolnie dotknął blizny w okolicach żeber, jedynej trwałej pamiątki po dawnej kochance i pomyślał, że zdradzona kobieta rzeczywiście zdolna jest do wszystkiego. Na chwilę zamarł, zmarszczył brwi. Coś mu błysnęło w umyśle i przez ułamek sekundy wydawało mu się, że coś zrozumiał. Próbował to sobie przypomnieć, ale myśl, trudna do uchwycenia jak mucha w zamkniętym pokoju, umknęła mu, zanim zdążył się na niej skupić.

— Weź bony żywieniowe — rozkazał kompanowi — Wymień je na amunicję do Sary i na żelazne porcje na tydzień oraz dwie butelki jakiejś porządnej wódki. Przyda się też tytoń, zapalki i może sól na wymianę. Zapamiętałeś?

Iwan niepewnie pokiwał głową. Siren westchnął ciężko. Podszedł do biurka. Wyciągnął kartkę papieru i grafitem spisał listę zakupów. Rosjanin co prawda kiepsko sobie radził z czytaniem, jednak szeryf uznał, że z czymś tak prostym da sobie radę.

— Trzeba będzie też pozbierać opłaty od naszych drogich obywateli — stwierdził zamyślony

— Ale tym to może sam się zajmę po powrocie.

— A kiedy wrócisz, James?

Siren popukał grafitem o blat biurka.

— Najpierw rozejrzę się za Rumunami. Potem pojedę do Saint Paris.

Zarządca miejscowej kopalni miał wobec Sirena dług wdzięczności, odkąd szeryf szybko i bezlitośnie rozprawił się z dwoma wicherzycielami którzy podburzali do strajku resztę trzydziestoosobowej załogi. Powszechnie mówiło się, że za ich zniknięcie odpowiedzialne są chudzielce, ale wcześniej Siren upewnił się, że odpowiednia wiadomość dotarła do właściwych

ludzi. Poza tym, co w tej sytuacji było ważniejsze, właściciel kopalni irracjonalnie i całkowicie bez powodu nienawidził Federacji i samego Uthera. Była to nienawiść tak szczera i tak głęboka, że zwykli ludzie rezerwowali ją zazwyczaj dla morderców własnych dzieci. Jeśli Bram sądził, że znajdzie w Saint Paris sojuszników do walki z szeryfem, to srogo się mylił. Z drugiej strony, zarządca nienawidził niemal równie mocno i Korporacji.

— Za kilka dni, góra tydzień, powinienem być z powrotem — zakończył.

Iwan wydawał się być przejęty. Siren po raz pierwszy zostawiał go samego w Kaźni na tak długo.

— Poradzisz sobie? — zapytał Rosjanina.

— Tak, James — zapewnił gorączkowo Iwan. — Oczywiście, James. Bierzesz kogoś z naszych ludzi?

Oprócz Iwana Siren miał pod sobą jeszcze trzech innych zastępców. Dwóch z nich na stałe stacjonowało w nowej części miasta, w obozowisku poszukiwaczy, gdzie pilnowali porządku i łupili na rozmaite sposoby przyjezdnych. Trzeci z nich, Piegowaty Luigi, nie miał stałego przydziału. Włóczył się to tu, to tam, pozornie bezużyteczny. Strzelał i bił się tak sobie, ale wywodził się z rodziny pierwszych mieszkańców Kaźni i miał z nimi znakomity kontakt. Chętnie dzielił się z szeryfem różnymi mniej lub bardziej pikantnymi plotkami. Jako źródło informacji na temat pracodawców Sirena, Piegowaty Luigi był po prostu bezcenny.

— Nie. Zostają ci do pomocy. W Saint Paris wezmę najwyżej któregoś z ochroniarzy zarządcy.

Wszystko, co miało być powiedziane, zostało powiedziane. Siren wręczył Iwanowi listę zakupów. Ten przeczytał ją, poruszając przy tym wargami, a kiedy upewnił się, że wszystko rozumie, wyszedł z biura z plikiem bonów żywnościowych w kieszeni.

Szeryf został sam. Nalał sobie whisky. Usiadł za biurkiem i wpatrzony w ścianę po raz kolejny rozważał, czy na pewno postępuje słusznie, ruszając w pogoń za Lisieckim i zostawiając Kaźń pod opieką Iwana. W połowie szklanki stwierdził, że nie wie. Upewnił się jednak w zdaniu, że w tej sytuacji nawet zła decyzja jest lepsza od żadnej.

Bezgłośnie wznosił toast za zdrowie Sary oraz ceną, chociaż bolesną lekcję, której mu udzieliła, i jednym haustem wypił resztę whisky.

Jechali w milczeniu, z każdą chwilą zagłębiając się coraz bardziej w mroczny, ponury las.

Drzewa były tam rozłożyste i, w przeciwieństwie do tych wokół Kaźni, w większości żywe, ale ich widok budził dreszcz. Potężne korzenie wbijały się w ziemię, żeby zająć jak najszybciej jak największą powierzchnię, a szpiczaste gałęzie parły w górę, zasłaniając dostęp do słońca mniejszym roślinom.

Podzielili się jeszcze przy ziemiance. Joachim, Ellen, Bram oraz kobieta z kuszą wzięli konie i wyruszyli w stronę siedziby Starego. Dwoje pozostałych żołnierzy miało dojść tam na piechotę.

Było ciepło, nawet odrobinę duszno. Holendrowi związano ręce, przez co z trudem utrzymywał się w siodle. W ustach miał zupełnie sucho, a jego prośbę o wodę Joachim skwitował szyderycznym uśmiechem.

— A ty? — zwrócił się do Ellen.

Dziewczyna z pełnym irytacji westchnieniem, zbliżyła się do niego i przyłożyła swoją manierkę do ust Holendra. Pozwoliła mu wypić trzy łyki i zabrała bukłak.

— Oszukałaś mnie — stwierdził, kiedy przełknął wodę.

— Ja ciebie? — zapytała z niedowierzaniem i roześmiała się głośno — Może i tak. Ale nie było to wcale takie trudne. Wystarczył jeden pocałunek. Gdybyś wiedział, co musiałam zrobić z Savą, zanim mi zaufała.

— Dziwka — wypluł z siebie i w tej samej chwili pięść Ellen uderzyła go w podbródek. Nigdy nie spodziewał się takiej siły po tak drobnej jednak dziewczynie. Zakołysał się w siodle, nie zdołał chwycić wodzy i runął na ziemię. Głową uderzył o twarde podłoże. Przed oczyma zatańczyły mu różnokolorowe mroczki, a z rozbitej wargi pociekła krew.

Ellen patrzyła na niego ze złośliwą satysfakcją z wysokości swojego wierzchowca.

— Pewnie myślisz, że uderzyłam cię, bo nazwałeś mnie dziwką — powiedziała. — Ale to nieprawda. Uderzyłam cię tylko dlatego, że mogłam to zrobić. Nie zapominaj o tym, Holendrze.

Bram jęknął i wypluł z ust ślinę pomieszaną z juchą.

— Pomóżcie mu wejść na konia — rozkazała dziewczyna Joachimowi i kobiecie.

Ludzie Starego niechętnie zeszli z wierzchowców i zajęli się Bramem. Nie patyczkowali się przy tym. Szarpnęli nim tak mocno w górę, że odzież wbiła mu się pod pachy i pachwiny, a Joachim niby przypadkiem wymierzył mu takiego kuksańca w bok, że Holendrowi aż odebrało dech. Kobieta wsadziła mu nogę w strzemień, ale wtedy zaprotestowała Ellen.

— Gdzie!? Gdzie!? — krzyknęła — Nie tak, bo znowu z konia spadnie. Przełóżcie go po prostu przez siodło i przewiążcie czymś dla bezpieczeństwa.

— Chyba żartujesz... — próbował zaprotestować Bram, ale kolejny cios w brzuch zamknął mu usta.

Joachimowi i jego towarzysze nie trzeba było dwa razy powtarzać. Rzucili Brama na siodło i przewiązali go mocno linami, nie troszcząc się zupełnie o to, że niektóre weszły pod ubranie i podczas jazdy będą go obcierać.

Jechali spokojnym stępem jeszcze przez co najmniej trzy, cztery godziny do późnego popołudnia. Bram ze swojej ograniczonej perspektywy widział tylko pokrytą martwymi liśćmi oraz kamieniami ziemię, nieliczne skały i korzenie. Tak jak można było przewidzieć, sznur wrzynał mu się boleśnie w ciało.

Myślał o swojej pozałowania godnej wyprawie. Zlecono mu ważną i trudną misję, ale jadąc do dawnego księstwa Kuźni był szczerze przekonany, że uda mu się ją wypełnić. Właściwie nie wiedział, dlaczego. Być może zbyt wiele opowiedziano mu w młodości bajek o dzielnych rycerzach, którzy dzięki samej odwadze pokonują wszelkie przeciwności, a być może zbyt mocno wierzył we własne siły. W każdym razie — zderzenie z rzeczywistością było wyjątkowo bolesne. Od początku popełniał błąd za błędem, obdarzając swoim zaufaniem nieodpowiednich ludzi. Skutek tego był taki, że został upokorzony tak jak nigdy w swoim życiu. Jedyną dobrą stroną tego wydarzenia było to, że prawdopodobnie nikt w Nowej Holandii się o tym nie dowie, bo Stary — sądząc po opowieściach Savy i nienawiści, jaką darzyli Holendra jego ludzie, własnoręcznie Brama zabije.

Bram chciał wyć ze złości, ale zdawał sobie sprawę, że w ten sposób dostarczałby tylko uciechy prześladowcom. Znosił ból w milczeniu, zapamiętał zagryzając pękniętą już wargę i modlił się do wszystkich bogów, którzy przychodzili mu do głowy, aby w tym lub przyszłym życiu dali mu się zemścić.

Siedziba Starego okazała się zamkiem, wybudowanym na stromej, kilkunastometrowej skale, która, jako że była wyższa na krańcach, tworzyła pomiędzy nimi sporej wielkości siodło. Na jednym końcu wybudowano kwadratową, przysadzistą basztę. Na drugim coś, co można było nazwać twierdzą właściwą, składającą się z kilku nachodzących na siebie wież, wyniesionych w górę niewiarygodnym wręcz wysiłkiem budowniczych. Pomędzy nimi, za kamiennym murem, musiały znajdować się budynki gospodarcze i stajnie.

Twierdza nie należała do największych. Bram oceniał, że kiedyś znajdowała się tam zwykła strażnica, strzegąca granic księstwa lub szlaków handlowych, a którą Stary rozbudował po wojnie. Świadczyły o tym różnokolorowe kamienie wykorzystane do budowy i wyraźne

różnice architektoniczne. Starsze części wznosili ludzie, którzy mieli czas oraz umiejętności; nowsze ci, którzy się śpieszyli i nie cierpieli na nadmiar materiałów i wiedzy. Prowizoryczne rozwiązania, różnorakie stelaże i stemple dostrzec można było na każdym kroku.

Brama wrzucono do celi, która znajdowała się w mniejszej, kwadratowej baszcie. Było to małe pomieszczenie, ciemne i wilgotne. Co gorsza, kiedy tylko drzwi zostały zamknięte, z ciemnych kątów zaczęło dobiegać ciche popiskiwanie szczurów.

Holender na tyle, na ile mógł, oczyścił otarcia i siadł pod ścianą. Zwiesił głowę i niespodziewanie dla samego siebie zapadł w sen.

Po około godzinie obudziło go delikatnie poszturchiwanie. Uniósł głowę i ujrzał nad sobą dwóch młodych strażników, uzbrojonych w sztylety i włócznie. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie rzucić się na nich w desperackiej próbie ucieczki, ale miał problem nawet z tym, żeby wstać.

Jeden z żołnierzy pomógł więźniowi, podając mu dłoń.

— Chodź z nami — rozkazał.

Poprowadzili go przez dziedziniec, po którym ganiała się mała gromadka dzieci, a kobiety zbierały tam ze sznurów wysuszone ubrania — i weszli do zamku właściwego. Holender, pewnie ze zmęczenia, wkrótce zgubił się w płataninie korytarzy i klatek schodowych. Z trudem wchodził po stopniach, bo nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Żołnierze, zamiast go poszturchiwać, tylko na niego czekali.

Wreszcie otworzyli przed nim drzwi komnaty. W środku znajdowało się porządne łóżko, a w nim świeża pościel i złożone w kostkę ubrania. Ze zdumieniem dostrzegł, że obok nich leży jego szabla. Dopadł do niej, wyciągnął i poczuł pełne spokojnej radości drżenie.

Jeden z żołnierzy wskazał drzewcem włócznie stojącą obok, dymiącą, drewnianą balię oraz szmaty do wycierania.

— Proszę się wykąpać, ubrać. Kolacja za półtorej godziny. Przysłać dziewczkę do pomocy?

— Nie, dziękuję — odpowiedział Bram.

Żołnierz zamknął drzwi. Holender został w pokoju sam. Nie słyszał jednak, żeby strażnicy odeszli. Domyślał się więc, że dalej go pilnują. Był zbyt wycieńczony, żeby zastanawiać się nad przyczyną nagłej odmiany swojej sytuacji i nad tym, co to może znaczyć. Po prostu zrzucił z siebie brudne ubranie i zanurzył się w ciepłej wodzie. Na początku rany piekły mocno, ale nie na tyle mocno, żeby zagłuszyć przyjemność wynikającą z kąpieli. Holender pomyślał nawet, że mógłby teraz umrzeć i byłaby to zaprawdę dobra śmierć.

Kąpiel zabrała mu dłuższą chwilę. Potem dokładnie się wytarł. W ubraniach znalazł maść ziołową, którą wysmarował rany. Ubrał się w czysty, wojskowy ubiór i padł na łóżko. Zasnął.

Po raz kolejny obudził go ten sam żołnierz.

— Już czas — oznajmił.

Bram zwlókł się z łóżka. Potrząsnął głową. Sen nie chciał odejść. Holender z trudem przypiął pas z szablą.

— Gdzie idziemy? — zapytał.

— Na kolację, panie.

Zeszli piętro niżej, drogą znacznie prostszą niż poprzednio. Brama wprowadzono do jadalni.

Przy dębowym stole siedział Joachim oraz Ellen. Holender w pierwszej chwili nie poznał dziewczyny, tak niezwykle wyglądała w zielonej, zdobionej klejnotami sukni. Przy ścianach stało trzech strażników, zbrojnych w miecze i włócznie. Nie spuszczała oka z Brama. Joachim skrzywił się na widok swojego niedawnego więźnia, a jeszcze bardziej, kiedy dostrzegł szablę u jego pasa.

Zgodnie ze zwyczajem Bram odpiął broń i wręczył ją najbliższemu stojącemu strażnikowi, żeby pokazać, że nie ma złych zamiarów. Zajął wolne krzesło.

W komnacie oprócz stołu znajdował się wiszący na ścianie gobelin, zakurzony i wyblakły, chociaż pod warstwą brudu widać było jeszcze cień pięknych kolorów oraz misterne sploty. To było prawdziwe dzieło sztuki, które mogło zdobić ściany siedzib największych i najbogatszych lordów Federacji, a tutaj powoli się rozpadało.

Było jeszcze wielkie palenisko, na którym właśnie piekło się jakieś zwierzę. Holender po chwili z obrzydzeniem zorientował się, że to pies z kawałkiem kukurydzy wciśniętym w odbył.

Zwierzę napuchło i napęczniało tak bardzo, że trudno było zorientować się jak wcześniej wyglądało.

Jego skóra była gładka, czerwona, pokryta zwęglonymi plamami sierści i krwią spływającą z podłużnych nacięć w okolicach żeber.

Drzwi od komnaty otworzyły się. Najpierw Joachim, później Ellen, a wreszcie Bram wstali ze swoich miejsc, a strażnicy stanęli na baczność. Do środka wszedł Stary.

Holender przeżył pewne rozczarowanie. Wyobrażał sobie Starego jako barczystego, potężnie zbudowanego i dumnego starca, noszącego czarną, błyszczącą groźnie zbroję, wielki miecz i śnieżnobiałą, długą brodę, która dumnie powiewała na wietrze. Przed sobą zaś miał drobnego, szczupłego staruszka, o obwisłych, pokrytych wątrobowymi plamami policzkach, które upodobiały go do wyleniałego buldoga.

Stary był lekko przygarbiony, ręce miał drżące i słabe, tak że trudno było uwierzyć, by potrafił unieść jeszcze oręż. Ubrany był zwyczajnie, w ciepłe, wełniane spodnie oraz koszulę, na którą dodatkowo zarzucił koc. Oczy miał niebieskie, lekko zamglone i głęboko osadzone; opadały na nie pasma szarych, przetłuszczonych włosów. Twarz była poorana głębokimi zmęczonymi zmarszczkami, wychłostana zimnym wiatrem, wysuszona palącym letnim słońcem, a na koniec chwycona przez stalowe obcegi choroby. Bram spodziewał się ujrzeć dumnego wojownika, silnego ciałem i doświadczeniem, a miał przed sobą zwykłego starca.

Stary przywitał się z Joachimem. W stronę Ellen wyciągnął dłoń. Dziewczyna chwyciła ją delikatnie, niemalże nabożnie, uklękła i złożyła pocałunek na jego chudych, pomarszczonych palcach. Wreszcie gospodarz podszedł, a może raczej doczłapał do Brama. Długo i bacznie przyglądał się Holendrowi.

— To prawda — przyznał wreszcie — Jesteś podobny do ojca, Bramie van der Hagenhooper.

Nawet bardzo. Ale usta masz po matce, chłopcze. No, siadajcie.

Wykonali jego rozkaz. Gospodarz natomiast poczekał aż jeden ze strażników położy mu poduszkę na krzesło. Holender nie potrafił ocenić, czy Stary chciał w ten sposób nabrać wzrostu, czy po prostu dokuczały mu hemoroidy.

Już po chwili pojawiła się przy nich dziewczka. Przed każdym postawiła kielich, do którego nalała czerwonego wina.

— To jedna z naszych ostatnich butelek — powiedział Stary — Trzymałem ją na specjalną okazję, ale jaka okazja może być lepsza niż odwiedziny pierworodnego syna stadhoudera Nowej Holandii? — zapytał retorycznie.

Chwycił kieliszek, podsunął sobie pod nos, przymknął oczy i wdychał aromat wina. Potem wziął drobny łyżeczek, żeby mlaskając długo go smakować, obracając w ustach językiem, a wargami tworząc skomplikowane wzory i figury. W końcu przełknął.

— Tak jak myślałem. Sikacz — oznajmił. — No, ale czego się mogłem innego spodziewać.

W Nowej Holandii, na zamku twojego ojca, masz pewnie najlepsze wina z Białej Wyspy, co chłopcze?

— Tak, panie. Ojciec zawsze dbał o swoją piwniczkę.

Stary wycelował w Brama palcem.

— Znałem twojego ojca, wiesz?

— Nie wiedziałem tego, panie.

— Znałem go. To był dobry rycerz. Nie tak dobry jak Uther czy Silvan z Herar, którego zwaliśmy czarnym rycerzem. Wiesz dlaczego?

— Bo był czarny.

— Zgadza się. Skórę miał czarną jak noc. Jak noc... — Stary zwiesił głowę — Zginął podczas pierwszej wojny. Był jednym z nielicznych, którzy pośpieszyli nam z pomocą. Nie dlatego, że był honorowy. Nie. Ten bydlak po prostu kochał wojnę. I uwielbiał zabijać. Ale w tym dzikim sercu była jednak jakaś przyzwoitość, honor, bo Silvan zabijał tylko w słusznej sprawie.

Do dzisiaj zastanawiam się, jak zginął.

Stary zamilkł. Przełknął ślinę i przez moment wydawało się, że zasnął.

— O czym mówiłem? — zapytał.

— O Silvanie z Herar — odpowiedział Joachim. Stary machnął na niego z irytacją dłonią.

— Wcześniej.

— O moim ojcu — przypomniał Bram.

— Właśnie. O twoim ojcu. Był dobrym rycerzem. Dzielnym. Potykaliśmy się w jednym z turniejów. Pokonałem go wtedy, ale nie ma w tym wielkiej mojej chwały. Twój ojciec był wtedy młokosem, a ja byłem w pełni sił. Cieszyłem się, kiedy został stadhouderem. Narodziła się w końcu szansa na pokój między naszymi królestwami i na to, że razem odeprzemy Korporację.

Nigdy, nigdy nie spodziewałem się, że nas zdradzi...

Stary przerwał gwałtownie i zaniósł się straszliwym kaszlem, który zgiął go w pół.

Mężczyzna zakrył usta kocem, ale Bram dostrzegł wylatujące z nich krwawe strzępy.

Gospodarz chwycił za kielich, wypił połowę znajdującego się w nim wina i zaczął klepać się energicznie po piersi. Ellen wstała aż z miejsca, ale Stary powstrzymał ją pełnym wściekłości spojrzeniem.

— Nigdy nie spodziewałem się, że nas zdradzi — kontynuował Stary, kiedy atak minął — ale tak właśnie się stało. Codziennie słałiśmy posłów do Nowej Holandii, codziennie spodziewaliśmy się nadejścia odsieczy. Bóg mi świadkiem, że razem dalibyśmy radę tej zarazie.

Korporacyjni zbyt się rozproszyli. Połowa z nich oblegała Kuźnię, połowa rozbiegła się po lasach ganiając za naszymi partyzantami. Jednym precyzyjnym uderzeniem rozbilibyście tych przy mieście, a potem wspólnie wyłapalibyście resztę. Nie byłoby rzezi, nie byłoby klęski, nie byłoby tych ciemnych, strasznych lat. To byłoby wielkie, wielkie i wspólne zwycięstwo. Ale wy, Holendrzy, się nie pojawiliście.

Starzec wlepił w Brama spojrzenie, jakby spodziewał się usłyszeć jakieś usprawiedliwienie czy chociaż przeprosiny. Ale syn stadhoudera po prostu nie wiedział, co miałby powiedzieć.

— Nie dziw się, że tak was nienawidziliśmy. Każdego Holendra, który wpadał w nasze łapy, zabijaliśmy w wymyślny i okrutny sposób. Nabijaliśmy na pale, wieszaliśmy na jelitach, zakopywaliśmy żywcem, rzucaliśmy na pożarcie dzikim zwierzętom. Nienawidziliśmy was nawet bardziej niż Korporacyjnych. Bo oni byli naszymi wrogami, a wrogowie zasługują na szacunek, zaś wy, wy chłopcze, mieliście być naszymi przyjaciółmi.

— Mój ojciec... — zaczął Bram, ale przerwał natychmiast. Zabrakło mu po prostu słów.

— Tak było przez długie, długie lata — kontynuował Stary — Zrobiliśmy przerwę podczas drugiej wojny, bo wtedy w końcu się pojawiliście. Pod sztandarem Uthera co prawda,

ale wasi rycerze mieli wstyd wymalowany na twarzy i żaden z nich nie miał odwagi, żeby spojrzeć mi prosto w oczy. Być może wtedy po raz pierwszy pojawiła się w mojej głowie myśl, że wy, Holendrzy, chcieliście przyjść nam z pomocą, ale twój ojciec wam zabronił. Nienawiść trochę osłabła wtedy, przyznaję, ale po wojnie dalej zabijaliśmy twoich ziomków. Może w mniej barbarzyński sposób, ale jednak. A w końcu, pewnego dnia, zarzuciliśmy ten zwyczaj. Nie wiem dlaczego. Joachimie?

Rycerz wyprostował się na dźwięk swojego imienia.

— Wydaje mi się, że to dlatego, że jest nas zbyt mało.

Stary pokiwał z namysłem głową.

— Tak. To może być przyczyna. Jest nas za mało, a poszukiwaczy zbyt wielu.

Oczywiście dalej zbieramy od nich podatki, ale obawiam się, że gdybyśmy zaczęli zabijać każdego poszukiwacza holenderskiego pochodzenia, który przybył do naszego księstwa, wkrótce ściągnęlibyśmy na siebie powszechną nienawiść, której nie mielibyśmy siły się przeciwstawić.

Tak... To może być przyczyna zmiany naszego zachowania. Dziękuję, Joachimie.

Rycerz skłonił się lekko.

— Opowiadam ci to chłopcze wszystko nie dlatego, żeby zanudzić cię na śmierć, ale żeby dokładnie wytłumaczyć ci, jak wielką krzywdę wyrządził nam twój ojciec i jak wielka przepaść powstała pomiędzy naszymi narodami. I jak bolesna jest dla mnie prośba mojej córki, która chce, żebym pomógł ci w twojej misji.

Bram drgnął zaskoczony i zwrócił się w stronę Ellen. Dziewczyna zdawała się go nie zauważać i miała nieprzenikniony wyraz twarzy.

— Ja... Panie... — wyjąkał.

— Czy wiesz, czym jest Pierwszy Miecz, którego poszukujesz?

Bram uszczypnął się mocno w kolano. Musiał się skupić, odegnać zmęczenie, które lepką mgłą opadło na jego umysł i ukryło wszystkie myśli.

— Wiem, panie. To symbol i na równi z krwią legitymizacja władzy księcia Kuźni.

Stary pokiwał z uznaniem głową.

— To prawda. To była piękna broń. Ze stopu żywego metalu, jak się domyślasz. Podobnie jak ta — wskazał na szablę Brama — Ale ładniejsza i śmiem twierdzić potężniejsza od twojej.

Składaliśmy przysięgę wierności na ten miecz. To był pierwszy i jedyny raz, kiedy dane mi było go dotknąć. Do dziś pamiętam ten dreszcz, który przeszedł po mnie od stóp do samego czubka głowy, kiedy zdałem sobie sprawę, że znajduję się w obecności wszystkich dotychczasowych książąt Kuźni. Czułem ich tuż obok siebie. A może raczej pod palcami? Trudno powiedzieć. W każdym razie było to niezwykle, prawdziwie mistyczne przeżycie. Każdy z nas przysięgał wtedy, że z radością przyjmie śmierć od tego ostrza.

Starzec zasłonił twarz kocem i kaszlnął.

— A teraz moja córka chce, żebym pomógł ci odnaleźć największą dla mnie świętość. Moja córka chce, żebym włożył Pierwszy Miecz w dłoń syna człowieka, który zdradził mojego księcia i moje królestwo!

Stary aż podniósł się z krzesła. Usta mu drżały, a pomiędzy nich wyłoniła się i zaraz pękła bańka śliny.

— Panie! — krzyknęła Ellen.

Starzec zwrócił się w jej stronę.

— Pieczeń jest gotowa — powiedziała dziewczyna.

Mężczyzna opadł na swoje miejsce, a niedawny gniew, który go wypełniał, nagle z niego wyparował. Uśmiechnął się słabo.

— Tak, oczywiście masz rację. Pieczeń jest gotowa. Kto wyciągnie zatyczkę?

— Może nasz gość, panie — zasugerował Joachim.

Stary prychnął krótko i pokręcił przecząco głową.

— Nie. To byłoby niegrzeczne. Joachimie, czy możesz to zrobić?

— To będzie dla mnie zaszczyt, panie.

Rycerz wstał ze swojego miejsca i podszedł na napuchniętego psa. Podniósł leżące obok paleniska kleszcze i za ich pomocą chwycił znajdującą się w odbycie zwierzęcia kolbę kukurydzy. Pociągnął mocno ten prowizoryczny korek i równocześnie uskokzył w bok. Z psa natychmiast wystrzelił mocny, brązowy, śmierdzący strumień gówna i innych nieczystości, który rozlał się na podłodze szeroką, rozpryskaną strugą. Joachim wyszczerzył zęby, odrzucił kleszcze i wrócił na swoje miejsce. W tym czasie napęczniały poprzednio jak bukłak pies, z którego ujście wreszcie znalazły wszystkie nieczystości, oklapł i zaczął przypominać prawdziwe zwierzę.

To niezwykle widowisko było tak obrzydliwe, a smród tak ogromny, że Bram musiał wyteńczyć wszystkie swoje siły, żeby nie zwymiotować. Na szczęście zaraz pojawił się młody chłopiec, który najpierw szuflą pozbierał fekalia i wrzucił je do paleniska, gdzie ogień pożarł je chciwie z cichym skwierczeniem, a potem przy pomocy dziewczki służebnej zabrał się za ćwiartowanie psa.

Już po chwili przed Holendrem leżał talerz ze słuszną, dymiącą jeszcze i gorącą porcją mięsa.

Bram z przerażeniem zdał sobie sprawę, że chyba nie będzie w stanie wziąć tego mięsa do ust. To byłby wielki i niemalże niewybaczalny afront w stosunku do gospodarza.

Joachim zauważył rozterki Holendra, bo wyszczerzył się od ucha do ucha.

— Co się dzieje? — zapytał z udawaną, szyderczą troską — Nie smakuje ci psinina?

Spróbuj, przyjacielu, jest lepsza od wołowiny.

Bram dostrzegł, że Stary uważnie mu się przygląda. Sięgnął po nóż i widelec, odkroił kawałek pieczeni, wsadził sobie do ust. Na szczęście mięso było tak gorące, że nie czuł właściwie smaku, a tylko oparzenia języka. Szybko popił kęs i przełknął.

Ellen podsunęła mu tacę z chlebem.

— Zagryzaj często — poradziła i sama zabrała się do jedzenia.

Bram poprosił służącą o dolewkę wina. Wiedział, że bez dużej ilości alkoholu nie uda mu się skończyć posiłku.

— Czy spotkałeś już chudzielców? — zapytał go Stary pomiędzy jednym a drugim kęsem.

— Nie, panie — odpowiedział zgodnie z prawdą Bram — Kilku próbowało wejść do ziemianki, gdzie schroniliśmy się z Ellen, ale nie udało im się. Tylko ich słyszałem.

— Aha — mruknął gospodarz, przeżuając. — Szkoda. Gdybyś ich widział, łatwiej by się nam rozmawiało.

— Czym są te chudzielce?

— To potwory — wyjaśnił Joachim — przypominają ludzi, ale są dużo chudsze, jakby szkielety pokryte skórą. Mają ogromny apetyt. Rzucają się na wszystko. Zwierzyń, zwierzęta hodowlane, ludzi w końcu. Pojawiły się po pierwszej wojnie.

— Podczas drugiej zrobiło się ich jakby mniej — wtrąciła się Ellen — Ale teraz to prawdziwa plaga. Choćby te, które wczoraj próbowały się do nas dostać. Jeszcze dwa, trzy lata temu, żaden nie pojawiał się tak daleko na południu. Zerowały raczej na północy; czasami jeden, dwa pojawiały się bliżej siedlisk ludzkich. Ale atakowały co najwyżej pojedynczych poszukiwaczy. Teraz włóczą się prawdziwymi bandami, po cztery, pięć, sześć osobników. W Kaźni słyszałam o grupie, która liczyła ich ponad dziesięć.

Stary otarł usta, upił wina i gestem dłoni kazał córce zamilknąć.

— Poszukiwacze myślą, że zbierając od nich podatki, tak naprawdę ich rabujemy, a tylko używamy bardziej eleganckiego słowa. Ale to nieprawda, chłopcze. Oni nawet o tym nie wiedzą, ale to my zapewnialiśmy im bezpieczeństwo. Przez całe lata patrolowaliśmy teren, wynajdywaliśmy chudzielce i rozprawialiśmy się z nimi. Strzeżliśmy całą północną rubież księstwa przed tym dziwnym zagrożeniem. Ale teraz... teraz — głos Starego załamał się, jakby starzec nie był pewien czy ma w sobie dość odwagi, żeby wypowiedzieć słowa, które od dawna gościły w jego umyśle — Teraz chudzielców robi się coraz więcej, a nas jest coraz mniej.

Mężczyzna zakreślił krąg po pokoju.

— Jesteśmy sierotami po nieistniejącym księstwie, chłopcze — stwierdził.

Starzec wstał, otulił się mocniej kocem i podszedł do paleniska. Wyciągnął dłonie w kierunku ognia.

— Moja córka uważa, że nie jesteśmy w stanie powstrzymać dłużej chudzielców, a poszukiwacze nigdy nie zorganizują się sami na tyle dobrze, żeby uporać się z zagrożeniem. Albo uciekną, albo zginą — powiedział Stary — Ellen twierdzi, że to oznacza jedno. Że księstwo stanie się prędzej czy później ziemią umarłych, ziemią chudzielców. Chyba że coś zrobimy. I tutaj przechodzimy do Ciebie, chłopcze.

Bram poprawił się na krześle. Coś mu zaczęło świtać. Jeśli ani ludzie Starego, ani poszukiwacze nie potrafią poradzić sobie z chudzielcami, to musi to zrobić ktoś z zewnątrz.

Holender zrozumiał nagle, do czego Ellen go potrzebowała.

— Czy, kiedy pomogę ci odnaleźć Pierwszy Miecz, Uther naprawdę przybędzie tu ze swoim wojskiem, jak twierdzi moja córka? — zapytał Stary.

Bram poczuł, że musi się napić, zwilżyć suche gardło. To było kluczowe pytanie. Tu i teraz decydował się jego los i powodzenie powierzonej mu misji. Równocześnie zaś wiedział, że sięgnięcie po kielich w takim momencie byłoby źle widziane. Co więcej, mogłoby zostać odczytane, jako wyraz słabości.

— Tak.

— Czy przybędzie tu zanim chudzielce opanują księstwo?

Bram potrzebował kilku sekund na zastanowienie.

— Nie wiem, panie.

Starzec kiwnął głową z uznaniem.

— Przynajmniej jesteś szczerzy. A ja, im jestem starszy, tym bardziej cenię szczerłość. A ty, Joachimie — też sądzisz, że powinienem pomóc temu młodemu chłopakowi?

— Synowi zdrajcy?! — zawołał z oburzeniem rycerz.

— To nie ma znaczenia, przyjacielu — napomniał go Stary — Wyobraź sobie, że jest on synem... Hmm... synem Silvana Czarnego. Co wtedy, powinienem mu pomóc, czy nie?

Mężczyzna potrząsnął energicznie głową.

— Nie. Nie powinieneś, panie.

— A masz jakichś inny pomysł, jak pozbyć się chudzielców? — zaatakowała go Ellen.

Rycerz tylko uśmiechnął się smutno i nabił na widelec kawał mięsa.

— Twój pan ojciec słusznie zauważył, że jesteśmy sierotami po umarłym królestwie. Być może nadszedł czas, żebyśmy pogodzili się z własną śmiertelnością.

— Czyli mamy nie robić nic?!

— Mamymy godnie umrzeć, Ellen! To samo w sobie jest wystarczająco trudne. Większości ludzi się to nie udaje, i zdychają skomląc jak psy.

— Bzdury!

— Poza tym nie możemy dopuścić, żeby Pierwszy Miecz, jeśli naprawdę jeszcze istnieje, dostał się w łapy obcego.

— Mówisz tu o Utherze, królu Bramy Północy i władcy Federacji.

— Może być jeszcze Cesarzem i Imperatorem, ale to nie zmienia faktu, że jest obcy! Nadasana Ellen założyła ręce na piersi. Wyglądała jak obrażona dwunastolatka, ale na Joachimie nie zrobiło to wielkiego wrażenia. W przeciwieństwie do Starego, który doczłapał do dziewczyny i pogłaskał ją po głowie oraz policzku.

— Spokojnie kochanie. Nie gniewaj się. Joachim ma rację. Bardzo trudno jest godnie umrzeć. Próbuję od ponad dwudziestu lat i ciągle mi się nie udaje. A czasami... Czasami mam wrażenie, że straciłem już swoją szansę.

Dziewczyna chwyciła starca za dłoń.

— Panie, nie mów tak.

Delikatnie, ale stanowczo wyrwał się z jej uścisku i wrócił na swoje krzesło.

— A ty, chłopcze? — zwrócił się do Brama — Co byś zrobił, gdybyś był na moim miejscu?

Holender wyprostował się. Zerknął na Ellen, szukając u niej pomocy, ale dziewczyna ciągle udawała, że go nie zauważa. Było to dość trudne, biorąc pod uwagę, że dzieliło ich nie więcej niż półtora metra stołu.

— Nie wiem, co mam ci odpowiedzieć, panie — zaczął Bram — Jeśli powiem, że powinieneś mi pomóc, oskarżysz mnie o to, że próbuję tobą manipulować. Jeśli powiem, że powinieneś mi pomóc, zaszkodzę sam sobie, a co gorsza mojej misji i królowi Utherowi, który mnie na nią wysłał. Tego więc również nie mogę zrobić. Wydaje mi się tylko, że godniej jest umrzeć próbując pomóc innym, i nie mam tu na myśli siebie, ale mieszkańców tej ziemi, przyjezdnych i miejscowych, niż patrząc obojętnie, jak giną zabijani przez potwory... — Starzec pokiwał z uznaniem głową.

— Dobrze powiedziane chłopcze. Dobrze powiedziane... — zamarł z wzniesionym nożem.

Nagle go odłożył i wstał od stołu — Zdecydowałem. Pomogę ci odnaleźć Pierwszy Miecz, chłopcze. I lepiej dla ciebie, żebym tego nie żałował.

Stary pożegnał się z Joachimem, podał Ellen dłoń do pocałunku i wyszedł z komnaty.

Dziewczyna, po chwili wahania, wybiegła za nim. Został tylko rycerz i Bram. Joachim próbował jeść dalej posiłek, ale gniew w nim był tak wielki, że nie wytrzymał, porwał miedziany talerz i rzucił nim o ścianę.

— Gdyby nie to, że jesteś gościem... — rzucił głosem przepelnionym nienawiścią, wychodząc.

Bram siedział bez ruchu przy stole. Pieczeń przed nim stygła, a na palenisku dalej piekła się reszta psa. Holender pomyślał, że powinien odczuwać radość, dziką satysfakcję, a przynajmniej ulgę. Ale w jego sercu gościł tylko i wyłącznie strach.

Weszła do jego komnaty bezszelestnie, więc ujrzał ją dopiero wtedy, kiedy uniósł głowę znad miednicy z wodą. Stała tuż przy drzwiach, w zielonej sukni, zakłopotana i piękna jak nigdy.

Łagodna, kobieca i pokorna. Bram miał ochotę do niej podejść, podnieść kciukiem jej podbródek, a potem długo gładzić zdobną twarz Ellen blizną.

— To niewiarygodne — szepnął.

— Co takiego?

— To jak potrafisz się zmieniać. W Kaźni byłaś arogancka i odpychająca, kiedy spotkaliśmy się w lesie ostrożna i pociągająca, a teraz... Kim jesteś, Ellen? Pokorną córką czy uwodzicielską księżniczką?

Rozłożył ramiona w geście bezradności.

— Kimś, kto chce ci pomóc.

Dotknął obolałej szczęki i wskazał na rozbitą wargę.

— Naprawdę?

— To było konieczne — oznajmiła chłodno. — Poza tym należało ci się.

— Przykładanie mi noża do gardła, oszukiwanie, wiązanie, bicie? To wszystko było według ciebie konieczne?

— A przyszedłbyś dobrowolnie do Starego?

— Nie. Raczej nie — przyznał po chwili.

Sięgnął po leżącą w pobliżu miednicy szmatę. Wytrzeł dokładnie twarz i kark.

— Nie wiedziałaś na pewno, czy twój ojciec nie każe mnie zabić, co? — zapytał.

— Liczyłam się z takim ryzykiem.

Holender wybuchnął śmiechem.

— Ty się liczyłeś z takim ryzykiem? Ty?

Odpowiedziała mu kwaśnym grymasem.

— Po co tu przyszedłeś?

Dopiero teraz zauważył, że w rękach trzyma płócienną torbę. Usiadła na łóżku i wyciągnęła z niej butelkę wina, podplomyki i trochę białego sera.

— Musisz być głodny. Widziałam, że niewiele zjadłeś.

— Nie przepadam za psinią — mruknął ze złością.

— Gdybyś wychował się tu, inaczej byś do tego podchodził. Nie cierpimy na nadmiar jedzenia, jak zdążyłeś się zorientować. Jemy właściwie wszystko to, co nie jest trujące.

— Wiem i rozumiem. Ale przyrzadzanie psa w taki sposób!

Pokręcił z niedowierzaniem głową i wzdrygnął się na wspomnienie strumienia nieczystości, który wystrzelił z odbytu zwierzęcia.

— To sztuczka ojca. W ten sposób wyprowadza z równowagi swoich gości. Dziwię się, że to tobie nie kazał wyciągać korka. Chyba cię polubił.

Bram usiadł obok dziewczyny. Sięgnął po podplomyk, a Ellen podała mu butelkę. Wziął łyk.

Wino było mdłe, płytkie i zbyt kwaśne.

— Czy naprawdę będzie wojna? — zapytała.

Usłyszał strach w jej głosie. Nie zdziwiło go to specjalnie. Tylko głupcy nie boją się wojen, a dziewczyna na pewno do nich nie należała.

— Tak. Będzie. Właściwie wszyscy o tym wiedzą. Od kiedy odkryto tutaj żywmetal sprawa jest właściwie przesądzona. Uther musi tylko przekonać lordów. Ale robi to prędzej czy później.

— Z mieczem prędzej.

— Znacznie prędzej. A zależy mu na czasie. Korporacja też się zbroi. Im szybciej rozpoczną się działania wojenne, tym większą mamy szansę na zwycięstwo i ostateczne przejęcie kontroli nad księstwem. Nie tak jak ostatnio.

Drugą wojnę o Kuźnię Federacja teoretycznie wygrała. Uther pobił wroga w polu, zmusił Korporację do odsunięcia granic, ale jak to się często zdarza, lordowie Federacji opuścili go, zanim zdążył zadać decydujący cios. Dlatego nie udało mu się przyłączyć dawnego księstwa Kuźni do Federacji, co od początku było jego celem i musiał zgodzić się na uznanie tych terenów za ziemię niczyją, bufor pomiędzy dwoma mocarstwami.

— Kto będzie dowodził armią?

— Nie wiem. Pewnie Uther. Jak zwykle.

Zrobiła zawiedzioną minę.

— Miałam nadzieję, że może Kasabian. Podobno to wielki rycerz.

Bram zaśmiał się w duchu. Kasabian. Nawet tutaj, do tego zagubionego wśród przeklętych lasów, skał i mokradeł zameczku dotarła sława Utherowego brata.

— Tak. Kasabian to wielki rycerz — przyznał Bram. — Żołnierze go uwielbiają. Ma rzadki dar zdobywania serca każdego, kogo spotka. A przy tym nie brakuje mu przymiotów tak ciała, jak i ducha. Ale jest jeden problem, no, właściwie dwa.

— Jakie?

Wziął jeszcze trzy głębokie łyki wina i oddał butelkę dziewczynie.

— Po pierwsze, Kasabian co prawda zdobywa serca, ale to Uther wygrywa bitwy. Wygrywa brzydko, nie okazując troski o życie swoich podwładnych i ryzykując nim wtedy, kiedy widzi najmniejszą szansę na zwycięstwo. Ale wygrywa. Po drugie, Uther nienawidzi Kasabiana. Przez wszystkie lata swojego długiego panowania nie powierzył mu żadnego bardziej odpowiedzialnego zadania. Trudno oczekiwać, żeby teraz to się miało zmienić.

Zmarszczyła brwi.

— Dlaczego Uther nienawidzi Kasabiana?

Bram sięgnął po kolejny podploty. Przypadkiem musnął dłoń Ellen i elektryczne mrowienie przeszło wzdłuż całego jego ramienia. Zastanawiał się, czy dziewczyna też to czuła.

Być może było to wino, od którego zaczęło szumieć mu w głowie, ale nagle opanowało go pragnienie, żeby chwycić Ellen, przycisnąć ją swoim ciężarem i poczuć jej smak, zapach.

Przeczuwał jednak, że taka próba skończyłaby się tym, że po raz trzeci miałby jej nóż na swoim gardle.

— Dziękuję za podploty, ser i wino — powiedział cicho. — Wydaje mi się jednak, że powinnaś już iść.

Kiwnęła głową. Wstała z łóżka i podeszła do drzwi.

— Zostawiam ci jedzenie — powiedziała na odchodnym — Zjedz i wypocznij, Bram.

Wyruszamy jutro wczesnym przedpołudniem do Saint Paris.

— Dlaczego właśnie tam? Dlaczego nie do tego Davestadt?

— Bo w Davestadt nie mieszka żaden Gustav Handke. Wymyśliłam go. Za to w Saint Paris rzeczywiście żyje kilku miejscowych, którzy byli tu jeszcze przed pierwszą wojną. Może coś wiedzą o bunkrze. Po drugie, w Saint Paris mogą pomimo wszystko wiedzieć, gdzie jest Lisiecki.

— A po co nam Lisiecki? Przyznał przecież, że kłamał, kiedy powiedział, że wie, gdzie jest bunkier.

Ellen uśmiechnęła się szeroko.

— A nie przyszło ci do głowy Holendrze, że tak naprawdę kłamał, kiedy mówił, że kłamał?

Rozdział 6. Paryż płonie

Siren chodził wśród gnijących ochłapów ludzkiego mięsa, obgryzionych kości i strzępów odzieży. Groby zostały rozkopane w nocy. Ktoś wyciągnął leżące w nich trupy, a potem rozszarpał je i pożarł.

Nie miał żadnych wątpliwości, że szczątki należały do braci Popescu. Wskazywały na to należące do nich ubrania, znaleziona w wawozie strzelba oraz liczba grobów. Licząc oderwane kończyny szeryf doliczył się trzech trupów. A raczej dwóch i pół, ale nie kłopotał się poszukiwaniem drugiej połówki. Nie wiedział tylko, jak zginęli bracia.

Chudzielce pożarły braci, ale to nie one były odpowiedzialne za ich śmierć. Po pierwsze,

Rumuni powinni sobie z nimi poradzić. Po drugie, chudzielce nie zadałyby sobie trudu, żeby najpierw ich pochować, a potem wygrzebać z ziemi. Po trzecie wreszcie, nie znalazł żadnych szczątków potworów.

Braci musieli więc zabić ludzi. A skoro ludzie, to głównymi podejrzanymi byli Holender wraz z Lisieckim. Siren zdał sobie sprawę, że nie docenił tej dwójki. Nawet nie przypuszczał, że mogą oni być aż tak bezwzględni. Pod pewnym względem mu to imponowało.

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie powinien wrócić do Kaźni i nie zebrać większej grupy pościgowej. Ale w ten sposób straciłby cenny czas, który Lisiecki z Bramem mogą wykorzystać na podburzanie przeciwko niemu kolejnych osadników. Nie mógł na to pozwolić.

Kucnął i patykiem poruszył kawałek obgryzionej kości udowej. A więc chudzielce — pomyślał. Nie podobało mu się to. Nigdy nie podchodziły tak blisko miasta. A przynajmniej nie tak wielką zgrają. Tych tutaj musiało być co najmniej pięciu, żeby pożreć trzy ciała. Popescu byli całkiem niezłe odżywieni.

Poczuł się nagle nieswojo i zaczął rozglądać się po okolicy. Ale las był cichy i martwy. Tylko jego koń niespokojnie przebierał kopytami.

Siren postanowił jak najszybciej dotrzeć do Saint Paris.

*

— To dlaczego Uther nienawidzi Kasabiana? — zapytała Ellen.

Tak jak zapowiedziała dziewczyna, opuścili zamek Starego wczesnym przedpołudniem.

Gospodarz dał im do pomocy dwóch żołnierzy. Pierwszym z nich był młody chłopak, który wyglądał na zaledwie piętnaście lat. Chudy, blade, z odstającymi kośćmi policzkowymi, mówił niewiele. Za to pewnie trzymał się w siodle i sprawiał wrażenie, jakby znakomicie potrafił się posługiwać tak szablą, jaki i kuszą. Czyli obiema broniąmi, które ze sobą wiozł. Drugi, Mark, był starszy. Ogorzały, nieogolony, równie małowówny jak jego towarzysz, według dziewczyny był jednym z zaufanych ludzi Joachima. Dla Brama był to dowód, że Stary jednak nie do końca mu ufa. Wszyscy, za wyjątkiem Ellen, mieli na sobie zielone tuniki z czarnym kowadłem na piersi.

— Najpierw ty odpowiedz na moje pytanie. Sava wiedziała, że jesteś córką Starego? Ellen uśmiechnęła się pod nosem.

— Nie sądzę. Zapytaj kogokolwiek, a wszyscy powiedzą, że Stary ma syna, nie córkę.

Bram przyjrzał się dziewczynie i natychmiast zrozumiał, co miała na myśli. Ubraną w męski strój, z krótko ostrzyżonymi włosami, łatwo można było ją pomylić z młodym chłopakiem.

— To jak to jest z tym Kasabianem? — dopytywała się dziewczyna.

— Naprawdę nie znasz tej historii?

— Jakbyś nie zauważył, żyjemy tutaj trochę tak jakby na zadupiu. Mało ploteczek z Bramy Północy do nas dociera.

Holender roześmiał się. Prawdopodobnie za głośno, bo młodszy z towarzyszących im mężczyzn syknął na niego i przyłożył palec do ust.

— To nie ploteczki... Ale od początku. Wiesz, o tym, że Uther przyjął tron po tym, jak wystąpił przeciwko swojemu szalonemu ojcu?

— Erykowi?

— Erykowi Brodatemu, chociaż ludzie wolą go nazywać Obląkanym — zgodził się Bram. —

To był zły władca. Okrutny, nieprzewidywalny, ale przede wszystkim słaby. Szczególną rozrywkę znajdował w dręczeniu służby i rodziny. Panowanie oparł na czterech rodach

królestwa, którym właściwie pozostawił wolną rękę w zamian za to, że nie występowali przeciwko niemu.

— Nie był więc aż tak głupi — zauważyła Ellen.

— Nigdy nie twierdziłem, że był głupi. Szalony tak, ale nie głupi — zaprotestował Bram.

Poprawił się na siodle i ciągnął dalej — Brama Północy upadała. Słabsza niż kiedykolwiek w swojej historii. W tym samym czasie narastało zagrożenie ze strony Korporacji, a i Republika była w konflikcie z Bramą. No i był jeszcze Koźli Król.

— I wtedy Uther się zbuntował? — domyśliła się dziewczyna.

— Nie chciał tego robić. Ale wielu go do tego namawiało. Pomniejsza szlachta, kupcy, mieszczenie. Wszyscy przekonywali go, że jeśli nie odsunie ojca od władzy, Brama Północy zginie, podbita przez którąś z okolicznych potęg.

— Dalszą historię chyba znam. Uther stanął na czele rebelii. Początkowo pobił go jakichś rycerz...

— Ser Casey zwany Tarczą Północy. Jedyny, który kiedykolwiek pobił Uthera w polu.

Największy rycerz tamtych czasów, a być może w całej naszej historii. Niestety, złożył wiele lat wcześniej przysięgę wierności Erykowi, a dla ser Caseya przysięgi były święte.

— Nie musisz mi tłumaczyć znaczenie przysięgi rycerskiej — przerwała mu Ellen — Jestem córką człowieka, który dalej toczy zakończoną dwadzieścia lat temu wojnę, w imię słowa, które dał umarłemu księciu.

Bram poczuł, że się rumieni.

— Tak. Oczywiście.

— Opowiedz o Kasabianie.

— Kasabian był wtedy bardzo młody. Liczył zaledwie siedemnaście lat, ale był już znanym rycerzem. Wygrał kilka turniejów. Miał nie brać udziału w rebelii. Uther nie chciał go wciągać. Oddał jednak Kasabianowi pod opiekę swoją żonę oraz trzyletniego syna.

— Co się dalej stało?

— Po pierwszej bitwie do Kasabiana przyjechał ser Casey. Rycerz nakazał oddać pod jego opiekę rodzinę Uthera.

— Kasabian się zgodził?

— Tak. Był młody. Zbyt młody na tak poważne zadanie, jakie mu powierzono. Poza tym oneśmieliła go sława ser Caseya. Zrobił więc to, co mu kazano.

— Co się wydarzyło później?

Bram zagryzł wargę.

— Eryk Obląkany własnoręcznie zabił żonę Uthera oraz jego syna — powiedział cicho — Najpierw poderżnął im gardła, a potem poćwiartował ich ciała. Wreszcie wysłał je synowi w płóciennym worku, z informacją, że tak właśnie karze się buntowników.

Ellen zbladła lekko. Potrząsnęła z niedowierzaniem głową.

— Eryk zabił własnego wnuka?

— Był obląkany.

— I co było dalej?

— Dalej... Długo by opowiadać. Ser Casey zniknął kilka dni po tym, jak dowiedział się, jaki los spotkał rodzinę Uthera. Do dziś nie wiemy, co się z nim stało. Niektórzy twierdzą, że nie chciał już służyć Erykowi, a nie mógł wystąpić przeciwko niemu z powodu przysięgi. Dlatego jedynym honorowym wyjściem było dla niego samobójstwo. Miał się rzucić z Wielkiego Mostu do morza w pełnej zbroi. Inni z kolei uważają, że to Uther go w jakiś sposób zabił, ale król nigdy się do tego nie przyznał.

— A rebelia?

— Wydawało się, że upadnie. Sojusznicy opuszczali Uthera, ale kiedy ten otrzymał zwłoki swojej rodziny... Zmienił się. W kilku kolejnych potyczkach rozbił silniejsze siły swojego ojca.

Opanował całe południe kraju. Jeden z czterech rodów, McKinnseyowie, przeszli na jego stronę, przerażeni okrucieństwem Eryka. Wreszcie do Uthera przyszedł pełen skruchy Kasabian, który nawet prosił brata, żeby ten odebrał mu życie. Uther oczywiście tego nie zrobił i pozwolił

Kasabianowi walczyć u swojego boku. A wreszcie doszło do bitwy w Brzozowym Lesie.

— Uther zwyciężył.

— Oczywiście. Wojska jego ojca zostały pozbawione dowództwa ser Casey'a, a Eryk nie był zbyt utalentowany militarnie. Uther rozbił w puch przeciwnika, a Kasabian dopadł ojca, kiedy ten próbował uciekać z pola bitwy. Zażądał, żeby się poddał, ale król w bitewnym zgiełku nie słyszał wołania. Wdali się w pojedynek. Kasabian był zmuszony zabić Eryka.

Przez chwilę jechali obok siebie w milczeniu. Ellen trawiła usłyszaną historię.

— A więc Uther nienawidzi brata za to, że Kasabian wydał jego rodzinę Erykowi?

Bram potrzęsnał głową.

— Nie. Ten błąd mu wybaczył już dawno temu. Uther nienawidzi Kasabiana za to, że ten zabił króla Eryka w Brzozowym Lesie i w ten sposób pozbawił go szansy na dokonanie zemsty.

Ellen po chwili milczenia, otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale nie pozwolił jej na to Mark.

— Saint Paris — oznajmił mężczyzna. W jednej z potyczek z Korporacją stracił przednie zęby, dlatego zawsze kiedy mówił, z jego ust wydobywał się lekki świst.

Żołnierz wskazał palcem na spore skaliste wzniesienie, które znajdowało się przed nimi.

Teren zrobił się bardziej stromy i mniej przyjazny podróżnym. Stary szlak wił się pomiędzy skałami, pagórkami, niewielkimi wąwozami.

— Już niedługo będziemy — stwierdziła Ellen. — Na tamtym wzniesieniu odkryto żyłę żywmetal. Saint Paris zbudowano wokół kopalni.

Bram musiał uwierzyć jej na słowo. Sam widział tylko zarys wzgórza. Całą resztą zasłaniały drzewa.

— Czy mieszkańcy miasteczka nie zareagują przypadkiem trochę zbyt nerwowo na to? — zapytał i palcem wskazał na czarne kowadło na piersi Marka.

— Nie powinni. Nie lubią nas specjalnie, ale od jakiegoś czasu wypracowaliśmy z nimi... jak by to ująć... Zasady współżycia?

— Płacą wam haracz — domyślił się Bram.

— Można to też tak nazwać. W każdym razie, obie strony są zadowolone. Oczywiście jedna bardziej.

Zaczęli wspinać się na wzniesienie i Holender dostrzegł wylaniającą się spomiędzy drzew wieżę strażniczą, a potem kamienne ściany domów. To były długie, szerokie, niskie budynki, przypominające baraki, przeznaczone dla co najmniej kilku rodzin. Zbudowano je dla górników i innych pracowników najemnych w kopalni.

Nagle zatrzymał konia. Nasłuchiwał. A potem wyciągnął karabin i odbezpieczył broń.

— Co robisz? — zapytała zdumiona Ellen.

Bram w pierwszej chwili nie odpowiedział. Po prostu nie wiedział, jak mógłby wytłumaczyć swoje zachowanie. Sporą część swojego życia spędził polując w lasach Nowej Holandii, które może i były przyjaźniejsze niż te tutejsze, ale ciągle wiele w nich było niebezpieczeństw. Podczas tych długich wędrówek nauczył się, że są takie chwile, kiedy ciało dostrzega niebezpieczeństwo, z którego umysł nie zdaje sobie jeszcze sprawy. Tych dziwnych przeczuć nie można było lekceważyć.

— Ile osób mieszka w Saint Paris? — zapytał.

— Sto, może trochę więcej — odpowiedział mu Mark — Pracownicy kopalni, ich rodziny, paru myśliwych, handlarzy.

Bram wiedział już, dlaczego się zatrzymał.

— Słyszycie?

— Co takiego? — odpowiedziała mu pytaniem Ellen.

— Właśnie. Nic. Żadnych ludzkich głosów, żadnych śmiechów, okrzyków, odgłosów prac z kopalni. Nic.

Jego towarzysze spojrzeli po sobie. Pierwszy zareagował Mark, który wyciągnął strzelbę. Złamał lufę i załadował naboje. Reszta również sięgnęła po broń.

— Zostańcie tutaj — rozkazała Ellen — Pójdę się rozejrzeć. Jeśli gwizdnę dwa razy, to znaczy, że możecie jechać. Jeśli raz, to znaczy, że jest niebezpiecznie.

— Od kiedy ty tu dowodzisz? — zapytał Mark.

— Od zawsze — odpowiedziała dziewczyna i zeskoczyła z konia.

Nim zdążyli się zorientować, popędziła przed siebie, przemykając między drzewami, skulona i zwinna jak łania. W dłoniach lśniły noże o długich, lekko zakrzywionych ostrzach. Bram był pod wrażeniem. Poruszała się niemal bezgłośnie, a wkrótce znikła zupełnie wśród skał, drzew i krzewów.

— Szlag — mruknął pod nosem Mark. — Nie powinienem jej na to pozwolić.

— Poradzi sobie.

— A skąd ty to możesz wiedzieć, co, Holciu?

Bram zacisnął zęby i postanowił więcej się nie odzywać. Dokładnie obejrzał karabin, szukając zabrudzeń i paprochów. Sprawdził, czy może w razie czego szybko go schować do olstra i wyciągnąć szablę. Kiedy dotykał jej rękojeści, nagle zmniejszył się jego strach, a wzrosła pewność siebie. Broń dodawała mu otuchy.

Mark nie spuszczał oka z budynków w Saint Paris. Dłonią gładził nerwowo kolbę strzelby.

Jego młody towarzysz raz po raz spuszczał i naciągał cięciwę kuszy, pocąc się przy tym i stękając.

— Możesz zniszczyć w ten sposób mechanizm — ostrzegł go Holender.

Młodzieniec prychnął pod nosem, ale w przeciwieństwie do Marka brakowało mu odwagi, żeby otwarcie obrazić Brama. Za to przestał bawić się kuszą. Naciągnął cięciwę po raz ostatni i zaczął obracać w dłoniach bełt.

Obaj żołnierze Starego byli podminowani. Docierało już do nich to, co Bram usłyszał pierwszy — cisza. Przerażliwa i martwa, przerywana jedynie ich ciężkimi, męskimi oddechami.

Usłyszeli gwizd. Mark cały się spiął i chwycił za strzelbę. Potem kolejny. Dwa sygnały.

Żołnierz odetchnął głęboko z ulgą. Dał znak młodemu towarzyszowi, żeby wziął za uzdę konia Ellen i nakazał grupie ruszyć.

Po chwili byli już w miasteczku. Dziewczyna wyszła im naprzeciw, żeby wskazać miejsce, gdzie mogą przywiązać wierzchowce. Tych kilkanaście sekund, nie więcej, wystarczyło żeby młodzieniec z kuszą najpierw zrobił się biały jak ściana, a później zielony jak kolor jego tuniki.

Na czoło wystąpił mu pot i przez chwilę wydawało się, że zemdleje. Również Mark z Bramem pobledli.

Zeszli z koni. Oddali uzdy najmłodszemu żołnierzowi, wzięli broń i podeszli do dziewczyny.

— Boże... — jęknął Holender — Widziałaś kiedyś coś takiego?

— Nie — odpowiedziała Ellen.

— Tak musiała wyglądać Kuźnia po masakrze — dodał Mark.

Saint Paris zbudowano na planie owalu, na którego krawędziach znajdowały się budynki mieszkalne, kanciaste, kamienne domy, obory, zbiorniki na wodę i stajnie. Oś symetrii figury wyznaczała główną drogę, która prowadziła od drewnianej bramy, prowizorycznej i symbolicznej, jako że miasta nie otaczał żaden mur lub palisada — do wielkiej, szarej skały, gdzie znajdowało się wejście do kopalni. Punktem centralnym miasta był zaś drewniany barak, z krużgankiem biegnącym dookoła, który najwyraźniej stanowił miejsce spotkań mieszkańców.

Zdobiły go malunki przedstawiające koguta i dziwną, trójkątną, ażurową, szpiczastą wieżę. Był to jeden z symboli, którymi chętnie posługiwali się Francuzi.

Wśród tych domów, obejść i płotów, leżały zmasakrowane, ogryzione do kości zwłoki ludzi i zwierząt. Plamy krwi zastygły brunatnymi fontannami na ziemi, ścianach i kamieniach, a wokoło roznosił się specyficzny, słodkavo-mdlący zapach świeżej śmierci. Niektóre szczątki były rozciągnięte i porzrucane, jakby walczyły o nie dzikie bestie, inne upchnięto zazdrośnie w kącie.

Holender podszedł do najbliższego trupa i spojrzał prosto w na wpół pożartą twarz. Kobieta pozbawiono oczu, policzków, podbródka, pozostała tylko skóra w okolicach nosa oraz kępy włosów, tuż obok bielących się kości policzkowych. Jej ciało nie wyglądało lepiej, rozerwane chaotycznie na strzępy, z resztkami flaków wywleczonymi na zewnątrz i bezlitośnie posiekanymi gwałtownymi ugryzieniami, tak że przypominały teraz szare frędzle.

Takich trupów wokoło były dziesiątki. Kobiety, mężczyźni, starcy, dzieci. Samotni lub w grupach, w progach zniszczonych domostw lub na zewnątrz. Wszyscy tak samo martwi. Tak samo zbezczeszczeni. A obok nich zwierzęta: psy, koty, kury, krowy i konie.

— Chyba kogoś zauważyłam — szepnęła Ellen.

— Gdzie? — zapytał Bram.

— W baraku na środku — powiedziała.

Zerknął w tamtą stronę.

— Nie patrz tam — syknęła dziewczyna.

— Ilu ich widziałaś? — zapytał Mark.

— Nie wiem. Chyba jednego.

— Miejscowi czy napastnicy?

— Nie wiem.

Żołnierz zmrużył oczy.

— Ellen, weź Młodego i zajdźcie barak od tyłu. Tam pewnie jest tylne wejście, prawda?
— zaczął Bram.

— Tak — przyznała.

— Świetnie. Pilnujcie go. My z Markiem pójdziemy od frontu. Jeśli ktoś jest w środku, znajdziemy go.

Dziewczyna przez chwilę się wahała, a w końcu kiwnęła głową na zgodę. Plan wydawał się rozsądny.

— Nie będę wykonywać rozkazów Holcia — zaprotestował Mark.

Bram poczuł przemożną ochotę uderzyć żołnierza pięścią w głowę. Stali w takim miejscu, że z baraku byli widoczni jak na dłoni. Musieli działać, a nie tracić czas.

— W takim razie potraktuj to jako mój rozkaz — warknęła Ellen.

Nachyliła się w kierunku żołnierza. Wystarczył błysk w jej oku, żeby Mark zrezygnował z wszelkich prób sprzeciwu.

Dziewczyna klepnęła Brama w ramię, głośno powiedziała, że idzie po prowiant do koni i

ruszyła w stronę wierzchowców. Dwaj mężczyźni stali bez ruchu, a potem Holender ledwie dostrzegalnie kiwnął głową i zwrócili się w stronę baraku.

W rozbitych oknach nie widać było żadnego ruchu. Holender pomyślał, że nikt nie powinien przeżyć takiej masakry, a gdyby napastnicy, kimkolwiek byli, ciągle znajdowali się w mieście, to już dawno powinni ich zaatakować. A jednak nie mógł się pozbyć wrażenia, że Ellen miała rację.

Że ktoś w tym ciemnym, mrocznym wnętrzu rzeczywiście ich obserwował.

Wbrew planowi Bram ruszył biegiem w stronę baraku. Dopadł do ściany i oparł się o nią plecami. Mark wkrótce do niego dołączył, a Holender zdążył jeszcze zauważyć, że dziewczyna znika za rogiem razem z Młodym.

Mężczyźni sprawdzili broń. Mark rzucił się do wnętrza baraku. Bram poszedł za nim. W środku znajdowały się poprzewracane stoły, taborety, drewniane ławy, rozbite naczynia i poobijane garnki, a pomiędzy tym bałaganem leżało kolejnych kilka ciał. Na ścianach wisiały jeszcze strzępy pozrywanych dekoracji, płócien, prostych malunków na desce, teraz zachlapanych krwią. Widać było, że mieszkańcy starali się, żeby wspólny barak wyglądał przytulnie i przyjaźnie. Teraz ich wysiłki tylko potęgowały grozę.

Rozległ się krzyk z zewnątrz. Mężczyźni ruszyli biegiem w stronę tylnego wejścia, tam gdzie była Ellen i Młody. Przez ganek wypadli na zewnątrz.

Młody leżał na ziemi, z rozbitym nosem, z którego ciekły strużki krwi. Jęczał coś przez przyciśnięte do ust palce, a jego kusza znajdowała się jakieś pół metra od niego. Wystrzelono z niej, o czym świadczył wbity w ścianę baraku bełt. Niedaleko niego stała Ellen, celując w obcego mężczyznę. Tamten trzymał dwa rewolwery. Jeden z nich wymierzony był w dziewczynę, drugi zaś w Brama i Marka, którzy również mieli już broń gotową do strzału.

— Proszę, proszę... Kogo ja tu mam... — oznajmił szeryf James L. Siren. — Sam pan Bram Huygens!

Siren zawiesił na chwilę wzrok na czarnym kowadle na tunice Marka.

— Skumałeś się z ludźmi Starego, Bram? Nie wiesz, co oni robią Holendrom? Straszne rzeczy. Oj straszne.

— Rzuć broń, Siren — rozkazała Ellen — Nas jest czworo, ty jeden.

— To prawda. Ale nie zapominaj, że strzelam równie dobrze z obu rąk, a to trochę wyrównuje moje szanse. Nie uważasz?

— Rzuć broń — powtórzył rozkaz dziewczyny Bram.

— Po co, ty holenderski pomocie? Po to, żebyś mógł mnie zabić i zająć moje miejsce? Bram zamrugął zaskoczony i otworzył usta.

— Tak, gnoju. Sava powiedziała mi, po co tu przyjechałeś. Jesteś szpiegiem Federacji. Przybyłeś tu, żeby mnie wygryźć.

— Rzuć broń Siren! — wrzasnęła Ellen.

— Zmusz mnie, dziwko.

Trwali w tym dziwnym pacie, wzajemnie do siebie mierząc, a żadna ze stron nie miała dość odwagi, żeby pierwsza otworzyć ogień. Bram poczuł, jak pot spływa mu wzdłuż dłoni i palca, a jego maleńkie kropelki opadają na spust karabinu. Nagle podjął decyzję. Odwrócił się plecami do Sirena, a potem zrobił krok w jego stronę. Potem kolejny, tak że znalazł się w sytuacji, kiedy stał niedaleko szeryfa, ale ze swojej broni mierzył nie w Sirena, ale w kompletnie zaskoczonego Marka.

— Rzućcie broń, Ellen — powiedział twardo Holender.

— Co ty wyczyniasz, Bram? — wyszeptała dziewczyna.

— Jestem zmęczony. Jestem zmęczony tym, że wszyscy gracie mną w jakichś swoich

dziwacznych gierkach. Mam po prostu dość. Teraz moja kolej. Rzućcie broń.

Ellen patrzyła na niego szklistymi oczyma.

— Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

Upuściła pistolet na ziemię. Mark zaklął i zrobił to samo ze swoją strzelbą. Żołnierz wiedział, że jego opór nie miał już żadnego sensu.

Kiedy tylko bronie wylądowały na drewnianym podeście baraku, Bram poczuł zimną lufę rewolweru szeryfa tuż przy swojej głowie.

— To był z twojej strony cholerny błąd — wycedził Siren.

— Nazywam się Bram van der Hagenhooper. Jestem synem lorda Kła i stadhoudera Nowej

Holandii — oznajmił, mówiąc powoli i wyraźnie Bram.

Zapadła cisza. Na moment.

— I to niby miało na mnie kurwa zrobić wrażenie? — zapytał Siren, ale coś w jego głosie świadczyło o tym, że tak się jednak stało.

— Przysłał mnie tu Uther, król Bramy Północy i władca Federacji — kontynuował niezrażony Holender — Wysłał mnie tu z pewną misją. Za wcześnie, żebym ci o niej mówił, ale wierz mi, że nie ma ona nic wspólnego z tobą ani ze stanowiskiem szeryfa w Kaźni. Sava naopowiadała ci kłamstw. Uprzedzając twoje pytanie, nie mam zielonego pojęcia, dlaczego to zrobiła. Szczerze mówiąc, zanim tu przybyłem, nawet nie wiedziałem, że w mieście jest szeryf.

— I co z tego? Zabiłeś moich ludzi.

— Tych Rumunów? To oni nas napadli. I dobrze o tym wiesz.

Szeryf nic nie powiedział. Zbliżył odrobinę lufę rewolweru do głowy Brama, tak że teraz niemal dotykała jego skroni.

— Możesz mnie zastrzelić — powiedział Holender, siłąc się na to, żeby zabrzmieć beztrąsko — ale pamiętaj, że zbyt dużo osób wie, że tu jestem. Zbyt wiele śladów zostawiłem i zbyt wiele z nich prowadzi do ciebie, Siren. Ja zaś jestem zbyt ważny, żeby moja śmierć uszła ci płazem.

Prędzej czy później, ktoś tutaj przyjedzie po twoją głowę. Nagrodę wyznaczy Uther, mój ojciec i pewnie wielu pomniejszych lordów, którzy będą się chcieli w ten sposób przypodobać stadhouderowi Nowej Holandii. Będziesz uciekać przez resztę twojego życia, szeryfie, a będzie ono dość krótkie. Z drugiej zaś strony możesz się do mnie przyłączyć i mi pomóc. Król Uther szczerze cię za to wynagrodzi.

— Dlaczego miałbym ci wierzyć? Kiedy się do nich celuje, ludzie wygadują różne rzeczy.

— Bo, jak sam zauważyłeś jestem, Holendrem.

— I co z tego?

— To z tego, że sam mnie ostrzegałeś przed Starym. Jeśli Stary pomimo mojej narodowości, i pomimo tego, że przedstawiam się jako syn najbardziej znenawidzonego przez niego człowieka, jeszcze mnie nie zabił, to musi oznaczać to, że mam naprawdę mocne plecy. Nie uważasz?

Kolejne sekundy ciągnęły się w nieskończoność. Siren rozważał każde usłyszane właśnie słowo. I wreszcie, bardzo powoli i ostrożnie odsunął lufę rewolweru od głowy Holendra.

— A oni? — zapytał i wskazał na resztę.

— Są ze mną, Siren. Nie grozi ci z ich strony żadne niebezpieczeństwo. Masz moje rycerskie słowo.

— Pluję na nie.

— Ale ja nie.

Chyba musiało to przekonać szeryfa, bo z ociąganiem, ale jednak opuścił broń. W tej samej chwili Mark rzucił się do swojej strzelby, ale zaraz miał przed oczyma wymierzony w siebie karabin Brama.

— Nie! — krzyknął Holender — Ma być spokój. Rozumiesz? Żadnych gwałtownych ruchów, żadnego celowania do siebie. Dotarło?

— Dotarło — sapnął gniewnie żołnierz.

Podniósł strzelbę, ale z lufą skierowaną w dół. Bram pozwolił sobie na głęboki, pełen ulgi oddech.

— Co tu się stało? — zapytał.

Siren podniósł wysoko brwi.

— Tutaj? W Saint Paris?

— Właśnie tutaj.

— Nie mam pojęcia. Przyjechałem tuż przed wami. Załapałem się na to, żeby zobaczyć, jak ta tutaj dziewczynka biega po okolicy sprawdzając, czy jest tu bezpiecznie. Chyba nawet łezkę uroniła, co? Co zobaczyłaś? Zabitego szczeniaczka?

— Zamknij się, Siren.

— A potem — kontynuował szeryf — zorientowałem się, że próbujecie mnie okrzyć. A tak swoją drogą, panie van der Hagenhooper, gdzie jest Lisiecki i dziewczynka?

— Opuścili mnie dwa dni temu. Tuż po tym, jak spotkaliśmy się z twoimi Rumunami.

— Pieprzony Polaczek. To do niego podobne — mruknął Siren i splunął gęstą, zielonkawą flegmą pod nogi.

W międzyczasie Młody się podniósł. Nerwowo spoglądał to na Sirena, to na Ellen, a wreszcie na Brama. Ze strzaskanego nosa ciągle leciała mu krew. Dziewczyna sięgnęła do ładownicy przy pasku, wyciągnęła z niej kawałek białej szmaty i podała chłopakowi.

— To wygląda na robotę chudzielców — stwierdziła.

Siren pokręcił głową.

— Niemożliwe — powiedział — W Saint Paris mieszkało około stu osób, a z tego połowa, może trochę więcej to mężczyźni. Silni górnicy z kilofami. Jeśli to by zrobili chudzielce, to musiałyby być...

— Prawdziwa horda — dokończyła Ellen.

— Niemożliwe! Nie włóczą się w tak wielkich grupach.

— A znasz kogoś... coś innego, co mogłoby wymordować tych wszystkich ludzi, a potem zjeść ich ciała?

Siren nie odpowiedział. Ruszył przed siebie, a cała reszta poszła za nim. Chudzielce, myślał, prymitywne, choć groźne stwory, miałyby dokonać tej rzezi? Nie mieściło mu się to w głowie, ale im głębiej się nad tym zastanawiał, tym bardziej nie widział innego rozwiązania zagadki. Do tej pory z niedowierzaniem traktował doniesienia o grupkach liczniejszych niż pięć osobników.

Cała horda, na tyle duża, że zdolna pokonać mieszkańców Saint Paris, to byłoby zagrożenie dla całej krainy.

Kiedy się odwrócił, na twarzy Marka i Młodego zobaczył to samo uczucie: niedowierzanie połączone z rosnącą pewnością, że tak właśnie musiało się zdarzyć i strachem z tej pewności wynikającym.

— Dlaczego wokół miasta nie ma choć palisady? — zapytał Bram.

— Z różnych powodów — odpowiedział mu Siren — Po pierwsze, osada była tak liczna, że pewnie nie wierzyli, żeby ktokolwiek ich zaatakował. Po drugie — nie mieli czasu, żeby taką zbudować. Byli zbyt zajęci wydobywaniem żywmetal. Po trzecie w końcu, z tego co wiem plan

zakładał, że w razie niebezpieczeństwa schowają się w kopalni. Tam na początku, zaraz przy wejściu jest naturalna pieczara. Mieli tam zapasy oraz wodę na kilka dni. Wejście można zamknąć za pomocą solidnych, metalowych drzwi, a później jest jeszcze jakaś krata. Z tamtych wież — wskazał na wysokie drewniane budowle — wypatrywali niebezpieczeństwa. Jakby coś się działo, wartownicy powinni podnieść alarm.

— Dlaczego w takim razie teraz nie podnieśli?

Siren zarechotał ponuro.

— Ten system nigdy dobrze nie działał. Kopalnia miała większy apetyt niż chory na Głód.

Cały czas potrzebowała nowych pracowników. Górnicy albo kopali żywmetal, albo spali, albo jedli, albo jebali. Właściwie to nie pamiętam, żebym kiedykolwiek widział kogokolwiek pełniącego wartość.

— Byłeś kiedyś w tej kopalni?

— Nie.

Wyszli zza baraku i znaleźli przy jednej z jego ścian potężną klatkę, wielkości mniej więcej dwa na dwa metry. Za grubymi kratami leżał żlebodźwiedź. Zwierzę było stare. Jego potężne ciało pokrywały liczne blizny, ochronne płyty kostne były w większości połamane lub uszkodzone, a wśród sierści tańczyły pchły. Klatka była na tyle mała, że żlebodźwiedź nie mógł się obrócić i podrapać. Wokół mocarnej szyi obwiązano łańcuch, który z kolei przyczepiono do prętów klatki.

Na widok ludzi podniósł łeb i Bram zobaczył, że ma tylko jedno oko. Na miejscu drugiego znajdowała się głęboka, niezabliźniona rana, wokół której latały dwie czarne, tłuste muchy.

— Co on tu robi? — zapytał Holender.

— No cóż... Szczucie żlebodźwiedzia to była ulubiona rozrywka mieszkańców Saint Paris — wyjaśnił Siren — A nie można, panie van der Hagenhooper, szczuć żlebodźwiedzia, jak się nie ma jednego pod ręką. Mnie jednak zastanawia co innego.

— Co takiego?

Szeryf zwrócił się w stronę Ellen i wskazał na uwięzione zwierzę.

— Jeśli za tę masakrę naprawdę są odpowiedzialne chudzielce, to dlaczego nie zabiły i nie zjadły tego żlebodźwiedzia? Według mnie to bardzo smaczny kąsek. Kupa mięsa. Patrz!

Siren chwycił leżący niedaleko metalowy pręt i dwa razy trącił nim zwierzę, które tylko zamruczało z gniewną rezygnacją w odpowiedzi.

— Żeby się do niego dostać, musiałyby najpierw otworzyć klatkę — wyjaśniła dziewczyna

— A nikt nie chce stanąć w oko w oko ze żlebodźwiedziem, jeśli nie oddziela go od niego solidna klatka. Chudzielce też nie.

Mark pokiwał głową.

— Gdyby był zdrowy i młody, to miałabyś rację, Ellen — powiedział Bram — Ale ten tutaj jest stary, zmęczony i poraniony. Nie stanowi wielkiego zagrożenia nawet dla psów.

— W takim razie dlaczego go nie ruszyły?

Holender przyjrzał się po raz ostatni zwierzęciu, a potem odwrócił się w stronę ciemnego lasu. Powoli zapadał zmrok. Cienie się wydłużały. Bram zdał sobie sprawę, że w nocy nawet strażnicy na wieżach nie ocaliliby Saint Paris. Krzewy, drzewa i gąszcz podchodziły pod same miasto. Nikt, nawet najbardziej niezgrabny zwiadowca, nie miałby najmniejszego problemu, żeby podkraść się do miasteczka niepostrzeżenie. Tak właśnie musiało być, kiedy doszło do masakry. Chudzielce, czymkolwiek były, zaskoczyły mieszkańców w ich domach. Tylko

nieliczni mieli okazję stawić im opór. Większość zginęła zanim zorientowali się, co właściwie się dzieje. A potem potwory urządziły sobie prawdziwą ucztę. Ludzkiego mięsa było tyle, że nawet cała horda nie zdołała zjeść wszystkiego.

— Zostawiły go sobie na później — orzekł ponuro Bram.

Siren zmarszczył brwi, a Młody poblądł i mocniej ścisnął kuszę.

— Myślisz, że tu wrócą? — zapytała szeptem Ellen.

— Zostało od cholery mięsa.

— Ściemnia się — zauważył Mark.

Ich spojrzenia spotkały się.

— Konie — powiedzieli niemal równocześnie.

W następnej chwili pędzili już w stronę wierzchowców. Siren odłączył się od grupy, tuż po tym, kiedy minęli barak. Gestem wskazał, gdzie pozostawił swoją klacz.

— Spotykamy się przy kopalni! — krzyknął jeszcze i zaraz zniknął za najbliższym budynkiem.

Nie musieli mu odpowiadać, że się zgadzają. To był naturalny wybór. Jeśli szeryf miał rację, kopalnia była najbezpieczniejszym miejscem na przeczekanie nocy.

Bram z Ellen, Markiem i Młodym biegli dalej. Przystanęli i odetchnęli z ulgą dopiero wtedy, kiedy ujrzeli swoje wierzchowce całe i zdrowe. Zwierzęta były trochę podenerwowane. Stawiały sztywno uszy, podrzucały łbami i machały nerwowo ogonami. Musieli je uspokoić poklepywaniem i smakołykami, zanim je odwiązali.

Dziewczyna otarła pot z czoła i uśmiechnęła się do Holendra.

— Ale mnie nastraszyłeś.

Bramowi po biegu brakowało oddechu, żeby cokolwiek odpowiedzieć, więc tylko pomachał dłonią i również się uśmiechnął. Chwycił lejce i poprowadził konia w stronę kopalni. Reszta poszła za nim.

Mniej więcej na wysokości baraku, Siren minął ich galopem, o mało przy tym nie potracając Młodego. Chłopak uskoczył przed końskimi kopytami w ostatniej chwili. Szeryf zawrócił klacz i wskazał dłonią kierunek, z którego nadjechał.

— Chudzielce! — krzyknął — Nadchodzą!

Nie czekając na reakcję, popędził dalej.

Bram położył dłoń na karabinie. Wpatrywał się w przestrzeń pomiędzy budynkami, ale widział tylko las — cichy, spokojny i ciemny. Natomiast jego wierzchowiec... On już wiedział.

Potrząsał łbem i sapał nerwowo, jakby chciał pośpieszyć Holendra. Bram postanowił mu zaufać.

Skoczył na siodło.

Dotarł do wrót kopalni jako ostatni. Zszedł z konia i rzucił lejce Młodemu, który trzymał już swojego wierzchowca oraz klacz Ellen. Siren, cały czerwony na twarzy, walił wściekle w obite metalową blachą drzwi chroniące wejście do kopalni.

— Co się dzieje?!

— Zamknięte! — warknął szeryf.

— Jak to zamknięte?

— Ktoś musi być w środku! — odpowiedział Siren i po raz kolejny uderzył kolbą strzelby w metal — Otwierać do cholery!

— Patrzcie! — krzyknęła Ellen.

Bram odwrócił się i zobaczył, jak zza najbliższego budynku, drewnianej budy będącej składem na narzędzia, wyłania się chudzielec. Po raz pierwszy widział tego potwora. Mógł być wyższy od człowieka, ale chodził przygarbiony. Był przeraźliwie chudy, tak bardzo, że

wydawało się, że w ogóle nie ma mięśni, a jego ciało składa się z kości i ścięgien przyobleczonych w szarawą, jakby pokrytą woskiem i plamami meszku skórę. Ręce zakończone długimi, wąskimi, przypominającymi duże szpilki szponami sięgały niemal do ziemi. Głowę miał podłużną, całkowicie łysą, z wielkimi, odstającymi uszami i niewielkimi, błyszczącymi oczyma. Nozdrza drgały mu i potwór nagle musiał wyczuć ludzi, bo obrócił się w stronę Brama i wyszczerzył rząd drobnych, nierównych zębów. W kąciku ust natychmiast pojawiły się krople gęstej śliny. Za pierwszym potworem pojawiły się natychmiast dwa następne, podobnej budowy. Różniły się co najwyżej stopniem owłosienia. Wszystkie też były gołe.

Mark sięgnął po strzelbę, ale Holender położył dłoń na lufie. Sam wyciągnął swoją szablę.

Uśmiechnął się, kiedy zacisnął dłoń na prostej, pozbawionej ozdób rękojeści.

— Nie warto tracić naboju i robić hałasu — szepnął i poszedł w stronę chudzielców.

— Bram — syknęła Ellen, ale Holender na nią nie zważał.

Szedł pewnie, obserwując uważnie potwory. Im bardziej się do nich zbliżał, tym bardziej się ślinały. Nagle jeden stęknął, pisnął i skoczył na mężczyznę. Bram zrobił krok w bok, unikając ciosu łapą, a sam ciął. Ostrze zadrżało z satysfakcją, kiedy odcięło kończynę potwora, a następnie ręka Holendra jakby sama zakreśliła łuk i ostrze szabli zanurzyło się brzuchu chudzielca, który jęknął chrapliwie i opadł na kolana.

Wyciągnął szablę z truchła i przybrał podstawową pozycję szermierczą. Lekko ugiął nogi i wymierzył pióro w stronę kolejnego potwora. Ostrze już nie drżało. Było równie skupione jak sam Holender.

— Otwierać, kurwa! — wrzeszczał już na cały głos Siren. Mark dołączył do niego i również walił pięścią w drzwi. Młody z coraz większym trudem utrzymywał wierzchowce. Gdyby nie były dobrze wyszkolone, zapewne już dawno temu uciekłyby siną w dal.

Bram doskonale pamiętał przestrogi ojca, kiedy ten wręczał mu broń, której przed nim z dumą używali wszyscy pierworodni stadhoudera Nowej Holandii. Ojciec mówił wtedy, żeby nigdy nie zapomniał, że szabla nie wygra za niego żadnego pojedynku. Pomagała. To prawda.

Pozwalała być trochę szybszym, trochę bardziej precyzyjnym, trochę bardziej zdecydowanym.

To były drobiazgi, i tak, te drobiazgi decydowały czasami o życiu lub śmierci, ale samo narzędzie nigdy nie uczyni z marnego szermierza mistrza. To ramię człowieka zawsze było najważniejsze.

Potwory rozdzieliły się. Jeden zachodził Brama z lewej, drugi z prawej. Holender cofał się, ale równocześnie krok po kroku, zmniejszał dystans do chudzielca po swojej prawej.

Zaatakował cięciem z boku. Potwór odskoczył w ostatniej chwili, ale Bram nie zamierzał rezygnować. Walił raz z jednej, raz drugiej strony, coraz szybciej, coraz mocniej, aż w pewnym momencie chudzielec wyczuł przerwę pomiędzy kolejnymi ciosami i skoczył przed siebie, ze szponami wymierzonymi w twarz mężczyzny. Na to właśnie czekał Holender. Zrobił krok w bok, uchylił się i ciął. Głowa stwora potoczyła się po skalistym podłożu i spadła do kałuży.

Bram odwrócił się płynnie. W samą porę, żeby zasłonić się przed uderzeniem chudzielca.

Potwór ryknął, kiedy jego ramiona trafiły na szablę. Ryknął powtórnie, kiedy z jego piersi, jak dwa krwawe kwiaty, wyrosły srebrne ostrza noży. Padł na kolana, a zza niego wyłoniła się Ellen.

Dziewczyna szarpnęła mocno, równocześnie nogą odpychając od siebie zwłoki maskary i wyjęła z jego ciała noże.

— Co ty sobie myślisz, co? — zapytała.

Bram wzruszył ramionami.

— Nadchodzą kolejne — stwierdził Mark, który wyrósł tuż obok nich. Żołnierz trzymał półtoraka w dłoniach, ale to nie była dobra broń. Przypominała raczej sztabę metalu z rękojeścią niż prawdziwy miecz. Niewątpliwie jednak wspaniale gruchotał kości.

Kilkanaście metrów od nich, w miejscu, gdzie zaczynały się pierwsze budynki mieszkalne a kończył teren kopalni, pojawiła się kolejna grupka chudzielców. Mogło być ich siedem, może mniej, może więcej — narastająca ciemność utrudniała liczenie, a kolor ich skóry zlewał się tak z granatem nieba, jak i szarością skalistego podłoża.

Ellen stanęła po lewej stronie, Mark pośrodku, a Bram po prawej. Bez słowa stanęli w szyku, a każde z nich wydawało się znać swoje zadanie. Holendrowi podobała się ta chwila, pełna napięcia, ale też dziwnego spokoju. Dobrze było tak stać, w ramię w ramię z towarzyszami, będąc gotowym zarówno na zwycięstwo jak i na śmierć. Zdawał sobie sprawę, że to głównie dzięki szabli, która ciepłymi falami przypominała mu o tryumfach jej poprzednich właścicieli. To była jej kolejna zaleta. Pomagała odpędzić strach, na polu bitwy równie zabójczy co ołowiana kula wymierzona w sam środek czoła.

Chudzielce ruszyły na nich z dzikim, przepelnionym łaknieniem piskiem, od którego cierpła skóra na plecach. Pierwsze osobniki zderzyły się z celnie wymierzonym półtorakiem Marka.

Rozległo się miękkie, nieprzyjemne chrupnięcie, kiedy metal miażdżył czaszkę.

Ellen schowała się najpierw za plecami żołnierza, ale tylko po to, żeby w dogodnej dla siebie chwili uderzyć niczym żmija. Znienacka zabiła jednego ze stworów i wdała się w walkę z kolejnym. Świetnie radziła sobie z nożami to blokując ataki, to wyprowadzając własne ciosy w dzikim tańcu, który — sądząc po wyrazie twarzy dziewczyny — sprawiał jej przyjemność.

Bram natomiast ściągnął na siebie dwójkę chudzielców. Koncentrował się na obronie, ale w dogodnej chwili wyprowadzał błyskawiczne i, jak się wkrótce okazało, zabójcze kontry.

Starcie nie mogło trwać dłużej niż minutę, a po tym czasie pod ich stopami leżały krwawiące śmierdzącą, lekko zielonkawą mazią trupy.

We trójkę oddychali nierówno i ciężko, a ich serca biły jak oszalałe.

— Wiem, że tam jesteście! — wrzeszczał jak opętany Siren — Otwierajcie!

— Nikogo tam nie ma! — odkrzyknął mu Bram.

— To kto do kurwy nędzy zamknął drzwi od środka?! Może same się zamknęły!

Mark delikatnie trącił Brama w bok i ruchem głowy wskazał przed siebie.

— Mamy problem — powiedział gardłowo, jakby głos uwiązł mu w okolicach przełyku.

Z ciemności powoli zaczęły wyłaniać się kolejne rzędy chudzielców, piszczące i nienasycone. Dzikie bestie, które wyczuły świeże mięso. Holender nagle zrozumiał, że być może będą w stanie odeprzeć jedną falę, może jeszcze drugą, ale koniec końców padną, a ich ciała posłużą jako główne dania na uczenie z ludzkiego mięsa. Na ucieczkę raczej było już za późno. W żaden sposób, nawet w piątkę, nie przebiją się przez ten dziki, gęsty, żądny krwi tłum.

Potwory wyczuły ofiary i nie zamierzały odpuścić. Z każdym kolejnym krokiem nabierały szybkości.

— Trzymajcie się blisko — powiedział Mark.

Bram zauważył kątem oka, jak Siren przestaje walić w drzwi, wrywa z rąk Młodego jednego konia, z potem z całych sił uderza zwierzę kolbą w zad. Wierzchowiec skoczył przed siebie i popędził, oszalały ze strachu, prosto na potwory. Roztrącił kopytami ich pierwszy szereg.

Siren spokojnie wymierzył i strzelił. Koń zachwiał się w biegu, a przednie nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Padł na ziemię, przewracając się z impetem na grzbiet i zarżał żałośnie.

Potwory stanęły zdezorientowane, łypiąc to na ludzi, to na umierającego konia, a w końcu wszystkie rzuciły się na zwierzę.

Szeryf uśmiechnął się krzywo. Wrócił pod drzwi, żeby po raz kolejny uderzyć w nie kolbą, ale wtedy wrota się otworzyły. Stała za nimi zmęczona, pobladła kobieta w brązowej, brudnej sukni i z patelnią w dłoni.

— Wchodźcie, wchodźcie szybko!

Nerwowo wyglądała, gdzie są chudzielce.

— Włazimy! — wrzasnął Siren.

Szeryf klepnął Młodego i pokazał mu otwarte wejście do kopalni. Zaraz wybiegła z niego inna kobieta, która pomogła chłopakowi wprowadzić konie. Siren złamał strzelbę, załadował nabój i pilnował tyłów.

Części z chudzielców nie udało się dorwać do konia, więc teraz zwróciły się w stronę kopalni. Siren strzelił i trafił tego, który był najbardziej śmiały, rozrywając mu bok. To na chwilę powstrzymało resztę. Niedługą, ale wystarczającą, żeby do kopalni zdążyli wbiec Bram, Ellen, Mark, a na końcu sam szeryf.

Rozdział 7. Noc opowieści

Te same kobiety, które wpuściły ich do kopalni, teraz zamknęły za nimi drzwi i założyły ciężką, drewnianą belę, która uniemożliwiła wdarcie się do środka. Jedna z nich pociągnęła Młodego i pokazała mu, gdzie może ukryć konie.

W wąskim korytarzu zrobiło się nagle tak tłoczno, że stali ramię w ramię, ocierając się o siebie i popychając się przy każdym kroku. Łysy grubasek, który do tej pory leżał przy ścianie trzymając się za głowę, na widok Sirena skoczył na równe nogi, objął go i przytulił się do brzucha szeryfa.

— James, James, James — jęczał, a łzy ciekły mu po tłustych policzkach — wiedziałem, że po mnie przyjdiesz. Po prostu wiedziałem, James. Sprowadziłeś pomoc, prawda, James?

Prawda?

— Kto to jest? — zapytał Bram.

— Zarządca kopalni — wyjaśniła jedna z kobiet — Nie chciałem was wpuścić do środka. Razem ze swoim przydupasem pilnowali drzwi. Dopiero jak im przyłożyliśmy łopatą...

Bram dostrzegł, że przy jednej ze ścian leży ruda, bardzo szczupły mężczyzna, którego pilnowały dwie dziewczyny z oskardami. Siren odepchnął od siebie zarządcę.

— Zjeżdżaj, świnię — warknął.

— Sprowadziliście pomoc? — zapytała kobieta z łopatą. Miała ciemną cerę, zmęczoną twarz, spracowane dłonie i podkrążone z niewyspania oczy.

— Jak się nazywasz? — zagadnął Siren.

— Anne Goodluck. Żona Henry'ego Goodlucka. Była żona, jak sądzę.

Szeryf kiwnął głową.

— Znałem twojego męża. Był dobrym człowiekiem.

— Nie musisz mi tego mówić, szeryfie — powiedziała obrażona — Sprowadziliście pomoc?

— Nie — włączyła się do rozmowy Ellen — Jesteśmy sami.

Nawet jeśli była zawiedziona, Anne nie dała tego po sobie poznać. A może była zbyt zmęczona, żeby okazywać emocje.

— Zabierz Rolandowi broń — rozkazała towarzyszkom.

Jedna z dziewcząt schyliła się i podniosła leżący obok rudego pistolet.

— James... — zarządca kopalni podpełznął do szeryfa — Ty nie rozumiesz. To one

zabroniły mi otwierać.

Siren kucnął przy mężczyźni i chwycił go za podbródek.

— Luigi, Luigi, Luigi... Nie wierzyłem ci nawet wtedy, kiedy byłem pewien, że mówisz prawdę.

Klepnął zarządcę po policzku i wstał. Mężczyzna zaszlochał cichutko.

— James...

— Zamknął drzwi do kopalni, kiedy tylko zaczął się atak — powiedziała Anne — Nielicznym udało się schronić. Nawet swoich własnych ludzi zostawił na pastwę chudzielców.

Tylko Roland zdążył. Cała reszta, mój mąż... — przez moment wydawało się, że głos się jej załamał, ale powstrzymała się w ostatniej chwili. — Nie widzieliście go, prawda?

— Przykro mi.

Kobieta zgięła się, jakby na plecy spadł jej niewidzialny kamień. Wydawało się, że pęknie pod tym ciężarem na tysiące drobnych kawałków. Ale to był tylko moment, ułamek sekundy.

Pozbierała się jakoś.

Przeprowadziła ich do wnętrza skrytej w skale naturalnej jaskini, długiej na około dwadzieścia metrów, szerokiej na mniej więcej dziesięć. Pomiędzy stosami stempli i narzędzi, wiadrami, wózkami górniczymi i niepracującymi pompami, w mdłym świetle górniczych lamp kryli się nieliczni ocaleni z rzezi Saint Paris. Bram naliczył łącznie siódemkę kobiet i niewielką gromadkę dzieci. Prócz zarządcy i Rolanda nie było żadnych innych mężczyzn.

Do Anne podbiegł mały chłopiec, który wtulił twarz w jej suknię. Kobieta pogłaskała go po głowie, szepnęła coś do ucha, a potem wzięła na ręce. Chłopiec przetarł zmęczone oczy i oparł czoło na ramieniu kobiety.

Zajęli miejsce obok koni, niedaleko wejścia do dalszej części kopalni, na którą składało się kłębowisko szczelin, korytarzy, pieczar, komór i szybów, wbitych w głąb bogatej w żywność skały. Z czeluści ziało mroźne, wilgotne powietrze i trudny do zidentyfikowania, metaliczny, nieprzyjemny zapach. Złożyli broń, rozsiodłali konie, zdjęli juki i przygotowali posłania. Nim się zorientowali, Młody już spał, przytulony do brudnego koca.

Kiedy się rozłożyli, pojawiła się przy nich Anne Goodluck z dymiącym garnkiem, który trzymała przez kawał grubej skóry. Położyła go na ziemi.

— To fasola. Ale bez mięsa. Brakuje nam też chleba.

— Fasola wystarczy. Dziękujemy — odpowiedział za wszystkich Mark.

Żołnierz podszedł do Młodego i obudził go kopnięciem. Wzięli łyżki w dłonie i zasiedli wokół gara. Jedli w milczeniu. Każdy po jednej łyżce, uważnie, długo żując. Ellen przyniosła kawał pieczeni, którą się podzielili. Najprawdopodobniej była to część wczorajszego psa, ale Bram zupełnie już nie zwracał na to uwagi. Pożarł wszystko w kilku kęsach. Smak go nie obchodził. Chciał tylko zaspokoić głód.

Wkrótce, szybciej niż przypuszczali, bo starali się jeść powoli, garnek był pusty. Siren puścił w krąg butelkę mocnej, parzącej gardło wódki.

— Dobrze walczysz, Holenderze — powiedział Mark do Brama.

Były to pierwsze słowa, które do niego wypowiedział od kiedy weszli do kopalni.

— Dziękuję. Ty również.

— Twoja szabla jest z żywność? — zapytał i wskazał na leżącą niedaleko broń.

— Tak.

— Jak się nazywa?

— Kinderjuffrouw.

Żołnierz parsknął śmiechem i pokręcił z niedowierzaniem głową.

— Co to znaczy? — zapytała Ellen, podając Markowi butelkę.

— Niania — wyjaśnił Bram. — To szabla, którą stadhouder Nowej Holandii daje swojemu pierworodnemu wtedy, kiedy ten wygra swoją pierwszą walkę i osiągnie pełnoletność.

— Mężczyźni w Nowej Holandii potrzebują niańki?

W głosie dziewczyny zabrzmiała przyjazna drwina.

— Nie. Nie potrzebujemy. Na początku nazywaliśmy ją Obrońcą Krwi, ale wkrótce przekonaliśmy się, że bardziej odpowiada jej imię Kinderjuffrouw. A tylko głupiec klóci się z ostrzem o imiona.

Przejął butelę i wziął łyk. Skrzywił się, kiedy przełykał ciepły alkohol i puścił wódkę dalej w krąg.

— Opowiedz mi o tej swojej misji panie van der Hagenhooper. Czy jak się do ciebie powinienem zwracać? Lordzie? Książę? — zagadnął Siren.

— Wystarczy Bram.

— Ooo... A więc jesteś jednym z tych pieprzonych, wysoko urodzonych hipokrytów, którzy udają, że bratają się z plebsem, pozwalając zwracać się do siebie po imieniu? Jesteś pewien milordzie, że jestem godzien tego zaszczytu?

W kręgu zapadła niezręczna cisza. Holenderowi przychodziło do głowy wiele odpowiedzi na to pytanie, ale każda z nich prowadziłaby do kłótni. Wolał więc milczeć, zdając sobie jednak sprawę, że w ten sposób może sprowokować Sirena do dalszych drwin. Szeryf jednak tylko zachichotał i klepnął mężczyznę w ramię.

— No co ty! Tylko żartowałem. Na żartach nie znacie się w tej Nowej Holandii, czy co? Bram zmusił się do krzywego, gorzkiego uśmiechu.

— Opowiadaj o tej twojej misji panie van der Hagenhooper — ciągnął Siren.

Holender ciągle wahał się, czy powinien cokolwiek zdradzać szeryfowi, a jeśli tak, to co dokładnie. Spojrzał znacząco na Ellen, mając nadzieję, że dziewczyna pomoże mu rozwiązać ten dylemat, ale ona tylko wzruszyła ramionami.

— Ty go do nas ściągnąłeś, ty musisz zdecydować — stwierdziła i wzięła butelkę z rąk Marka.

— Chyba za mną nie przepadasz, co, mała? — zapytał szeryf.

— Po pierwsze, kto za tobą w ogóle przepada, Siren? Po drugie, nazwij mnie jeszcze raz mała, to utnę ci fiuta.

Szeryf po raz kolejny się roześmiał i pogroził dziewczynie palcem.

— Po pierwsze, kilka osób by się znalazło. Po drugie, wystarczyło grzecznie poprosić. Po trzecie, takie groźby mogą doprowadzić cię do miejsca, w którym wolałabyś się nie znaleźć.

Ellen chciała mu coś odpowiedzieć, ale Siren jej nie pozwolił.

— Po czwarte w końcu, skoro pijesz moją wódkę, powinnaś być w stosunku do mnie trochę bardziej uprzejma — ciągnął.

Dziewczyna zamknęła otwarte już usta i zmarszczyła brwi.

— Masz rację, szeryfie — stwierdziła nagle — Twoje zdrowie! — wzniosła butelkę i wzięła drugi łyk. Podała wódkę Młodemu, który był już najwyraźniej pijany. Chwiał się, a oczy same mu się zamykały. Natychmiast przekazał butlę Bramowi. Chłopak wybelkotał coś niewyraźnie, wstał z miejsca i udał się na swoje posłanie. Już po chwili dochodziło stamtąd jego chrapanie.

— Twoja misja, panie van der Hagenhooper?

Bram westchnął cicho. Oparł się plecami o ścianę, chowając się w niewielkim zagłębieniu skalnym tak, że nie było go prawie widać. Zaczął opowiadać. Wszystko, bo tak było najprościej i

najłatwiej, a on nie miał już sił zastanawiać się nad tym, co powinien powiedzieć, a co ukryć.

Siren dowiedział się o wojnie, o Pierwszym Mieczu, którego tak pożądał Uther, o ukrytym bunkrze, o planowanym konflikcie z Korporacją, którego wszyscy się spodziewali i o tym, dlaczego misja Brama jest taka ważna. Szeryf słuchał skupiony. Nawet nie pił w trakcie opowieści Holendra. Kiedy dostał butelkę, puszczał ją dalej w krąg. Inni najwyraźniej również woleli zachować trzeźwość umysłu, bo wódka krążyła od rąk do rąk, a nikt nie podnosił jej do ust. Wreszcie Bram skończył, a Siren przymknął powieki i trwał tak przez długą chwilę nim zdecydował się odezwać.

— Co dostanę za pomoc? — zapytał.

— Pomoc? Twoją?

— Jaka będzie nagroda?

— A jak ty mu możesz pomóc, Siren? Możesz się co najwyżej nie wtrącać —

powiedziała

Ellen.

Siren położył jej palec na wargach. Odtrąciła jego dłoń lekceważącym ruchem.

— Powiedzmy. . Powiedzmy, panie van der Hagenhooper, że wiem, jak odnaleźć schron.

Bram poderwał się i uderzył głową o niski strop skalnego zagłębienia, w którym był schowany. Syknął z bólu przy wtórze chichotu reszty.

— A skąd ty możesz wiedzieć, gdzie on jest, Siren? Nawet nie było cię tu podczas wojny

— zauważył Mark, kiedy skończyli się śmiać.

— Nie powiedziałem, że wiem, gdzie jest bunkier. Powiedziałem, że wiem, jak go znaleźć.

— Jak? — zapytał Bram.

— Zależy, jaką nagrodę oferujesz.

Holender przecesał palcami włosy i poczuł lepką krew. Skrzywił się lekko, kiedy dotknął okolic rany.

— A czego chcesz? — zapytał.

— Szlachectwa — odpowiedział natychmiast Siren — Dożywotniej renty od Uthera i posiadłości gdzieś na wybrzeżu z trzema czy czterema wioskami, których mieszkańcy będą ciężko pracować na mój dobrobyt.

— Dużo.

Szeryf unosił i opuszczał dłonie, jakby ważył coś na niewidzialnej wadze.

— Nie do mnie należy decyzja — zauważył Bram.

— Pieprzenie — odpowiedział mu Siren — Jeśli wrócisz z tym Pierwszym Mieczem do Uthera, to Stary Sęp zrobi wszystko, o co go poprosisz.

Holender zagryzł wargę. Szeryf żądał wiele i doskonale o tym wiedział. Ale miał też rację.

Stawka była wysoka. Warto było zaryzykować. Bram splunął na dłoń i wyciągnął ją w stronę Sirena. Mężczyzna zrobił to samo. Podali sobie ręce w mocnym, męskim uścisku.

— Jak w takim razie znaleźć bunkier?

Szeryf wskazał na Ellen i Marka.

— Na pewno chcesz, żeby oni tego słuchali?

— Tak.

— Okazujesz ludziom Starego duże zaufanie. Za duże. To okrutny i przebiegły starzec, panie van der Hagenhooper.

— Powinieneś w takim razie uważać, co mówisz w obecności jego córki.

Jeśli spojrzenie mogłoby zabijać, to w tej chwili Bram padłby trupem.

— Stary przecież ma syna, takiego... — Siren przerwał w pół słowa i powoli odwrócił głowę w kierunku Ellen. — O ja pierdole — dokończył.

Ellen przymknęła powieki i pełen gniewu grymas wykrzywił jej twarz. Zagryzła zęby. Wściekłość wyglądała spod warstwy brudu i kurzu. Ale nagle jakby coś się w niej zmieniło.

Uśmiechnęła się niewyraźnie.

— To było użyteczne kłamstwo — stwierdziła dziewczyna i wyrwała zaskoczonemu Sirenowi butelkę w dłoni — Ale każde kłamstwo kiedyś wychodzi na jaw, co?

— Ty jesteś... — zaczął Siren.

— Lepiej powiedz, jak znaleźć ten bunkier.

Jej słowa były jak policzek. Otrzeźwiły szeryfa na tyle, że przestał się wpatrywać z niedowierzaniem w dziewczynę, ale ciągle był pod wrażeniem usłyszaných rewelacji.

— Jak znaleźć bunkier? — syknęła Ellen.

— Najpierw oddaj wódkę.

Dziewczyna niechętnie podała szeryfowi butelkę. Ten wziął ją i przysunął do lampki górniczej. Delikatnym ruchem potrząsnął zawartością.

— Została ledwie ćwiartka — oświadczył i zaraz dodał, uprzedzając pytanie dziewczyny — Pamiętacie dziewczynkę, z którą Lisiecki opuścił Kaźń?

Bram zerknął na Ellen, a potem oboje kiwnęli głowami.

— To Widząca.

I dziewczyna, i Holender poderwali się z miejsc. Widzące były rzadkim fenomenem, bardzo rzadkim, a ich cena niejednokrotnie była wyższa niż ich waga w żywym metalu. Myśl, że jedna z nich objawiła się właśnie w Kaźni była szokująca. Ale, Bram nagle zdał sobie z tego sprawę, nadawała sens niedawnym wydarzeniom. Już wiedział, dlaczego Siren wysłał za nimi Rumunów.

— Skąd wiesz? — zapytał Holender.

— Doktor Carridan mi powiedział. W sekrecie.

— A on skąd wiedział? — odezwała się Ellen.

— Och... Ty chyba mało wiesz o naszym drogim doktorze, prawda? — odpowiedział jej Siren — Doktor Carridan jest w temacie Widzących, że tak powiem, ekspertem.

— Co masz na myśli? — zapytała gorączkowo. Drżała jej dolna warga.

Szeryf podwinął rękaw kurtki, wyciągnął lewą rękę przed siebie, a prawą wykonał gest, jakby wbijał sobie w nią strzykawkę, a potem wciskał tłok.

— Nasz drogi doktor zajmował się Widzącymi w Federacji przez dość długi czas — wyjaśnił

— Te eksperymenty, o których mogliście słyszeć, wstrzykiwanie żywego metalu do żył, treningi, podawanie trucizn, żeby otworzyć tajne okna umysłu. Carridan to wszystko robił.

— Skąd wiesz?

— Sam mi powiedział. Mam zwyczaj urządzić sobie małe popijawy z co ciekawszymi mieszkańcami Kaźni. Nawet nie zdajesz sobie sprawy, co niektórzy z nich są w stanie powiedzieć po kilku głębszych. W każdym razie, nasz drogi doktor Carridan wyznał mi ze łzami w oczach, jakie to straszne grzechy popełniał, maltretując małe dziewczynki — w większości przypadków równocześnie je zabijając — w nadziei na to, że trafi na Widzącą. Raz czy dwa nawet mu się to udało. W pewnym momencie porzucił służbę w laboratorium i przyjechał do Kaźni, chcąc poprzez pracę lekarską i misyjną odkupić grzechy — Siren podrapał się po nosie. — Podczas naszej małej popijawy opowiadał głównie o tym ostatnim elemencie. Aż się rzygać chciało, słuchając o tym, jak bardzo kocha ludzi i wszystkich bogów.

Szeryf beknął, zasłaniając przy tym usta pięścią.

— W każdym razie — kontynuował, celując palcem w Brama — jeśli on twierdzi, że mała jest Widzącą, to pewnie ma rację. Jeśli zaś ma rację, to mała, odpowiednio zdopinguwana, powie nam, gdzie jest bunkier, którego szukasz.

— Dziewczynka jest teraz z Lisieckim. A po tym jak nasłałeś na niego, na nas, braci Popescu... wątpię, żeby Polak miał ochotę się z tobą spotkać.

— W takim razie trzeba go znaleźć czy tego chce, czy nie. To nie może być aż takie trudne, prawda?

Kiedy skończył mówić, Mark, który początkowo przysłuchiwał się całej rozmowie z powagą, zaczął uderzać się otwartą dłonią kolano i rechotać tak głośno, że zwróciły na niego uwagę obozujące po przeciwnej stronie jaskini kobiety. Młody przebudził się na chwilę, podniósł łeb, a potem obrócił na drugi bok i zakrył głowę kocem.

— Z czego rżysz? — warknął Siren.

— Jeśli dobrze rozumiem... Chcesz, żebyśmy odnaleźli Piotra Lisieckiego?! Walczyłem z nim w ramię w ramię podczas ostatniej wojny z Korporacją. To najlepszy tropiciel, jakiego kiedykolwiek spotkałem i zna te lasy oraz skały lepiej niż własną kieszeń. Jeśli nie zechce, żebyście go odnaleźli, to go nie znajdziecie. Po prostu.

Nagle z zewnątrz doszedł ich potężnych, przerażający ryk, od którego zadrżała ziemia. Siren skoczył na równe nogi. Podszedł do swoich rzeczy, podniósł strzelbę i, lekko się chwiejąc, pobiegł do wyjścia.

— Dorwali się do żlebodźwiedzia — stwierdził ponuro Bram.

Też wstał. Zabrał szablę i podążył za Sirenem. W korytarzu znalazł szeryfa oraz Anne Goodluck z jeszcze jedną kobietą, która uzbrojona w kilof wpatrywała się z napięciem w drzwi.

Bała się. I to bała się przeraźliwie, tak bardzo, że strach odebrał jej jasność myślenia i władzę nad własnymi członkami. Holender położył jej dłoń na ramieniu i szepnął kilka uspokajających słów do ucha. Dziewczyna opuściła kilof i zaszlochała, wtulona w ramię Brama.

— Śmierdzi od pana, szeryfie, jak z gorzelnii — powiedziała z naganą Anne Goodluck.

— To pewnie dlatego, że piłem — odpowiedział Siren i wyszczerzył zęby. Ale to nie był uśmiech, raczej sygnał ostrzegawczy.

— Co teraz zrobimy, szeryfie? Nie możemy tutaj ciągle siedzieć. Za niedługo skończy się jedzenie. Czy ktoś przyjdzie nam z pomocą?

Siren potrząsnął głową.

— Nie. Raczej nie — przyznał.

— Co w takim razie?

— Musimy się stąd wydostać — Siren podrapał się po policzku i cmoknął cicho — Jutro rano. Odprowadzę was do Kaźni. Tam będziecie bezpieczne.

— Odprowadzę? — Anne podniosła wysoko brwi — To daleka droga. Jak niby przejdziemy przez ziemię opanowaną przez chudzielce?

— Pani wybaczy — wtrącił się do rozmowy Bram. Mówił już trochę bełkotliwie. Musiał się skupić, żeby precyzyjnie wyrazić to, co ma na myśli — Ale my tutaj dotarliśmy, nie spotykając po drodze ani jednego z tych potworów. Podobnie szeryf. Nie wiem, co się z nimi dzieje za dnia, gdzie się kryją albo co robią, ale jest szansa, że uda nam się dotrzeć do Kaźni bezpiecznie.

Anne Goodluck słuchała Holendra z niedowierzaniem, równocześnie próbując ustalić, czy mówi szczerze, czy kłamie. W końcu uznała, że odpowiedź na to pytanie w niczym jej nie pomoże i szkoda tracić czas na takie jałowe rozważania.

— Chyba nie mamy wyjścia, prawda, szeryfie? — zapytała z rezygnacją.

— Niestety, pani Goodluck.

Kobieta podeszła do drzwi i sprawdziła, czy wszystkie zabezpieczenia są porządnie założone.

Dłonią przejechała po metalowej powierzchni, wykonując tym samym gest, w którym zawierał się i strach, i czułość.

— Trudno uwierzyć, że tak niewiele oddziela życie od śmierci, prawda?

Dopiero po chwili dotarło do nich, że mówiła o drzwiach. Kiwnęli głowami.

— Wyruszymy w takim razie tak jak pan powiedział, szeryfie, rano — kontynuowała —

Mam nadzieję, że wytrzeźwieje pan do tej pory. A tymczasem życzę dobrej nocy.

Odeszła, zabierając ze sobą szlochającą dziewczynę. Bram z Sirenem wrócili do reszty grupy. Szeryf oznajmił, że musi udać się za potrzebą i zniknął w mrocznym korytarzu kopalni.

Holender usiadł niedaleko Ellen i opowiedział jej o rozmowie z Anne Goodluck oraz planie ucieczki.

— Nie możesz wrócić do Kaźni — oznajmiła dziewczyna, kiedy Siren pojawił się w kręgu światła, zapinając spodnie. Szeryf potrząsnął głową, jakby w pierwszej chwili nic nie rozumiał.

— Dlaczego? — zapytał wreszcie.

— Bo musimy odszukać Lisieckiego.

Siren stękając zajął miejsce w kręgu. Strzelbę położył niedaleko siebie i wyciągnął dłoń w kierunku Marka. Żołnierz podał mu zamkniętą już butelkę z resztką alkoholu.

— Widzisz, Ellen — zaczął i zrobił przerwę, żeby zębami wyciągnąć korek z szyjki.

Wypluł go następnie na ziemię — cokolwiek byś sobie o mnie nie myślała, to nie jestem aż takim skurwielem, żeby pozostawić te kobiety na pastwę chudzielców. No i przemyślałem kilka spraw.

Z przykrością muszę stwierdzić, że twój towarzysz może mieć rację. Szukanie Lisieckiego, jeszcze teraz, kiedy w okolicy jest tyle potworów zakrawa na szaleństwo. A poza tym pieprzony Polaczek może już od dawna gryźć glebę... pardon... kisić się w żołądkach kilku chudzielców.

— Nie liczyłabym na to.

— Nawet jeśli ciągle żyje, to i tak nie mam pomysłu, gdzie go szukać. Może być wszędzie.

Ellen nachyliła się do Sirena.

— Nie musisz go szukać, szeryfie. To on znajdzie ciebie.

Mężczyzna zmarszczył czoło. Potem sięgnął po butelkę, wypił łyk wódki, ale przez ten cały czas nie spuszczał oka z dziewczyny.

— O co ci chodzi? — zapytał.

— Przecież wiesz, Siren. Wysyłając na Lisieckiego braci Popescu, wypowiedziałeś mu wojnę. Naprawdę spodziewasz się, że będzie się krył po lasach aż umrzesz lub wyjedziesz z Kaźni?

— Ten Polaczek? Jeśli żyje, to pewnie ucieka już do Nowej Holandii.

— Nie udawaj, że go nie doceniasz — powiedziała zirytowana Ellen — Gdyby tak rzeczywiście było, to posłałbyś za nim pierwszego lepszego debila z bronią, a nie tych przeklętych Rumunów.

— Czyli co?

— Czyli uważasz, że Lisiecki jest groźny. I masz rację. Ale nie zdajesz sobie sprawy z jednej rzeczy. On wie, że ty mu nie odpuszczysz, a to nie jest typ człowieka, który ucieka z podkulonym ogonem przed przeciwnikiem. Dlatego będzie próbować cię zabić — Ellen zrobiła

dłuższą pauzę

— Właśnie rozpoczęło się polowanie, a ty jesteś zwierzyną, Siren.

Przez moment wydawało się, że szeryf nie jest w stanie wykrztusić słowa. Tylko na jego ustach pojawił się niewyraźny, tajemniczy uśmiech, który — wbrew intencjom — był raczej oznaką słabości niż pewności siebie. Dziewczyna przewiercała go spojrzeniem.

— Wiesz, że mam rację, Siren.

Prychnął zniecierpliwiony.

— Masz, kurwa, masz! — krzyknął i wzniosł ręce w górę — Ale i tak muszę odprowadzić te kobiety do Kaźni.

— Mark i Młody to zrobią.

Żołnierz kiwnął głową, jakby Ellen wcześniej już to z nim ustaliła.

— We dwóch?

— Jest jeszcze zarządca i ten jego ochroniarz.

— Roland może da sobie radę — odparł po chwili zastanowienia Siren — ale zarządca zesra się, kiedy tylko zobaczy chudzielca. Pożytek będzie z niego tylko taki, że smród może przegoni potwory.

— Będą jeszcze kobiety. Mogą nieść oskardy, szpadle do obrony.

Szeryf ciągle nie wyglądał na przekonanego.

— Słuchaj — ciągnęła Ellen — Jeśli trafią tylko na grupkę potworów, to poradzą sobie z tobą czy bez ciebie. Jeśli zaś na całą horde, to zginą czy będziesz z nimi, czy nie. Natomiast my mamy szansę znaleźć Lisieckiego. Jeśli pójdziesz do Kaźni, stracimy trop, a Polak i tak cię dorwie. Ale w momencie, kiedy nawet się tego nie spodziewasz. Teraz możesz się przynajmniej przygotować.

Siren najpierw milczał, obracając w dłoniach butelkę, a potem zaśmiał się krótko.

— Nieźle, nieźle. Potrafisz ,dziewczyno. Nic dziwnego, że udało ci się tak omotać Savę.

— Żeby to osiągnąć, też musiałam się napracować ostro językiem — przyznała Ellen z udawaną skromnością.

— W takim razie postanowione. Twoi ludzie odprowadzają kobiety do Kaźni, a my ruszamy za Lisieckim.

— Gdzie dokładnie? — zapytał Bram.

— Kiedy wy pobiegniecie odpierać inwazję chudzielców, ja porozmawiałam trochę z kobietami. Wyobraźcie sobie, że Lisiecki był w Saint Paris dwa dni temu. Uzupełnił zapasy i powiedział, że udaje się w kierunku Gluss Town, na polowanie.

— Co to za miejsce?

— Opuszczone siedlisko. Właściwie trzy chałupy na krzyż. Kiedyś była tam mała żyła żywmetal, ale szybko się skończyła. Teraz korzystają z nich tylko myśliwi — wyjaśnił

Siren.

— Lisiecki nie musiał uzupełniać zapasów. Zrobiliśmy to w Kaźni. W takim razie... zostawiał ślady — domyślił się Holender. — Chciał, żeby ludzie go tu zapamiętali.

— Wiedział, że tu przyjadę. Domyślny skurwiel. Myślisz, że jest w Gluss Town?

— Raczej nie. Zakłada, że nie poruszasz się sam. I że jesteś czujny. Zapewne na początku chce cię przegonić po okolicy. W Gluss Town co najwyżej znajdziesz dowody jego niedawnej obecności.

Ellen schyliła się, podniosła niewielki, ostro zakończony kamień i za jego pomocą narysowała dwie kropki, które połączyła linią. Bram domyślił się, że jedna z tych kropek miała symbolizować Saint Paris, a druga opuszczone osiedle. Siren kucnął przy tej prowizorycznej mapie.

— Z Gluss Town jest niedaleko do Krzywych Kół — powiedział — Lisiecki niby udaje, że idzie polować, a w tamtej okolicy jest całkiem sporo zwierzyny. Nawet ja to wiem.

Ellen zgodziła się z szeryfem po krótkim namyśle. Narysowała najpierw kilka nachodzący na siebie elips, a potem kreskę, która łączyła je z Gluss Town.

— Ale tam też go nie będzie. Ciągłe jesteś z ludźmi i ciągle jesteś czujny. W końcu prowadzisz pościg. A Krzywe Koła to kiepskie miejsce na zasadzkę.

— To prawda. Ale niedaleko są Baranie Skały. Tam mógłby próbować się bronić.

Dziewczyna narysowała kolejny symbol i zastygła z kamieniem w dłoni.

— Tylko że ja dalej jestem czujny, co? — domyślił się Siren — A tam już szczególnie.

Kurwa, masz rację. Skradałbym się po krzaczorach nawet gdyby to miało zająć wieczność. Tylko co dalej?

Ellen pociągnęła długą linię, która prowadziła od niewyraźnego baraniego łba aż do miejsca niedaleko Saint Paris. Zazaczyła je jako dużą osadę. To była Kaźń.

— Niedaleko Baranich Skał prowadzi stary szlak Ramireza.

Siren kiwnął głową.

— To prawda.

— Szukałbyś dalej Lisieckiego?

Szeryf potrzebował chwilę do namysłu.

— Nie. Miałbym dość. Nigdy nie lubiłem włóczyć się po lasach. Wróciłbym do Kaźni najkrótszą drogą i czekałbym na skurwiela w mieście.

— W drodze powrotnej byłbyś rozdrażniony...

— Ale straciłbym czujność.

Mniej więcej dwóch trzecich drogi pomiędzy Baraniami Skałami, a Saint Paris Ellen narysowała krzyż.

— Co tutaj jest? — zapytał Bram.

— Kilka skał na niewielkim wzniesieniu. Pod nimi przechodzi szlak. Dobry punkt. Duża widoczność, czyste pole strzału — powiedział Siren.

— I tam właśnie czeka na ciebie Lisiecki — dokończyła Ellen.

*

Bram obudził się wcześniej od innych. W zupełnej ciemności wsłuchiwał się w niespokojny oddech Młodego, świszczący Marka i chrapanie Sirena, a potem wziął swoją szablę oraz leżącą nieopodal karbidówkę. Lampa świeciła mdłym światłem. Usiadł kilka metrów od śpiących i za pomocą szmatki zaczął starannie czyścić Kinderjuffrouw. Broń tak naprawdę tego nie potrzebowała. Stop, z którego ją wykonano był na tyle bogaty w żywmetal, że nie chwycił rdzy.

Niemniej Bram zawsze miał wrażenie, że szabla z jakiegoś powodu lubiła te chwile, które jej poświęcał. A poza tym broni należy okazywać szacunek — kolejna cenna lekcja, którą odebrał od ojca.

— Zauważyłam, że nie śpisz.

Podniósł głowę. Ellen stała nad nim z dwoma dymiącymi kubkami w dłoni. Podała mu jeden.

— Co to jest? — zapytał.

— Herbata brzozowa. Rozgrzeje cię.

Podziękował i wziął napor. Dziewczyna usiadła obok. Wskazała na szablę.

— Mogę?

Po chwili wahania przekazał jej broń. Ostrożnie chwyciła za rękojeść i podniosła ostrze. Machnęła nim na próbę.

— Nic nie czuję — stwierdziła rozczarowana.

— A czego się spodziewałaś? — zapytał.

— Nie wiem. Czegoś.

— Czasami tak się zdarza — wyjaśnił — Broń z żywmetalalu nie chce się sobą dzielić z każdym, kto ją dzierży. Czasami ten ktoś nie ma dość... wrażliwości?

— Widzące tak mają. Te stare, nieliczne które przeżywają, prawda?

— Tak mówią. Od pewnego momentu. To, co pozwalało im widzieć, zamyka się. Ale nie tylko one. Bywa, że broń po prostu nie chce.

Ellen oddała mu Kinderjuffrouw. Wrócił do czyszczenia szabli.

— O jakiej walce mówiłaś? — zapytała.

Nie zrozumiał pytania.

— Powiedziałeś, że otrzymałeś od ojca szablę, kiedy wygrałeś swoją pierwszą walkę i osiągnąłeś pełnoletność — sprecyzowała.

— Boks holenderski — odpowiedział. — To taki zwyczaj. Bardzo ważny. Każdy chłopak i dziewczyna muszą zwyciężyć w walce bokserskiej, jeśli chcą osiągnąć dojrzałość.

— Z kim walczyacie?

— Z równieśnikami.

— A co z przegranymi? Nie osiągają dojrzałości?

Bram położył szablę na kolanach i sięgnął po kubek.

— To dość skomplikowane.

— Do świtu mamy jeszcze trochę czasu.

W jej głosie brzmiała ciekawość. Holendrowi przeszło przez głowę, że Ellen znowu próbuje go podejść. Nie wiedział jednak, jaki miałaby interes w wyciąganiu od niego odpowiedzi na swoje pytania. Może więc naprawdę po prostu chciała wiedzieć.

— Boks to dla nas świętość. Coś bardzo, bardzo ważnego. To ostateczna instancja sądownicza. Jeśli dwoje ludzi, pomimo mediacji, wyroków sądów, wyroku mojego ojca w końcu, nie chce się pogodzić — pozostaje im wyjść na ring. Stają naprzeciwko siebie i walczą tak długo, aż jeden z nich nie powie, że się poddaje, lub nie zginie. Ten, który przegrał musi się pogodzić z wygranym, publicznie przyznać mu rację i zapomnieć o wszystkich urazach.

— Wybacz Bram — powiedziała z ociąganiem Ellen — Ale to nie brzmi zbyt mądrze. A co, jeśli jedna z tych osób to silny młody mężczyzna, a druga to stara kobieta, co jeśli...

— Możesz wymyślić tysiące takich sytuacji — przerwał jej Bram. — A ja drugie tyle.

Dlatego są pewne zasady, sędziowie starają się doprowadzić do tego, żeby szanse były mniej więcej równe, a poza tym wyjście na ring w sporach to ostateczność i bardzo rzadko do tego dochodzi. Ale masz rację. To nie jest zbyt mądre. Ale działa. Nie wiem jak, nie wiem dlaczego, ale w jakichś sposób działa. Ring to dla nas świętość, a wynik walki jest ważniejszy niż wyrok mojego ojca.

Po zastanowieniu kiwnęła głową, chociaż wydawało się, że nie do końca rozumiała, o czym mówi Holender. Połowa jej twarzy, ta z bliźną, ginęła w mroku. Bramowi wydawało się, że specjalnie usiadła po tej stronie, gdzie nie będzie docierało do niej światło.

— Walka jest elementem rytuału osiągnięcia dojrzałości. Jedną z najważniejszych chwil w życiu młodego człowieka. Trzeba ją wygrać, żeby móc się nazywać dorosłym. To coś niesamowitego. Wychodzisz półnagi na oświetlony pochodniami ring, wokół którego zebrał się już tłum. Widzisz twarze swoich rodziców, bliskich, przyjaciół, wszyscy cię dopingują. A po

drugiej stronie jest twój przeciwnik. Równie zdeterminowany jak ty. Potem rozlega się dźwięk gongu. Jesteś ty, twój rywal, zaciśnięte pięści, a wkrótce smak krwi w twoich ustach i pot zalewający oczy.

— Co się dzieje z przegranym?

Odwrócił się do niej, przyciągnął delikatnie do siebie, tak że w kręgu światła widział całą twarz dziewczyny. Spojrzał jej głęboko w oczy.

— Nie zdradzisz nikomu sekretu? — zapytał.

— Nie.

Uwierzył jej. I wydawało mu się, że szabla również.

— Jeden z bokserów pokonuje drugiego. Ten chłopak, który pada, zdaje sobie sprawę, że właśnie przegrał najważniejszą walkę w swoim dotychczasowym życiu. Gorycz porażki jest tak wielka, że zaćmiewa wszystko. Cały świat przestaje istnieć. Pozostaje tylko myśl, że się zawiodło.

— Co wtedy?

— Potem rozpoczyna się druga część rytuału. Ta, o której nikt nigdy im nie opowiadał. Z tłumu wybiega ojciec pokonanego, może jego wuj, starszy brat, ktokolwiek, i chwytą zwycięzcę, który jest zwykle na tyle otumaniony i zmęczony, że nie ma siły się opierać. Zostaje obezwładniony. A ojciec przegranego, udając rozpacz, każe chłopakowi bić zwycięzcę. Bij go, woła, bij, walka się jeszcze nie skończyła, jeszcze możesz zwyciężyć.

— I co dalej? — zapytała z przejęciem.

— Jeśli chłopak pomimo nalegań ojca nie uderza, wygrywa. Potrafi uszanować zasady, potrafi uszanować ring. Tak jak i zwycięzcę, i jego uznaje się za godnego miana dorosłego. Bo on również wygrał.

— A jeśli uderzy?

— Przegrywa po raz drugi, tym razem naprawdę. Tacy ludzie zwykle żyją na obrzeżach społeczności, wykonują podłe prace, niezbyt się ich szanuje. Zdarza się, że potem mają jakieś zasługi, udowadniają że są ludźmi godnymi, że poważają społeczność, nasze zasady. Wtedy wracają do grona prawdziwych Holendrów. Ruben Clarendorf, jeden z doradców mojego ojca, wielki rycerz, człowiek który nauczył mnie matematyki i logiki, wywodzi się z tej grupy. Ojciec zawsze powtarzał, że Ruben został poddany najcięższej próbie z nas wszystkich, ale koniec końców wyszedł z niej obronną ręką.

Ellen wypila łyk herbaty i oparła się plecami o ścianę jaskini.

— A ty?

— Co ja?

— Na ringu. Pokonałeś swojego przeciwnika?

Bram zastanawiał się nad odpowiedzią, a potem pokręcił przecząco głową.

— Był ode mnie większy i silniejszy. Powalił mnie w trzeciej rundzie. Może w czwartej. Nie pamiętam dobrze. Pamiętam za to, że leżałem zakrwawiony, poobijany, a wtedy na ring wpadł ojciec, a jego rycerze chłopaka z wyciągniętymi, gotowymi do użycia mieczami dopadli rodzinę tamtego. Ojciec wtedy krzychał na mnie, żebym wstawał, że on jest stadhouderem i unieważnia moje poddanie, że mam dalej walczyć.

— I co zrobiłeś?

Nie potrafił odpowiedzieć. W gardle urosła mu gębla, którą musiał splukać gorącą herbatą.

— Wstałem. Podeszedłem do tamtego chłopaka. Wzniosłem pięść do ciosu.

— I co dalej?

— Dalej... Padłem na kolana i schowałem twarz w dłoniach. Nie potrafiłem uderzyć. Nie potrafiłem. Rozplakałem się. Płakałem tak strasznie, a moja rozpacz była tak głęboka, jak nigdy

w życiu, nawet w dniu, kiedy dowiedziałem się, że zmarła matka. Nie wiedziałem, co się dzieje.

Nie rozumiałem, dlaczego pomagają mi wstać z ziemi, dlaczego sędzia podnosi moją rękę w geście zwycięstwa. Dlaczego niosą mnie na ucztę. Dopiero potem ojciec wszystko mi wytłumaczył. Ale tak naprawdę... — poczuł, że głos mu się łamie — Tak naprawdę nie wiem, czy nie uderzyłem dlatego, że naprawdę uszanowałem zasady ringu, czy dlatego, że ułamek sekundy przed zadaniem ciosu zobaczyłem czyste przerażenie w oczach ojca.

Ellen milczała. Odłożyła kubek, zbliżyła się do Brama i złożyła pocałunek na jego policzku.

Holender uśmiechnął się słabo.

— Mówiłem ci, że ring to świętość.

— Nie sądziłam, że aż taka.

Oboje się zaśmiali. Sięgnęli po kubki i stuknęli się, wznosząc niemy toast.

— Teraz ty mi coś opowiedz — powiedział Bram.

— A co byś chciał wiedzieć?

Zawahał się.

— Skąd masz tę bliznę?

Mimowolnie jej dotknęła. Potrząsnęła głową.

— Jeszcze za wcześnie na tę historię — odpowiedziała.

W milczeniu dopili herbatę.

*

Rano Bram wraz z Sirenem wyszli z kopalni na zwiady. Przygotowali się na najgorsze, ale chudzielców już nie było. Znaleźli tylko rozerwane truchło żlebodźwiedzia i ślady walki pomiędzy potworami o mięso. Poza tym w Saint Paris panowała, tak jak wtedy kiedy tu przybyli, martwa cisza.

Po szybkim śniadaniu rozdzielili się. Tak jak zostało ustalone, Mark z Młodym mieli odprowadzić mieszkańców Saint Paris do Kaźni. Wzięli ze sobą większość amunicji, zapasów i trzy wierzchowce.

— Gdyby pojawiły się chudzielce, możecie powtórzyć sztuczkę z koniem — poradził im Siren. — Powinno wam to kupić trochę czasu.

— Sztuczka z koniem — powtórzył jak echo Mark i roześmiał się gardłowo.

Pożegnanie było krótkie. Uścisnęli sobie dłonie, życzyli nawzajem szczęścia i ruszyli w drogę — mieszkańcy miasta do bezpiecznego schronienia, a Bram z Ellen i Sirenem tam, gdzie miał czekać na nich Lisiecki.

Rozdział 8. Zasadzka

Pomyślał, że strasznie się zestarzał. Kiedyś potrafił leżeć skupiony całymi godzinami bez ruchu, w niewielkim zagłębieniu, przykryty liśćmi i gałęziami, w oczekiwaniu na tę jedną, krótką chwilę, kiedy będzie mógł oddać celny strzał. Za całe pożywienie wystarczyło mu trochę sucharów i manierka wody. A teraz rozkładał się całym obozem, budował szałas, dbał o miękkie pościelenie i nie wyobrażał sobie wieczoru bez kubka ciepłej herbaty i czegoś solidnego na kolację.

Potrzebował więcej snu, odpoczynku, jedzenia i coraz bardziej bał się, że nadejdzie moment, kiedy jego ciało po prostu go zawiedzie. Na szczęście wzrok wciąż miał sokoli, a dłonie pewnie trzymały myśliwski karabin.

Zestarzał się. To prawda. Ale jeszcze trochę pociągnie.

Ukryli się wśród skał, korzystając z podziemnych korytarzy, o których nikt oprócz Lisieckiego nie wiedział. Wykuło je przed drugą wojną z Korporacją kilku górników, którzy odkryli tutaj, jako jedni z pierwszych, żyłę żywmetal. Trzech z nich zginęło podczas starć rok później, dwóch innych po prostu zmarło. Pozostali odeszli szukać swojego szczęścia gdzieś indziej. A żyła żywmetal szybko się skończyła. Pozostało po niej tylko wspomnienie i wyprute skalne wnętrze.

Dopadła go nieprzyjemna fala nostalgii. Ta kraina była jego domem, jedynym jaki miał, i jedynym jaki mieć kiedykolwiek będzie. I cierpiał, bo początkowo z roku na rok, a teraz już z dnia na dzień, stawała mu się ona coraz bardziej obca. Kiedy tu przybył, ziemia ta należała do rycerzy, potrafiących mówić tylko o honorze, dzielnych i prawych, którzy samotnie stawiali czoła największej z potęg znanego świata. Pięknie walczyli i równie pięknie umierali, i Lisiecki był przekonany, że w miejscu gdzie wylała się ich krew powinny wyrosnąć kwiaty, a w chwili śmierci — rozleć się żałobne chóry anielskie. Do dziś czuł w ustach ten gorzki smak rozczarowania, że nic takiego się nie stało. Że żaden bóg, wielki czy mały, nie wylał nawet jednej łzy w chwili, kiedy korporacyjni żołdacy ogniem i mieczem niszczyli Kuźnię Zachodu.

Po wojnie zamieszkiwali tu ludzie zbyt odważni, żeby pomimo korporacyjnego jarzma porzucić swoje domy i ojczyznę, i zbyt ograniczeni, żeby wyobrazić sobie, że można jednak żyć gdzieś indziej. Był jednym z nich i razem z nimi cierpiał z powodu niegodziwości Korporacji, która nie potrafiła się zdecydować, czy uczynić z dawnego Księstwa Kuźni swoją kolejną prowincję, czy wyekspluatować ją do cna i pozostawić tylko pas spalonej ziemi, oddzielający ją od rosnącej w siłę Federacji. Nie potrafił nie odczuwać sympatii w stosunku do Starego, który wraz z garstką ludzi wciąż toczył od dawna przegraną wojnę i do tej garstki tutejszych, którzy próbowali po prostu przetrwać kolejny dzień.

Wreszcie przysłała druga wojna, po niej odkrycie złóż żywmetal i nagle zaroilo się tu od głupców wierzących, że zdobędą łatwe bogactwo, a którzy najczęściej spadali na same dno upodlenia. Niegdyś była to ziemia ludzi szlachetnych, być może pokonanych, ale szlachetnych.

Teraz zamieszkiwali ją w większości tępi brutale, którzy byli gotowi bić, kraść i zabijać dla własnej korzyści, nie licząc się z nikim ani z niczym. Tacy jak szeryf James L. Siren.

Dziewczynka chwyciła go za włosy i delikatnie pociągnęła. Musiał zasnąć. Chyba mu się coś śniło, ale nie pamiętał, co. Otworzył oczy.

— Nadchodzi — powiedziała.

Jak zwykle użyła obojętnego, poważnego tonu. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek się uśmiechnęła czy zapłakała. Na początku uważał, że to z powodu szoku związanego ze śmiercią matki, ale po rozmowie z Carridanem doszedł do wniosku, że tak naprawdę Daria przeżywa swoje uczucia gdzie indziej, na innym, niedostępnym mu poziomie.

Zwlekł się z posłania. Sięgnął po karabin. Sprawdził czy jest naładowany. Odetchnął głęboko.

— Zostań tutaj — rozkazał.

Przytaknęła. Przyjrzał jej się z niepokojem. W okolicy zaroilo się od chudzielców. Nigdy nie widział ich tak wielu, tak blisko Kaźni. Z drugiej strony do zmierzchu pozostawało jeszcze kilka godzin. Powinna być bezpieczna.

Pogłaskał ją po głowie.

— Za niedługo wrócę — obiecał.

Zarzucił karabin na ramię. Przepięnął się przez skalne przewężenie i przedostał się do skalnego kotła. Wcześniej wbił w rozmaite szczeliny i dziury drewniane kołki, które teraz ułatwiły mu wspinaczkę.

Wkrótce znalazł się na szczycie. Miał tam przygotowane stanowisko strzeleckie. Położył się na kocu, lufę karabinu oparł o podpórkę i na wszelki wypadek przykrył się kilkoma gałęziami.

Wątpił, czy ktokolwiek byłby w stanie go dostrzec, ale wołał nie ryzykować.

Obserwował stary szlak, który wiódł łagodnym łukiem u podnóża skały. Las w tym miejscu był dość rzadki. Lisiecki miał dobry widok na drogę, tylko czasami przysłoniętą nielicznymi krzakami. Dzień był przejrzysty i słoneczny, niemal bezwietrzny.

Obliczył długość trasy, którą musiał przebyć Sirena. Jeśli rzeczywiście się zbliżał, to musiał albo podróżować bardzo szybko, albo z jakiegoś powodu zarzucić pościg. Chyba że dziewczynka się pomyliła. To również było możliwe.

Chociaż zdarzyłoby się po raz pierwszy.

Poczuł, że nóż przy pasie zaczyna go uwierać, a pochwa wbija się w udo. Poprawił ją jedną ręką i westchnął pod nosem. Jeszcze kilka lat wcześniej coś takiego by mu się nie przydarzyło. A nawet jeśli, to potrafiłby wytrzymać ból bez ruchu.

W końcu go zobaczył. Samotny mężczyzna na koniu. Poznał Sirena po płaszczu i kapeluszu oraz charakterystycznym stylu jazdy. Zawsze lekko zginał się w siodle i chował głowę w ramionach. Zaniepokoiło go, że jest sam. Spodziewał się, że będzie miał co najmniej jednego pomocnika. Najwyraźniej szeryf był bardziej zuchwały, niż Polak się spodziewał.

Lisiecki zmrużył oczy. Wędrowiec jechał niespiesznie i wyglądał na zmęczonego. Chyba nawet przysypiał w siodle. Polak pozwolił mu się zbliżyć. Sprawdził, czy ma dobrze ułożony karabin. Wyłapywał coraz więcej szczegółów: kolor i krój płaszcza, koń, kapelusz, skórzane brązowe buty, strzelba, pas z dwoma rewolwerami. Wszystko to należało do szeryfa i Polak upewnił się, że ma przed sobą Sirena. Wycelował w pierś mężczyzny. Wstrzymał oddech.

Nacisnął spust.

Huk wystrzału sprawił, że z pobliskich krzaków do lotu poderwał się samotny ptak. Kula uderzyła Sirena w okolice serca. Mężczyzna zachwiał się w siodle, a później spadł z konia.

Spłoszone zwierzę przebiegło jeszcze kilka metrów, a potem stanęło zdezorientowane.

Lisiecki wycelował w leżącego Sirena. Obserwował go uważnie. Dopiero kiedy upewnił się, że szeryf leży bez ruchu, pozwolił sobie na to żeby ściągnąć palec ze spustu. Rozejrzał się po okolicy i nie zauważył niczego podejrzanego. Nikt nie popędził szeryfowi z pomocą.

Najwyraźniej rzeczywiście podróżował sam.

Polak jeszcze chwilę leżał na stanowisku, nim zdecydował się wreszcie wstać. Otrzeptał się z brudu i gałęzi. Od strony szlaku, ze skały na dół, prowadziła dość łatwa do pokonania droga.

Lisiecki założył karabin na ramię i zszedł nią, uważając żeby się nie przewrócić i nie skrećić sobie nogi. Podszedł do martwego Sirena. Uklęknął obok mężczyzny. Odłożył broń, chwycił ubranie i obrócił ciało, twarzą do siebie. Kiedy tylko to zrobił, poczuł lufę rewolweru przy swojej szczęce i usłyszał szcęk odciąganego kurka.

— Witaj, Polaczku — stęknął Sirena.

Lisiecki wpatrywał się w rozerwaną koszulę szeryfa i kulę, która utkwiała w żelaznej płycie ukrytej pod spodem. Dłoń miał położoną na karabinie, przesunął ją w stronę spustu. Szczęśliwie lufa wycelowana była w bok Sirena. Gdyby strzelił i równocześnie szybko się odsunął, miał szansę wyjść z tego żywy.

— Ręce w górę! — usłyszał stanowczy, pewny siebie głos. Głos, który dobrze znał.

— Bram Huygens — powiedział z niedowierzaniem. — Dogadałeś się z takim śmieciem jak Sirena?

— Nie tylko on — powiedział ktoś z boku.

Polak podniósł głowę i otworzył szeroko usta zaskoczony, kiedy ujrzał przed sobą Ellen. Dziewczyna miała w rękach kuszę i Lisiecki patrzył wprost w wymierzony w siebie bełt.

Nie zauważył ich. To dlatego Siren jechał tak powoli. Żeby idący po bokach, ubezpieczający go Holender z dziewczyną, mogli za nim nadążyć. Zastanawiał się, kiedy go podeszli. Pomyślał, że za bardzo skupił się na szeryfie i że naprawdę się zestarzał.

Powoli, z wahaniem podniósł ręce w górę. Dziewczyna podeszła do niego i trzymając się tak daleko, jak to tylko możliwe, wzięła jego karabin. Zarzuciła go sobie na ramię.

— Wstawaj — rozkazał Holender.

— Popelniasz wielki błąd, Bram — powiedział Lisiecki. — Siren zdradzi cię przy pierwszej nadarzającej się okazji...

— Tak jak ty? — przerwał mu Bram.

— A Ellen to córka Starego — kontynuował niezrażony Polak.

— Wiem.

Kolejna niespodzianka, której Lisiecki się nie spodziewał.

— A wiesz, co Stary robił z takimi Holendrami, jak ty?

— Wiem. Sam mi to powiedział. Tuż po tym, jak się dowiedział, że jestem synem stadhoudera.

Lisiecki poderwał głowę. Ten dzień był zdecydowanie zbyt zaskakujący.

— Jesteś kim? — zapytał z niedowierzaniem.

Bram tylko uśmiechnął się tajemniczo i lufą dał mu znak, żeby odsunął się od Sirena. Polak niechętnie wykonał rozkaz. Szeryf jęcząc wstał z trudem z ziemi.

— Ten twój cały plan był o kant dupy potłuc — powiedział ze złością w kierunku Ellen.

— Ale się udał.

Siren rozpiął koszulę. Ściągnął z siebie płytę. Obejrzał ją dokładnie i pomacał miejsce, gdzie trafiła kula. Pokręcił głową z niedowierzaniem, a potem rzucił ją niedaleko Lisieckiego.

— Trzeba było celować w głowę, ciulu — powiedział i zaczął masować sobie splot słoneczny. — Kurwa, myślałem, że mi serce stanie — stwierdził. — Jeszcze trochę, a by się przebił. Tego nie przewidziałas, co?

— Może tak, może nie — odpowiedziała z zagadkowym wyrazem twarzy dziewczyna.

— Dziwka — mruknął Siren.

Szeryf podszedł do Lisieckiego i przyłożył mu rewolwer do głowy.

— Czas żegnać się z życiem Polaczku. Chcesz odmówić jakąś modlitwę? Bogurodzicę czy tego pojebanego Mazurka?

Polak nie odpowiedział. Zaciśnął usta i wciągnął powietrze przez nos z cichym świstem.

Pomyślał tylko, że to nie tak powinno się skończyć, ale również, że ten koniec nie był taki zły.

— Stój, Siren — powiedział Bram. — Nie tak się umawialiśmy.

— Jak to nie tak? Przyjeżdżamy, zabijamy Polaczka, zabieramy dziewczynkę i szukamy tego twojego bunkra.

— Nie było mowy o zabijaniu.

— Pierdolisz.

— Siren... — powiedział cicho Holender — Jeśli tylko naciśniesz spust, to chwilę potem ja strzelę do ciebie. A wierz mi, nie mam zwyczaju chybiać z tej odległości.

— Popelniasz błąd.

— Zauważ, że ostatnio wszyscy mi to mówią.

Siren walczył z myślami, ale w końcu obniżył lufę rewolweru i ze złością splunął w ziemię.

Przez chwilę wyglądał jak człowiek, który właśnie wpadł po pas w bagno i zastanawia się czy już sięgnął dna, czy zostanie wciągnięty głębiej.

— I co teraz? — zapytał Lisiecki.

— Teraz posłuchaj — zaczął Bram i opowiedział o wszystkim. Kim jest, kto go przysłał i w jakim celu naprawdę szuka bunkra. Opowiedział mu także o tym, co się wydarzyło w Saint Paris.

Polak słuchając o śmierci miasta i chudzielcach pobladł, zachwiał się na nogach, tak że przez chwilę wydawało się, że upadnie; a potem bardzo powoli, tak żeby wszyscy widzieli dokładnie, co robi, sięgnął do ładownicy, wyciągnął paczkę tytoniu oraz bibulek, i skręcił sobie skręta.

Zapalił dokładnie w momencie, kiedy Holender skończył opowieść. Lisiecki zaciągnął się głęboko i wypuścił z płuc szarą chmurę gryzącego dymu, który osiadł pomiędzy nimi jak obłok mgły.

— Trzeba było mi o tym od razu powiedzieć — stwierdził myśliwy.

— To by coś zmieniło?

— Mamy tutaj dość głupców, którzy myślą, że łatwo uda im się zdobyć bogactwo, kopiąc żywmetal. Ty zamiast żywmetal chciałś szukać jakiegoś bunkra. Ale to jedyna różnica. Skoro jednak wysłał cię Uther... — Polak zaciągnął się i wypuścił dym kątem ust — Uther nie jest głupcem.

Holender kiwnął głową.

— To prawda — stwierdził i zwrócił się do Ellen — Oddaj mu broń.

— Chwila! — zaprotestował Siren. Szeryf zrobił krok w stronę Brama i rozłożył szeroko ręce — Chyba się przestyszałem! Co chcesz zrobić?

— Dobrze słyszałeś.

Szeryf wlepił wściekłe spojrzenie w Holendra. Wyglądał tak, jakby przed chwilą dostał w brzuch. Krew napłynęła mu do głowy.

— Powinienem cię jednak zabić w tym Saint Paris — powiedział i obrócił się na pięcie.

Poszedł do swojego konia. Lekko kulał i przez cały czas trzymał dłoń na splocie słonecznym.

Sięgnął do juków, wyciągnął z nich butelkę z alkoholem i wlał w siebie potężny łyk. Tymczasem Ellen podała Lisieckiemu karabin. Myśliwy podziękował jej ruchem głowy i spojrzał pytająco na Brama.

— Dziewczynka. Potrzebujemy jej.

— Właśnie! — krzyknął Siren, kuśtykając z powrotem w ich stronę trzymając butelkę, która obijała się o jego udo — Bierzemy małą i wracamy do Kaźni.

— Nie sądzę — wtrąciła się Ellen, która do tej pory stała z boku i tylko przysłuchiwała się całej rozmowie. — Nie mamy po co jechać do Kaźni, szeryfie.

Siren lekko przekrzywił głowę, przez co przypominał szczególnie ciekawskiego ptaka.

— Tam jest Carridan... Potrzebujemy Carridana, pamiętasz? — wysyczał.

Dziewczyna zaśmiała się perliście.

— Naprawdę myślisz, że posłałam Marka i Młodego do Kaźni tylko po to, żeby odprowadzili te kobiety z Saint Paris? — zapytała i nie czekając na odpowiedź ciągnęła szyderczo — W tej chwili obaj albo już jadą z Carridanem do Starego albo zbierają się do drogi.

Tak czy siak, w Kaźni, kiedy tam przybędziesz, doktora na pewno już nie będzie.

Szeryf zmrużył oczy i zacisnął dłoń na szyjce butelki tak mocno, że aż było widać biel jego knykci. Bram stracił już nadzieję, że nie dojdzie do bójki. Ale Siren go zaskoczył. Zamiast zaatakować, po prostu wziął kolejny łyk i podał wódkę dziewczynie.

— Sprytna jesteś — powiedział gorzko, ale w jego głosie można było usłyszeć uznanie.

— Dziękuję. Twoje zdrowie, Siren — wzniosła toast.

Szeryf podszedł do Brama i położył mu rękę na ramieniu.

— Powodzenia, Holendrze. Spotkamy się w Kaźni. O ile oczywiście ten Polaczek nie zabije cię w środku nocy, a ta młoda dama nie wyrucha, tak jak właśnie wyruchała mnie.

— Nie jedziesz z nami do Starego? — zdziwił się Bram. — Przecież w okolicy grasują chudzielce. Dasz radę sam dotrzeć do miasta?

Szeryf wysoko uniósł brwi i spojrzał znacząco na Ellen.

— Gwarantuję ci bezpieczeństwo, Siren — powiedziała dziewczyna.

— Ty? Gwarantujesz? Mnie? — zapytał drwiąco.

— Zrobisz, jak uważasz — odpowiedziała — Ale spotkanie ze Starym czeka cię tak czy siak.

Ilu masz pod sobą ludzi w Kaźni? Ilu możesz zmobilizować? Dwudziestu, trzydziestu?

Wystarczy ci ich, żeby powstrzymać tę hordę, która wybiła mieszkańców Saint Paris? Wydaje mi się, że nie za bardzo. Dlatego, jeśli chcesz rozwiązać problem chudzielców, to prędzej czy później będziesz musiał dogadać się z moim ojcem. Pytanie, kiedy to zrobisz? Teraz czy dopiero po tym, jak zniszczą kolejne osiedle?

Ellen miała rację i Siren dobrze o tym wiedział. Niemniej nie podobało mu się to — co okazywał każdym ruchem, gestem i grymasem. Przeszedł obok Brama i delikatnie go potrącił.

— Lepiej, żebyś załatwił mi to szlachectwo — rzucił — Bo inaczej, syn stadhoudera czy nie...

Nie dokończył groźby. Zatrzymał się, spojrzał w niebo. Zaczynało zmierzchać. Za niedługo chudzielce miały wyjść na żer.

*

Według lekko żółtawego, porwanego kawałka papieru zawieszzonego nad łóżkiem na pordezewiałym gwoździu, nazywał się Antto Jalonen. Do Kaźni przybył przed trzema miesiącami wraz z kilkusobową grupą Finów. Wtedy był wysokim, wiecznie uśmiechniętym dziesięcioletkiem o włosach w kolorze złotej słomy. Dużo się śmiał, chętnie pił, wszystkim opowiadał o swojej dziewczynie którą zostawił w domu, a do której miał wrócić, kiedy tylko wykopie dość żywmetal, żeby wyprawić wesele dla całej wsi i zdobyć majątek, którego brak wypominał mu niedoszły teść. Nie przeszkadzało mu to równocześnie chętnie i często odwiedzać przybytku Savy, gdzie natychmiast przepuszczał wszystko, co tylko wykopał.

Ludzie szybko zauważyli, że Jalonen miał równocześnie szczęście i pecha. Szczęście, bo gdziekolwiek się nie udawał na poszukiwania, zawsze trafiał na mniejszą lub większą żyłę żywmetal czy samorodki. Pecha, bo równie łatwo jak znajdował złoża, dawał się wykołegować z ich eksploatacji. Zawsze coś za szybko podpisywał, na coś zbyt prędko się zgadzał, albo opuszczał na chwilę działkę, żeby dokupić narzędzia, a kiedy wracał znajdowała się już tam inna grupa, gotowa za pomocą kilofów i oskardów bronić swojej „własności”. Jalonen wzruszał wtedy tylko ramionami, szedł na wódkę i dziwki, a potem znów na poszukiwania. I tak w koło Macieju.

Lubiono go w Kaźni. Ze względu na wesołe usposobienie, fakt, że nie żałował nikomu kolejki, ale przede wszystkim dlatego, że ciągle wierzył, że w końcu mu się uda, że wróci do domu na wozie wypełnionym podarkami, w stroju ociekającym srebrem i złotem, a jego ukochana rzuci mu się na szyję ze łzami w oczach. Taka wiara, piękna i dziecinna, była w Kaźni czymś niespotykanym. Hołubiono ją jak najdroższy klejnot, a ci poszukiwacze, którzy już dawno stracili wszelką nadzieję i teraz próbowali tylko desperacko utrzymać się na powierzchni, wiedząc jednak, że prędzej czy później pójdą na dno, lubili grzać się w jej ciepłe. Chociaż sami nie wiedzieli dlaczego.

A potem Jalonen zachorował. Minął zaledwie miesiąc, od kiedy wykrył u siebie pierwsze symptomy, które zresztą z typową dla siebie lekkomyślnością zlekceważył, upijając się i śpiewając wesołe fińskie pieśni. Przez ten czas zmienił się nie do poznania. Jego skóra przybrała barwę trupioblada, gdzieniegdzie naznaczoną niezdrowymi plamami fioletu. Słomiane włosy dawno znikły, zastąpione nielicznymi kępkami koloru popielatego. Cały jakby zapadł się w sobie, wyraźnie widać było wszystkie kości, nawet te najmniejsze, tak na twarzy jak i na całym ciele.

Jedynie brzuch mu napuchł, jakby ktoś wpompował do niego kilka litrów wody.

— Głód go za niedługo zabierze — powiedział cicho doktor Carridan. Jak zwykle się garbił i jak zwykle wyglądał na przemęczonego — To straszna choroba. Karmimy chorych tutaj, śmiem twierdzić, że lepiej niż wielu z tych biedaków na zewnątrz, ale organizm niemal nie przyjmuje pożywienia. Wkładamy z jednej strony, wychodzi w niezmienionej postaci z drugiej. Z powodu wycieńczenia organizm, żeby się bronić, zaczyna pożerać sam siebie. U osoby zmarłej organy wewnętrzne potrafią być nawet kilka razy mniejsze niż u osoby zdrowej. Wątroba waży około stu gramów, kiedy u zdrowego - dwa kilo. Nawet serce robi się lżejsze. Kości stają się gąbczaste, lekkie, jak u ptaków.

Młody zrobił się blady jak śmierć. Wargę lekko mu drżała, a w oczach pojawiły się łzy strachu.

— Proszę się nie bać — uspokoił go Carridan. — Głód nie jest zaraźliwy. Sam przebywam wśród chorych cały czas, a jak pan widzi jestem zdrowy. A moja szczupła sylwetka jest rezultatem procesów naturalnych, a nie związanych z chorobą.

— Nie boję się — odpowiedział Młody, ale zrobił to tylko dlatego, że Mark stał tuż obok.

Chłopak, gdyby tylko miał możliwość, uciekłby ze szpitala i nigdy więcej się w nim nie pokazywał.

— W pierwszym momencie zarażony czuje głód, którego nie jest w stanie zaspokoić — kontynuował doktor Carridan — ale ponieważ ciągle jest silny, potrafi o nim zapomnieć. Wydaje się, że również organizm ciągle potrafi przyswajać więcej składników odżywczych niż w dalszych stadiach. Zawsze jednak chory wydaje więcej energii, niż przyjmuje. Jednym z najbardziej widocznych objawów jest wtedy stolec. Zaczynają się w nim pojawiać w dużej ilości niestrawione fragmenty pożywienia. W późniejszym etapie przychodzi osłabienie organizmu oraz gwałtowne chudnięcie ze wszystkimi tego konsekwencjami. W przeciągu dwóch, trzech miesięcy następuje śmierć. Największym problemem dla chorego, prawdziwą torturą — jest głód. Głód, którego chory nie jest w stanie zaspokoić, chociaż nie wiadomo ile by pokarmu przyjmował.

Kobieta, która pomagała prowadzić szpital, zawołała Carridana. Lekarz przeprosił mężczyzn i wrócił do opatrywania uciekinierów z Saint Paris. Większość z nich była całkowicie zdrowa i poza kilkoma otarciami nic im nie dolegało. Tylko jednej osobie, blisko pięćdziesięcioletniej kobiecie, zalecono pozostać w szpitalu na noc, ale to przede wszystkim z powodu emocjonujących przeżyć, które negatywnie wpływały na jej słabe serce. Reszcie wystarczyło tylko przemyć rany, założyć kilka szwów i ewentualnie powiedzieć parę uspokajających słów.

Niemniej Carridan spędził na tym zajęciu ponad półtorej godziny. Kiedy wreszcie powrócił do mężczyzn, wyglądał na zmęczonego, ale szczęśliwego.

— Wybacz panowie, ale zwykle staramy się tutaj uczynić śmierć bardziej znośną i ludzką.

Niezmiernie rzadko trafiam na przypadek, kiedy rzeczywiście mogę komuś pomóc czy uratować życie. Dlatego tak bardzo się każdym cieszę — wyjaśnił i otarł pot z czoła.

— Znośna śmierć. Nisko sobie poprzeczkę zawiesiliście — powiedział Mark.

Carridan zgiął się, jakby właśnie ktoś go uderzył młotem w plecy.

— Cóż... — jęknął i mlasnął cicho — Tak... To tak może się wydawać. Ja mam jednak nadzieję, cichą nadzieję, że sprawiam, iż ostatnie chwile tych ludzi stają się odrobinę bardziej... godne? Tak. To chyba odpowiednie słowo. Wydaje mi się, że pewnym sensie takie działanie jest miarą naszego człowieczeństwa. Chciałbym, żeby ktoś zrobił dla mnie coś takiego kiedy nadejdzie mój czas.

Dłuższa przemowa wyczerpała Carridana, ale na Marku nie zrobiła najmniejszego wrażenia.

Żołnierz rozglądał się z ciekawością po szpitalu, a pod nosem błąkał mu się lekko drwiący uśmiech.

— Jak pan uważa, doktorze... — rzucił.

— Tak. Tak jak uważam — powtórzył słowa rycerza lekarz, jakby były one dla niego zupełną nowością — Chcieliście czegoś ode mnie panowie?

Obaj mężczyźni, starszy i młodszy równocześnie kiwnęli głowami.

— Jedziemy do Starego, doktorze — powiedział Mark.

Carridan w pierwszej chwili nie zrozumiał. Zmarszczył czoło i palcem delikatnie trącił się w pierś.

— Tak jest. Doktor jedzie z nami — potwierdził Młody.

— Słyszałem... — lekarz zamilkł nagle i przełknął ślinę. Widać było, że nieśmiały odruch protestu, na który właśnie zbiera siły, wiele go kosztuje — Słyszałem, że Stary jest chory, ale nie mogę się do niego wybrać. Mam wielu pacjentów. Nie mogę ich zostawić.

— Przewidziała, że to powiesz — odpowiedział flegmatycznie Mark.

— Kto?

— Ellen.

Carridan, niczego nie rozumiejąc, potrząsnął głową.

— Kazała ci powiedzieć, że jest córką Starego — kontynuował rycerz.

— To... to... to... Co to ma właściwie wspólnego z wyjazdem?

— Ellen kazała powiedzieć coś jeszcze.

— Co takiego?

— Że dwadzieścia lat temu ty miałeś jej życie w garści, a teraz ona ma twoje.

Mark podrapał się po policzku.

— Mówiła, że zrozumiesz — dodał po chwili.

Carridan najpierw zbladł, a potem na przemian to otwierał, to zamykał usta, jak świeżo wyjęty ze stawu karp.

— Spakuj swoje rzeczy — powiedział wreszcie.

Odwrócił się na pięcie i mijając rzędy łóżek z umierającymi powoli z głodu pacjentami, powędrował w stronę swojego mieszkania.

— Wyruszamy nad ranem — rzucił za nim Młody.

Carridan, zatopiony we własnych myślach, chyba nawet go nie usłyszał.

*

Wyczuł za sobą ruch. Odwrócił się gwałtownie z karabinem w dłoniach i palcem na spuście.

Siren chyba jeszcze nie do końca się obudził, bo kołysał się przy każdym kroku, jakby zaraz miał upaść, a na widok wymierzonej w siebie lufy podniosły wysoko w górę obie dłonie.

— To tylko ja — szepnął.

Bram opuścił broń. Stał na warcie już od dwóch godzin. Senność przygniatała go, wręcz miażdżyła. Nie odważył się nawet sięść, wiedząc, że zimna skała byłaby dla niego jak najmniejsza poduszka.

Obozowisko rozłożyli w jednej z grot, ukrytych wśród skał, w miejscu, które wskazał im Lisiecki. Było suche, chroniło od wiatru i deszczu, a przede wszystkim wydawało się bezpieczne.

Chudzielce nie powinny ich znaleźć. Zjedli suchary z serem, podzielili się wartami i udali na spoczynek. W międzyczasie Siren bacznie obserwował Darię, ale Lisiecki równie bacznie ją przed nim ukrywał, wysyłając to po wodę, to do konia, a to po prostu do kąta, gdzie miała grzecznie siedzieć. Polak pilnował tego, żeby szeryf się do niej nie zbliżał na mniej niż cztery metry. Na niewielkiej przestrzeni, którą zajęli, było to spore osiągnięcie.

Siren minął Holendera i wyszedł przed jaskinię. Wziął głęboki wdech, rozkoszując się zimnym, krystalicznie czystym nocnym powietrzem.

— Ona cię zdradzi.

— Kto?

Szeryf sięgnął do rozporoka i ściągnął spodnie, tak że Bram mógł dojrzeć dwa blade półksiężycy jego pośladków. Zaczął sikać mocnym strumieniem, równocześnie kołysząc się na piętach. Cmokał przy tym energicznie, jakby rozwodził się nad pięknością własnego przyrodzenia. Wreszcie strumień moczu przestał płynąć. Energiczny ruch łokcia wskazywał, że Siren potrzeba właśnie członkiem.

— Choćbyś trzepał dwa tygodnie, zawsze kropla spadnie w spodnie — rzucił przez ramię, zarechotał i zabrał się za zapinanie portek.

Holender uśmiechnął się słabo, z grzeczności i zaraz tego pożałował. Uprzejmość zbyt często była brana za oznakę słabości. Miał nadzieję, że ciemność skryła jego twarz i Siren nic nie dostrzegł.

— Ellen — sprecyzował szeryf — Oczywiście, że ona. I ten Polaczek.

— Bo?

— Ten twój cały miecz — zaczął Siren i zawiesił głos — Jeśli jest taki ważny, jeśli jest rzeczywiście taką relikwią... Naprawdę myślisz, że Stary pomoże ci ot tak? Na piękne oczy?

Wierz mi, Holendrze. On coś kombinuje. Nie wiem jeszcze co, ale coś kombinuje. A Lisiecki?

On cię już raz zdradził, prawda? Dlaczego nie miałby tego zrobić ponownie?

Bram słuchał w milczeniu i ten grzeczny uśmiech, ten sam, którego przed chwilą się wstydził, nie potrafił zejść mu z twarzy. Była to jedyna odpowiedź, na jaką Holender potrafił się zdobyć. Z jednej strony nie wierzył Sirenowi, a z drugiej nie potrafił nie przyznać mu racji. Sam również miał dziwne uczucie, że ostatnio jego misja układa się zbyt pomyślnie. Miał już trzech potężnych, na ile orientował się w tutejszych stosunkach, sojuszników — Starego, Sirena i Lisieckiego. Każdy z nich mógł mu pomóc w inny sposób, razem zapewniali niemalże gwarancję sukcesu. A jednak w tyle głowy wciąż czaił się strach, że zaraz szczęście się od niego odwróci.

— I tylko ty jesteś święty, co? — zapytał udając bez troskę.

— Ja? — zdziwił się szeryf — Jeśli tak myślisz, to jesteś naprawdę głupi. Ja, panie van der Hagenhooper, jestem prawdziwym skurwielem. Ale jest pewna istotna różnica pomiędzy mną, a na przykład Starym i jego córunią.

— Jaka?

Siren nachylił się do Holendra.

— Ja mam w dupie ten twój cały miecz. Zależy mi tylko na dziewczynce.

Wyprostował się i podrapał po brzuchu.

— Słyszałeś Lisiecki! — krzyknął — Zabiorę ci ją! Rozumiesz? W końcu ci ją kurwa zabiorę.

Bram spiorunował szeryfa wzrokiem i położył palec na ustach. Siren machnął ręką.

— Spokojnie. On nie śpi. Czuwa. Knuje, Polaczek jeden — mrucał pod nosem. Charknął, nabrał flegmy w usta i splunął w bok.

— Obudź mnie za godzinę, panie van der Hagenhooper. Wtedy zaczyna się moja warta.

Wrócił na swoje posłanie. Przed Bramem przemknął sznur szeleszczących skrzydłami nietoperzy, które właśnie wracały z nocnych łowów. Nadchodził poranek.

Rozdział 9. Chwalebne blizny

Powrót do Starego zajął im dwa dni wyczerpującej podróży. Odpoczywali tylko tyle, ile to było niezbędne dla koni i Darii. Dla siebie zaś nie mieli litości. Spali bardzo mało, jedli jeszcze mniej, a na postojach nie rozpalali ogniska w obawie przed zwróceniem na siebie uwagi chudzielców. Stawiali na popas tak późno, jak to było możliwe, i wstawali jak najwcześniej, żeby natychmiast wyruszyć w drogę. Dziewczynka zносиła podróż i to tempo całkiem nieźle.

Odzywała się, jak to ona, mało. Właściwie tylko po to, żeby zakomunikować swoje podstawowe potrzeby.

Wreszcie, pod koniec drugiego dnia, napotkali na trzyosobowy patrol ludzi Starego. Wtedy poczuli się odrobinę bezpieczniej. Groźba ataku chudzielców, chociaż nie spotkali ani jednego potwora, zawsze nad nimi wisiała. Żołnierze odebrali broń Lisieckiemu i Sirenowi, ale obu traktowali z niechętnym szacunkiem. Jeden ze zwiadowców puścił się pędem do zamku, żeby uprzedzić o przybyciu gości. Późną nocą, pod koniec drugiego dnia, dotarli wreszcie do celu.

Stary przywitał ich przy bramie. Stał okryty futrami, opierając się o laskę, w otoczeniu dziesięciu rycerzy pod oklapniętym z braku wiatru zielonym sztandarem z wizerunkiem kowadła.

Każdy ze strażników był w pełnym rynsztunku: w skórzanych i metalowych zbrojach, z przygotowaną do użycia bronią. Najważniejszym z nich był Joachim, który wciąż wyglądał na obrażonego na cały świat.

Ellen zeskoczyła zgrabnie z konia, podała lejce stajennemu i podbiegła do ojca. Uklękła przed nim i pocałowała jego drobną, słabą dłoń.

— No, no, córeczko — zaczął starzec i pod jego obwisłymi policzkami można było dostrzec lekki, maskujący niezadowolenie uśmiech — Najpierw sprowadzasz mi do zamku Holendra, do tego syna stadhoudera, a teraz samego szeryfa Jamesa L. Sirena.

Dziewczyna zaczerwieniła się i spuściła głowę. Szeryf zszedł z konia i zobaczył, że dwóch rycerzy natychmiast wycelowało w niego swoje kusze.

— Tak mnie witasz? — zapytał Starego.

Starzec wychylił się i posłał pełne nagany spojrzenie nadgorliwym żołnierzom. Natychmiast opuścili broń.

— James L. Siren — powtórzył rycerz, powoli wymawiając każde słowo — Byłem pewien, że kiedy kolejny raz pojawisz się w moich zamku, będziesz...

— Martwy? — wszedł mu w słowo szeryf.

Kilku z żołnierzy obruszyło się na tę impertynencję. Ale sam Stary trwał niewzruszony.

Tylko kąciki ust odrobinę mu zadrgały. Trudno było stwierdzić, czy była to oznaka gniewu czy raczej rozbawienia.

— Naprawdę myślisz szeryfie, że darzę cię na tyle ciepłymi uczuciami, że pozwoliłbym

cię zabić komuś innemu? — zapytał rycerz.

Siren zachowywał niezwykłą, zahaczającą wręcz o arogancję pewność siebie. Z kamienną twarzą wpatrywał się w Starego, a ten odwzajemniał spojrzenie.

— Jesteś jednak moim gościem — kontynuował starzec — A to rodzi zobowiązania. Wiedz więc, że od momentu, kiedy przebywasz pod moim dachem do chwili, kiedy bezpiecznie nie wrócisz do Kaźni, nic ci z mojej strony nie grozi. Masz moje słowo honoru.

— Dziękuję — odpowiedział szeryf i skłonił się przesadnie. Na tyle przesadnie, że mogło to zostać odczytane jako szyderstwo.

Następnie z konia zsiadł Lisiecki. Myśliwy pomógł zejść dziewczynce i kazał jej czekać.

Podszedł do Starego, klęknął przed nim i pocałował jego dłoń. Rycerz ruchem dłoni nakazał mu powstać, a potem serdecznie uściśnął. Zapytał o coś szeptem, wskazując na Darię, a po otrzymaniu odpowiedzi pokiwał głową.

Wreszcie przyszła kolej na Bramę, który nie do końca orientował się, jak się ma zachować.

Nie wiedział, czy pocałowanie dłoni Starego nie zostałyby uznane za zbytne spoufalanie. Poza tym był jednak synem stadhoudera i jako taki zajmował wyższą pozycję niż byle rycerz, jakim w końcu był Stary. Holender zdawał sobie oczywiście sprawę, że nie powinien tego faktu przesadnie akcentować. Dlatego po prostu stanął przed starcem i skłonił się, okazując mu szacunek ze względu na wiek i na to, że jest on gospodarzem.

— Jak podróż, chłopcze?

— Dobrze, panie.

— Udało ci się zbliżyć do Pierwszego Miecza?

— Mam nadzieję, panie.

Ellen chrząknęła.

— Czy Carridan tu jest?

— Tak, pani — odpowiedział jej Mark, który stał wśród żołnierzy, schowany za ich plecami.

— Przybyliśmy wczoraj późną nocą. Nie bez przygód, ale udało się.

— Przygód?

— Oj tak — włączył się Stary — Ścigały ich chudzielce. Wyobraź sobie, że podeszły niemal pod sam zamek. No, ale wtedy dopadli ich nasi.

— To było stado liczące mniej więcej dziesięć sztuk — wyjaśnił Mark.

— Młody? — zapytała z niepokojem Ellen, kiedy nie dostrzegła znajomej twarzy.

— Lekko rany. Odpoczywa teraz.

Dziewczyna odetchnęła z ulgą.

— Carridan? — zapytała po chwili.

— Cały i zdrow.

— Prowadźcie do niego w takim razie — poprosiła. Jej ojciec lekko skinął głową na znak zgody.

Stary szedł pierwszy, więc nic dziwnego, że poruszali się w ślimaczym tempie. Ale nie tylko ze względu na powolny chód starca, ale także ze względu na to, że cały powitalny orszak wraz z gośćmi z trudem mieścił się w wąskich korytarzach i stromych klatkach schodowych zamku.

Nieliczne łojowe świece, w większości już wypalone, dawały za mało światła i rozmieszczono je zbyt rzadko, przez co ledwo było widać cokolwiek dalej niż na metr. Poruszali się więc gęsiego, wpatrzeni nawzajem w swoje plecy i ostrożnie stawiając kroki, tak żeby się nie potknąć ani nie nadepnąć osoby przed sobą. Dwie służki, które znalazły się przypadkiem na ich

drodze, najpierw spłoszone przykłęknęły przed Starym, potem zaczęły się cofać, a wreszcie przylepiły się do ścian. Kiedy je mijali, Siren posłał jednej całusa, a drugą uszczypnął w pośladek, na co ta pisnęła cicho. Próbowwała spoliczkować szeryfa, ale on chwycił ją za rękę. W tej samej chwili w niemym, ale doskonale zrozumiałym geście na jego ramię spadła ciężka łapa jednego ze zbrojnych. Siren wyszczerzył zęby, zrzucił z siebie dłoń mężczyzny i puścił dziewczynę.

— Myślałem, że jestem tu gościem. A wiecie, jak to jest... jak to mówicie wy Polacy — zwrócił się do Lisieckiego — Czym chata bogata, tym rada?

Myśliwy nie odpowiedział. Żołnierz, który szedł za Sirenem pchnął go delikatnie, nakazując iść dalej. Szeryf raz jeszcze cmoknął w stronę służki i ruszył.

Doprowadzono ich do komnaty jadalnej, tej samej, gdzie Brama kilka dni wcześniej poczęstowano psem. Tym razem jednak na palenisku płonął wysoki ogień, a rożen był pusty.

Ellen wydawała się zagniewana, bo nigdzie wokół nie było doktora Carridana. Zaraz jednak się rozpogodziła, kiedy ujrzała czekające na gości na stole gliniane miski z dymiącą kaszą, kawałkami warzyw i mięsa, hojnie oblane tłuszczem i z dodatkiem ostrej papryki. Do picia podano w kielichach wódkę rozrobioną z wodą. Po oślinionych ustach strażników Bram domyślił się, że to największa porcja jadła, jaką kiedykolwiek widzieli. Sam też poczuł wilczy apetyt, a z brzucha zaczęły dochodzić niepokojące odgłosy.

Zasiedli do stołu i zabrali się do pałaszowania potrawy. Papryki było więcej niż potrzeba, paliła w ustach i przetyku, ale niesamowicie głodni, niemal nie zwracali na to uwagi. Przyprawa była bardzo droga i nakazując jej tyle nasypać, Stary na pewno próbował komuś zaimponować.

Bram doszedł do wniosku, że musiał to być Siren, być może Lisiecki. Co do siebie zauważył, że wszyscy miejscowi obserwują go z mieszaniną niechęci, ciekawości i politowania w spojrzeniu.

Jakby wiedzieli coś więcej od niego. Ta myśl sprawiła, że ciarki przeszły mu po plecach.

Przypomniał sobie przysięgę, którą wygłosił Stary na dziedzińcu. Że szeryfowi nic nie grozi ze strony starca, aż Siren nie wróci bezpiecznie do Kuźni. Holender nigdy nie otrzymał takiej gwarancji.

— Dokładkę? — zapytała gorzko służka, która pojawiła się przy nim, kiedy tylko skończył opróżnić miskę. Po minach żołnierzy widział, że nigdy by mu nie wybaczyli, gdyby się zgodził.

Dlatego, chociaż żołądek domagał się więcej, Bram tylko pokręcił przecząco głową.

Inni też skończyli jeść. Z całej czwórki tylko Siren poprosił o dokładkę, co było w zupełności zrozumiałe. Wszyscy ludzie Starego i tak byli jego wrogami, nie było więc powodów, żeby miał troszczyć się o ich uczucia.

— Dobre — pochwalił szeryf, wskazując łyżką na miskę — Ostre. Ale wódka słaba.

Stary klasnął raz. Pojawił się służący z butelką, który dolał Sirenowi. Szeryf podziękował lekkim ukłonem i natychmiast beknął, nawet nie próbując zasłonić sobie dłonią ust.

— Pokaż bliznę — rzekł Stary.

Siren prychnął, ale chyba ubawiła go ta prośba. Odłożył sztućce i wstał z miejsca. Ściągnął kurtkę, rzucił ją na oparcie krzesła i podciągnął do góry koszulę, ukazując bok, pokryty pajęczyną białych, wypukłych linii, które rozchodziły się wzdłuż jednej, potężnej blizny, biegnącej niemal od miednicy aż do żeber. Stary pokiwał głową z uznaniem.

— Jak ty to przeżyłeś? — powiedział.

— Szczęście — odpowiedział szeryf.

— Nie... Po prostu ramię już nie te — stwierdził ze smutkiem Stary i jakby na potwierdzenie swoich słów uniósł rękę w górę.

— Tak czy siak, moje szczęście.

Stary zaśmiał się i wznosił kielich w niemym toaście na cześć szeryfa.

— Tego ciosu nauczył mnie Silvan z Herar, zwany czarnym rycerzem — kontynuował starzec, kiedy skończył pić — Tuż przed wojną potykaliśmy się na turnieju zorganizowanym przez Panią na Tamie. Byłeś tam, Bram?

Holender wyprostował się gwałtownie, kiedy usłyszał swoje imię.

— Tak. Oczywiście.

Tama była niewielkim księstwem ze stolicą w miasteczku wybudowanym na wielkiej tamie, dawnej elektrowni wodnej na rzece Ghar. Władczyniami były tam tylko i wyłącznie kobiety.

Księstwo było bogate, bo leżało na przecięciu szlaków oraz miało liczne warsztaty i rzemieślników, którzy znali się na dawnych technologiach, ale dość słabe. Przed blisko trzydziestoma laty Pani na Tamie złożyła hołd lenny stadhouderowi Nowej Holandii. Była również spokrewniona z dawnymi władcami księstwa Kuźni.

— To był piękny, letni wieczór. Walczyliśmy w półfinale. Silvan łatwo rozprawił się ze swoimi poprzednimi przeciwnikami, ja miałem trudniej. Byłem bardzo zmęczony i obity, ale dzielnie stawiałem mu czoła. Wyznał mi potem, że myślał, że pokona mnie w przeciągu pierwszej minuty, ale kiedy walka się przedłużała zorientował się, że nie będzie tak łatwo.

Stary przerwał na chwilę, żeby wziąć łyk z pucharu.

— Ale i tak nie miałem z nim szans. Żadnych. Od samego początku. Był silniejszy, szybszy, bardziej wytrzymały od jakiegokolwiek człowieka którego w życiu spotkałem. No i do tego miał ten swój trik, niesamowity zwód, na który każdy się nabierał. Wiesz jaki, Bram?

— Nie.

— W czasie walki, jeśli pojedynek się przedłużał, w pewnym momencie jego ruchy robiły się bardziej powolne, ciosy słabsze, a on sam wydawał się wyczerpany. Zaczynał popełniać błędy.

Oczywiście drobne, nieznaczące. Mylił kroki, w ostatniej chwili blokował cięcia i tak dalej.

Przeciwnik zaczynał wierzyć, że to jest jego szansa. I wtedy Silvan się odsłaniał...

— Jego przeciwnik uderzał z całych sił, a wtedy nadziewał się na kontrę — rzucił Siren, a jego głosie dało się słyszeć lekką nutkę szyderstwa — Ależ mi trik! Nie wierzę, że się dałeś na to nabrać.

— Nie dałem — odpowiedział rozbawiony Stary — Oczywiście, młodzi wojownicy lub ci bez rozumu mogliby się na to złapać, ale każdy, kto jest choć trochę doświadczony, wie jak obronić przed takim kontratakiem. Tylko że to właśnie była właściwa zmyłka.

Zawiesił głos i spojrzał na twarz swoich gości. W jego oczach pojawiły się iskry zadowolenia, kiedy stwierdził, że słuchają go z zainteresowaniem.

— W czasie walki patrzysz głównie na miecz — ciągnął — Już w chwili zadania uderzenia szykujesz się do tego, żeby obronić się przed jego odpowiedzią. Obserwujesz ostrze Silvana, które nagle przyspiesza, jakby w jego ramię wlana została nowa siła, a sam miecz zmienia się w srebrną wstęgę. Bronisz się w ostatniej chwili, widzisz snop iskier, kiedy klinga uderza o klingę. I w tym samym momencie cios pięścią w grdykę odbiera ci dech. Padasz na kolana, próbujesz desperacko złapać oddech. O dalszej walce nie ma mowy. Tak właśnie ze mną wygrał.

Rycerz zwiesił głowę. Wspominanie dawnych czasów sprawiło mu przyjemność. Jego twarz zrobiła się jakby mniej stara, mniej zmęczona. Nagle klasnął. Drzwi do komnaty jadalnej otworzyły się i w towarzystwie Młodego, który miał zabandażowaną głowę i rękę na temblaku,

do środka wszedł doktor Carridan.

Lekarz był przestraszony, a kiedy dojrzał Ellen, wzdrygnął się i zgarbił jeszcze bardziej niż zwykle. Pokłonił się przed Starym, przywitał się gestem ze wszystkimi innymi, a na widok Sirena i Lisieckiego znowu się przestraszył. Pobladł i zaczęła drżeć mu dolna warga. Przez chwilę wydawało się, że spróbuje ucieczki, ale w drzwiach stanął już jeden z żołnierzy, który nawet nie był świadomy tego, co właśnie się dzieje w duszy i umyśle doktora Carridana.

Stary wskazał lekarzowi krzesło po swojej prawicy. Carridan usiadł. Służka nalała mu wódki, ale on nawet tego nie zauważył. Spuścił głowę i zaczął intensywnie przyglądać się czubkom swoich butów.

— Doktorze — zaczął Stary — wiesz, dlaczego cię tu sprowadziliśmy?

Carridan chrząknął, zerknął na Ellen i kiwnął głową.

— Tak. Wiem. Twoi ludzie wszystko mi wytłumaczyli — potwierdził szeptem, tak cichym jak oddech umierającego zająca. Ledwo było go słyhać. — Widzę, że dziewczynka już jest.

Wszystkie głowy skierowały się na Darię, która siedziała u końca stołu i niemal nie tknęła własnej porcji.

— Czy mogę? — zapytał nieśmiało lekarz.

Lisiecki kiwnął przyzwalająco głową. Pozwolenia udzielił również Stary. Doktor wstał, podszedł do dziewczynki, klęknął przed nią i przyłożył swoje ucho do jej piersi. Później zajrzał jej głęboko w oczy, osłuchał plecy i zmierzył puls.

— Wydaje się zdrowa — stwierdził, kiedy skończył oględziny.

— Nie stoi więc nic na przeszkodzie i możesz zacząć z nią pracować — stwierdziła Ellen.

Jej głos podziałał na niego, jak gdyby ktoś żyłką przejechał mu po plecach. Na czoło lekarza wystąpiły kropelki potu.

— Coś stoi na przeszkodzie — powiedział.

— Co takiego?

— Nie zajmę się tą dziewczynką.

— A to dlaczego?

— Ponieważ przysiągłem sobie i Bogu, że nigdy, przenigdy nie wrócę do profesji, którą wykonywałem przed nawróceniem.

— Któremu Bogu obiecałeś?

— Wszystkim — odpowiedział niezrażony Carridan. — Wszystkim.

— Pieprzenie.

Stary uderzył pięścią w stół z taką siłą, że aż zatrzęsły się stojące na nim miski.

— Nie waż się używać takiego języka w moim domu! — warknął.

Ellen pobladła. Bram zrozumiał, że dziewczyna popełniła błąd. Nie do końca wiedział jaki, ale widać było, że nagle utraciła, przynajmniej w tej sprawie, przychylność Starego.

— Nie będę palić kościołów — wycedził po chwili milczenia Stary — Przypomina ci to coś?

— To nasza dewiza — odpowiedziała dziewczyna.

— Właśnie.

Stary stęknął i poprawił się na krześle, próbując przy tym udawać, że ten ruch nie sprawia mu bólu.

— Przysięgałeś? — rzucił w stronę Carridana.

— Tak, panie.

— Jesteś człowiekiem honoru?

— Tak, panie.

— Człowiek honoru nigdy nie złamie złożonej przysięgi.

— Tak, panie.

Stary podrapał się po brodzie.

— W takim razie niepotrzebnie cię tu sprowadziliśmy. Możesz iść. Zadbam o to, żeby w najbliższych dniach moi ludzie odprowadzili cię do Kaźni.

Ellen zatrzęsała się z oburzenia i poderwała z miejsca.

— Ojczy!

— Siadaj — rozkazał gniewnie, ale w jego oczach było widać raczej błaganie niż złość.

Błaganie, żeby pozwoliła mu rozkoszować się tą chwilą, kiedy znalazł wreszcie kogoś, kto dane słowo traktuje równie poważnie, jak on sam.

Ellen posłuchała. Naburmuszona, założyła ręce na piersiach, dając tym samym znak, że nie zamierza już protestować ani nawet się odzywać.

Stary westchnął.

— Twój ojciec też ma z tobą takie problemy? — zapytał rycerz.

Bram dopiero po chwili zorientował się, że to pytanie było skierowane do niego.

— Cóż... Staram się być dobrym synem.

— Staram się — powtórzył za nim Stary melancholijnie — Czyli nie zawsze wychodzi?

— Nie zawsze, panie.

Rycerz pokiwał głową. Spojrzał w stronę Sirena, jakby chciał zapytać go o to samo, ale w ostatniej chwili zrezygnował. Wyglądał na strasznie zmęczonego, jakby ta krótka i gwałtowna wymiana zdań z córką całkowicie pozbawiła go sił. Przymknął powieki, a po twarzy przemknął mu grymas bólu. Joachim podszedł do niego zaniepokojony, oferując gestem pomoc, ale Stary odgonił go ruchem ręki.

— Możecie wszyscy odejść. Słudzy pokażą wam wasze kwatery. Szeryfie...

— Tak?

— Wydaje mi się, że mamy wspólną sprawę do omówienia. Czy też, jak wy to mówicie w Kaźni — interes.

— Zgadza się. Tak mówimy.

— Spotkamy się w takim razie jutro. Musicie być zmęczeni po podróży. Potrzebujecie odpoczynku.

— Tak — przyznał Siren, kierowany niespotykaną u niego uprzejmością, bo to Stary wyglądał na najbardziej wyczerpanego — Potrzebujemy odpoczynku.

Audycja została uznana za zakończoną. Pierwszy wyszedł Stary — prostym, energicznym, żołnierskim krokiem. Bram dostrzegł, że kiedy tylko rycerz przeszedł za próg i znalazł się tam gdzie, jak miał nadzieję, nie będzie go widać z jadalni, jeden z asystujących żołnierzy pomógł mu, podając ramię. Stary przyjął je z bolesną pokorą. Skrzywił się przy tym, bo upokorzenie spadło na niego jak uderzenie bicia. Jakby słabość ciała była dla niego czymś najgorszym, co mogło go spotkać w życiu.

Zaraz za Starym, niemal biegnąc, wyszedł doktor Carridan, a później kolejne osoby. Bram opuścił salę jako jeden z ostatnich. Poza nim została tylko Ellen. Dziewczyna siedziała bez ruchu, wciąż gniewna i zachmurzona, ze spojrzeniem, które mroziło krew w żyłach. Holender zostawił ją samą, mając cichą nadzieję, że jej gniew nie spadnie na niego.

*

Wcisnął twarz w wypchaną szmatami poduszkę, ale wystarczał najmniejszy hałas i szmer, żeby sen uciekał z jego powiek. Coś, jakiegoś przecucie — nie pozwalało mu zasnąć i mówiło, że

wieczór jeszcze się nie skończył. Sięgnął do stojącego obok łóżka wiadra z wodą. Wyciągnął pełną czarke. Woda smakowała metalicznie, jakby wcześniej moczono w niej stal.

Odmowa pomocy doktora Carridana zdziwiła go i zmartwiła. Cel jego wyprawy, który był już tak blisko, nagle na powrót zniknął z pola widzenia. Przeczuwał, że nikt spośród żywych nie wie, gdzie znajduje się bunkier. A nawet jeśli, to poszukiwania takiej osoby w chwili kiedy nagle zaroilo się od chudzielców, byłoby długie, niebezpieczne i najprawdopodobniej nieskuteczne.

Pozostawała tylko dziewczynka. Widząca. Holender rozmawiał o niej z Lisieckim w drodze powrotnej do siedziby Starego. Polak przyznał, że dziewczynka niewątpliwie ma dar, ale używa go rzadko i chaotycznie, a jej wizje dotyczą ludzi i miejsc, które bezpośrednio się nią wiążą. Bez odpowiedniej stymulacji nie mogła Bramowi pomóc. Ktoś musiał jej najpierw wytłumaczyć w zrozumiały dla niej sposób, czym jest bunkier i dlaczego powinna go znaleźć. Później zaś pokierować, poprowadzić odpowiednimi ścieżkami, a w ostateczności wstrzyknąć mikstury, które pozwolą zobaczyć jej więcej i szybciej. A coś takiego mógł zrobić tylko Carridan.

Bram wstał z łóżka. Założył spodnie i zarzucił kurtę na ramiona. Szablę postanowił zostawić w komnacie. Nikt jej nie ukradnie, a włóczenie się po nocy z bronią po zamku Starego mogło zostać potraktowane jako zaproszenie do bijatyki. Bijatyki, której wynik, biorąc pod uwagę przewagę liczebną przeciwnika, mógł być tylko jeden.

Wyszedł z komnaty. Mniej więcej orientował się, gdzie kogo umieszczono. Minął drzwi od pokoju Sirena, skąd doszły go męskie i żeńskie postękiwania. Szeryf dorwał więc jakąś kobietę.

Bram tylko zastanawiał się czy sama do Sirena przyszła, czy też Stary podesłał mu jedną ze swoich służek w geście dobrej woli, przyjaźni i gościnności.

Korytarz skręcał w lewo. Bram zanurzył się w ciemności. Po minięciu rogu, dojrzał przed sobą płamę światła, drzwi do komnaty doktora Carridana i stojącą przed nimi Ellen. Dziewczyna zamarła z wzniesioną w górę pięścią, zastanawiając się, czy powinna zapukać, czy po prostu wejść do środka.

Holender zatrzymał się i wstrzymał oddech. Po chwili wahania chrząknął, żeby oznajmić o swojej obecności. Dziewczyna na ten dźwięk podskoczyła przestraszona i opuściła rękę, a w jej drugiej dłoni pojawiło się krótkie ostrze noża. Znikło, kiedy Bram wszedł w krąg światła.

— Co tu robisz? — zapytała napastliwie.

— Chciałem porozmawiać z doktorem Carridanem.

— Ja również.

Bram kiwnął głową i spojrzał na dziewczynę pytająco. Ona tylko wzruszyła ramionami. Unikała jego wzroku. Jakby była zawstydzona tym, że znalazł ją w tym miejscu i o tej porze.

Holender zapukał. Ponieważ nie doczekał się odpowiedzi, zapukał ponownie i nacisnął kłamkę.

Doktor Carridan kończył właśnie wkładać koszulę do spodni. Był blady, przygarbiony, ale niespecjalnie zdziwiony ani przestraszony. Najwyraźniej spodziewał się tej wizyty i wiedział doskonale, co chce powiedzieć. Jednakże obecność Brama trochę go poruszyła.

— Pani... Panie... — skłonił się lekko.

— Doktorze... — powiedział Bram i kiwnął głową. — Nie mieliśmy okazji spotkać się w Kaźni. Jestem Bram van der Hagenhooper. Syn stadhoudera Nowej Holandii.

— Jestes m zaszczycony, panie.

Ellen podeszła do Carridana i spojrzała mu prosto w oczy. Mężczyzna ni to stęknął, ni to

jęknął i cofnął się o krok, a potem kolejny i mimowolnie wyciągnął przed siebie ręce w obronnym geście.

— Przyszedłem prosić o to, żeby zmienił pan swoją decyzję — odezwał się Bram.

Lekarz drgnął.

— Moją? Aha... Chodzi o Darię — domyślił się.

— Tak, właśnie.

Carridan potrząsnął głową.

— Niestety, panie. Nie mogę tego zrobić. Przysięgałem większym niż ziemscy władcy, że nigdy więcej nie będę prowadził eksperymentów na widzających. I zamierzam słowa dotrzymać.

— Pomimo tego nalegam. Jestem wysłannikiem Uthera — Holender zrobił pauzę, żeby doktor mógł spokojnie przemyśleć wszelkie implikacje wynikające z tego faktu — i jestem w stanie zaoferować wiele za pańską pomoc.

— Rozumiem, ale... — rozpoczął Carridan, ale zamilkł na dźwięk rozrywanego prześcieradła.

To Ellen wyciągnęła pościel z łóżka lekarza i teraz za pomocą noża, darła ją na jednakowej szerokości pasy.

— Nie przerywajcie sobie — powiedziała mimochodem, jakby nie robiła nic niezwykłego.

Przez moment obserwowali w milczeniu, jak tnie prześcieradło. Przy każdym pasie Carridanem wstrząsał spazm, nad którym nieudolnie zresztą próbował zapanować.

— Znam pańską łaskę — powiedział nagle, wrywając się z otępienia — lordowską, książęcą... To dzięki niej przez blisko trzydzieści lat byłem bogatym człowiekiem. Ceniono mnie i liczono się z moimi radami. A przynajmniej tak mi się wydawało. Żywmetal mnie zepsuł.

Płynął w moich żyłach niczym najgorsza z trucizn. Gniło przez niego moje ciało. Gniła moja dusza. Wyrwanie się z tej pułapki zajęło mi lata. Nie zamierzam dać się w niej ponownie uwięzić.

O nie! Dość grzechów popełniłem. Pozwólcie mi w spokoju za nie pokutować.

Mówił żarliwie, z przekonaniem, którym, jak się wydawało, nic nie mogło zachwiać.

— To wyjątkowa sytuacja — nalegał Bram.

Tymczasem Ellen skręcała każdy pas, a potem łączyła je z innymi, plotąc z nich coś w rodzaju liny.

— Wiem. Ale to nie zmieni mojej decyzji.

Holender zacisnął pięści z bezsilności. Lekarz musiał wyczuwać jego gniew, bo uśmiechnął się przepaszająco, jakby naprawdę uważał, że to wystarczy.

— Proszę mi wierzyć... Nie mogę — powiedział odrobinę ciszej.

— Uther, Władca Bramy Północy, król Federacji potrzebuje twojej pomocy, doktorze Carridan — odezwał się Bram uroczyście — Odmówisz mu jej?

— Są więksi władcy od Uthera. Im teraz służę. Bogowie, każdy z nich jest tysiące, milion razy od niego potężniejszy. Im winny jestem posłuszeństwo.

— To zdrada Federacji! — zaszczował Bram.

— Wolę zdradzić Federację, Uthera, niż Boga.

Holender zrozumiał, że nie uda mu się przekonać Carridana. Lekarz okopał się na swoich pozycjach i pod żadnym pozorem nie miał zamiaru ich opuszczać. Równie dobrze Bram mógłby walić głową w mur, mając nadzieję, że w ten sposób go rozbije. Rozczarowanie było tak wielkie, że chciało mu się wyć.

— Źle zacząłeś — odezwała się beznamiętnie Ellen.

Holender spojrzał na nią pytająco.

— Tutaj nikt się nie boi Federacji ani Uthera. Są zbyt daleko — oznajmiła.

Skończyła właśnie splatać linę z płatów materiałów i zaczęła wiązać węzeł.

— Z naszym drogim doktorem należy postępować inaczej — mówiła cicho, przez co brzmiała straszniej i bardziej niepokojąco, niż gdyby krzyczała.

Podniosła w górę swoje dzieło i obaj mężczyźni mogli zobaczyć, że w dłoni trzyma związaną na linie z pościeli pętlę szubieniczną. Rzuciła ją Carridanowi, który złapał ją niezdarnie.

— Jeśli nie zajmiesz się dziewczynką, równie dobrze możesz się powiesić dziś w nocy — stwierdziła Ellen — Bo żywy stąd nie wyjedziesz.

— Jestem gościem twojego ojca — zaprotestował lekarz, jękając się.

— Ale nie moim! — syknęła.

Zrobiła krok w jego kierunku. Cofnął się, tak że za plecami miał już tylko ścianę. Chude palce zaciskał wokół miękkiego sznura, a kiedy zorientował się, co robi, upuścił go z mieszaniną obrzydzenia i strachu.

— Albo dziewczynka, albo twoje życie — powtórzyła Ellen — Wybór należy do ciebie.

Odwróciła się na pięcie i ruszyła do drzwi. Chwyciła za klamkę i otworzyła je na oścież.

— Mam nadzieję, że ona nie jest za stara, co? — rzuciła na odchodne.

Trzasnęła drzwiami. Mężczyźni zostali sami. Bram po chwili zastanowienia machnął ręką na Carridana i wybiegł za Ellen.

Znalazł ją po dobrym kwadransie włóczenia się po zamkowych korytarzach. Dziewczyna stała na murach, opierając się o blanki, wpatrzona w szumiący las, skąd co jakichś czas dochodził odgłos padającego z trzaskiem drzewa.

— Umierają — powiedziała cicho.

Bram wzdrygnął się.

— Drzewa? — zapytał.

— Tak. Nie. Wszystko umiera. Wszystko tu umiera.

Stanął obok niej. Zobaczył, że drży, może nawet płacze. Ściągnął z siebie kurtkę i założył jej na ramiona. Sam poczuł, jak na skórze pojawia mu się gęsia skórka z powodu zimnego podmuchu wiatru.

*

— Zmarzniesz — zaprotestowała.

— Nie.

Oparł się o kamienny mur bez słowa. Czuł, że jeśli będzie sama chciała mówić, to zacznie.

Naciskając mógł ją tylko spłoszyć.

— To wydarzyło się podczas drugiej wojny — rozpoczęła po kilku minutach — Miałam wtedy dwanaście lat. Przybył Uther ze swoimi wojskami, a ojciec oczywiście potraktował go jako wybawcę. Myślał chyba, że Stary Sęp w magiczny sposób cofnie czas i wszystko będzie tak jak kiedyś. Pamiętam, że cały się aż trząsł przed spotkaniem z nim, jakby był prawiczkim, któremu bogaty wujek zafundował pierwsze bzykanie. Tylko że Uther nie znalazł dla niego czasu. Podczas całej wojny Stary dostawał rozkazy od adiutantów.

Poprawił kurtkę, która zaczęła z niej spadać.

— Rzeź Kuźni, pierwsza przegrana wojna, okupacja Korporacji, długie dziesięć lat beznadziejnej partyzanckiej walki, to wszystko go wyniszczyło. Ale nigdy nie przeżył większego rozczarowania, większego upokorzenia, kiedy po podpisaniu pokoju po drugiej wojnie okazało

się, że tak naprawdę nic się nie zmieniło. Kuźnia nie zmartwychwstała. Książę nie wrócił na tron.

Dalej gnił w ziemi. Nic nigdy tak Starego nie zabolalo. Być może wtedy po raz pierwszy zrozumiał, że jego życie, że wszystko, co robi, jest tak naprawdę pozbawione sensu.

— Ale nie zrezygnował.

— Nie mógł. Nie potrafił. Jest rycerzem. Z krwi, kości i ducha. Ostatnim z rycerzy umarłego księstwa. Jego największa klęska polega na tym, że nie zginął razem z nim, razem z Kuźnią. Z każdym dniem coraz bardziej zdaje sobie z tego sprawę. I to ta świadomość, a nie nowotwór, tak naprawdę go zabija.

Zaczęła przeszukiwać kieszenie kurty.

— Zapaliłabym.

— Nie palę.

— Trudno.

Stęknęła.

— To wydarzyło się podczas drugiej wojny — podjęła zarzucony wątek — Byłeś tu wtedy?

— Nie. Ojciec nie pozwolił — przypomniał jej.

— Zjechało się tu mnóstwo ludzi. Więcej niż teraz. Rycerze, żołnierze, kurwy, ciury obozowe, wszystkie te łachudry, które jak szakale zjeżdżają na każdą wojnę mając nadzieję, że będą mogli obrabować trupy. Znasz ich?

— Tak. Wiem, o kim mówisz.

— Tacy mnie porwali — stwierdziła — Nie pytaj, jak to się stało. Nie pamiętam. Wielu wydarzeń z tamtych dni nie pamiętam. Wiem, że mnie porwali. Wiem, że zabili mojego opiekuna, dobrego ser Kacpra Grojtzta. Nie wiem, czy był szlachcicem. Nie wiem, czy mógł używać przydomka ser, ale on tak sobie życzył, więc tak do niego mówiliśmy. Wspaniały człowiek, serdeczny, przyjazny. Dobrze walczył. Zabił dwóch, zanim trafił w niego bełt z kuszy.

Ale potrzeba było jeszcze czterech, żeby powalić go na ziemię i kolejnych trzech, żeby zabić.

Potem zabrali się za moją matkę. Nie chciała mnie oddać. Walczyła jak lwica, ale nie mogła dać rady dorosłym, gotowym na wszystko mężczyznom.

Otarła rękawem łzę.

— Myśleli, że jestem widząca — powiedziała — Być może mieli trochę racji. Podobno w dzieciństwie przejawiałam pewne zdolności. Teraz też czasami wydaje mi się, że wiem więcej niż powinnam. Ale niewiele. Na pewno nie tak, jak Daria. Ale widzące są w cenie, prawda?

Zwróciła się w jego stronę. Łzy spływały wzdłuż utworzonego przez bliznę wyżłobienia na policzku.

— Tak.

— Na dworze twojego ojca są widzące?

— Nie. Nigdy nie było. Nie uznajemy niewolnictwa, nie uznajemy tego, co z nimi robią. Pokiwała głową.

— Pomimo tego jesteś gotów oddać Darię Carridanowi?

— To co innego — wyszeptał.

Bał się, że będzie drążyć temat. Ale nie.

— Porwali mnie — kontynuowała — Zaprowadzili gdzieś. Nie wiem, gdzie. Pokazali jakiemuś człowiekowi... Skurwiel miał wtedy moje życie w swoich rękach, wiesz, Bram?

Trzymał moje życie w swoich dłoniach. Widziałam to, czułam, rozumiałam. Za daleko się posunęli. Gdyby mnie nie wziął, to musieli mnie zabić. I on też to rozumiał. Wiesz, co powiedział?

— Nie.

— Że jestem za stara — roześmiała się — że jestem kurwa za stara. Moi porywacze byli wściekli. Ale nie mogli zaatakować swojego pracodawcy. Bali się. Była z nim ochrona. Wyżyli się więc na mnie.

Przesunęła dłonią wzdłuż blizny na twarzy. Potem rozpięła koszulę powolnym ruchem i Bram ujrzał jej piersi. Pokrywała je pajęczyna mniejszych i większych szram od ostrzy noży oraz plamy wyżłobione przez rozgrzany olej i wrzątek. Brakowało jej prawego sutka, na którego miejscu pozostała tylko miękka, obła nierówność.

— Pofolgowali sobie — powiedziała — I mogę tylko dziękować Bogu, jeśli jakkolwiek istnieje, że niewiele z tego pamiętam.

Zapięła bluzkę.

— To był Carridan — domyślił się Bram. — Ich zleceniodawca?

— Tak. Wtedy był młodszy. O dziesięć lat młodszy. Dużo bardziej pewny siebie, arogancki.

Ale doskonale zapamiętałam jego twarz. Nie mogłabym jej z nikim pomylić. Kiedy go ujrzałam po raz pierwszy w Kaźni, kiedy przybył tam z poszukiwaczami, myślałam że oszaleję z przerażenia. Wydawało mi się, że znowu po mnie przyjechał, że znowu każe mnie porwać, chociaż wtedy nawet nie wiedziałam, dlaczego zrobiono to po raz pierwszy. Ale zamiast tego otworzył ten swój szpital. Pomimo wszystkiego, co pamiętałam, widziałam, co przeżyłam, wmówiłam sobie że to jednak nigdy nie był on, że to ktoś inny. Dopiero kiedy w Saint Paris Siren opowiedział o Darii, o wyznaniu Carridana...

— Co się stało z porywaczami?

— Ludzie ojca mnie odnaleźli, zanim ci skurwiele zdążyli mnie zabić. Śmierć bandytów była straszna. Nie widziałam jej, nie pozwolono mi. Ojciec miał pewne doświadczenie w zadawaniu cierpienia, ale wtedy przeszedł samego siebie. Wyobraź sobie, że tutejsi mówią, że jeśli zamknąć oczy i przyłożyć ucho do murów — pogładziła czule blanki — wciąż można usłyszeć ich pełen bólu krzyk.

Zatrzymała dłoń na kamieniu.

— Robiłam to wiele, wiele razy. Nigdy nic nie usłyszałam. A chciałabym... chciałabym choć raz usłyszeć.

— Dlaczego twój ojciec nie dorwał Carridana?

— Zabezpieczył się, skubaniec. Nawet porywacze nie wiedzieli, kim jest naprawdę. Nawet nie wiem, z kim wtedy przyjechał. Z Utherem? Z którymś z pomniejszych lordów i książąt?

Chciałabym wiedzieć. Chciałabym wiedzieć, kogo mam nienawidzić.

Bram miał ochotę objąć Ellen, więcej — wziąć w ramiona, pocałować mocno i powiedzieć, że to wszystko, co się zdarzyło, że te blizny, te okaleczenia, że to wszystko jest nieważne. Że jej pragnie, pragnie tak mocno, jak nigdy jeszcze nie pragnął żadnej kobiety. Że to, co do niej czuje jest tak ważne, tak wielkie, tak prawdziwe, że aż boli. Ale nie potrafił tego zrobić. Nie potrafił otworzyć ust. Nie miał dość śmiałości, odwagi. Jakby ktoś nagle wybudował przed nim niewidzialny mur wstydu.

— Carridan ci pomoże — powiedziała nagle — On też słyszał historię o tych kamieniach. Zadbałam o to. I wie, że wystarczy jedno moje słowo. Gdyby Stary wiedział...

Nie musiała nic dodawać. Nawet Bram potrafił sobie wyobrazić, jaka byłaby reakcja rycerza.

— A co potem? — zapytał.

— Jakie potem?

— Kiedy już nam pomoże.
— Obchodzi cię to?
Nie odpowiedział, a ona minęła go bez słowa.
— Teraz już wiesz — powiedziała odwrócona do niego plecami. — O bliznach.
— To chwalebne blizny — odpowiedział bez sensu i natychmiast tego pożałował.
Roześmiała się szyderczo. Słyszał ten śmiech, pełen smutku i pogardy długo potem, kiedy na blankach został sam, bez kurtki, marznący pod bezlitosnymi uderzeniami wiatru.
Schylił się i przyłożył ucho do murów. Nic nie usłyszał. Chyba.

Rozdział 10. Wściekle psy

Następnego dnia o poranku doktor Carridan oznajmił, że po długiej modlitwie do Jahwe, Boga i Allacha doznał objawienia i wie już, że został na ten jeden, jedyny raz zwolniony ze złożonej przysięgi. Stary słuchał tego długiego, mętnego oświadczenia z rosnącą irytacją, a po usłyszeniu ostatniego słowa, opuścił zebranych równocześnie wściekły i zawiedziony, a każdy jego gest świadczył o tym, że nie chce więcej oglądać lekarza na oczy. Jednocześnie jednak wydał dyspozycje, że mieszkańcy zamku mają ułatwić pracę doktorowi, a do stałej pomocy przydzielono mu niejaką Zofię, młodą dziewczynę o przeciętnej urodzie, zbyt grubych udach i potężnym warkoczem brązowych włosów, który zdobił jej głowę. Miała jednak bystre spojrzenie i przejęła się przydzielonym jej zadaniem.

Za pracownię miała posłużyć lekarzowi jedna ze spiżarni w lochach twierdzy, dawno zresztą opróżniona ze wszelkich zapasów. O jej poprzedniej funkcji świadczyły tylko dwie stojące w kącie puste beczki i unoszący się w powietrzu delikatny zapach kiszzonej kapusty.

Carridan natychmiast zabrał się do pracy. Ustawił stoły, kazał wnieść łóżko, krzesła, palnik, kociołki, moździerz, miski i miseczki. Do tego przygotował całą listę ziół i medykamentów, które kazał sobie jak najszybciej przynieść.

Bram obserwował te przygotowania w milczeniu, oparty o zimną ścianę. Wiedza o tym, kim naprawdę był lekarz i za co był odpowiedzialny ciążyła mu jak kamień. Nieustannie odczuwał pokusę, ciemną i słodką, żeby podejść do Carridana, chwycić go za fraki, spojrzeć prosto w oczu i powiedzieć „Ja wiem”, a potem obserwować rosnący w doktorze strach, który wreszcie zmienia się w czyste, lodowate przerażenie, odbierające mowę i rozum. Chciał zemścić się w imieniu Ellen, pragnął tego głęboko. Tylko że nie mógł. Potrzebował doktora, tego słabego, złamanego pod ciężarem odpowiedzialności i wyrzutów sumienia robaka.

— Co zrobisz Darii?

I Bram, i Carridan wzdrygnęli się zaskoczeni, kiedy usłyszeli głos Lisieckiego. Polak bezgłośnie wśliznął się do komnaty — a może to oni byli tak zatopieni, każdy w swoich myślach, że nie zwrócili na niego uwagi.

— Jeszcze nie wiem — odpowiedział Carridan.

— Kłamiesz, doktorze.

Lekarz zbladł lekko, jakby usłyszał groźbę w łagodnym tonie głosu myśliwego.

— Nie wiem. Nie wiem jeszcze. Nie zbadałem, jaki mocny ma dar, co potrafi. I czy w ogóle jest w stanie odnaleźć bunkier, którego poszukujecie.

— A jak myślisz? — zapytał Bram.

— Myślę... — lekarz zawahał się — Myślę, że ona może to zrobić. To nie będzie łatwe.

Trzeba będzie jej pomóc, ale tak... wydaje mi się, że będzie w stanie to zrobić.
Dziewczynka wydaje się silna... O ile oczywiście jest więź.

Zamarł bez ruchu, z nisko zwieszonymi ramionami, nieobecny spojrzeniem, podobny do szmacianej lalki. Jego klatka piersiowa podnosiła się słabo, jakby z trudem. Wreszcie Carridan się poruszył. Otarł pot z bladego czoła.

— Kiedy po raz pierwszy ją zobaczyłem, zbadałem, odrzuciłem od siebie tę myśl — powiedział — była wtedy zbyt grzeszna. Ale teraz, im dłużej o niej myślę, im bardziej rozmyślam... Tak... Wydaje mi się, że takiej właśnie dziewczynki zawsze szukaliśmy. Jej dar...

Jest piękny. Jak bogata ruda żywmetal, którą trzeba dopiero wytopić. Niektórzy wezmą ją w rękę i wyrzucą, myśląc że to kolejny brudny kamyk, ale sprawny kowal natychmiast pozna się na ukrytym wewnątrz bogactwie.

Carridan uśmiechnął się słabo, kończąc tą przemowę. W tym samym momencie do pracowni

weszła pomagająca mu dziewczyna. Stała zaskoczona, kiedy zobaczyła Brama i Lisieckiego, niepewna, czy powinna się pokłonić, zignorować ich czy też wyjść, żeby nie przeszkadzać dorosłym w rozmowie. Lekarz przywołał ją gestem, odebrał od niej worek, z który mu przyniosła, a potem kazał odejść. Sam podszedł do stołu, położył na nim pakunek i zaczął po kolei wyjmować zioła i mikstury. Polak brał te przedmioty do ręki, uważnie je oglądając.

— Marzyziele, mleko makowe, łyśniczka... Co właściwie zamierzasz zrobić, doktorze?

— Usunąć kotwicę.

— Co to znaczy?

— Z mojej wiedzy wynika, że Widzące w jakiś sposób nawiązują więź ze światem, ziemią, głębą, być może nawet całą planetą. Na tym polega ich dar. To, co je ogranicza, to ich ciało.

Związki chemiczne, hormony, które krążą w ich żyłach, mózg, receptory, cała ta maszyna, która znajduje się wewnątrz nas. Wszystkie te rzeczy ograniczają widzenie. Dlatego trzeba je wyłączyć. A przynajmniej spowolnić, oszukać. I to właśnie spróbuję zrobić. Pierwszym krokiem jest hipnoza. Drugim, seans hipnotyczny pod wpływem substancji narkotycznych. Dar wtedy się uwalnia, potężnieje; Widząca więcej widzi, więcej czuje.

Przysunął do siebie mózdzierz. Metodycznie kruszył marzyziele na drobne kawałki i wrzucał do środka. Kiedy skończył dodał do tego łyśniczkę, którą uprzednio starannie pociął.

— Wspomniałeś o tym, że dziewczyna znajdzie bunkier, jeśli jest więź. O co chodzi? — zapytał Bram.

— Musicie wiedzieć, panie, że Widzące dzielimy na wiele rodzajów. Na przykład mewy. Z jakiegoś powodu ich dar sprawia, że spadają na nie wizje dotyczące zdarzeń na morzach i wybrzeżu. Ale nigdy nie widzą nic, co dotyczyłoby spraw lądu. Są sokoły, które dostrzegają wydarzenia odległe, ale nie te, do których dochodzi pod ich nosami. Wykrywacze, które świetnie potrafią mówić o prawdziwych uczuciach i myślach ludzi, ale o nic o ich uczynkach.

— A Daria? Jest tą wieżą?

— Tak mi się wydaje — odpowiedział po chwili zastanowienia Carridan.

— Co to znaczy?

— To, że potrafi wiele powiedzieć o ziemi, z której pochodzi, tego co się na niej wydarza, ale nic o tym, co się dzieje poza granicami obszaru, który postrzega. Co więcej, jeśli kiedykolwiek go opuści, jej dar znika. To jeden z najczęstszych rodzajów widzących. Częstsze są jedynie niespodzianki.

— A niespodzianki to?

— Dziewczynki, których wizje są chaotyczne. Czasami widzą coś, co wydarzyło się w Bramie Północy, czasami coś, co wydarzyło się w domu obok.

— A te, które widzą przyszłość? Jak je nazywacie? — dopytywał się Bram.

Carridan zaśmiał się cicho, ale zaraz umilkł, zdając sobie chyba sprawę, że jego śmiech był niestosowny. Zgarbił się i zaczął szybciej tłuc mózdzierzem, aż w środku została tylko lepka, jednorodna masa.

— Widzące potrafią pokonać wiele barier, ale nie tę, którą zbudował czas. Żadna z nich nie widzi przyszłości — powiedział. — Opowiedziano ci głupstwa, panie.

— Złota widziała — zaprotestował Bram.

— Tak... Złota... — powtórzył pod nosem Carridan. — Najsłynniejsza z widzących. Przez nią miałem najwięcej kłopotów. Każdy z wielmożów chciał, żebym sprzedał mu kolejną Złotą.

Ale żaden z nich nie zdawał sobie sprawy z tego, że w opowieściach o niej więcej jest przeinaczeń niż prawdy.

— Ale przecież stawiała trafne przepowiednie. Jedna z nich dotyczyła mojej rodziny. Stadhouderowi Rubenowi miały się urodzić bliźniaki i tak się stało.

— Kiedy Złota wypowiadała przepowiednię, żona Rubena była już ciężą. Dziewczyna po prostu zobaczyła dwa bijące serca w brzuchu jego pani. I mniej więcej na tym polegały wszystkie jej wróżby. Kiedy widzisz to, co wydarzyło się dwieście mil dalej i do tego potrafisz zajrzeć w duszę innych ludzi bez względu na odległość, nietrudno przewidywać trafnie przyszłość. Ale wierz mi panie, Złota jej nie widziała. Była po prostu nad wiek mądra, a jej dar był naprawdę potężny.

Carridan przestał pracować mózdzierzem. Palcami sprawdził konsystencję mieszaniny, a potem dolał do niej makowego mleka. Dokładnie wszystko wymieszał.

— Mówią, że widzące umierają po pierwszej miesiączce, doktorze — powiedział ponuro Lisiecki.

— Bo to prawda. Przynajmniej w większości przypadków. Ale nie bój się. Darii raczej to nie grozi.

— Dlaczego, doktorze?

Lekarz przelał miksturę do maleńkiego garnka. Raz jeszcze wszystko dokładnie zamieszał.

Dolał nafty do palnika i podpalił. Chwilę regulował płomień, a później położył na nim naczynie.

— Widzenie tuż przed miesiączką jest najważniejsze ze wszystkich. Dar jest wtedy najpotężniejszy. Dziewczynki potrafią zobaczyć wtedy rzeczy niewiarygodne. Mówią, ale nie wiem, ile w tym prawdy, że Uther pokonał Koźlego Króla tylko dlatego, że dzięki takiemu widzeniu znał jego myśli, zamiary i plany. Niektórzy z wielmożów kupują Widzące tylko dla tego ostatniego widzenia. Mają nadzieję, że podczas niego poznają odpowiedzi na dręczące ich pytania. Czasami rzeczywiście się tak dzieje. Żeby widzenie było potężniejsze, sztucznie powstrzymywaliśmy nadejście miesiączki. Czasami nawet o dwa, trzy lata. A moc w dziewczynkach narastała. Nic dziwnego, że rzadko które z nich to wytrzymały.

— A u tych, którymi nie zajmowali się tacy jak ty, doktorze? — zapytał Lisiecki, a w jego głosie bez trudu usłyszeć można było pogardę.

— To ciężka chwila. Bolesna. Część z nich umiera. Ale większość żyje dalej. Ich dar słabnie, aż z czasem po prostu zanika... Ślepną.

Zamilkł nagle, chociaż wydawało się, że chce coś dodać. Obydwaj, i doktor i Bram pomyśleli o Ellen. W chwili porwania miała dwanaście lat. Była tuż przed swoim pierwszym krwawieniem. A być może tuż po nim. Jej dar, jeśli jakkolwiek kiedyś miała, właśnie miał ją opuścić.

— Czy twoje zabiegi nie sprawią, że Daria będzie taka, jak te wszystkie dziewczynki, którymi wcześniej się zajmowałeś? — drążył Polak.

— Nie. Tamtymi dziewczynami zajmowałem się miesiącami — wyznał ze skrucą i bólem lekarz — Teraz mam najwyżej kilka dni.

Za pomocą łyżki ściągnął wodnistą substancję, która pod wpływem ciepła pojawiła się na powierzchni mikstury i zlał ją do przygotowanego wcześniej kielicha.

— Na szczęście — dodał nagle.

Bram z Lisieckim spojrzeli na siebie. Carridan właśnie przyznał przed nimi, że się poddał, że zrobi wszystko to, czego zażąda od niego Stary. Ograniczały go tylko rzeczy od niego niezależne.

Holender pomyślał, że ten człowiek był słaby. Tak słaby, że nawet gorąca wiara w Boga, każdego boga, z którym się spotkał, nie dodawała mu sił. Lęk przed doczesnym cierpieniem był większy niż strach przed wieczną karą i piekłem, które groziły mu za złamanie składanych przysiąg. Był jak pyłek unoszący się swobodnie w powietrzu, który zawsze leciał tam, gdzie nakazał mu najłżejszy podmuch wiatru.

Sirena obudziło walenie do drzwi. Strażnik o ponurym wyrazie twarzy powiedział mu, że ma się pośpieszyć, bo Stary chce się z nim spotkać. Dziewczyny, rudej kucharki o pełnych, potężnych piersiach, które uderzały go w głowę, kiedy go ujeżdżała, dawno już nie było.

Pozostało po niej tylko ciepłe jeszcze wgniecenie w sienniku.

Szeryf wysikał się do nocnika, obmył twarz w misce z wodą i poszedł tam, gdzie mu kazano.

Czekał teraz w niewielkiej komnacie gdzieś na wyższych piętrach zamku, krążąc od ściany do ściany i wdychając zapach mokrego kamienia. Przed oczyma stanął mu obraz matki, która na kolanach myje podłogę. Jej ruchy są oszczędne, ale energiczne, pełne dzikiej złości. Kiedy wyżyma brudną szmatę, jej twarz wykręca się, jakby właśnie łamała komuś kark. Siren zwykle obserwował ją siedząc w kącie izby i uważnie pilnując, żeby być poza zasięgiem jej długich rąk.

Nie raz, nie dwa oberwał mokrą ścierą, bo „przeszkadzał”. Ale pomimo tego uwielbiał ten zapach. Mokry kamień. Zdał sobie sprawę, że to pierwszy raz od wielu, wielu lat, kiedy pomyślał o matce. Zastanawiał się, co się z nią dzieje i czy jeszcze żyje. Chyba powinien mieć jakieś wyrzuty sumienia, że nie wie takich rzeczy, ale tak naprawdę ta kobieta była mu zupełnie obojętna. Nie odczuwał w stosunku do niej nic, znikła nawet ta paląca nienawiść, która, jak uważał do tej pory, towarzyszyć mu miała przez całe życie.

— Starzeję się... — mruknął cicho pod nosem.

— O czym myślisz?

Siren odwrócił się błyskawicznie, a jego ręka sama powędrowała do boku, gdzie zwykle znajdował się pas z rewolwerami. Powstrzymał ten ruch w połowie drogi, ale strażnik i tak szedł już do niego z krótkim mieczem w dłoni. Stary powstrzymał go kłaśnięciem i nakazał stać w miejscu. Chyba ubawiła go ta sytuacja.

— O czym myślisz? — powtórzył pytanie.

— O matce — przyznał szeryf.

— Była pewnie dobrą kobietą.

— Nie. Była zła do szpiku kości. Ale lubiła mieć czysto w izbie.

Stary kiwnął powoli głową. Wskazał na stojący pod ścianą stolik.

— Częstuj się — powiedział.

Siren bez słowa wziął kromkę czarnego chleba, którą posmarował grubo psim smalcem.

Wziął kęs, przeżuł uważnie, a potem popił wódką rozrobioną z wodą w proporcji mniej więcej pół na pół. Stary tymczasem nakazał strażnikowi opuścić komnatę. Młodzieniec wykonał polecenie bez entuzjazmu, przyglądając się wcześniej podejrzliwie Sirenowi.

Mężczyźni zostali sami. Stali naprzeciwko siebie, oddaleni nie więcej niż o trzy metry; szeryf z kromką w dłoni, starzec wyprostowany i dumny. Siren mimowolnie poczuł coś na kształt podziwu. Widać było, że Stary cierpi, bo żadna żywa istota nie jest w stanie ukryć bólu tak wielkiego, ale pomimo dręczącej go choroby jego ciało wciąż stanowiło splot żylastych, twardych jak stal mięśni. Gdyby je napiął, a ktoś go pchnął wtedy nożem, ostrze odbiłoby się od nich albo wygięło, tak jak wtedy, kiedy uderzy się w murowaną ścianę.

Siren domyślił się, dlaczego Stary wyprosił strażnika. Szeryf musiał publicznie okazywać swojemu gospodarzowi pewien szacunek, używać gładkich słówek, bo chociaż był gościem, to rycerz nie mógł dopuścić, żeby ktoś, ktokolwiek obrażał go przy jego ludziach. Ba! Musiał okazać swoją wyższość i znaczenie. I to temu służyło wyrwanie Sirena z łóżka bladym świtem, a potem upokarzające oczekiwanie na gospodarza. Szeryf doskonale to rozumiał, bo sam postępowałby podobnie. Dlatego też grał w tę grę, godząc się ze swoją rolą odrobinę bezczelnego gościa, o którego trzeba dbać, a równocześnie któremu trzeba pokazać, gdzie jest jego miejsce.

Teraz jednak z jakiegoś powodu Stary chciał z nim porozmawiać szczerze, bez świadków i niedomówień.

— Zastanawiasz się pewnie, czy nie wykorzystać okazji i mnie nie zabić, co? — zapytał Stary, potwierdzając domysły szeryfa.

— Ciebie? — Siren podniósł brew — To byłoby głupie. Przecież widać, że zaraz sam zdechniesz. Wolę skupić się na zapamiętywaniu rozkładu pomieszczeń, tego ilu masz ludzi, jaką broń noszą i gdzie rozstawiasz warty. No, może zastanawiam się jeszcze, gdzie ukryłeś nóż.

Stawiam, że masz go w rękawie.

— No cóż... Tego się chyba nie dowiemy. Prawda?

Nagle Stary zgiął się w pół, zaczął straszliwie kaszleć tak długo, aż wreszcie wypluł gdzieś głęboko z płuc krwawy strzęp. Żeby nie upaść musiał oprzeć się o stół, drżały mu kolana.

Oddychał ciężko. Rysy twarzy starca straciły na ostrości, zmarszczki pogłębiły się, przypominały teraz mroczne wąwozy, które powstały pod naporem lodowatego bólu. Szeryf z grzeczności, której sam się po sobie nie spodziewał, udawał że niczego nie zauważył. Przez głowę przemknęło mu tylko, że byłby w niezłych kłopotach, gdyby rycerz teraz, z przyczyn zupełnie naturalnych, odwalił kite.

— Masz rację — powiedział starzec charcząc — niedługo nadejdzie mój czas. Ciesz się to, szeryfie?

Siren przełknął ostatni kęs kromki i potrząsnął głową.

— Niespecjalnie. Jesteś starym, wściekłym kundlem, chociaż pewnie sam uważasz się za rasowego, kurwa, ogara, ale mam wrażenie, że po tych wszystkich miesiącach, kiedy ty zabijałeś moich ludzi a ja twoich, doszliśmy do pewnego, co prawda niedoskonałego, ale jednak porozumienia. Żadnego z nas ono nie zadowalało i wierz mi, gdyby los kiedykolwiek sprawił, że raz jeszcze stanęlibyśmy przeciwko sobie, bez wahania strzeliłbym ci prosto w serce — ale ta umowa była, jakoś działała. Poszukiwacze przestali ginąć, chaty miejscowych przestały płonąć.

Kiedy umrzesz, twoje miejsce zajmie jakichś inny kundel, który zacznie ujadać z pianą na pysku i cały ten pierdolony cyrk zacznie się od nowa.

— Podaj mi wódkę — poprosił stary.

Siren sięgnął po kielich. Nalał do niego gorzałki. Podniósł butlę z wodą, ale stary machnął dłonią.

— Czysta — charknął.

Szeryf podał starcowi kielich.

— Twoje zdrowie, szeryfie. Jesteś bezczelnym gnojem, który nie wie, kiedy ma przestać mówić, żeby nie nadużyć czyjejs gościnności.

— Ależ doskonale wiem — zaprotestował Siren — Ale wiem również, że mój gospodarz jest na tyle honorowy, że nigdy nie złamie danego słowa. Więc nic mi nie grozi. Właściwie to mój gospodarz jest tak honorowy, że gdyby był honorowy jeszcze choć ciut bardziej, to musiałyby srać orderami.

Wzniesli toast. Stary duszkiem wypił niemal cały kielich wódki, skrzywił się, a z jego gardła wydobył się dźwięk, jakby ktoś metalowym łańcuchem tarł po stalowej blasze.

— Chce ci zaproponować układ, Siren — powiedział rycerz.

— Jaki?

— Doniesiono mi, co się stało w Saint Paris. Ty to widziałeś na własne oczy. Wiesz, do czego zdolne są chudzielce.

— Wiem.

— Ich jest coraz więcej Siren. Poruszają się w większych stadach. Zachowują się również inaczej. Są sprytniejsze, bardziej rozumne. Jakby ktoś nimi kierował.

— Bzdura. To bestie. Groźne, ale tylko bestie.

Starzec podniósł palec i wymierzył nim w szeryfa. Tym razem w jego spojrzeniu było widać prawdziwy gniew. Rycerz mógł znosić obelgi, szczególnie że sam nie zamierzał ich szczerzyć gościowi, ale zarzucanie mu kłamstwa było czymś więcej.

— Wiem, co mówię, szeryfie.

— Dobrze — powiedział cicho szeryf, który postanowił ustąpić Staremu. — Są sprytniejsze niż sądziliśmy. I jest ich więcej niż kiedykolwiek. Co z tego wynika?

— Musimy połączyć siły, Siren. Współpracować. Ani ty sam, ani ja sam nie damy sobie z nimi rady.

Szeryf zacmokał.

— Współpracować? — powiedział z niedowierzaniem — Jakoś nigdy specjalnie nie dbałeś o życie poszukiwaczy, Stary. Zmuszałeś ich tylko do płacenia daniny. Mam wierzyć, że to, co wydarzyło się w Saint Paris, jakkolwiek cię zmieniło?

— W Saint Paris mieszkali też miejscowi.

— To o miejscowych ci chodzi? To dlaczego nie ściągniesz ich do tego twojego zamczku i ich tutaj nie ugościsz?

— Jak tak dalej pójdzie, to chudzielce zniszczą tę krainę! Całą! Pożrą ją i wysrają! I poszukiwaczy, i miejscowych, i moich ludzi, i twoich, i ciebie wreszcie, i mnie! Nie zostanie tutaj kamień na kamieniu. Przeczuwałem to od jakiegoś czasu Siren, bo spotykamy się z chudzielcami częściej niż wy. A Saint Paris jest tylko dowodem na to, że moje przecucia były słuszne. I ty też, jeśli masz choć trochę rozumu w głowie, a wiem, że masz, musisz przyznać mi rację.

Stary po raz kolejny musiał się oprzeć o stół, a na czole pojawiły mu się krople potu.

— Porozmawiamy z poszukiwaczami — odezwał się szeryf po chwili milczenia —

Przedstawię im twoją propozycję. Nie za bardzo cię lubią, ale uda mi się ich przekonać. Ale zanim przejdziemy do omawiania szczegółów... Mam jeden warunek. Jeśli go nie spełnisz, z całej umowy nici.

— Jaki?

— Chcę dostać Darię — oświadczył Siren.

— Darię? Jesteś gotowy poświęcić życie wszystkich mieszkających tu ludzi dla tej jednej dziewczyny?

— A ty?

Stary uśmiechnął się słabo.

— Ciężko będzie odebrać ją Lisieckiemu.

— Postaraj się.

— Lisiecki powiedział, że podobno zabiłeś jej ojca.

Siren zamarł. Powiązanie zabójstwa Biszkeka z awanturą o Darię było dość oczywiste.

Zastanawiał się tylko, czy Polak ze Starym wiedzą o córce Suarezów. Z jej śmierci byłoby mu się trudno wytłumaczyć.

— Sprzedał mi swoje dziecko i nie dostarczył towaru. Musiałem go ukarać. Poza tym, to był zły człowiek. Sam szukał kupca. Jeśli ja bym nie kupił Darii, to zrobiłaby to Sava albo jakaś grupa poszukiwaczy, która traktowałaby małą jak worek na spermę. Przynajmniej tak długo, aż by im nie zdechła z głodu.

— Zapłaciłeś za nią?

— I to słono.

— I to jest twój warunek?

— Chcę dziewczynę — powtórzył szeryf.

Stary pokiwał głową.

— W takim razie ją dostaniesz — stwierdził.

Siren z trudem ukrył uczucie tryumfu, które nagle wybuchło z niespotykaną siłą w jego sercu.

— Kiedy?

— Kiedy tylko odnajdziemy bunkier. I to jest mój warunek szeryfie.

— Dajesz słowo? Kiedy tylko dotrzecie do schronu, dziewczyna wraca do mnie?

— Daję ci na to moje słowo, szeryfie Jamesie L. Sirenie. A ja nie palę kościołów.

Szeryf splunął na swoją dłoń i podsunął ją Staremu. Rycerz uściśnął ją bez wahania. Jego skóra była zimna i wiotka, jak kartka starego papieru.

*

Przez cały dzień i większą część nocy doktor Carridan pracował nad Darią. Rozpoczął od długiej, wielogodzinnej rozmowy, podczas której co jakiś czas zadawał dziwne, niezwiązane z jej treścią pytania, na przykład o myśl kamienia czy ból nieznanego dziecka. Do odpowiedzi na nie wydawał się przykładać szczególnie ważną rolę. Potem wprowadził ją w trans, ale nie kierował nią w żaden sposób. Pozwolił Darii swobodnie odpłynąć, krążyć po wybranych przez nią ścieżkach. Mierzył tylko ciśnienie dziewczynki, słuchał bijącego w wątłej piersi serca i co chwila przykładał dłoń do rozgrzanego czoła. Jakby pilnował, żeby nie odeszła za daleko.

— To wieża. Potężna wieża o głębokich fundamentach — oznajmił w pewnym momencie Bramowi.

To były pierwsze i jedyne słowa, jakie skierował tego dnia do kogoś innego niż dziewczynka.

Pilnowali go na przemian Holender z Lisieckim. Co jakiś czas pojawiała się również Ellen, ale jej obecność tak przerażała lekarza, że natychmiast przestawał pracować. Świadomie lub nie, chował się w najciemniejszym kącie spiżarni i grzebał tam w swoich notatkach, mrużąc coś pod nosem, nieświadomy tego, że jego kark robi się czerwony jak rozgrzana cegła.

Za każdym razem Bram chciał podejść do dziewczyny, porozmawiać z nią, ale zawsze znikała w gąszczu korytarzy, zanim zebrał w sobie dość odwagi. Wkrótce zaś przestała przychodzić do piwnicy.

Carridan upuścił dziewczynie trochę krwi, którą później dołączył do przygotowanej wcześniej narkotycznej mikstury. Chociaż Daria była zmęczona, nie pozwalał jej na sen ani odpoczynek, dźgając długą szpilą, często aż do krwi, za każdym razem, kiedy zamykała powieki.

Lisiecki patrzył na to z rosnącą z chwili na chwilę wściekłością, paląc papierosa za papierosem, wkrótce więc całe pomieszczenie było wypełnione siwym, aromatycznym dymem, od którego łzawiły oczy. Polak nieustannie wyglądał tak, jakby miał już za chwilę wybuchnąć, ale zaciągnięcie się papierosem w jakiś cudowny sposób ratowało sytuację. Trwał więc tak, w stanie nieustannego wrzenia, przestępując z nogi na nogę, zaciskając pięści i zagryzając wargę.

Również Bram nie czuł się dobrze obserwując postępowanie Carridana. Lekarz sprawiał dziewczynie ból, męczył ją, chociaż na razie nie przekraczał granicy okrucieństwa. Holender wiedział jednak, że to dopiero początek drogi, że z każdą godziną i każdym dniem obciążenia, którym będzie poddawana dziewczyna, będą coraz większe i straszniejsze. Przy tym, co miało się dopiero wydarzyć, klucie szpilą będzie przyjemnym wspomnieniem.

Ciało jest kotwicą. Można ją zwolnić poprzez miarowe, systematyczne osłabianie go na przeróżne sposoby. Tylko wtedy dar objawiał się w pełni. Tylko wtedy będą mieli szansę na odnalezienie bunkra. Dlatego pomimo wyrzutów sumienia, które pojawiały się jeden po drugim w jego umyśle, nic nie zrobił, nic nie powiedział. Po prostu patrzył. Ciało jest kotwicą — powtarzał sobie w myślach. Chociaż w niczym to nie pomagało.

W końcu zawołano ich na kolację, na którą podano miskę kaszy polaną skwarkami z cebulą i do tego wódkę. Jedli z Lisieckim w milczeniu, właściwie nie patrząc na siebie. Obaj, mniej lub bardziej, uważali się za ludzi szlachetnych, za rycerzy, za tych którzy postępują słusznie, i obaj mieli wrażenie, że uczestniczą w czymś niegodnym i brudnym. Ten brud osiadał gęstą, śliską warstwą na ich sumieniach i wiedzieli, że łatwo się go nie pozbędą.

— Stary kazał przekazać, że zaprasza was obu na polowanie — powiedział Młody, który chwilę wcześniej wszedł do izby. Był blady, chudszy niż podczas wspólnej wyprawy do Saint Paris i miał rękę na temblaku, ale wyglądał na zdrowego. — Polowanie rozpocznie się wcześniej rano. Pobudka o trzeciej w nocy.

— Na co będziemy polować? — zapytał Bram.

Młody wzruszył ramionami, sygnalizując, że sam nie wie.

— Stary dodał, że nie zniesie odmowy — powiedział jeszcze tylko.

W nocy Bram nie potrafił zasnąć. Ilekroć zamykał oczy, widział udręczoną twarz Darii, która wkrótce zamieniała się w oblicze Ellen. Próbował szukać córki Starego po kolacji, ale nigdzie nie potrafił jej znaleźć. Wrócił do swojej komnaty, dobił głód kromką czarnego chleba, umył się i położył do łóżka.

Przewrócił się na lewy bok, mając nadzieję, że tak w końcu zaśnie. Zawsze spał na prawym, zwinięty w kłębek, ale teraz czuł, że coś go uwiera. Zmiana pozycji jednak nie pomogła. Sen wciąż nie przychodził, a niepokój uderzał w niego gorzką falą, ilekroć czuł, że już zaraz odpłynie i ten długi, męczący dzień w końcu się skończy.

Przewrócił się na plecy. Długo wpatrywał się w sufit komnaty, licząc pęknięcia na źle otynkowanym stropie, aż wreszcie podniósł się, ubrał i poszedł na blanki odetchnąć świeżym powietrzem. Miał jakąś głupią, zupełnie irracjonalną nadzieję, że spotka tam Ellen, że będzie mógł w końcu wziąć ją w ramiona, przytulić mocno, pocałować. Potem zaprowadzi ją do siebie i udowodni jej, że jest piękniejsza od jakiegokolwiek dziewczyny, którą dotychczas spotkał. Jednak zamiast Ellen na blankach stał, paląc papierosa i pijąc wódkę prosto z butelki, Siren.

Szeryf podał Bramowi flaszkę, który wziął ją zanim zorientował się, że tak naprawdę wcale nie chce pić. Trzymał więc butelkę dłońmi, czekając aż Siren zechce odebrać swoją własność.

On jednak wolał śpiewać. Głos miał całkiem ładny, głęboki, mocny, chociaż nie pozbawiony pewnej cierpkiej chropowatości.

— Gdybym był bogaty... Jabadabadaba jabadadaba dibi ba... Cały dzień bym dili dili

bum...

Pracy bym się brzydził, dajldej daljej dal, gdybym jak był... bilibili bum, dili dili pan... Znasz to panie van der Hagenhooper? To stara piosenka. Podobno jeszcze z Ziemi.

— Nie.

— Nic dziwnego. Dlaczego miałbyś ją znać? W końcu tylko głodni śpiewają o chlebie.

Siren był już pijany. Chwiał się, potrzebował chwili więcej niż trzeźwy, żeby dobrać słowa do myśli, a i tak lekko bełkotał. Pewnie dlatego zebrało mu się na szczerłość.

— Wiesz, czym jest Kaźń, panie van der Hagenhooper?

— Nie wiem.

— Wiesz, dlaczego wciąż ściągają tu dziesiątki, pewnie setki poszukiwaczy, pomimo tego, że jedyne, co ich czeka to śmierć, powolna, okrutna i powiedzmy sobie szczerze, po prostu nieprzyjemna?

— Nie wiem.

— Ponieważ Kaźń to marzenie. Wiesz, czym jest marzenie, panie van der Hagenhooper, co?

— Wiem.

— To o czym, kurwa, marzyłeś? Wtedy kiedy byłeś dzieckiem. O czym marzyłeś?

Bram musiał na chwilę zamknąć oczy.

— O koniu — powiedział — Pięknym wierzchowcu, o maści czarnej jak smoła. Młody był. I narwany. Zbyt silny jak dla młodego chłopaka. Pewnie by mnie zabił, gdybym naprawdę go dostał. Ale marzyłem o nim. Dzień i noc. Bez końca.

— A ja o mięsie. Mogło być z konia — oznajmił Siren — Jadłem mięsa od święta, a i tak najgorsze gównno, które nie chciał wziąć do ust nikt inny. Ale i tak to było coś niesamowitego.

Piękne, piękne dni. Marzyłem o nich. Ale ich było mało. Bardzo, bardzo mało.

Siren odebrał butelkę Bramowi.

— Kaźń to takie marzenie. Że wystarczy tu przyjechać i tylko i wyłącznie dzięki pracy własnych rąk człowiek stanie się bogaty. Że decyduje to, jakie masz zdolności, a nie to, kim się urodziłeś ani kogo znasz. A potem większość z poszukiwaczy zdycha tu z głodu, żyjąc w większej nędzy niż kiedykolwiek mogli sobie wyobrazić. Nawet jeśli znajdują żyłę, to szybciej niż mógłbyś mrugnąć okiem przepuszczają wszystko u Savy, w barach czy grając w karty.

Koniec końców, lądują w gównie głęboko po uszy. A wiesz, co jest najśmieszniejsze?

— Co?

— To, że wciąż uważają, że złapali Pana Boga za nogi.

Siren wypił łyk wódki i zaczął nucić pod nosem swoją piosenkę.

— Oczywiście — podjął przemowę — Są tacy, którym się udaje. Budują sobie potem w Kaźni wielkie domy albo uciekają stąd z wozami wypełnionym żywym metalem. To się zdarza.

Rzadko bo rzadko, ale się zdarza. Dlatego ludzie wciąż próbują... Ale co ty możesz o tym wiedzieć, co, panie van der Hagenhooper? Twoim jedynym marzeniem było dostać pierdolonego konika.

Szeryf obrócił się do Holendra z zaciśniętymi pięściami. Przez chwilę Bramowi wydawało się, że Siren go zaatakuje, ale nic takiego się nie stało. Po prostu stali naprzeciwko siebie, omiatani chłodnym nocnym powietrzem, które jednak niesło ze sobą lekką woń zgnilizny.

— Słyszałeś o polowaniu? — zapytał Siren.

— Tak. Jutro rano. Ciebie też zaprosili?

Szeryf kiwnął głową.

— Ten skurwiel coś kombinuje — szepnął, mając na myśli Starego. — Uważaj,

Holendrze.

— Uważam.

— Stary wykorzystuje ludzi. I wykorzystuje ich po mistrzowsku. Musisz sam zadbać o swoje interesy, inaczej on cię wyrucha, i to wyrucha tak mocno, że nie będziesz mógł usiąść przez resztę swojego życia. Chociaż... Jesteś synem stadhoudera. Może dostaniesz naprawdę miękkie poduszki.

Zarechotał, a potem chwiejnym krokiem minął Holendra. Lekko zachwiał się, kiedy przechodził przez drzwi i zaklął, z trudem łapiąc pion. Bram słyszał jeszcze jak Siren obija się od ścian i szura nogami, ale wkrótce został na blankach sam. Czuł się zmęczony, zdenerwowany i niepewny. Pomyślał, że słowa Sirena, które — chociaż z trudem się do tego przyznawał — naprawdę go zabolaty, były prawdziwe. Marzenie o koniu było marzeniem bogatego panicza, który nigdy nie zaznał głodu i nigdy się go nie obawiał, odgradzony od zewnętrznego świata i niebezpieczeństw grubymi murami niezdobytej twierdzy, jaką od wieków był Kieł. Oczywiście, na polowaniach, podczas krótkich wypraw przeciw bandytom lub wojennych ćwiczeniach, dzielił wszelkie niewygody ze swoimi towarzyszami. Ale nawet teraz, wędrując po dawnym Królestwie Kuźni Zachodu, śpiąc gdzie popadnie w ciągłej obawie przed atakiem chudzielców miał świadomość tego, że gdzieś tam na wschodzie, wcale nie tak daleko, znajduje się bezpieczna przystań, gdzie liczna służba przyjmie go głośno wyrażając swoją radość i wznosząc dziękczynne modły za jego bezpieczny powrót. A potem przygotowują mu gorącą kąpiel i posiłek tak obfity, że ludziom Starego starczyłyby on na cały tydzień. Żaden z przybywających tu poszukiwaczy nie miał takiego luksusu. Każdy z nich stawiał całe swoje życie na jedną kartę, wiedząc, że teraz albo wszystko, albo nic. Ale jedno ich łączyło. Bram również przybył do Kaźni w pogoni za marzeniem.

Drgnął nagle, bo wydawało mu się, że coś mignęło pomiędzy drzewami. Wysoki, wąski cień.

Bram przechylił się na blankach, żeby lepiej widzieć. Blady, niemal biały pas, jakby biegnący.

Nie był pewien, czy to chudzielec, chociaż mógłby przysiąc, że widział jego ramiona i długie szpony, czy po prostu refleks blasku księżyca. Wstrzymał oddech, zmrużył powieki, ale jeśli coś tam rzeczywiście było, znikło w leśnym gąszczu. Pozostała tylko cisza.

*

Wyruszyli wcześniej rano, a właściwie późną nocą, kiedy pierwszy blask rozjaśniał już niebo, ale słońce kryło się jeszcze jak złodziej za horyzontem. Ruszyli dużą grupą, szóstka mężczyzn i trzy kobiety, wszyscy pod bronią, w tym Joachim i Mark. Do tego Bram, Siren, Lisiecki i sam Stary, który w siodle odmłodził nagle i nabrał sił. Łącznie trzynastu uzbrojonych ludzi, w tym pięciu konno. Zdecydowanie zbyt wielu jak na zwykłe polowanie. Holender czuł, że coś jest nie tak; że dał się w coś wmanewrować, ale żaden z ludzi Starego nie chciał z nim rozmawiać. Ich wyrazy twarzy świadczyły, że właściwie nie rozumieją, dlaczego jeszcze nie powiesili go na najbliższej gałęzi.

Poruszali się bardzo szybko i sprawnie. Piechurzy niemal cały czas biegli truchtem. Przez godzinę pokonali dystans blisko ośmiu kilometrów. Później trochę zwolnili, ale w rezultacie po trzech godzinach znajdowali się, według obliczeń Brama, niemal dwadzieścia kilometrów od zamku Starego.

Po tym, jak minęli wysoki, rozłożysty dąb, zaczęli poruszać się ciszej, spokojniej i uważniej.

Żołnierze ściągnęli z pleców broń: stare strzelby o wielokrotnie zmienianych lufach, ale głównie kusze i włócznie. Uważnie rozglądali się po bokach, w każdej chwili gotowi odeprzeć atak. Bram pośpieszył konia i zrównał się ze Starym.

— Co tu się dzieje? — zapytał szeptem.

— Jak to? Jedziemy na polowanie — odpowiedział z udawanym zdziwieniem rycerz.

Stary wyglądał teraz niemalże szlachetnie. Miał na sobie starą, ale zadbaną skórzaną zbroję, w miejscach szczególnie wrażliwych wzmacnianą stalowymi płytami; do tego zielony płaszcz, który spływał falą z jego ramion. Włosy gładko zaczesał do tyłu i natłuścił. Przypasał miecz, a do olstra przy siodle włożył bojowy obrzyn, na rękojeści którego Bram dostrzegł znacznik rusznikarzy z Republiki. Holender znał takie bronie, bardzo popularne wśród rycerstwa. Miał potężną siłę rażenia, bo za ich pomocą można było powalić nawet żlebodźwiedzia. Ich celność, biorąc pod uwagę typ broni, była zaskakująca. Jediną wadą była dostępność amunicji, którą trzeba było sprowadzać aż ze Skalnego Miasta, a Republikanie zazdrośnie strzegli sekretów jej wytwarzania. Wykonywane tu i ówdzie podróbki były zdecydowanie gorszej jakości, a ich używanie częstokroć groziło uszkodzeniem obrzyna.

— Polowanie? W tyle osób? Tak uzbrojonych?

Stary wydał usta i nachylił się w stronę Brama.

— Zarzucasz mi kłam, Holendrze? Przed moimi własnymi ludźmi — w jego głosie brzmiał lód.

— Nie.

— Jesteś moim gościem, Holendrze. Ale pewnych rzeczy nawet gościom nie wypada robić.

Stary odgonił Brama ruchem ręki, jak natrętą muchę. Holender próbując powstrzymać złość zatrzymał konia. Kątem oka zauważył jeszcze szyderyczy uśmiezek Sirena, który zdążył niemo powiedzieć — a nie mówić. Tyle że szeryf był pogodzony z sytuacją i całą tę wyprawę traktował jak zabawną przygodę. Holender pomyślał, że Siren musiał wcześniej ubić ze Starym jakiś interes. Zastanawiał się, czego mógł dotyczyć. Tak to chyba tutaj wyglądało — biznes za biznes, korzyść za korzyść, ciągła wymiana. Ale jeśli tak naprawdę było, to czy dobrze rozegrał swoje karty? Poczul nieprzyjemne pieczenie w żołądku, jakby wyrzuty sumienia postanowiły uderzyć właśnie w ten organ.

Grupa zwolniła jeszcze bardziej, kiedy nagle na ścieżce pojawił się samotny Hindus. Na widok rycerzy podniósł ręce w górę. Opuścił je dopiero wtedy, kiedy był pewien, że nikt nie zacznie do niego strzelać. Wysoki, muskularny, przy pasie miał długi nóż dao. Nie było wątpliwości, że za jego pomocą potrafi ściąć głowę człowieka jednym machnięciem muskularnych ramion. Na piersi miał zielonkawą tunikę z czarnym kowadłem, co znaczyło, że był jednym z ludzi Starego. Dlatego nie dziwiło, że podszedł do rycerza i skłonił się głęboko. W takim pokłonie trwał, aż starzec chrząknięciem dał mu znak, że może się unieść.

— Jestem szczęśliwy, że cię widzę, sahib — powiedział Hindus.

Bram zawsze lubił przedstawicieli tego ludu. Było nieliczni, ale pracowici i lojalni. Starali się również zachowywać swoje tradycje i kulturę, dzięki czemu nie roztopili się jeszcze w morzu innych narodów, a to musiało budzić szacunek.

— Ciebie również dobrze widzieć, Gupta.

— Dziękuję, sahib.

— Jak żona i mały Pehlaj?

Na Holendrze zrobiła wrażenie uprzejmość Starego. Dla Hindusów rodzina była jedną z największych świętości. To, że rycerz pamiętał imię syna Gupty świadczyło o niezwykłym szacunku, który Hindus docenił, bo zaczerwienił się jak dziewczica w noc poślubną.

— Bardzo dobrze, sahib. Dalaja spodziewa się kolejnego dziecka.

— Chłopiec czy dziewczynka?

— Trzyoki to wie, sahib. Ja nie.

— Kopie?

— Bardzo mocno.

— W takim razie to chłopiec.

— Zapewne masz rację, sahib.

Stary mruknął coś trudnego do zrozumienia i otarł usta rękawem, co oznaczało, że skończył się czas uprzejmości.

— Ilu ich jest? — zapytał rycerz.

— Ośmiu, sahib. Tak jak meldowaliśmy.

— Nikt nie doszedł?

— Nie, sahib.

— Inne grupy?

— O żadnej nie wiem, sahib.

— Wartownicy?

— Jest jeden, sahib. Krąży wokół obozowiska. Ale on też przysypia. Czują się pewnie.

Stary pokiwał głową. Już układał plan działania.

— Dobrze się spisałeś, Gupta — stwierdził, a Hindus się natychmiast pokłonił. — Twoi ludzie również.

— Przekażę im to, sahib.

Rycerz gestem nakazali Bramowi, Sirenowi i Lisieckiemu zejść z koni. Z juków wyjął jakiś skrawek papierów. Przywołał do siebie Joachima i Guptę. W trójkę nachylali się nad tym, co okazało się mapą i rozmawiali szeptem. Ustalili plan działania. Hindus rysikiem nanosił poprawki na planie. Stary powiedział coś stanowczym tonem, a inni pokiwali głowami. Wstali.

Rycerz przywołał do siebie wszystkich gestem.

— Są tu Korporacyjni. Weszli na nasz teren — oznajmił swoim ludziom — Wiecie, co musimy zrobić.

Pokiwali głowami.

— Mark.

Żołnierzy wyprostował się, stając na baczność.

— Bierzesz jedną osobę. Spróbujesz ich podejść.

— Tak jest, ser.

— Joachim.

— Ser?

— Wiesz, co masz robić.

— Tak jest, ser.

— Jedna osoba zostaje pilnować koni. Reszta z nas będzie osłaniać ogniem Marka.

Korporacyjni jeszcze śpią. Zostawili jedną osobę na warcie. Nie spodziewają się ataku. Nawet nie wiedzą, że tu jesteśmy — zrobił przerwę na zaczerpnięcie oddechu — Za Kuźnię.

— Za Kuźnię — odpowiedzieli szeptem.

Stary odwrócił się do swoich gości.

— Zapraszam na polowanie, panowie — powiedział z uśmiechem.

Poruszali się bardzo powoli trzy lub czteroosobowymi grupkami, przygarbieni, często się czołgając. Bram był pod wrażeniem wyszkolenia ludzi Starego. Niemal nie było ich słyhać, rzadko potrafił któregoś dojrzeć. Gdyby nie wiedział, że tu są, prawdopodobnie nigdy by nie uwierzył, że właśnie do zasadzki przygotowuje się tu ponad dziesięcioosobowy oddział

żołnierzy.

Bram był w grupie razem z Lisieckim i Sirenem. Ponieważ byli gośćmi, wyznaczono im pozycję łatwą do osiągnięcia, w miarę bezpieczną, ale z dobrym widokiem na arenę wydarzeń.

Skryli się w małej grupie skałek, na tyle dobrych, że dawały ochronę przed pociskami, ale na tyle niepozornych, że wątpliwe było, żeby Korporacyjni zwracali na nią szczególną uwagę.

— Mówiłem, że ten gnój coś kombinuje — szepnął szeryf, gryząc w ustach źdźbło trawy — Wciąga nas w swoje porachunki z Korporacyjnymi... Kurwa, ja z tymi ludźmi interesy robię.

— Ten Gupta. Kto to jest? — zapytał Bram.

— Mamy tutaj niewielką populację Hindusów. Przybyli jako pierwsi i natychmiast podporządkowali się Staremu. To nie są jego ludzie, ale raczej... — Siren potrzebował chwilę, żeby znaleźć odpowiednie słowo — wasale.

Lisiecki syknął na nich i przyłożył palec do ust. Mężczyźni zamilkli. Bram ściągnął karabin, odbezpieczył broń i zajął pozycję strzelecką. Nie miał ochoty brać udziału w walce, bo podobnie jak szeryf uważał, że został w nią wciągnięty bez własnej zgody. Z drugiej strony wiedział, że kiedy strzelanina się zacznie, Korporacyjni będą strzelać, a nie pytać, kto tu przybył z własnej woli, a kto nie.

Korporacyjni rozłożyli obóz w leśnym gąszczu, w bezpiecznej odległości od szlaków i ścieżek. Składały się na niego trzy namioty, wszystkie skierowane wejściami do środka obozowiska, gdzie znajdowało się małe palenisko z osmolonym garnkiem opartym na kilku kamieniach.

— Można rozpalić ognisko bez dymu, ale nie da się rozpalić takiego bez smrodu. Ci kretyni nigdy się tego nie nauczą — mruknął pod nosem Lisiecki.

Wokół obozowiska korporacyjni ułożyli prosty płot z grubych pni i gałęzi, tworząc prowizoryczne stanowiska strzeleckie, gdzie planowali się bronić na wypadek ataku. Pomimo wczesnej pory większość z nich nie spała. Trzech krzątało się, jedząc śniadanie. Do mężczyzn doleciało echo ich rozmów. Wydawali się beztroscy, spokojni i pewni siebie. Z tej odległości trudno było powiedzieć, jak dobrze byli wyposażeni. Wartownik stał mniej więcej dwadzieścia, trzydzieści metrów od obozu, niemal na wysokości Holendra i uważnie wpatrywał się w leśny gąszcz. W pewnym momencie zachwiał się, chwycił za gardło. Bram spostrzegł, że pomiędzy palców wystaje mu brązowy bełt kuszy. Korporacyjny chciał krzyknąć, ale z jego ust wydostał się tylko niewyraźny skrzek. Upadł na kolana. Któryś z jego towarzyszy musiał to zauważyć, bo natychmiast podniósł alarm. Żołnierze rzucili się do broni i wtedy padła pierwsza salwa ludzi Starego. Powaliła jeszcze jednego z przeciwników. Reszta zdołała się schronić.

— Zostało jeszcze sześciu — szepnął Siren.

Korporacyjni odpowiedzieli ogniem, ale strzelali chaotycznie, nie wiedząc, gdzie znajdują się napastnicy. Byli wyposażeni głównie w strzelby. Może dwóch miało groźne karabiny, w tym jeden automatyczny. To właśnie wystrzelona przez niego seria przecięła powietrze tuż nad głową Sirena. Szeryf zaklął i skulił się za skałą. Wyciągnął rewolwer, skierował jego lufę w stronę obozowiska i oddał kilka strzałów na ślepo. Taka wymiana ognia trwała jeszcze przez około dwie minuty. Przez ten czas Korporacyjni ciągle nie wiedzieli, gdzie znajdują się ludzie Starego, a ci z kolei nie potrafili dobrać się do ukrytych w stanowiskach strzeleckich żołnierzy.

Po dwóch minutach nad jednym ze stanowisk pojawiła się szara szmata na kiju. Ktoś machał nią energicznie. Korporacyjni musieli się zorientować, że mają przeciwko sobie przeważającego liczebnie przeciwnika i raczej nie mają szans w otwartej walce. Postanowili postawić na negocjacje. Wystrzały ucichły. Zza zasłony wstał około dwudziestoletni chłopak o płowych, zaczesanych na bok spoconych włosach. Ręce trzymał wysoko w górze. W jednej miał

szmatę, którą ciągle machał, jakby w ten sposób chciał odgonić od siebie zły los. Pocił się, a w oczach miał czysty strach.

— Ludzie Starego! Wiemy, że to wy! Chcemy rozmawiać! — krzyknął w stronę lasu, przejęty swoją rolą.

Nikt mu nie odpowiedział. Ani słowem, ani wystrzałem. To musiało mu dodać otuchy, bo uśmiechnął się słabo. Zrobił krok w stronę lasu i wtedy jego pierś przebił pierwszy bełt, potem kolejny trafił w czaszkę, przebijając ją z miękkim, przypominającym dźwięki, jakie wydaje łamane mokre drewno, chrupnięciem. Umarł zanim upadł na ziemię.

Bram rozszerzył oczy naraz zaskoczony i przerażony.

— To był poseł! — wyjąkał — Tak się nie robi.

— Witaj w Kaźni — syknął Siren.

Strzelanina wybuchła ze zdwojoną siłą. Korporacyjni puścili dwie długie serie i tym razem chyba kogoś dopadli, bo z lasu dobiegł okrzyk bólu, a potem długie, męczące, cichnące z każdą chwilą jęki.

— Mark! — wrzasnął ktoś.

Ludzie Starego zaczęli strzelać. Bram zaraz zobaczył dlaczego. Mark razem z jeszcze jednym żołnierzem Starego przez cały czas próbowali się podkraść do stanowiska Korporacyjnych. Teraz wykorzystali moment, kiedy przeciwnicy zmieniali magazynek w karabinie automatycznym i ruszyli biegiem, z maczetami w dłoniach i dzikim okrzykiem na ustach. Reszta kryła ich ogniem i bełtami kuszy. Korporacyjni jednak się nie przestraszyli. Zaczęli strzelać, więc Mark wraz z towarzyszem padli na ziemię i skryli za drzewami, jakieś dziesięć metrów od obozu wroga.

Bramowi wydawało się, że ich szarża poszła na marne, ale to nie była prawda, o czym szybko się przekonał. Nagle na tyłach Korporacyjnych, w zupełnej ciszy pojawili się trzej Hindusi z Joachimem. Holender zrozumiał, że akcja Marka była tylko zmyłką, która miała odwrócić uwagę przeciwnika od prawdziwego uderzenia. Nim Korporacyjni zdążyli się zorientować, Hindusi już byli wśród nich i Bram widział tylko unoszące się i opadające ze świstem noże dao. Nim minęło pięć uderzeń serca, było już po wszystkim. Joachim wyszedł zza palisady z okrwawionym mieczem w dłoni. Przez chwilę stał, bez ruchu, dysząc ciężko i uśmiechając się szeroko, a potem wznosił broń w górę.

— Kuźnia!!! — ryknął na całe gardło.

Odpowiedział mu krzyk reszty towarzyszy. Nagle wszyscy ludzie Starego poderwali się w górę.

— Kuźnia!!! — krzyczeli jak wściekle, łaknące krwi drapieżniki.

— Stary!!! — wrzasnął Joachim.

— Stary!!! — podchwyciła cała reszta.

I starzec rzeczywiście się pojawił. Wyszedł zza drzew, poważny, ale zadowolony. Jego oblicze aż promieniało satysfakcją. Przywołał do siebie Joachim i Marka. Obaj podbiegli do niego i padli przed nim na kolana. Podniósł ich i obu pocałował w policzki. Po nich podszedł do niego Gupta. Stary uściśnął mocno Hindusa.

Mark, zadowolony z powodu pochwały którą otrzymał, zaczął rozkazywać ludziom. Czas świętowania minął. Rozstawił warty, kazał sprowadzić konie, wysłał trzech ludzi żeby sprawdzili, czy w pobliżu nie kryją się inni Korporacyjni.

Bram z Sirenem i Lisieckim wyszli ze swojej kryjówki. Minęli cieszących się ciągle ze zwycięstwa ludzi Starego i przeszli do obozu. Tam okazało się, że nie wszyscy Korporacyjni zginęli. Hindusi z Joachimem oszczędzili jednego. Najważniejszego — dowódcę. Mężczyzna był niewiele starszy od Brama. Miał ciemną cerę, piękne czarne oczy o głębokim, niemal

dziewczęcym spojrzeniu; kilkunastu zarost, który dodawał mu dzikości i krótko ostrzyżone, zaczesane na bok włosy. Dystynkcje na mundurze świadczyły o tym, że był podporucznikiem, a złota wstęga Möbiusa na logo — że mają przed sobą akcjonariusza. Bram był zaskoczony.

Spodziewał się tutaj co najwyżej wolnego. Większość żołnierzy i niższych oficerów należała właśnie do tej klasy. Akcje mieli otrzymać dopiero po zakończeniu służby, przy awansie na stopień kapitana lub jako nagrodę, gdyby się wyjątkowo zasłużyli podczas działań wojennych.

Kłęczący przed nimi dwudziestopięcioletek nie wyglądał jednak na bohatera wojennego.

Najprawdopodobniej należał do jakiejś większej rodziny akcjonariuszy, która postanowiła się przypodobać reszcie wysyłając syna na wojnę, na pierwszą linię frontu. To rzadko się zdarzało, ale Bram wiedział, że istnieją w Korporacji rody, które właśnie w takim działaniu widzą szanse na swój awans społeczny.

Mężczyzna miał ręce związane za plecami. Gupta z Joachimem stali tuż przy nim, obaj gotowi zareagować, gdyby tylko korporacyjnemu wpadło coś głupiego do głowy.

— Jak się nazywasz? — zapytał Stary.

— Podporucznik Joanis Kastalutios.

A więc Grek. Narodowość tłumaczyła jego wygląd i powód, dla którego przebywał na terenie dawnego księstwa. Grecy należeli w Korporacji do grup, które były wiecznie na dorobku.

— Jesteście na naszym terenie, podporuczniku Kastalutios — stwierdził rycerz — przekroczyliście granicę.

— Wyście zaczęli — wypluł z siebie Korporacyjny.

— My?

— Dwa nasze patrole zginęły bez wieści. Łącznie ośmiu ludzi. Zabiliście ich.

Stary spojrzał na Joachima, ale ten pokręcił przecząco głową. Potem rycerz przeniósł wzrok na Hindusa.

— Nie mamy z tym nic wspólnego, sahib — powiedział Gupta.

— Słyszysz, podporuczniku?

— Jak nie wy, to niby kto?

— Chudzielce — odezwał się Lisiecki.

Jego słowo przez chwilę zawisło w powietrzu.

— Chudzielce — powtórzył jak echo Stary.

— Kłamiesz! — sapnął Korporacyjny. — One nie robią takich rzeczy. Atakują tylko bezbronnych poszukiwaczy. Nasi ludzie daliby sobie z nimi radę.

— Niedawno zniszczyły Saint Paris — oświadczył Lisiecki.

Oczy podporucznika Kastalutiosa rozszerzyły się gwałtownie, a on sam z zaskoczenia zakrztusił się własną śliną.

— Saint Paris? — powiedział z niedowierzaniem — Przecież tam mieszkała niemal...

— Setka ludzi — dokończył Lisiecki — Może nawet więcej. Większość z nich już nie żyje.

Chudzielce pożarły wszystkich.

— Muszę o tym zameldować mojemu dowódcy! Muszę...

— Nie będziesz miał okazji — przerwał mu Stary.

Dopiero teraz zauważyli nóż w dłoni rycerza. Starzec nieśpiesznie podszedł do żołnierza. Ten próbował wstać, ale skutecznie mu to uniemożliwili Gupta z Joachimem, którzy położyli swoje ciężkie dłonie na ramionach Korporacyjnego. Stary mocniej ujął rękojeść i wycelował ostrzem w gardło. Młody podporucznik widząc, co planuje Stary, przyłożył brodę do piersi i trzymał ją mocno, kurczowo. Rycerz chwycił go za włosy i próbował odgiąć głowę żołnierza do tyłu, ale ten wiedział, o jaką stawkę gra. Zacisnął zęby, twarz zrobiła mu się na chwilę czerwona,

ale nie ruszył się ani odrobinę. Stary szybko opadł z sił. Joachim zrobił ruch, jakby chciał mu pomóc, ale starzec spiorunował go wzrokiem. Próbował ciąć nożem w bok, ale żołnierz wychwycił ten zamiar, bo natychmiast przyłożył szyję do ramienia. Kiedy rycerz próbował z drugiej strony, powtórzył manewr. Starzec był za słaby, żeby w jakikolwiek sposób mu się przeciwstawić. Bo kilkudziesięciu sekundach takich przepychanek, to Stary dyszał ciężko, a na bladym czole pojawiły się lśniące kropelki potu.

Wreszcie udało mu się wepchnąć ostrze pomiędzy szczękę a pierś żołnierza. Ten próbował jeszcze za pomocą niezgrabnego, węzowego ruchu wypchnąć nóż, ale wtedy rycerz wyczuł swoją szansę i napał jak potrafił najmocniej. Ostrze wbiło się w szyję Korporacyjnego. Stary z błyskiem tryumfu w oku wyciągnął czerwony od krwi nóż, a potem nagle zgiął się w pół i zaczął kaszleć. Jakimś cudem udało mu się powstrzymać atak, ale przez chwilę w jego oczach Bram dostrzegł panikę.

Stary nie uderzył celnie. Nie przeciął tętnicy. Zamiast szybko się wykrwawić, Korporacyjny powoli dusił się własną krwią. Grek padł na ziemię, młócił ciałem powietrze, walczył o każdy oddech, ale krew powoli i nieubłaganie spływała do płuc. Ze związanymi za plecami rękoma i nogami oraz szeroko otwartymi ustami wyglądał jak ryba rzucona na brzeg. Przewrócił się na plecy, próbował wstać, wypluć juchę, ale nie dał rady. Poślizgnął się lub stracił siły, kiedy niewiele mu brakowało do osiągnięcia celu.

— Kurwa... — jęknął Siren — Niech ktoś go w końcu zabije.

Ale nikt się nie ruszył. Wszyscy bez ruchu obserwowali, jak żołnierz powoli traci siły. Stary ciężko dyszał. Potem powoli wytarł nóż o spodnie i schował go do pochwy. Grek jeszcze chwilę walczył o oddech, ale siły go opuścił i po prostu zaległ bez ruchu. Białka oczu poruszały się z lewej na prawą, wyrażając niemą prośbę, ale wkrótce z nich także uciekło życie.

— To dopiero początek — odezwał się Stary — Korporacja przyśle tu kolejnych żołnierzy. A potem jeszcze kolejnych. Chudzielce to rozpoczęły, ale teraz to my będziemy walczyć.

Joachim z Gupta pokiwali głowami.

— Musisz sprowadzić pomoc, chłopcze — kontynuował Stary, zwracając się do Brama — im szybciej, tym lepiej.

Holender skłonił się lekko.

— Tak. Kiedy tylko znajdziemy miecz.

— Nie! Nie ma czasu. Mieczem zajmiemy się my. Ty jedź do Uthera. Niech przybywa on albo jego ludzie.

— Ale...

— Kiedy Uther przybędzie do Kaźni, sam wręcę mu Pierwszy Miecz. Ale nie wcześniej, chłopcze. Zrozumiałeś?

Bram przełknął ślinę i kiwnął głową. Nie miał wyboru. Stary miał wszystko: ludzi dopomocy, Darię, Carridana. Holender zaś nie miał nic.

— Wracamy do zamku — oznajmił Stary. — Piątka naszych zostaje z ludźmi Gupty. Reszta za mną.

Minął Brama i poszedł w kierunku koni. Holender w milczeniu obserwował jego drobne plecy, niezgrabny, starczy chód i zmęczenie widoczne w każdym ruchu.

— A nie mówiłem, że cię wyrucha? — szepnął mu do ucha Siren.

Rozdział 11. Ucieczka

Leżał bez ruchu, z szeroko otwartymi oczami, słysząc przy uchu tylko ciepły oddech Justyny, a ból to spadał na niego jak tona rozgrzanego żelaza, to eksplodował niezgrabną, plastyczną masą z wnętrza kości. Mógłby zażyć marzyziele albo opium. Mógłby też poprosić Carridana, żeby lekarz przygotował mu coś naprawdę silnego. Zamiast tego jeszcze mocniej zagryzał zęby.

Potrzebował teraz ostrego umysłu, a z doktorem po tym jak ten demonstracyjnie złamał dane bogom słowo, Stary nie zamierzał rozmawiać. Pozostawał mu więc tylko oddech Justyny i pewna ulga, jaką on niósł.

Dziewczyna miała zaledwie trzynaście lat, ale wyglądała już jak kobieta. Z pełnymi, miękkimi piersiami o cudnych, krągłych, delikatnych sutkach i biodrami jakby stworzonymi do rodzenia dzieci. Była córką poszukiwaczy, którzy zginęli, kiedy była mała. Być może, nie potrafił go wykluczyć, z jego rozkazu. Znalezione ją, kiedy błąkała się samotna i zapłakana po lesie.

Stary ją przygarnął.

Nigdy z nią nie spał. Pierwszej nocy, kiedy nakazał jej do siebie przyjść, kiedy po raz pierwszy odkrył jej kobiecość, stała przed nim naga i zawstydzona. Szlachetnie biała, z burzą kasztanowych włosów i cudnym brązowym trójkątem na łonie.

— Połóż się obok mnie.

Zrobiła, co jej nakazał. I leżeli tak, przez całą noc, śpiący, wtuleni w siebie nawzajem. A kiedy obudził ich pierwszy brzask poranka, Stary położył jej swój palec na ustach, myśląc równocześnie, że jest coś nieskończenie wulgarnego w tak intymnym połączeniu starości i młodości, i że starzy powinni trzymać się ze starymi, a młodzi z młodymi.

— Niech to będzie nasz sekret — powiedział wtedy.

Zrozumiała natychmiast. Wiedziała, że posiadanie młodej kochanki ma być dowodem siły i witalności rycerza. Gdyby kiedykolwiek komukolwiek wyznała, że tylko ogrzewa go ciepłem swojego ciała, zdradziłaby go bardziej dotkliwie niż wbijając nóż w plecy. Ludzie musieli postrzegać go silnym. Pomimo wieku i pomimo choroby. Na tym opierał się jego autorytet. Na tym opierała się jego władza.

Leżał więc teraz obok Justyny, wsłuchany w jej oddech i wpatrzony w ciemność.

Potrzebował jej. Wiedział o tym. Nigdy nie bał się mroku, nawet jako dziecko. Nigdy nie widział kryjących się w nim potworów. Z Ellen było inaczej, pomyślał nagle. Ona się bała. Jako małe dziecko zakradała się chlipiąca do ich sypialni, a on ją zawsze wyrzucał. Nie dlatego, że nie chciał, żeby z nimi spała. Niczego innego nie pragnął jak wziąć w objęcia jej drobne ciało, przytulić mocno i złożyć pocałunek na jej dziewczęcej główce. Ale to były straszne czasy. Czasy miecza i ognia. Kiedy wracał do domu z kolejnej wyprawy, miał na rękach krew wielu ludzi: przybyszów, Korporacyjnych, Holendrów. Pachniał śmiercią. Nie chciał, żeby ona to wyczuła.

Chciał ją trzymać jak najdalej od tego mrocznego zapachu wojny i dorosłego świata. Wyrzucał więc Ellen, kazał jej wracać do jej sypialni, a potem stawiał straż przy jej drzwiach. Ale ona zawsze wracała. W jakiś sposób zakradała się do nich i zasypiała skulona na skórze wilka rozłożonej przy ich łóżku, zupełnie jak pies. A były to czasy — przypomniał sobie — kiedy jeszcze hodowaliśmy psy, a nie je jedliśmy.

Ellen bała się ciemności. On nie. Co innego go przerażało. Nie mrok, nie czerń przed oczyma, ale chłód, jaki niosła ze sobą noc. W czasie wojennych wypraw potrafił o nim zapomnieć, przewyciężyć, schować gdzieś głęboko w sobie, ale kiedy wracał do zamku i kładł się w wielkim małżeńskim łóżu pod grubą pierzyną potrzebował kogoś, kto go ogrzeje.

Po śmierci żony — Anny — która nie była ani piękna, ani miła, ale jak nikt inny potrafiła sprawić, że zapominał o dręczących go demonach, nie spał przez kilka nocy z rzędu. Zasypiał na

krótko, na kilka, kilkanaście minut, w najdziwniejszych miejscach i najdziwniejszych pozach.

Ludzie myśleli, że to z rozpaczy, ale mylili się. Rozpacz przyszła później. On po prostu bał się samotnie położyć się w tym lodowatym łożu, gdzie nie było nikogo, kto poratowałby go ciepłotą swojego ciała.

Zresztą niewiele zostało mu w pamięci z tamtych dni. Miał dwa wyraźne wspomnienia.

Pierwszym był ten strach. Nie pamiętał nawet długich godzin, które poświęcił na torturowanie porywaczy Ellen. Ludzie mówili, że robił wtedy straszne rzeczy, że nawet najtwardsi i najbardziej lojalni mu towarzysze płakali jak dzieci. Stary był pewien, że tak właśnie było. Kiedy się skupiał, widział nawet rozgrzane szczypce i twarze swoich sług ozdobione strumieniem łez, ale o ile wiedział, żaden z nich nie próbował go powstrzymać i żaden nie twierdził, że powinien przestać, że już wystarczy, że kara się wypełniła. Nie. Pomimo łez wiedzieli bowiem, że cokolwiek by zrobił, byłoby to za mało.

Drugie wspomnienie wiązało się z pogrzebem. Postanowił spalić ciało Anny. Jego przodkowie byli grzebani w ziemi, taka była tradycja, ale wtedy w okolicy włóczyły się już chudzielce. Uwielbiały rozgrzebywać świeże groby i posilać się trupami. Stary wiedział, że nie zniósłby czegoś takiego w stosunku do własnej żony.

Stał więc przy pogrzebowym stosie, a Joachim dał mu młotek do ręki. Starzec mógł poprosić, żeby ktoś go wyręczył, ale nie potrafił. To musiał być on. Każde inne rozwiązanie byłoby tchórzostwem. Nie, czymś gorszym — zdradą. Spojrzał po raz ostatni na twarz swojej żony, pomimo ran spokojnej i pięknej; tym pięknem, które dostępne jest tylko umarłym. Musiał to zrobić — powtórzył sobie w myślach. W przeciwnym wypadku głowa wybuchłaby pod wpływem ciepła. Uderzył więc, raz na zawsze niszcząc oblicze tej, którą kochał najmocniej.

Czaszka uległa ciosowi, łamiąc się na kilka kawałków, a przez powstałą od uderzenia dziurę Stary mógł dostrzec szarą tkankę mózgu. To konieczne — powtórzył sobie, a do oczu napłynęły mu łzy. A potem ktoś, nie pamiętał kto, podał mu pochodnię i Stary podłożył ogień pod stos.

Justyna poruszyła się przez sen, a potem instynktownie mocniej go objęła. Poczł rozkoszną miękkość jej piersi na swojej skórze i pomyślał, że pomimo bólu, pomimo wspomnień... to dobra chwila.

Tak dobra, że coś musiało ją zepsuć. Było to nieuchronne. Tak jak to, że po nocy przychodzi dzień a po zimie wiosna. To jedna z tych rzeczy, która nauczyła go Anna. Ta kobieta nieustannie przeczuwała własną śmierć. Była w końcu żoną największego wroga Korporacji na terenie dawnego księstwa Kuźni, za którego głowę wyznaczono nagrodę w wysokości kilku dziesiątek akcji. Najłatwiej było uderzyć w niego, uderzając w nią. Tłumaczył jej to cierpliwie, tuż po pierwszej wojnie, namawiając, żeby wzięła Ellen i uciekła w bezpieczne miejsce, do tych czy innych krewnych. Spoliczkowała go wtedy. Był to pierwszy i jedyny raz, kiedy Stary pozwolił, żeby wymierzony mu policzek uszedł komuś bezkarnie. Kiedy przymykał oczy i wspominał tę chwilę czuł nawet to pulsujące ciepło, rozlewające się czerwienią po prawej stronie jego twarzy.

— Człowiek, który nie potrafi nawet ochronić własnej rodziny nie zasługuje na to, żeby dowodzić innymi — powiedziała mu wtedy.

A potem dodała coś jeszcze, coś, co było najmądrzejszą radą, jaką kiedykolwiek słyszał w swoim życiu.

— Jeśli chcesz grać o wysoką stawkę, musisz mieć coś, co możesz przegrać.

Oczywiście miała rację. Kiedy rozpoczął swoją prywatną wojnę z Korporacją był pewien, że zginie po roku, dwóch, może trzech — w zasadzce, zdradzony przez jednego z towarzyszy, który za garść monet lub akcji sprzeda swój honor. Wraz z nim padną najwierniejsi

kompani, a także ci, którzy byli na tyle głupi, że jeszcze go nie opuścili. Ale po dwudziestu latach ciągle tu byli, może nie tak silni jak kiedyś, ale wciąż liczyli się w tej małej grze. Nie miał żadnych wątpliwości, że stało się tak tylko dlatego, że jego ludzie ciągle zakładali rodziny, ciągle rodziły się dzieci, ciągle mieli o co walczyć i dla kogo żyć. Ciągłe mieli coś, co mogli przegrać.

Zmienił się przez te lata walki. Schudł straszliwie, na jego obliczu na trwałe zagościł wyraz gniewu i desperacji, a ciało przypominało teraz ciasny, twardy węzeł mięśni i kości. Pojawiły się nowe blizny, włosy posiwiały, zgolił brodę i przestał dbać o swój wygląd. Ta przemiana była tak wielka, że aż niewiarygodna. Kiedy podczas drugiej wojny stanął w oko w oko ze swoimi dawnymi druhami, z którymi potykał się na rycerskich turniejach i z którymi pił długie noce na ucztach, żaden go nie poznał. I nawet Uther, z którym Stary spotkał się tak się obawiał i którego tak pragnął, a które nigdy nie doszło do skutku, pewnego dnia na kilka, może kilkanaście sekund spojrzął wprost niego, a potem obojętny i niewzruszony przeniósł wzrok na coś ciekawszego i bardziej poruszającego.

Stary się zmienił. Jego podwładni także. Ale pomimo śmierci, walki, bólu i licznych rozczarowań, wciąż pozostawali ludźmi. Zawdzięczali to tylko żonie Starego.

Westchnął cicho i poczuł ból w płucu. Anna była mądrą kobietą. Niezbyt piękną, ale mądrą.

Po dobrych chwilach muszą przyjść gorsze — powtarzała mu często. I wiedział już, boleśnie przekonał się na własnej skórze, że znów miała rację. Czekał więc cierpliwie na to, co było nieuchronne.

I doczekał się nad ranem. Najpierw usłyszał niespokojne kroki na korytarzu, potem urywaną, krótką rozmowę Joachima ze strażnikiem, a wreszcie nieśmiałe pukanie. Podniósł się na łóżku, odkaszlnął krwią.

— Wejść — wycharczał.

Joachim otworzył drzwi i wmaszerował do środka komnaty swojego pana. To była nowa dla niego sytuacja. Nie wiedział, jak ma postąpić: czy klęknąć, czy się pokłonić, a może po prostu udawać, że nie widzi tak nagości rycerza, jak i towarzyszącej mu dziewczyny.

— Co się stało? — Stary przerwał pytaniem jego dylematy.

— Holender uciekł.

Stary zmarszczył brwi.

— Jak to uciekł?

— Po prostu uciekł, panie. Wyjechał. Nikogo nie pytał o zdanie, o pozwolenie.

To nie była jeszcze taka zła wiadomość. Holender i tak miał opuścić zamek. Bram, oddalając się samowolnie, mógł ukraść im konia, może dwa, trochę jedzenia. W żaden sposób nie krzyżowało im to szyków, oznaczało w najgorszym przypadku drobne niedogodności.

Równocześnie świadczyło o tym, że Holender miał charakter. Uniósł się honorem, nie czekał aż Stary go pożegna, bo przecież obaj wiedzieli, że starzec po prostu go wyrzuci, tylko sam wyjechał, ryzykując życie. Gdyby spotkał chudzielców... Ale był dorosły. I był rycerzem.

Oczywiście, trzeba będzie ukarać ludzi, którzy do tego dopuścili, ale nie była to tak wielka tragedia — pomyślał starzec — mogli pozwolić mu odpoczywać do rana.

— I zabrał ze sobą dziewczynkę — dodał Joachim.

Stary poczuł, że nagle robi mu się w gardle sucho. I już zrozumiał, dlaczego Joachim postanowił go obudzić.

Ubrał się powoli, z trudem. Justyna próbowała pomóc mu założyć spodnie, więc uderzył ją pięścią w twarz. Upadła na ziemię, zaskoczona i zamroczona, a z nosa sączyły się jej dwie strużki krwi.

Wiedział, że nie powinien tego robić. Dziewczyna chciała mu tylko pomóc, ale złość

wywołana słabością własnego ciała całkowicie go zaślepiła. Była dzika i gorąca jak letni pożar.

Nie dało się jej łatwo ugasić.

Czekano na niego w sali jadalnej. Na jego widok wszyscy wstali z miejsc: Joachim, Ellen, doktor Carridan, Lisiecki, Mark, jakichś młody żołnierz, którego imienia Stary akurat teraz nie pamiętał, nawet Siren. Strażnicy stojący przy ścianach stanęli na baczność. Gestem nakazał wszystkim usiąść i sam zajął miejsce u szczytu stołu. Kazał podać sobie kubek z zimną wodą i kilkoma kroplami wódki, a potem wypił dwa łyki. Orzeźwił się trochę. Złość związana z niepotrzebnym gestem Justyny osłabła na tyle, że był w stanie trzeźwo myśleć.

— Co się stało? — zapytał Carridana.

Lekarz siedział po jego lewej stronie. Głowę, ozdobioną sporej wielkości opatrunkiem, trzymał schowaną pomiędzy kościstymi ramionami. Stary dostrzegł na jego nadgarstkach ślady po więzach, a na ustach czerwonawe zadrapania po kneblu. Rycerz pomyślał, że doktor nigdy nie wyglądał żałośniej niż w tej chwili: zmęczony, pobity, przerażony, łypiący to na Ellen, to na swojego gospodarza i nerwowo przelękający ślinę przy co drugim oddechu.

— Pracowałem z Darią — rozpoczął Carridan — Udało mi się doprowadzić do przełomu.

Dziewczynka weszła w głęboki trans. Całkowicie zwołniała kotwicę i stopiła się z tutejszymi ścieżkami.

— Przestań bełkotać — przerwał mu Stary — Potrafiła wskazać bunkier?

Lekarz skinął głową.

— Tak.

— Gdzie?

— W odległości około trzydziestu kilometrów na północny wschód stąd.

Ellen z Joachimem spojrzeli po sobie.

— Tam są Skały Chudzielców — powiedziała dziewczyna.

Stary podrapał się po brodzie. Tamten teren pozostawał niezamieszkały z wielu powodów.

Był dziki, niegościnnie i z przykrym, wilgotnym mikroklimatem. Tam też po raz pierwszy pojawiły się chudzielce, skąd wzięła się zresztą nazwa Skał. Nikt już nawet nie pamiętał, jak nazywano je przed wojną, bo nawet wtedy odwiedzano je bardzo rzadko. Patrole, jeśli w ogóle się tam pojawiały, badały tylko jego obrzeża. Wraz ze wzrostem aktywności chudzielców nawet takie wycieczki stawały się coraz radsze, aż w końcu zupełnie ich zaniechano. Stary westchnął.

Tak, tam mógł znajdować się bunkier. Skały, chociaż niskie, pozornie nieskomplikowane, nudne i przyjazne, były poszarpane, ukrywały dużą ilość jaskiń, wąwozów, głębokich jarów, szczelin.

Łatwo można tam było ukryć wejście do schronu. Poczul irytację na myśl, że miał go przez ten cały czas tak blisko, niemal pod nosem. Bunkier mógł kryć prawdziwe skarby: broń, amunicję, materiały wybuchowe, to wszystko, czego im zawsze brakowało.

— A Holender?

— Był ze mną niemal cały czas. Mówił, że nie może spać. Wyglądał na zdenerwowanego.

Kiedy doszło do przełomu, kiedy Daria wskazała na miejsce, gdzie znajduje się schron, jakby nagle wstąpił w niego diabeł — Carridan przeżegnał się instynktownie — uderzył mnie, obezwładnił i po prostu wyniósł dziewczynkę.

— Potrzebował jej jeszcze?

— Jej wskazówki były dość mgliste. Wydawało mi się, że może podać więcej konkretów, kiedy znajdzie się na miejscu. Na skałach. Wypowiedziałem tę myśl głośno.

— A jak wy dostał się z zamku? — to pytanie skierowane było do młodego żołnierza,

wysokiego, szczupłego o krowich oczach i twarzy pokrytej pryszczami i nieregularnymi kępami zarostu. Stary przypomniał sobie, że ma na imię Dawid, niedawno skończył siedemnaście lat i wczorajszej nocy był dowódcą warty.

— Przyszedł do mnie nad ranem. Powiedział... — Dawid zająknął się i przełknął ślinę — powiedział, że chce pojechać na przejażdżkę.

— Nie zdziwiło cię to, że chce wyjechać na przejażdżkę nad ranem?

— Powiedział, że nikt mu nic nie zabronił. I że jest twoim gościem, ser.

— Okazuje się, że ten Holender, jeśli tylko chce, potrafi mieć język jak pieprzony korporacyjny piar — wtrącił się Joachim.

Stary przyjrzał się uważnie Dawidowi. Ojciec chłopaka zginął w jednej z potyczek z Korporacyjnymi, jeszcze przed wytyczeniem nieformalnej granicy. Nabój wystrzelony z karabinu trafił go prosto między oczy i życie uszło z niego w przeciągu ułamków sekund. Zabójcy nie udało im się schwytać. Chłopak miał wtedy zaledwie kilka lat. Od tamtej chwili stał się milczący i ponury. Potrafił się bić jak diabeł, jeśli tylko wskazało mu się, kogo właściwie ma uderzać. Ale nie był zbyt sprytny. Jako człowiek, który lepiej wykonuje rozkazy niż je wydaje, nie nadawał się na dowódcę warty.

— A dziewczynka?

Chłopak potrząsnął głową.

— Nie widziałem jej. Ale mógł ją ukryć, przykryć kocem. Nie przyglądałem się — mówił Dawid.

Nie próbował się usprawiedliwić. Brał winę na siebie. Był dobrym chłopakiem, z którego, pomimo wszystko, mógł być jeszcze jakichś pożytek — pomyślał rycerz.

— Możesz iść — powiedział Stary i machnął ręką.

Dawid wyszedł ze spuszczoną głową. Joachim później wymierzy mu karę. Surową, ale sprawiedliwą.

Stary przyjrzał się twarzom reszty zebranych. U Joachima widział tylko gniew, pałący, żrący jak trucizna. Odbierający rozum. Lisiecki siedział bez ruchu. Jego oblicze było jak wykute z kamienia, ale to była tylko poza. Rycerz znał Polaka na tyle długo, żeby wiedzieć, co się pod nią kryje. Myśliwy był gotowy ruszyć w pogoń. A jeśli tylko złapie trop, nie spocznie, dopóki nie dopadnie Holendra. Stary pomyślał, że w przyszłości czeka go starcie z Lisieckim. Polak wścieknie się, kiedy dowie się, że rycerz obiecał dziewczynkę Sirenowi. Trudno. Zbliżał się czas rozprawy z chudzielcami i w tej sytuacji szeryf był cenniejszym sojusznikiem niż Lisiecki.

Właśnie, Siren. Stary dłużej zatrzymał na nim swój wzrok. Szeryf siedział w nonszalanckiej pozie, z rękoma założonymi na brzuchu, z irytującym uśmiechem drgającym w kąć ust.

Takie zachowanie zazwyczaj było marną maską, pod którą ukrywała się słabość. Wystarczyło tylko lekko uderzyć, żeby roztrzaskała się na milion drobnych kawałków, odsłaniając trzęsące się ze strachu wnętrze. Z Sirenem było inaczej. Ten człowiek wiedział, kim jest i czego pragnie. I nie bał się śmierci. Każda jego drwina była szczera, bo za każdą gotów był walczyć.

— Zastanawiasz się, czy mam coś z tym wspólnego? — zapytał szeryf.

To była intrygująca ewentualność, ale Stary szybko ją odrzucił. Siren mógł nie bać się śmierci, ale nie był głupi i nigdy nie podejmował zbytecznego ryzyka. Udzielenie pomocy Holendrowi, a potem pozostanie w zamku byłoby jak włożenie głowy w paszczę żlebodźwiedzia w nadziei, że ten jej nie odgryzie. Poza tym szeryfowi zależało na dziewczynce, a Stary ją mu obiecał. Niby dlaczego Siren miałby teraz rezygnować z tej umowy?

— Nie.

Siren wyglądał na zawiedzionego. Pewnie długo szykował się do ewentualnej potyczki słownej i jej brak go zaskoczył.

— Co teraz zrobimy, ojczy? — zapytała Elen.

— Ile ma nad nami przewagi?

— Około pięciu godzin.

Stary wyobraził sobie mapę okolicy i próbował policzyć, jaką odległość przebył w tym czasie Holender. Bram nie znał terenu, w którym się poruszał, mógł parę razy się zgubić, pomylić ścieżki. Zapewne nadłożył drogi tam, gdzie to nie było konieczne. Powinni go dogonić. O ile będzie żywy. Stary mimowolnie zagryzł wargę. Nie rozumiał postępu Holendra. Ryzyko spotkania z chudzielcami było ogromne, chociaż o tym Bram mógł nie wiedzieć. Ale przecież na pewno zdawał sobie sprawę z tego, że ludzie Starego najpierw będą go gonili w drodze do bunkra, a jeśli go nie złapią, to zapolują niego, kiedy będzie wracał. Szansa na to, że im się wymknie była minimalna. Pomimo tego jednak spróbował. Dlaczego?

— Zbierzcie dziesięciu ludzi — zdecydował — Weźcie zapasy na trzy dni, broń, amunicję. I dopadnijcie go.

Joachim uśmiechnął się szeroko.

*

Daria po raz kolejny zasnęła w jego ramionach. Właściwie od momentu, kiedy obezwładnił Carridana i zaczął realizować szalony plan ucieczki, która jak sądził na początku nie mogła mu się udać, dziewczynka przez cały czas spała. Budziła się tylko na te krótkie chwile, kiedy prosił ją o pokazanie drogi. Podnosiła wtedy swoje chude ramię, wskazywała kierunek, a potem zamykała oczy i po chwili Bram mógł już słyszeć jej regularny, spokojny oddech. Ale to dzięki niej, jak wydawało mu się przynajmniej, poruszał się szybko i sprawnie. Dwa razy wybrała skrót, którego on nie dostrzegał, a dzięki czemu zaoszczędził mniej więcej półtorej godziny drogi.

Innym razem zakazała mu jechać wyraźną leśną ścieżką, która, jak teraz był już pewien, prowadziła donikąd.

Las powoli się zmieniał i z każdym przebytym kilometrem robił się coraz bardziej cichy i martwy. Wielokrotnie musiał zsiadać z konia, żeby ominąć spróchniałe drzewa, które padły powalone swoim własnym ciężarem. Wokół zaś unosiła się delikatna, ale wyraźnie wyczuwalna woń gnicia. Najgorszy był jednak brak ptaków. Od dłuższego czasu nie widział żadnego.

Wydostanie się z zamku Starego okazało się łatwiejsze, niż mógł przypuszczać. Rycerz koncentrował się na obronie przed wrogiem zewnętrznym, co było zrozumiałe, i prawie w ogóle nie brał pod uwagę zagrożenia wewnętrznego. Dlatego też na murach znajdowało się kilku strażników, którzy bacznie wypatrywali przeciwnika, ale nikt nie pilnował stajni. Bram mógł się w spokoju przygotować do drogi i ukryć Darię pod kilkoma szmatami. Potem czekała go jeszcze rozmowa z dowódcą straży. Chłopak był tak przejęty, że rozmawia z synem stadhoudera Nowej Holandii, że pozwoliłby Bramowi na wszystko. Teraz pewnie miał kłopoty i Holendrowi przez chwilę zrobiło się go żal.

Ale musiał uciec. Siren miał rację, Stary chciał go wykorzystać jako narzędzie, które sprowadzi posiłki z Federacji w zamian za miecz. Ale Bram nie był pewien, czy kiedy przyjdzie co do czego Stary oddałby ostrze. Zbyt wiele dla niego znaczyło. Zatrzymałby je dla siebie pod byle pretekstem. Natomiast rozkazy, jakie otrzymał Bram, były jasne. Miał odnaleźć i przywieźć do Bramy Północy Pierwszy Miecz. Żadne inne rozwiązanie nie wchodziło w rachubę.

Sięgnął po manierkę i wypił łyk wody. Zapasy jedzenia starczyły na trzy dni. Potem

będzie albo polował, albo głodował. To nie miało znaczenia. Jeśli wszystko pójdzie sprawnie, wkrótce uzupełni zapasy w Kaźni. Tam wynajmie kilku osiłków do ochrony i jak najszybciej wyruszy w stronę granicy z Federacją. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie powinien wcześniej zająć się Savą, ukarać ją za to, że nasłała na niego Sirena, ale to byłaby niepotrzebna komplikacja.

Przełknął kolejny łyk. Dzień był zaskakująco ciepły, słońce prażyło jakby była już pełnia lata, a sam Holender czuł jak mokre od potu włosy lepią mu się do czoła. Z żalem odsunął manierkę od ust i zakręcił korek. Potem, tknięty nagłym przecuciem, obejrzał się za siebie. Nic podejrzanego nie zauważył. Otaczał go martwy las, spiekota lejąca się z nieba i trzeszczące drzewa. Na wszelki wypadek sprawdził czy może łatwo sięgnąć po karabin i szablę.

Spiął konia i ruszyli dalej. Odwrócił się gwałtownie i tym razem był pewien, że coś zauważył

— szara, szczupła sylwetka, chowająca się za pnem. Chudzielec! Jeden, dwa, może więcej.

Postanowił nie sprawdzać. Chwycił mocniej Darię i popędził galopem. Zwierzę zdołało przebiec może dwadzieścia, trzydzieści metrów, kiedy Bram kątem oka zauważył spadającą na niego z najbliższego drzewa smugę. Coś kanciastego i ciężkiego uderzyło w niego całym swoim impetem i Holender poleciał na ziemię.

Upadek był bolesny. Odebrało mu dech w piersiach, zatrzeszczał kręgosłup i zebra.

Chudzielec przygniatał go do ziemi, z wykrzywionych, koślawych ust ciekły mu strumienie śmierdzącej zgniłym jajkiem śliny. Bram wymacał dłonią leżący nieopodal kamień, zacisnął na nim pięść i uderzył potwora. Najpierw raz, najmocniej jak potrafił. Usłyszał suchy trzask pękającej czaszki i bulgot wydobywający się głęboko z ciała maskary. Potem uderzył ponownie i zrzucił z siebie bezwładne już ciało.

Poderwał się na równe nogi. Dziewczynka również spadła z konia, ale wyglądało na to, że tylko niegroźnie się potłukła. Siedziała teraz na ziemi i rozglądała się wokoło nieprzytomnym wzrokiem.

Bram podbiegł do wierzchowca i wyciągnął szablę z przypiętej do siodła pochwy.

Kinderjuffrouw zadrzała uspokajająco w jego dłoni, a potem posłała mu delikatne ostrzeżenie.

Odwrócił się w samą porę, żeby uniknąć uderzenia szponiastą łapą. Ciął prosto od góry, odrąbując atakującemu chudzielcowi łeb.

Koń zarżał dziko i stanął dęba. Bram musiał skoczyć przed siebie, żeby uniknąć trafienia kopytem w głowę. Ten los spotkał jednak kolejnego chudzielca.

W okolicy zaroilo się od potworów. Wylażyły dosłownie z każdej dziury i zza każdego drzewa. Wszystkie głodne, śliniące się, wydające ostre, mlaszczące dźwięki. Bram przebił najbliższego chudzielca, równocześnie szukając wzrokiem drogi ucieczki. W tej samej chwili usłyszał za sobą trzask łamanej gałązki. Odwrócił się, ale jego przeciwnik był blisko, zbyt blisko.

Jedną ręką chwycił Holendra za gardło, ścisnął mocno tak, że Bramowi zakręciło się w głowie, drugą zaś złapał przegub z szablą, wykręcił go mocno. Rycerz wypuścił broń z ręki.

Kinderjuffrouw zadrzała żałośnie, pełna gniewu i rozpacz. Holender próbował się wyswobodzić z żelaznego uścisku, ale nie potrafił. Poczuł, że jego stopy przestają dotykać ziemi. Nie mógł oddychać, chociaż płuca domagały się łyku świeżego powietrza, a w głowie wirowała mu spadająca, ciężka ciemność. Z całych sił kopnął napastnika, ale ten nawet nie drgnął.

Holendrowi nie starczyło sił, żeby zdobyć się na kolejny akt oporu.

— Kinderjuffrouw — powiedział ktoś, głębokim, chropowatym głosem.

Bram poleciał na ziemię. Nie potrafił ustać na własnych nogach, więc się przewrócił.

— Zostawcie go! — rozkazał ten sam głos i Holender ujrzał, że chudzielce, które najpierw rzuciły się w jego kierunku zatrzymują się, a potem cofają posłusznie.

— Ja również! — kontynuował nieznajomy, a potwory odsunęły się od Darii, która skulona, trzymająca się za kolana, płakała cichutko i kołysała się w rytm płynących z jej oczu łez.

Bram odwrócił się na brzuch, podniósł na łokciach i zaczął rzygać. Kiedy skończył, uniósł głowę. Najpierw ujrzał przed sobą wysokie, skórzane buty, znoszone, ale w dobrym stanie; a potem całego człowieka — słusznej postury rycerza w niebieskiej tunice, ciężkiej pordzewiałej kolczudze i ze stalowym hełmem zakrywającym twarzy. Na piersi miał herb — czarnego szpaka z dziobem zwróconym w lewą stronę. Bram znał ten znak. I dlatego zdrzął, a strach zmroził go aż do samego szpiku w kościach. Stał przed nim bowiem Silvan z Herar, zwany czarnym rycerzem. Człowiek, który miał zginąć na wojnie dwadzieścia lat wcześniej.

Rozdział 12. Królowa Głodu

Obwiązano mu głowę brudną szmatą, przez którą nic nie widział i z trudem oddychał.

Początkowo próbował liczyć kroki, ale ból zeber i gardła był tak dotkliwy, że wkrótce po rozpoczęciu drogi stracił rachubę czasu i odległości. Włókł tylko nogę za nogą, koncentrując się na tym, żeby nie zemdleć.

Bram próbował sobie przypomnieć wszystko, czego nauczono go o Silvanie. Czarny rycerz miał być niepokonany w walce, tak prawdziwej, jak i turniejowej. Nie miał własnego domu ani rodziny, tylko tytuł. Żył z pracy własnego miecza, biorąc udział w niekończącym się ciągu bitew, potyczek czy zwykłych terytorialnych sporów. Nawet jeśli jakiś wielki pan w nagrodę za służbę dawał mu kawałek ziemi, Silvan szybko go tracił — przegrywając w karty czy ruletkę lub po prostu sprzedając, a zarobione pieniądze wydając na wino i kobiety. Jego prawdziwym domem była wojna.

Kiedy Korporacja najechała na Kuźnię jako jeden z nielicznych panów wyruszył na pomoc zaatakowanemu księstwu. Od tamtej pory nikt go nie widział. Wszyscy sądzili, że zginął podczas rzezi stolicy lub w pomniejszej bitwie. On jednak, jeśli Bram naprawdę widział to, co widział, wciąż tu był. Po długich dwudziestu latach.

I rozkazywał chudzielcom.

Silvan mógł przeżyć wojnę, tak jak wielu innych żołnierzy księcia Kuźni. Dlaczego jednak ukrywał się przez dwadzieścia lat? Gdyby wrócił do Federacji, witano by go jak bohatera. Gdyby wolał kontynuować walkę, mógł przyłączyć się do Starego. Bram nic z tego nie rozumiał.

W pewnym momencie poczuł, że nierówne, skaliste podłoże zmienia się w coś bardziej równego, a oni sami zaczynają schodzić w dół. Powietrze zaczęło się robić chłodniejsze i bardziej wilgotne, a Holender zorientował się, że najprawdopodobniej weszli do jakiejś jaskini.

Wciąż czuł niedaleko siebie pełne głodu oddechy chudzielców, ale żaden go już nie zaatakował.

Tylko czasami ktoś — chudzielec lub Silvan — dotykał go, pchał lekko, wskazując kierunek w którym ma podążać.

Wreszcie stanęli. Bram usłyszał szuranie, potem pełen zawodu jęk i mlaskanie. Chudzielce odeszły. Nie czuł ich obecności ani zapachu. Ściągnięto mu szmatę z głowy.

Był na końcu długiego, wąskiego pomieszczenia o żelbetonowych ścianach. Po jego drugiej stronie znajdował się stół, a dalej podwyższenie. Na tym zaś ustawiono trzy nieporadnie wykonane krzesła, jakby trony. Nierówne, zbudowane z kawałków desek, stali, przypadkowo dobranych kawałków biżuterii. Oświetlały je, podobnie jak całe pomieszczenie, dwie wysokie,

potężne świece ozdobione wizerunkami ażurowej wieży. Łupy z Saint Paris. Chudzielce, niecierpliwie przestępując z nogi na nogę, jęczące i oblizujące się, stały po bokach. Gotowe rzucić się na Holendra, kiedy tylko im się na to pozwoli.

Po lewej stronie Brama stała dziewczynka. Już nie płakała. Chyba nawet się nie bała. Po prostu trwała. Tylko czasami w jej spojrzeniu można było dostrzec iskierkę ciekawości.

Po prawej stronie, lekko z tyłu stał Silvan z Herar. Ściągnął hełm, niedbałym ruchem rzucił go do stóp i w nikłym blasku świec Bram mógł się mu wreszcie przyjrzeć. Im bardziej mu się przyglądał, tym bardziej nie był pewien, czy nie oszalał. Twarz Silvana była przeraźliwie chuda i czarna jak smoła, gładka jak wosk skóra w niektórych miejscach popękała, odsłaniając przeraźliwą biel kryjących się pod nią kości. Najgorsze były jednak oczy; zupełnie żółte, pozbawione źrenic i nieruchome. Bram dopiero po chwili zorientował się, że to dwie miedziane kulki włożone w oczodoły. I w tym samym momencie dotarło do niego, że Silvan nie wrócił do Federacji, ani nie przyłączył się do Starego z tego prostego powodu, że był od dwudziestu lat martwy.

Silvan pchnął Holendra, zmuszając go do wykonania kilku kroków w przód, a potem uderzył drewnianą pałką w udo. Bram natychmiast poczuł rozlewający się kłująca płamą ból.

— Na kolana przed księżną — wycedził Silvan.

Dopiero teraz zauważył, że każdy z trzech tronów jest już zajęty.

— Pani! — zakrzyknął Silvan — Księżno Izabelo! Księżę Gustawie, księżniczko

Matyldo!

Oddaję wam pokłon!

— Bądź pozdrowiony, Silvanie! Kogo nam przyprowadziłeś? — odpowiedziała ciemna sylwetka z końca komnaty. To był kobiecy głos, bardzo nieprzyjemny. Kiedy Bram go usłyszał, miał wrażenie, że ktoś wpycha mu brzeszczot w ucho i zaczyna piłować.

Silvan tymczasem chwycił Holendra za kołnierz i podniósł raptownie. Rycerz potrząsnął swoim więźniem jak wełnianą lalką.

— Miał Kinderjuffrouw! — zakrzyknął Silvan.

Kobieta na tronie milczała przez długą chwilę, a potem pochyliła się do przodu, jakby chciała lepiej przyjrzeć się Bramowi. Na krótki moment jej twarz znalazła się w kręgu światła i Holender mógł dostrzec smukłą czaszkę obleczoną cienką, niemal przezroczystą, napiętą skórą oraz wyłupiaste jak u żaby oczy. Długie pasma białych włosów zwisały jej do ramion. Nie pokrywały jednak całej głowy, wyrastały bowiem kępami to z przodu, to z tyłu, a pomiędzy nimi świeciła blado łysina.

— Przyprowadź go tutaj — wyszczała.

Silvan chwycił Brama za kark, a równocześnie wymierzył mu kuksańca w bok. Holender stęknął cicho i zacisnął zęby z bólu. Rycerz pchnął go przed siebie. Bram szedł w stronę tronu powoli, krok za krokiem, ale na tyle szybko, żeby nie narazić się na kolejne ciosy Silvana; z sercem bijącym ze strachu tak mocno, jakby było dzikim ptakiem po raz pierwszy zamkniętym w klatce. Czarny rycerz chwycił Darię za rączkę i ciągnął ją za sobą. Dziewczynka nie opierała się.

— Opuść głowę — rozkazał rycerz, a Bram wykonał polecenie. Widział teraz czubki swoich butów i betonową podłogę. Po przejściu kilkunastu kroków Silvan chwycił go za ramię i mocno ścisnął. Holender stanął.

— Na kolana.

Uklęknął. Słyszał jak księżna powoli wstaje ze swojego tronu i podchodzi do niego z szelestem sukni. Poczul jej dotyk na swoich policzkach; kościste, zimne palce gładziły jego skórę z drapiezną czułością, a potem chwyciły za podróbek i podniosły w górę. Jego wzrok prześlizgnął się przez kremową suknię wykonaną z delikatnego materiału i ozdobioną wzorem z

perelę, a teraz zniszczoną przez upływ czasu, pokrytą szarym brudem, miejscami porwaną i przetartą. Wreszcie spojrział wprost w głodną twarz księżnej, która oblizwała wargi niebieskawym, mlaszczącym językiem.

— Masz oczy swojego zdradzieckiego ojca — powiedziała.

Puściła go.

— Pokłoń się książątkom — rozkazał Silvan.

Pchnął go w stronę mniejszych tronów. Bram na kolanach podszedł do nich, bojąc się tego, co zobaczy. Na obu siedziały, starannie ułożone i ubrane w wykwintne, drogie ubrania dziecięce szkielety. Jeden należał do chłopca, drugi do dziewczynki. Holender zadrzał, kiedy na kościach ujrzał ślady zębów — ludzkich zębów. Ktoś je bardzo starannie obgryzł.

— Książę podaje ci dłoń do pocałowania — powiedziała kobieta.

Bram mrugnął dwa razy, nie rozumiejąc, co się do niego mówi. Chłopięcy szkielet nie poruszył się. Silvan zrobił krok w stronę Holendra, wznosząc pałkę i to wystarczyło. Bram ostrożnie uniósł resztki dłoni chłopca, modląc się przy tym w duchu, żeby ich nie oderwał lub nie uszkodził przypadkiem i złożył pełen szacunku pocałunek na pierścieniu założonym na paliczek środkowego palca. Silvan pokiwał głową z zadowoleniem i opuścił pałkę.

— To syn zdrajcy — powiedziała księżna.

— Tak właśnie myślałem, pani — zgodził się czarny rycerz — dlatego właśnie ci go przyprowadziłem.

— Dobrze zrobiłeś, Silvanie — pochwaliła go kobieta — Jesteś prawdziwym przyjacielem księstwa Kuźni i mojego domu.

— Jesteś nazbyt łaskawa, pani.

— A dziewczynka? Smaczny z niej kąsek.

Bram kątem oka ujrzał, jak księżna podchodzi do Darii, nachyla się nad nią i patrzy dziewczynce prosto w oczy. Nagle wyprostowała się gwałtownie, wstrząśnięta i przestraszona.

— Ona wie! — wykrzyknęła wzburzona.

— Tak, pani. Dlatego też ją przyprowadziłem.

Księżna zrobiła dwa kroki w tył. Ręce wyciągnęła przed siebie w obronnym geście. Jej pierś unosiła się spazmatycznie. Po chwili przezwyciężyła strach i znów zbliżyła się do dziewczynki.

Tym razem jednak nie ryzykowała kontaktu wzrokowego.

— Ty wiesz — szepnęła.

Daria kiwnęła głową.

— Wiesz też inne rzeczy, prawda?

Dziewczynka powtórnie skinęła. Żabie oczy księżnej zalsniły z ekscytacji. Kobieta chciała chyba pogłaskać Darię po głowie, ale zawiesiła dłoń kilka centymetrów nad włosami widzącej i nie mogła się przemóc, żeby ją zbliżyć.

— Idź się pobawić z moimi dziećmi — powiedziała tylko.

Daria kiwnęła główką niepewnie, z widoczną obawą. Zerknęła na Bramę, ale Holender zupełnie nie wiedział, co ma zrobić i jak zareagować. Dziewczynka minęła upiora i usiadła tuż obok tronu, na którym ułożono obgryziony szkielet małej księżnej, uważając jednak, żeby nie dotknąć w żaden sposób kości.

— Grzeczne dziecko — pochwaliła ją Izabela i zwróciła się w stronę Bramy.

— Przyprowadziłeś mi prawdziwy skarb, synu zdrajcy — powiedziała — Czyżby w ten sposób twój ojciec chciał mnie przekupić, żebym zapomniała o swym gniewie?

— Kim jesteś, pani? — odważył się zapytać Bram.

Nim zdążył mrugnąć, kobieta znalazła się tuż przy nim, kościstą dłonią chwyciła go za

włosy i pociągnęła w tył, a drugą wymierzyła siarczysty, piekący policzek. Rozbiła Holendrowi wargę, z której wypłynęła strużka gęstej krwi.

— Poznajesz mnie, teraz? — zapytała i wymierzyła kolejny policzek — A teraz? Patrz na mnie, patrz!

Puściła go z obrzydzeniem i wróciła na tron. Przyjęła godną pozę. Bram usłyszał, jak Silvan staje za jego plecami.

— Jestem księżna Izabela z domu Grunberg, trzeciego rodu księstwa Kuźni, żona księcia Johanna, matka jego dzieci. To ja wydałam na świat następcę tronu — księcia Gustava. Potrójnie zdradzona, przetrwałam jednak wszystko. I nadejdę w pełnej chwale, na czele własnej armii, żeby odebrać to, co zabrano mnie i mojej rodzinie. A ta ziemia nakarmiona zostanie krwią tych, którzy nie oddali mi pokłonu!

Kiedy tylko skończyła, z gardeł kryjących się w ciemności chudzielców wydobył się tryumfalny, dziki ryk. Odbity echem od zimnych ścian bunkra sprawił, że Bram aż zadrżał.

— Jestem księżna Izabela — powtórzyła ciszej kobieta, kiedy wrzask już ucichł.

Holender patrzył na nią, otępieła, a od strachu i bólu kręciło mu się w głowie. Myśli urywały się w połowie, żeby nagle powrócić w najmniej spodziewanym momencie. Nie był już pewien niczego.

— Ale ty nie żyjesz — powiedział — Zginęłaś podczas rzezi Kuźni. Ty, twój mąż, cała książęca rodzina.

Księżna zarechotała, a jej śmiech brzmiał jak odgłos piły przecinającej mokry pień.

— To prawda, synu zdrajcy. Zginęłam. Ale nie podczas rzezi, kiedy twój ojciec zdradził mnie po raz pierwszy. Nie wtedy. Mój mąż wysłał nas w tajemnicy w miejsce, gdzie mieliśmy być bezpieczni. Do bunkra ukrytego głęboko wśród lasów i skał. To tu zginęłam, kiedy zdrajca zniszczył nasze spiżarnie i wysadził wejście do bunkra, zostawiając nas w środku, w ciemności, w pułapce bez wyjścia. Tak właśnie zdradzono mnie po raz drugi. A później moi ludzie, oszaleli z głodu, rzucili się jeden przeciw drugiemu, a nawet ośmielili się zwrócić swoje ostrza przeciwko książęcej rodzinie. Oni zdradzili mnie jako trzeci. Tylko jeden z nich miał dość honoru i siły, żeby nas bronić, a później, kiedy nikogo już nie było, sam odcinał kawałki swojego ciała, żeby nas nakarmić — zerknęła na Silvana, który trwał nieporuszony jak kamienna statua — ale i on w końcu odszedł. I zostaliśmy tylko my.

Bram spojrzął na siedzące na tronach dziecięce szkielety, przypomniał sobie ślady ugryzień na kościach. Wiedział już, co się tu wydarzyło. Tuż po wojnie krążyły plotki, że Izabela z dziećmi przeżyli. Spodziewano się, że ujawnią się na dworze czy to Uthera, czy może jednego ze swoich krewnych. Ale kiedy nic takiego się nie stało, zaliczono ich do grona ofiar rzezi.

Tymczasem oni naprawdę opuścili miasto nim pierścien oblężenia się zamknął. Zamiast jednak skierować się do Federacji, ruszyli w zupełnie innym kierunku. Dotarli do bunkra, bezpiecznego schronienia, które zmieniło się w ich grób.

Żołnierze zapewne najpierw próbowali odgruzować przejście, ale im się nie udało. Zapasy szybko się skończyły i w pewnym momencie nie pozostało im nic innego, jak zjadać ciała martwych towarzyszy. Od tego się zaczęło. Ktoś umarł z głodu, a inni, po długich dyskusjach, pełnych wahania rozmowach, porąbali go na kawałki i zjedli. Albo losowali tego, kto ma poświęcić własne życie, żeby uratować innych. Potem, kiedy nadzieja na ratunek zmaląła, potoczyło się szybko. Podzieleni na grupki, rozpoczęli bezwzględną walkę, z której zwycięsko najwyraźniej wyszedł Silvan z książęcą rodziną. Przez chwilę mieli w bród jedzenia. Ale trupy zgniły. Czarny rycerz postanowił poświęcić własne ciało, aby dać szansę tym, których ślubował chronić. Bram potrafił go sobie wyobrazić, jak z zacisniętymi zębami i łzami bólu w oczach, wycina sobie kawałek mięśnia udowego lub bicepsa, a potem wręcza ten dymiący jeszcze i

mokry od juchy kawał mięsa księżnej. Ale on też w końcu umarł od straty zbytnej ilości krwi lub w jedną z licznych ran wdało się wreszcie zakażenie. Z całego orszaku przy życiu pozostała tylko trójka — księżna i jej dzieci. Bram zastanawiał się, ile się wahała. Jak długo dojrzewał do podjęcia tej strasznej decyzji? Może tylko godziny, może całe dni. Ale koniec końców pojawiła się przy śpiącym dziecku z nożem w dłoni. Które to było? Chłopiec czy dziewczynka? Zapewne dziewczynka. Była mniej ważna. To Gustaw był następcą tronu. Czy wiedział, co się wokół niego działo? Czy zastanawiał się, co się stało z siostrą? *Gdzie jest Matylda* — pytał — *bawi się* — odpowiadała matka, wpychając sobie do ust kolejny kawałek mięsa. Ale i na niego pewnego dnia przyszła kolej. We śnie, właściwie nic nie poczuł; a może inaczej — patrzył na swoją matkę szklistymi, pełnymi strachu oczętami, a ona głaskała go po głowie i mówiła — *ciii... śpij kochanie... śpij... Słodkie przyśnię ci się sny. O domu?* — zapytał. — *O domu* — potwierdziła. — *O Matyldzie.*

A potem, kiedy ostatni kawałek własnego dziecka zniknął w jej popękanych ustach, kiedy wyszła cały szpik, sama umarła z głodu, zamknięta w mrocznym, wilgotnym bunkrze. Tylko ona i zło, które obudziła.

Holendrowi zrobiło się słabo, zimny pot wystąpił mu na czoło i przez chwilę bał się, że zemdleje. Wzdrygnął się, kiedy powtórnie poczuł dotyk księżnej na swoim czole.

— Wstań, synu zdrajcy.

Podniósł się z kolan.

— Czemu tu przybyłeś?

— Jestem wysłannikiem króla Uthera, władcy Bramy Północy oraz Federacji.

— Uther — wypowiedziała to imię z lekkim niedowierzaniem — Pamiętam go. Czego chce Sęp?

Bram nie wiedział, co ma odpowiedzieć. Nie mógł przecież przyznać się, że przybył po Pierwszy Miecz.

— Poznać sytuację tutaj. Wysłał mnie na zwiad — mówił gorączkowo, próbując w trakcie wymyślić jakieś bardziej wiarygodne kłamstwo. Ale o dziwo, to co powiedział najwyraźniej jej wystarczyło.

— Niepotrzebnie cię wysłał, synu zdrajcy. Za niedługo o tym, co się tutaj wydarzy, głośno będzie wszędzie. Wieści dotrą do Bramy Północny, do Skalnego Miasta, do Białej Wyspy. Nawet do twojego ojca, synu zdrajcy, a kiedy on je usłyszy, zadrży jego czarne serce. Bo będzie wiedział, że jest następny.

Mówiła nieśpiesznie i cicho, niemal szeptem, powoli cedząc każde słowo. Była tak blisko niego, że czuł jej śmierzący kurzem i starością oddech na piersi. Jakiś chudzielec zapiszczał głośniejsz, wyszedł z ciemności i łakomie zerknął na Brama. Silvan podniósł rękę tak, jakby chciał uderzyć potwora i skulony stwór uciekł tam, skąd przybył.

— Odzyskam moje księstwo, synu zdrajcy — powiedziała księżna. — Całe lata zajęło, zanim moje wierne, choć głupie sługi odgruzowały wejście. Same są jak dzieci we mgle, bezmyślne i łakome. Tylko dzięki mnie wiedzą, co mają zrobić. W końcu jednak odpowiedziały na moje wołanie, uwolniły mnie i pokłoniły się przed moim majestatem. To był jednak początek drogi, synu zdrajcy. Początek... Długo zbierałam siły. Bardzo długo. Ale teraz jestem w końcu gotowa. Najpierw zajmujemy się Korporacyjnymi, którzy wybudowali sobie fort niedaleko mojej stolicy. A kiedy nie zostanie tam kamień na kamieniu, zwrócę swój gniew przeciw tym, którzy bezprawnie zajęli moją ziemię i którzy wybudowali sobie miasto, którego sama nazwa jest kpina z bohaterskiej śmierci mojego męża.

Każń. Miasteczko nie miało nawet porządných murów. Jeśli Izabela naprawdę planowała spełnić swoją groźbę, mieszkańców czekał los osadników z Saint Paris.

— A kiedy dokonam mojej pomsty, książę Gustaw — spojrzała czule na dziecięcy szkielec — założy na skronie koronę swojego ojca.

Zajęła miejsce na tronie. Uważnie wygładziła rąbki sukni, oparła się plecami o oparcie i podniosła dumnie głowę.

— Co do ciebie, synu zdrajcy — rozpoczęła — Na początku myślałam, że sama wyrwę ci serce z piersi i zatopię w nim zęby. Później rozważałam, czy nie oddać cię moim kochanym sługom...

Chudzielce zajęczały pożądliwie.

— Ale to nie byłaby odpowiednia dla ciebie kara, synu zdrajcy. O nie, nie byłaby odpowiednia.

Wyciągnęła przed siebie dłoń. Silvan minął Brama, podszedł do jakiejś wnęki i wyciągnął z niej kartkę papieru oraz pióro z tuszem. Papier podał księżnej, która rozłożyła arkusz sobie na kolanach. Sięgnęła po pióro i zaczęła coś bazgrolić. Zagryzała przy tym język, jak dziecko, które dopiero uczy się pisać.

Bram rozejrzał się dyskretnie. Zastanawiał się, czy ma szansę uciec. Ale w tej samej chwili dwa chudzielce zagroziły mu drogę. Wystawiały w jego kierunku łby, syczały głośno, a nawet mlóciły szponami powietrze. Chciały go, pragnęły mięsa Holendra, ale bały się gniewu Silvana i księżnej.

Ta zaś skończyła pisać. Silvan odłożył tusz, wyciągnął świeczkę ze świecznika i nakapał woskiem na kartkę. Izabela wyciągnęła zza sukni srebrny łańcuszek, na którym wisiał zielony sygnet.

— Pieczęć Księstwa — wysyczała jadowicie kobieta, jakby przypominała sobie coś szczególnie bolesnego — Miałam dwie, ale jedną ukraść zdrajca.

Odbiła herb księstwa w wosku.

— Skazuję cię na śmierć, synu zdrajcy — powiedziała. — A oto — potrząsnęła papierem — Jest na ciebie wyrok. Skazuję cię na taką śmierć, jaką i mnie zgotowano. Umrzesz tutaj, sam, w ciemności, a twoje ciało będzie skręcał głód!

Bram otworzył usta. Chciał zaprotestować, ale Silvan rzucił się na niego. Czarny rycerz zamachnął się pięścią. Ciało Holendra zareagowało samo, tak jak się tego nauczyło na setkach godzin lekcji boksu. Unik. Pozycja. Kontra. Trafił w szczękę rycerza, potem poprawił prostym z drugiej strony. Izabela krzyknęła i nagle Bram poczuł, że coś ciężkiego spada mu plecy.

Chudzielec zasyczał mu prosto do ucha, rozwarł paszczę, gotowy do wbicia zębisk w szyję mężczyzny. Holender zrzucił go z siebie gwałtownym ruchem, ale ta krótka szarpanina wystarczyła, żeby Silvan znalazł się tuż przy nim. Uderzył. Tym razem Bram nie miał szans uciec. Patrzył tylko, jak coś ciężkiego i twardego w dłoni czarnego rycerza pędzi w jego kierunku.

Najpierw zadzwięczało mu w głowie i zobaczył gwiazdy.

A potem zapadła ciemność.

*

Cela miała dziesięć kroków długości oraz siedem szerokości. Kiedy stawał na palcach i mocno wyciągał się w górę, czubkami palców dotykał sufitu. Ściany były chropowate i wilgotne.

Woda spływała na podłogę, gdzie tworzyły się strumyczki, które z kolei dążyły do zagłębienia znajdującego się mniej więcej na środku pomieszczenia. Drzwi wykonano z mocnej, grubej stali.

Nawet nie próbował ich wyważyć. Od jego strony nie było klamki.

Księżna Izabela miała rację — umrze w tej celi z głodu. Wody miał dość. Próbował już jej, smakowała lekką stęchlizną, ale nadawała się do picia. Dopływ świeżego powietrza zapewniał z kolei niewielki lufcik tuż przy suficie.

Zabrano mu całą broń. Pozostawiono pasek i sznurówki w butach, ale to nie miało najmniejszego znaczenia, bo i tak nie miał się na czym powiesić.

Przez pewien czas próbował skruszyć beton przy drzwiach za pomocą klamry od pasa, ale nic to nie dało. Tylko się niepotrzebnie zmęczył. Położył się na ziemi, podłożył dłonie pod ciągle pulsującą bólem głowę i zamknął oczy. Oddychał głęboko, powoli i uważnie, walcząc z narastającą w nim paniką. Nie mógł dać się jej opanować. Musiał się uspokoić, odzyskać ostrość myślenia, wymyślić plan działania i wydostać się z celi. I nie dopuścić do siebie myśli o nieuchronnej śmierci.

Niespodziewanie znalazł się w Bramie Północy. Był piękny, słoneczny, letni dzień, a w powietrzu czuć było rześki zapach morza. Bram jak urzeczoną wpatrywał się w potężne wrota królewskiego zamku i w ogromne estakady dawnego zjazdu z autostrady; ciężkie betonowo-asfaltowe wstęgi, które zgrabnie wiły się w powietrzu niby nici babiego lata. W oddali widać było wbijające się w niebo przęsła mostu Cieśninowego, który wraz z Tunelem decydował o politycznej i ekonomicznej sile królestwa, łącząc kontynent z Republiką. To z ich powodu najważniejsze trakty handlowe świata prowadziły przez Bramę Północy.

O tym wszystkim Bram wiedział z długich lekcji historii i geografii, a także z opowieści tych, którzy odwiedzili stolicę Uthera. Ale pomimo tego onieśmieliła go potęga i bogactwo miasta: dwu-trzypiętrowe domy, liczne warsztaty, składy handlowe, uliczny hałas i harmider. I rzeźnie. Nie wiedział dlaczego, ale to właśnie je zapamiętał najlepiej — rząd szop poza stolicą i stada będące czekające na swoją kolej na śmierć. Nigdy nie widział tyle krów i świń naraz.

Zakręciło mu się w głowie, kiedy uświadomił sobie, ile ludzi mieszka w Bramie Północy, skoro potrzebują tyle żywności i jak muszą być zamożni, skoro stać ich na zakup takiej ilości mięsa.

Uther został wtedy uznany za władcę Federacji i wszyscy panowie, lordowie i książęta przybyli żeby oddać mu hołd. Przez dziesięć dni trwała nieustanna zabawa, powietrze wypełniał śmiech i muzyka, a w nocy rozbawione pary poszukiwały cichego zaułka, żeby zapomnieć się w rozkoszy.

Ale to dopiero miało nadejść. Teraz stali wśród innych możnych Federacji, żeby zgiąć karki przed Utherem, a Bram po raz pierwszy ujrzał władcę Bramy Północy. Siedział na tronie, prostym, dębowym, ale solidnym, którego oparcie zdobiły dwa wykonane z żywmetal, podrywające się do lotu sępy. Wykonane były tak pięknie i tak misternie, że wydawało się, że zaraz rzeczywiście wzleczą w powietrze, porywając ze sobą tron i Uthera.

Uther mógł mieć wtedy około trzydziestu lat. Był potężnie zbudowanym mężczyzną o szerokiej klatce piersiowej. Miał długie, zaczesane gładko do tyłu brązowe włosy i tego samego koloru, krótko ostrzyżoną brodę. Patrząc na niego nikt nie mógł mieć wątpliwości, że ma przed sobą króla i zwycięskiego wodza, człowieka stworzonego do tego, żeby rządzić i rozkazywać innym — tyle było w nim siły i majestatu.

Koło niego stała jego doborowa gwardia; dwudziestu zasłużonych mężczyzn, a o każdym z nich krążyły legendy. Nosili długie kolczugi na które zarzucili niebieskie tuniki. Przy pasach przypięte mieli miecze. Dziesięciu z nich trzymało w dłoniach kusze, kolejnych dziesięciu karabiny. Dopiero za ich plecami znajdowała się reszta Utherowego dworu — gęsta ciżba wypindrzonych fircyków i kobiet, które najwyraźniej nie wiedziały, kiedy należy skończyć się malować. Jeden człowiek wśród nich się wyróżniał, przede wszystkim dlatego, że otaczała go wolna przestrzeń — jakby był trędowaty. Bram rozpoznał w nim Utherowego brata, Kasabiana.

Kasabian tamtego dnia ubrany był w żołnierski mundur pozbawiony dystynkcji, a za jedyną broń służył mu zdobiony sztylet. Był gorzej zbudowany od brata, ale trzymał się prosto i godnie.

Włosy mieli tej samej barwy, ale Kasabian strzygł się na krótko i dokładnie golił. W jego oczach Bram dostrzegł jednocześnie zadumę, troskę i wyrzut sumienia. Nagle odwrócił on twarz w stronę Holendra i pomimo tego, że dzieliła ich odległość blisko pięćdziesięciu metrów, spojrzenia pierworodnego syna stadhoudera oraz odrzuconego królewskiego brata spotkały się. Patrzyli na siebie przez długą chwilę, aż Kasabian kiwnął głową w geście prostego pozdrowienia, a Bram odpowiedział tym samym.

Ojciec stał obok, ale nic nie zauważył. Pękał z dumy, jakby tryumf Uthera był jego zasługą.

Co prawda Nowa Holandia wspierała króla Bramy Północy w jego staraniach, żeby przywrócić królestwu dawną pozycję i odzyskać tytuł Władcy Federacji, a holenderskie oddziały walczyły po jego stronie w krótkiej wojnie, która wybuchła z tego powodu, ale nikt rozsądny nie mógł mieć wątpliwości, że ostateczne zwycięstwo Sęp zawdzięczał tylko sobie.

— Uther wie, jakie zagrożenie stanowi dla nas Korporacja — tłumaczył mu ojciec powody swojej decyzji, żeby wspierać króla z dalekiej Bramy Północy — Jeśli zwycięży, w chwili próby przyjdzie nam z pomocą.

Ojciec wydawał się nie rozumieć jednego. Pokładając całą swoją nadzieję na zwycięstwo w wojnie z Korporacją w pomocy ze strony Uthera, stawiał się dokładnie w tej samej sytuacji, w jakiej był książę Johann, który w oblężonej Kuźni oczekiwał holenderskiej odsieczy. Kiedyś trzymali swój los we własnych rękach. Teraz zaś zależał on od woli jednego człowieka, który do tego nic im nie zawdzięczał, ani nic od nich nie chciał.

Tyle że Uther był władcą który wiedział, czym jest honor oraz jaka jest waga danego słowa, i który, kiedy nadejdzie czas, zjawi się ze swoimi hufcami pod Kłem, żeby bronić Nowej Holandii.

I dlatego właśnie Bram go nienawidził.

*

Przebudził się z niespokojnego snu. Kurtkę miał już całą wilgotną. Podniósł się z ziemi. Kręciło mu się strasznie w głowie, więc oddychał głęboko. Warga spuchła. Opuchlizna była tak duża, jakby wsadził sobie do ust orzecha. Bał się jej dotykać, bo kiedy raz to zrobił, aż zapiszczał z bólu, a pod palcami poczuł krew.

Również uda miał sztywne, całe posiniaczone. Były takie chwile, kiedy wydawało mu się, że nie utrzymają ciężaru jego ciała. Wtedy musiał się oprzeć o ścianę lub usiąść, ale tego ostatniego wolał nie robić, bo coraz ciężej mu się wstawało.

Raz jeszcze, w zupełnej ciemności, obszedł swoją celę. Cały czas dotykał betonowej ściany.

Kiedy dotarł do drzwi pchnął je, a potem napał na nie ramieniem, myśląc, że może jakimś cudem jednak się otworzą. Kiedy zakończył obchód — ciągle się podpierając — opadł na kolana i podpełznął do dziury w podłodze. Nabrał trochę wody w zagłębienie dłoni i ostrożnie wypił.

Była przyjemnie chłodna, orzeźwiająca, a metaliczny posmak właściwie przestał mu już przeszkadzać. Pomyślał tylko, że za niedługo będzie musiał się wysikać. Zastanawiał się, w którym kącie mógłby sobie urządzić toaletę, ale żaden się nie nadawał. Mocz i najpewniej kał z każdego miejsca celi prędzej czy później spłyną do zagłębienia i zanieczyszczą wodę. Musiał się

powstrzymywać tak długo, jak się da.

Z nudów zaczął stukać kłamrą paska o podłogę i liczył uderzenia. W ten sposób próbował odmierzać spędzony w ciemności czas, ale źle mu to wychodziło. Zawsze mylił się pomiędzy drugą a trzecią setką.

Ile już przebywał w swoim więzieniu? Nie wiedział, ale najpewniej niedługo. Może tylko kilkanaście godzin, może dzień, góra dwa. Czuł już ssanie w żołądku, a przez moment głód zaatakował go z pełną siłą, ale wkrótce odszedł, zaszył się w swojej kryjówce i czekał na kolejną okazję do szturm.

Wiedział, że śmierć z braku pożywienia jest długa i powolna. W zależności od sytuacji i człowieka, mogła trwać od dwóch do nawet sześciu tygodni. On sam był młody, zdrowy i silny.

Do tego miał dostęp do wody. Oceniał, że umrze po czterech, pięciu tygodniach. Jeśli padnie ofiarą choroby lub zakażenia, może szybciej.

Rozwagał, czy za pomocą kłamry mógłby popełnić samobójstwo. Najpierw musiałby naostrzyć samą kłamrę lub tylko szpilę. Tarłby tak długo metalem o beton, aż uzyskałby zadowalający efekt, a potem za pomocą tego prymitywnego ostrza podciąłby sobie żyły. To byłaby dobra, szybka śmierć.

Odgonił od siebie tę myśl, ale równocześnie schował ją w bezpiecznym miejscu. Wiedział, że kiedyś do niej wróci.

Musiał się wydostać z tej celi. Obchodził ją już dziesiątki, jeśli nie setki razy, palcami wymacując każdy jej centymetr, sprawdzając każdą nierówność i każdą szczelinę. Wciąż miał nadzieję, z każdą chwilą coraz słabszą, że coś mu umknie. Wielokrotnie zbadał drzwi, sprawdzając czy jakoś nie da się ich podważyć, wyjąć z zawiasów lub po prostu wyważyć.

Wsadzał rękę do lufcika pod sufitem, tak daleko jak się dało, ale nic tam nie znalazł. Nie słyszał nawet szurów, które powinny znajdować się w takim miejscu jak bunkier, więc nie mógł liczyć nawet na to, że upoluje i zje gryzonia.

Znowu zapadł w sen, ciężki, męczący i nieprzyjemny. Śniło mu się, że jest z powrotem na Kle. Stał wysoko na białej skale, a pod nim płonęła Nowa Holandia. Niebo było czerwone od ognia, szare od dymu, a wapienie płakały słysząc jęki zabijanych Holendrów. Miał karabin w rękach i wystrzeliwał jeden nabój za drugi, zdając sobie sprawę, że jest to zupełnie bezcelowe i zupełnie bezsensowne. Że wszystko już zostało zadecydowane, że nic się już nie da zmienić. W tym śnie Kieł miał dobre sto metrów wysokości i sto bram, ale ani jedno, ani drugie nie stanowiło przeszkody dla głodnego potwora, który unicestwiał dom Brama.

Płakał wtedy. Płakał i strzelał. Potem siekał. Z szablą w dłoni trafiał w odnóża stwora o sześciu gardłach, a po każdym jego ciosie wylewała się na niego zielona flegma, dusząca i dziwnie słodka, lepiała gardło, nos, powieki.

Oczekiwał pomocy. Błagał o nią, modlił się. I w końcu jego modlitwy zostały wysłuchane.

Niebo otworzyło się z krzykiem i na ziemię spadli pędzący galopem rycerze Uthera. Prowadził ich sam król, z mieczem wzniesionym wysoko i wojennym okrzykiem na ustach. Nad jego głową powiewał dumnie sztandar Bramy Północy i Bram zdał sobie sprawę, że właśnie zostali uratowani, że potwór zostanie pokonany, że Nowa Holandia, Kieł i jego naród przetrwają i nie podzielą smutnego losu księstwa Kuźni.

Z jakiegoś powodu wydawało mu się to gorsze niż klęska, której jeszcze przed chwilą oczekiwał.

Obudził go odgłos otwieranych ze zgrzytem drzwi. Otworzył oczy i podniósł głowę. W ciepłym świetle pochodni ujrzał ludzką sylwetkę. Powoli, z obawą, wyciągnął w jej stronę dłoń.

— Znalazłam go!

To była Ellen.

Rozdział 13. Nie palę kościołów

Znów był w celi. Tym razem w takiej, w której miał się gdzie położyć i gdzie go karmiono. Właściwie, w porównaniu z więzieniem księżnej Izabelli, ugoszczono go całkiem zacnie.

Zaraz po odnalezieniu w bunkrze dwóch ludzi Starego wyciągnęło go za ramiona na zewnątrz. On sam był na tyle słaby, że ledwo potrafił poruszać nogami. Nawet Ellen wzdrygnęła się, kiedy przyjrzała się jego twarzy.

Przeniesiono go do komnaty tronowej. Tam czekała reszta grupy pościgowej, na czele z Joachimem i Lisieckim. Nie było jednak już ani chudzielców, ani tronów, ani dziecięcych szkieletów. Przez chwilę Bramowi wydawało się, że stracił zmysły i wszystko, co przeżył — rozmowa z księżną Izabelą i spotkanie Silvanem po prostu mu się przyśniło. Nie miał czasu tego roztrząsać, bo Joachim złapał go za kurtkę, podniósł w górę, a potem z impetem rzucił o ziemię.

Bram krzyknął z bólu, bo uderzenie przypomniało mu o wszystkich ranach i siniakach. Joachim tymczasem przygniótł go dodatkowo kolaniem, utrudniając oddychanie i podniósł pięść do zadania ciosu, po czym zamarł, dysząc ciężko. Po chwili opuścił ramię.

— Stary się tobą zajmie — stwierdził po prostu i wytarł dłonie w spodnie, tak jakby przed chwilą dotykał czegoś naprawdę obrzydliwego.

Joachim wstał, a Bram ujrzał nad sobą głowę Lisieckiego.

— Gdzie jest dziewczynka? — zapytał Polak.

— Gdzie jest dziewczynka? — zapytał Stary.

Holender potrząsnął głową. Ostrożnie poprawił bandaż, który spadał mu na oczy.

— Nie wiem — odpowiedział.

— Chudzielce ją pożarły?

— Nie. Nie wiem. Może tak.

Stary, który siedział naprzeciwko, na specjalnie wniesionym dla niego krześle, zacisnął pięści i zmarszczył brwi, jakby zaraz miał wybuchnąć. Bram obawiał się jego gniewu. Tuż obok znajdowali się dwaj żołnierze, którzy tylko czekali na sygnał, żeby dobrać się do Holendra.

— Co się stało w tym bunkrze? — zapytał Stary.

Bram zagryzł wargę. Wiedział, że rycerz mu nie uwierzy, podobnie jak nie uwierzyli inni, ale i tak opowiedział swoją historię: o chudzielcach, ser Silvanie, księżnej Izabelli i książętkach.

Stary słuchał uważnie, nie przerywał, ale widać było po nim, że z każdą chwilą traci cierpliwość.

Kiedy Holender skończył, rycerz poderwał się z miejsca i wycelował w Brama drżący palec.

— Ty skurwielu — wycedził rycerz — Przyjąłem cię tutaj ty zmijowe nasienie, ugościłem, zaferowałem pomoc. A ty najpierw odpłacasz mi zdradą, a teraz opowiadasz mi te bzdurne bajeczki dla małych dzieci.

Holender spuścił wzrok i westchnął.

— Nie jesteś taki niewinny, Stary — powiedział Bram, trochę sam dziwiąc się swojej odwadze — Wiesz, że nie miałem innego wyjścia. Nigdy nie oddałbyś miecza. Ani mnie, ani Utherowi. Chciałeś sam odnaleźć bunkier i zachować ostrze dla siebie.

Stary nie odpowiedział od razu. Wpatrywał się z niedowierzaniem w Holendra.

— To dlatego porwałeś dziewczynę i uciekłeś? Bałeś się, że cię zdradzę? — zapytał.

— Tak.

— Nie powinieneś wszystkich oceniać miarą twojego ojca, Holendrze.

Bram w odpowiedzi tylko uśmiechnął się pod nosem. Stary powtórnie usiadł. Podrapał się

po ramieniu, a potem kiwnął na jednego ze strażników, żeby podał mu wodę. Upił trochę i postawił drewniany kubek na ziemi.

— Księżna Izabela zginęła w Kuźni podczas rzezi. Jej dzieci również.

— Sam tak myślałem.

— Gdyby przeżyła, prędzej czy później pojawiłaby się na dworze jakiegoś swojego krewnego lub zwróciła się do mnie o pomoc.

— Sam tak myślałem.

Stary prychnął lekceważąco i machnął ręką.

— Te bunkry miały przetrwać bombardowanie atomowe z orbity — odezwał się po chwili —

Naprawdę myślisz, że byle bomba byłaby w stanie wysadzić wejście?

— Twoi ludzie widzieli ślady eksplozji. A same bunkry były konstruowane tak, żeby przetrwać atak od zewnątrz, a nie od wewnątrz — wyjaśnił spokojnie Bram. — Budowniczo wie pozostawiali możliwość wysadzenia wejścia na wypadek skażenia czy ataku wroga. Wystarczy tylko dobrze umiejscowić ładunek.

— Skąd niby to wiesz?

Holender nie odpowiedział. Nie chciał zdradzać, że również pod Kłem, głęboko w skałach znajduje się przedwojenny schron. Dużo bardziej rozbudowany niż ten tutaj, bo tunele ciągnęły się pod całą górą. Tajemne przejścia umożliwiały dostarczanie żywności i wody w czasie oblężenia. O ich istnieniu wiedziała tylko garstka najbardziej zaufanych ludzi stadhoudera, ale i tak na wszelki wypadek je zaminowano.

— Nawet jeśli masz rację, to i tak ci nie wierzę, Holendrze. W bunkrze nie było szkieletów.

— Bo chudzielce wszystkie pożarły.

— Ani żadnych chudzielców — dokończył spokojnie Stary.

— W takim razie kto mnie zamknął w tej celi? Nie mogłem tego zrobić sam od środka.

Zapytaj zresztą Ellen.

Starzec podniósł z ziemi kubek, ale nie napił się. Zmrużył powieki i przyglądał się uważnie Holendrowi. Wreszcie wstał i bez słowa wyszedł z celi.

*

— A ty mi wierzysz? — zapytał Ellen, kiedy przyszła zmieniać mu opatrunek oraz przyniosła kolację — kilka kromek czarnego chleba oraz dzbanek z wodą. Był to skromny posiłek, ale wystarczająco zadowalający dla kogoś, kto jeszcze niedawno spodziewał się śmierci głodowej.

Dziewczyna nie odpowiedziała. Ostrożnie odwiązała bandaż z głowy Holendra i zaczęła go ściągać, równocześnie od razu zwijając. Bram syknął, kiedy Ellen wykonała odrobinę zbyt mocny ruch i bandaż wbił się opuchliznę.

— Nie bądź taki delikatny — skarciła go, nie przerywając zwijania.

— A wierzysz mi? — naciskał.

Ellen odłożyła brudny bandaż i wyciągnęła czysty. Potem chwyciła Brama za ramiona i odwróciła do siebie. Przyniosła świeczkę do jego głowy i uważnie przyjrzała się guzom i ranom.

— Wygląda lepiej — powiedziała sama do siebie.

— Dlaczego ty to robisz? — zapytał.

— Co masz na myśli?

— Spodziewałem się, że Carridan przyjdzie mnie zbadać. Ma do mnie żal?

— Carridan wraz z Sirenem opuścili zamek tuż po twojej ucieczce. Wrócili do Kaźni. Ellen otworzyła słoiczek z leczniczą maścią, włożyła do środka dwa palce i zabełtała. Potem nabrała odpowiednią ilość i zaczęła ją wsmarowywać w guzy i napuchnięte strupy.

— Strasznie śmierdzi — stwierdził Bram — Z czego to?

— Zioła lecznicze. Ale bazą jest psie sadło.

— Mogłem się spodziewać.

Chyba się roześmiała cicho, ale nie był tego pewien.

— Wierzysz mi? — zapytał po raz kolejny.

— Sam się w tej celi nie zamknąłeś — odpowiedziała po namyśle.

— To samo powiedziałem twojemu ojcu.

— Wiem.

— W takim razie wierzysz mi?

Zamiast odpowiedzi zaczęła zakładać mu czysty opatrunek. Zaciśnęła go mocno, odrobinę za mocno, ale tym razem Bram się nie skarżył. Kiedy skończyła, podała Holendrowi słoiczek.

— Posmaruj sobie inne ranny. Tam, gdzie najbardziej boli. Ale staraj się nie zużyć za dużo.

— Dobrze. A wierzysz mi?

— Nie przestaniesz, prawda?

— Przestanę, kiedy mi w końcu odpowiesz.

Westchnęła cicho. Wrzuciła brudny bandaż do koszyka z którym przyszła.

— Wiem, że nie mogłeś się sam tam zamknąć. Musiał to zrobić ktoś inny. Wiem, że wyszedłeś z tego bunkra poważnie pokiereszowany. Zapewne z kimś walczyłeś. Ale nie wiem z kim. I nie wierzę, że był to ser Silvan i księżna Izabela.

— Ale tak właśnie było.

— Skoro się upierasz. Ale dostałeś dość mocno w łeb. Powinieneś się zastanowić, czy w jakiś sposób to na ciebie nie wpłynęło.

Mogła mieć rację. Głowa była jego największym problemem. Czuł się już całkiem nieźle.

Siniaki ciągle go bolały, zebra miał obite, ale nie były to już obrażenia większe niż po zwykłym treningu holenderskiego boks. Jednak wciąż zdarzały się chwile, kiedy cały świat zaczynał wirować mu przed oczyma. Musiał wtedy natychmiast usiąść, żeby nie stracić przytomności.

Dziewczyna chrząknęła znacząco. Holender przeprosił ją spojrzeniem, ściągnął koszulę i nasmarował bolące miejsca w okolicach żeber. Potem oddał słoiczek dziewczynie, która właśnie kończyła się pakować. Ellen przyglądała mu się i przez moment Bramowi wydawało się, że ujrzał w jej oczach coś więcej niż zwykle zainteresowanie. Zrobiło mu się miło, a jego serce zabiło szybciej.

— Co według ciebie powinienem zrobić? — zapytał.

— Powiedzieć, jak było naprawdę — odpowiedziała.

Wyszła i Bram znów został sam.

*

Joachim otworzył drzwi od celi, podszedł do siennika i lekko trącił więźnia nogą. Holender chrząknął coś niezrozumiałego pod nosem, a potem odwrócił na drugi bok.

— Wstawaj — rozkazał mu żołnierz.

Na zachętę posłał mocnego kopniaka w pośladek. Podziałało, bo Bram powoli, bo powoli,

ale zwłókł się z posłania.

— Co naprawdę wydarzyło się w tym bunkrze? — zapytał Joachim, kiedy miał pewność, że Holender zupełnie się już obudził.

— Mówiłem wam.

Joachim zacisnął usta. Sięgnął do pasa i wyciągnął z doczepionej do niego pochwy długi, myśliwski nóż. Wycelował ostrze w Holendra.

— Wtedy kłamałeś. Cały czas kłamałeś. Ale teraz powiesz prawdę, bo inaczej cię wypatroszę i umierając będziesz patrzył na swoje flaki, gnojku.

Bram zrobił krok w tył. Chciał zwiększyć dystans, na wypadek gdyby miało dojść do walki.

Wyciągnął przed siebie dłonie w geście, który, jak miał nadzieję, sugerował przerażenie, ale naprawdę chodziło o to, żeby zwiększyć bezpieczną strefę wokół ciała.

— Mówiłem prawdę — wycedził Holender.

Nie spuszczał oczu z czubka noża, równocześnie próbując ocenić swoje szanse w starciu. Joachim był od niego starszy, zapewne wolniejszy, ale także wypoczęty, zdrowy i doświadczony.

Nie wiadomo, jak radził sobie z nożem — Bram zakładał jednak, że bardzo dobrze. Od kogoś w końcu Ellen musiała się nauczyć posługiwać bronią. Do tego Joachim zawsze okazywał mu wrogość i tylko czekał na okazję, żeby się do niego dobrać. Jego wyraz twarzy wyraźnie mówił, że jeśli tylko będzie miał szansę na to, żeby wsadzić Bramowi nóż pod żebra, nie zawaha się ani sekundy.

Holender, jeśli chciał wyjść z tego starcia z życiem, musiał dać z siebie wszystko. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie powinien zaatakować pierwszy. Miałby wtedy po swojej stronie efekt zaskoczenia. Taki krok byłby jednak bardzo ryzykowny. Jeśli uderzyłby zbyt wolno lub Joachim przejrzałby jego plany i zdołałby wykonać unik, Bram mógłby już tylko powitać ostrze w swoim brzuchu. Z kolei oczekiwanie na ruch rycerza oznaczało walkę na jego warunkach. A to było bardzo ryzykowne.

Zanim jednak zdążył podjąć decyzję, co zrobić, twarz Joachim rozpogodziła się, a on sam schował nóż. Odwrócił się do Holendra plecami, jakby nic się nie stało.

— Chodź ze mną — powiedział i wyszedł z celi, zostawiając otwarte drzwi.

Bram osłupiały podszedł do progu. Stał. Przemknęło mu przez głowę, że to mógł być podstęp. Być może Joachim chciał go wywabić z celi, a potem wszcząć alarm z powodu „ucieczki” więźnia. Wtedy Holendra w najlepszym wypadku czekało bicie, w najgorszym kilka strzał w plecach. Dlatego najpierw ostrożnie wyjrzał na zewnątrz, wystawiając tylko głowę poza ramę drzwi.

Była noc. Zamkowy dziedziniec był pusty i spokojny. Żołnierz na warcie na widok Brama cały się spiął, ale Joachim uspokoił go kilkoma słowami, których Holender nie usłyszał. Rycerz machnął na więźnia, żeby szedł za nim.

— Stary na ciebie czeka — powiedział.

Bram wypuścił powietrze przez zaciśnięte zęby, wstrzymał oddech i zrobił dwa kroki do przodu. Jego mięśnie były napięte do granic możliwości. Jeśli zobaczyłby najmniejszy podejrzany ruch, skoczyłby natychmiast do celi. Ale nic się nie stało. Wartownik co prawda cały czas przyglądał mu się podejrzliwie, ale nic nie robił.

Holender zagryzł wargę i podszedł szybkim krokiem do Joachima. W dalszym ciągu nic się nie działo. Nikt nie wszczynał alarmu, nikt nie próbował do niego strzelać.

— Jak się czujesz? — zapytał rycerz.

Brama zatkało. Przede wszystkim dlatego, że głos Joachima wyrażał przyjazne

zainteresowanie.

— Całkiem nieźle.

— To dobrze.

Przeszli przez dziedziniec i weszli do zamku. W dalszym ciągu Bramowi nie stało się nic złego. Nie tracił jednak czujności. Działo się coś dziwnego.

— Mamy twoją szablę. I karabin wraz z resztą rzeczy. Znaleźliśmy to wszystko w bunkrze.

Nie było jednak żadnego śladu konia, którego nam ukradłeś.

— Pewnie chudzielce go pożarły.

— Zapewne tak właśnie się stało.

Bram stanął. Joachim przeszedł jeszcze kilka kroków, zanim zorientował się, że Holender już za nim nie podąża. Rycerz odwrócił się.

— Co się dzieje, Joachimie? — zapytał Bram. — Najpierw przychodzisz do mojej celi sam, próbujesz mnie zabić, a teraz wciągasz w przyjacielską pogawędkę.

— Nie chciałem cię zabić.

— Trudno się żyje z nożem w sercu.

Joachim uśmiechnął się krzywo.

— Co się dzieje? — powtórzył pytanie Bram.

— Sam się przekonasz — odpowiedział rycerz i otworzył najbliższe drzwi. Za nimi znajdowała się duża komnata, największa chyba w całym zamku, szeroka na pięć metrów, długa na dziesięć. Na jednym jej końcu znajdowało się drewniane podwyższenie, a na nim pusty tron.

Ścianę ozdabiał wielki sztandar z godłem księstwa Kuźni Zachodu. Poniżej zaś stał stolik, na którym leżało kilka kartek papieru, pióro, atrament oraz lak. Po prawej stronie siedzieli na ławach Lisiecki, Ellen, Mark oraz Gupta z jeszcze jednym Hindusem, którego Bram nigdy nie poznał. Po lewej, prócz dwóch wartowników, nikogo nie było.

— Zajmij miejsce naprzeciwko Ellen — powiedział Joachim.

— Co to jest? Jakichś sąd?

— Nie.

Joachim wszedł do środka, a Bram, po chwili wahania, poszedł za nim i usiadł tam gdzie mu kazano. Posłał pytające spojrzenie Ellen, ale ona tylko pokręciła głową i wzruszyła ramionami.

Ona też nie wiedziała, dlaczego ich tu wezwano w środku nocy.

Po chwili do komnaty wszedł Stary w asyście jednego żołnierza. Wojownik miał ponurą twarz, którą dodatkowo co chwila wykrzywiał grymas bólu. Nie witając się z nikim, usiadł za stolikiem i przez co najmniej minutę wpatrywał się bez słowa w znajdującą się przed nim pustą kartkę.

— Zrobiłeś to, co kazałem, Joachimie? — zapytał Stary.

Joachim wstał z miejsca.

— Tak, ser.

— I co?

— Upiera się przy swoim, ser.

— Dziękuję, Joachimie.

Stary westchnął ciężko i zmarszczył brwi. Ujął pióro i zaczął obracać je w palcach. Myślał nad czymś intensywnie.

— Gupta — odezwał się.

— Tak, sahib?

— Powiedz im.

Hindus wstał z miejsca i lekko się pokłonił. Miał na sobie brudny, znoszony strój podróży pachnący mokrą ziemią, błotem i nocnym powietrzem. Wyglądał tak, jakby do zamku przybył nie dalej niż przed godziną.

— Chudzielce zaatakowały i zdobyły fort Korporacji. Była z nimi kobieta w białej sukni i rycerz z czarnym ptakiem w herbie.

Bram poczuł się tak, jakby wielki ciężar właśnie spadł mu na pierś. Przez cały czas gdzieś głęboko w sercu tkwiło w nim ziarnko nadziei, że to co przeżył i widział było szaleńczym majakiem. Zrozumiał, dlaczego Joachim groził mu w celi nożem. To był ostatni sprawdzian.

Stary chciał się przekonać, czy nawet pod groźbą śmierci będzie się upierał, że opowiedział im prawdziwą historię. Jeśli przyznałby się do kłamstwa, może dałoby się wyjaśnić obecność wśród chudzielców ubranej na biało kobiety w jakichś inny, bardziej racjonalny sposób.

Wszyscy poza Joachimem, Gupta, jego towarzyszem i Starym z niedowierzaniem spoglądali to na Holendra, to na Hindusa, to na pana zamku. Ellen otworzyła usta, chcąc coś powiedzieć, ale zaraz je zamknęła. Polak zaś podniósł pięść do ust i zagryzł ją niemal do krwi.

— A dziewczynka? — zapytał nagle Lisiecki — Była z nimi?

Stary dał Hindusowi znak, żeby odpowiedział na to pytanie. Gupta zwrócił się do swojego towarzysza i wymienili kilka zdań w swoim języku, przypominającym odgłos, jaki wydaje człowiek chodzący po rozbitym szkle.

— Chyba ją widzieliśmy. Ale nie jesteśmy pewni, sahib — przetłumaczył Gupta i usiadł. Zapadła cisza. Każdy potrzebował chwili, żeby przemyśleć to, co właśnie usłyszał.

— Musimy wysłać gońca do Kaźni — odezwała się Ellen. — I ogłosić mobilizację.

Ojcze?

Stary potrząsnął głową, jakby nie zrozumiał słów córki.

— Gońca? Mobilizację?

— Według Brama księżna Izabela, jeśli dalej możemy ją tak nazywać, zapowiedziała że po zniszczeniu fortu Korporacji wyruszy na Kaźń. Wiesz ojcze, że miasto nie jest przygotowane do oblężenia. Nie mają zapasów, porządnych murów, wojska. Jest tylko Siren, jego kilku zastępców.

Jeśli ich nie ostrzeżemy, chudzielce pożrą całe miasto. Jeśli zaś nie ruszymy im z odsieczą, również zginą. Musimy ruszać do walki, ojcze. Nie mamy innego wyjścia! — tłumaczyła gorączkowo dziewczyna.

Joachim sapnął, poruszony tą przemową. Gupta pokiwał głową. Tylko Lisiecki tkwił nieporuszony i wpatrywał się w Starego. Rycerz odłożył pióro i położył dłonie na stole. Rozłożył szeroko palce. Bram widział, że drżą, a Stary próbuje bezskutecznie je poskromić.

— Niczego takiego nie zrobimy — powiedział, grobowym tonem. — Nie wyślemy do Kaźni gońca, nie ruszymy im z odsieczą.

Ellen poderwała się z miejsca i ruszyła w stronę ojca. Ten zaś nagle cały poczerwieniał i walnął pięścią w stół.

— Siadaj! — ryknął.

Przestraszona dziewczyna podskoczyła. Niepewna, co ma robić, rozejrzała się wokoło szukając wsparcia, ale nie znalazła go u nikogo.

— Chudzielce zrobią z Kaźnią to samo, co zrobiły z Saint Paris — wyszeptwała.

— Siadaj — wycedził jej ojciec.

Joachim chwycił ją za ramię i posadził na ławie. Nie protestowała. Najwyraźniej czuła, że niewiele wskóra. I rzeczywiście, patrząc na Starego nietrudno było odnieść wrażenie, że rycerz decyzję podjął już wcześniej i nie ma zamiaru jej zmienić.

— Dlaczego? — zapytała cicho Ellen.
Starzec zignorował ją.
— Jaką dewizę ma twój ród? — zwrócił się do Brama.
— „Będę bronić Kłā”.
Starzec pogładził się po brodzie.
— To dobra dewiza — orzekł. — Nasza brzmi: „Nie będę palił kościołów”. Wiesz, dlaczego?
— Nie.
— Jest takie stare ziemskie przysłowie: Złamać dane słowo to jak spalić kościół. Zawsze byliśmy posłuszni naszej dewizie. Zawsze — Stary uśmiechnął się smutno — Mój ojciec, matka, dziadkowie, pradziadkowie. Złożone przez nas słowo było jak skała! Nie będę pierwszym, który to zmieni.
— Ojczy... — jęknęła Ellen, która chyba już wiedziała, do czego zmierza Stary.
— Złożyłem przysięgę wierności księciu Johanowi, jego małżonce księżnej Izabeli i ich potomkom — ciągnął niezrażony Stary — I ta przysięga dalej obowiązuje. Dlatego nie ruszymy się z zamku, nie ruszymy na odsiecz Kaźni, nie ostrzeżemy ich. Nie podniesiemy naszych mieczy przeciwko księżnej Izabeli. Jedyne, co możemy zrobić, to czekać, aż nasza księżna wezwie nas do siebie.
— To szaleństwo — powiedział Bram.
— To honor — odpowiedział mu błyskawicznie Stary — Coś, o czym wy, Holendrzy, nie macie pojęcia.
— Wybiją całe miasto! Prawie tysiąc osób, jeśli nie więcej!
— Jeśli życzy sobie tego moja księżna, to tak się stanie.
Bram poderwał się z miejsca. Ruszył do Starego, ale drogę natychmiast zastąpił mu Joachim, którego cała zyczliwość do Holendra znikła jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, zastąpiona przez tradycyjną wrogość. Sekundowało mu dwóch wartowników.
— Odsuńcie się — rozkazał im Stary — Potrafię się jeszcze obronić!
Posłusznie, ale niechętnie, ustąpili Bramowi. Holender mógł spojrzeć Staremu w oczy i ujrzał w nich tylko zimną, niewzruszoną stal.
— Chcę jechać do Kaźni — zdecydował Bram. — Nie możesz mnie zatrzymać.
— Tutaj się mylisz — mruknął Stary i wykrzywił usta w grymasie, który miał udawać uśmiech — Ale nie, nie zamierzam cię powstrzymywać.
— Jadę z nim — wtrącił się Lisiecki.
Rycerz zerknął na Polaka i kiwnął głową.
— Jesteś pewien? — zapytał jeszcze — Wiesz, że jesteś zawsze u mnie mile widziany.
— Jestem pewien — potwierdził Lisiecki.
Holender podziękował mu, a potem spojrzął znacząco na Ellen. Dziewczyna najpierw spuściła głowę, zastanowiła się przez chwilę, a potem potrząsnęła nią przecząco. Kiedy podniosła wzrok, miała łzy w oczach.
— Nie... Nie... — wyszeptwała, zaciskając nerwowo dłonie na swoich kolanach.
— Nie dostaniecie od nas koni — ostrzegł ich Stary. — Tylko wasze rzeczy i trochę żywności. Ale niewiele.
— Nie potrzebujemy twojej łaski — oświadczył dumnie Bram. Na te słowa Lisiecki roześmiał się szyderczo.
— Pieprzysz, Bram. Oczywiście, że potrzebujemy. Bierz, co ci dają i potem całuj jeszcze Starego w rękę, że w ogóle pozwala nam wyruszać — powiedział i potem zwrócił się bezpośrednio do rycerza — Dziękujemy. Trochę kaszy i chleba powinno wystarczyć.

— Dostaniecie. Joachim o to zadba.

Stary skończył mówić i widać po nim było, że wpatrzony w Lisieckiego bije się z myślami.

Wreszcie sięgnął po pióro i na czystej kartce papieru napisał kilkanaście słów.

— To mała przysługa, której mogę wam udzielić, nie łamiąc słowa danego księżnej — powiedział. Sięgnął po lak. Rozgrzał go nad świecą i połał na papier.

— Za wszystko, co nam dasz, będziemy wdzięczni — mówił Polak — Ja już teraz, Bram jak tylko trochę zmądrzeje.

Starego rozbawiły słowa Lisieckiego. Roześmiał się krótko. Sięgnął do pasa, wypiął niewielką sakiewkę i sięgnął do środka. Gmerał w niej przez chwilę. Wreszcie znalazł to, czego szukał. Na ciepłym laku odbił pieczęć, złożył podpis, a potem podał kartkę Polakowi.

— To list ode mnie. Każdy, komu go pokażecie, a kto uważa się za mojego przyjaciela, pomoże wam dostać się do Kaźni. Nie wiem, ile jest teraz wart, ale może się przydać.

— Dziękujemy.

Zapadła cisza. Polak trącił łokciem Brama.

— Ty też podziękuj.

Ale z gardła Holendra nie mogło się wydobyć żadne słowo. Jak urzeczony wpatrywał się w pieczęć Starego — zielony sygnet, taki sam, jaki miała księżna Izabela. W jego głowie pobrzmiwały jej słowa, które wypowiedziała, kiedy wydawała na niego wyrok śmierci —

Miałam dwa takie. Jeden ukradł zdrajca.

Lisiecki założył plecak i poprawił karabin na ramieniu. Potem zaklął. Odłożył go pod mur, klęknął i zaczął zawiązywać buty. Świtało, a wokół panowała nieznośna, męcząca szarość.

— Nie musisz ze mną iść — powiedział Bram, który sam kończył się dopiero pakować.

— Muszę — odpowiedział mu Polak — Sam zginiesz w tych lasach. Nie znasz szlaków, skrótów, bezpiecznych schronień. Poza tym, ktoś musi uratować Darię. Pamiętasz ją jeszcze?

— Pamiętam.

— To dobrze. Bo to przez ciebie jest w rękach księżnej. I jeśli jej coś się stanie...

Nie dokończył groźby. Zawiązał buty, podniósł karabin i zarzucił go sobie na ramię.

— Ellen na ciebie czeka — oznajmił, a potem wskazał na stojącą nieopodal córkę

Starego.

Bram dopiero teraz ją zauważył. Podeszedł do niej. Czuł się niezręcznie. Jak młodzieniec, który ma po raz pierwszy poprosić dziewczynę do tańca. Ellen przypatrywała mu się, otulona ciepłym kocem. Oczy miała zaczerwienione.

— Hej — powiedział.

— Hej.

Patrzyli na siebie. Wiedzieli, że powinni powiedzieć coś więcej, ale żadne nie miało odwagi zacząć.

— Możesz tutaj zostać — wyszeptała — W zamku. Będziesz tu bezpieczny. Przynajmniej bezpieczniejszy niż w Kaźni.

— Nie. Nie mogę.

Westchnęła i wzniosła oczy ku niebu.

— Kaźń jest stracona — powiedziała wreszcie. — Cokolwiek Siren zrobi, cokolwiek ty chcesz zrobić, Lisiecki, nie ma znaczenia. Bez pomocy ojca, bez jego żołnierzy — Kaźń jest stracona. Zrozum to. Zostań.

Chwyciła go za rękaw. Dotknął jej dłoni, a potem przytulił. Pocałował ją w czubek głowy i puścił.

— Żegnaj.

— Jesteś głupcem, Holendrze.
— Jestem — przyznał — Już sam fakt, że w ogóle tu przyjechałem o tym świadczy. Nie uważasz?

Uśmiechnęła się.

— Żegnaj.

Odsunął się od niej, ale nagle zatrzymał się w pół kroku. Przypomniał sobie o czymś i natychmiast poczuł wstyd, że mógł zapomnieć.

— A miecz? — zapytał — Znaleźliście go w bunkrze?

Potrząsnęła głową.

— Nie. Musiała go wziąć ze sobą.

— Tak. Musiała go wziąć — zagryzł wargę. — A co twój ojciec robił w czasie pierwszej wojny?

— Dlaczego pytasz? — zapytała podejrzliwie.

— Z ciekawości — skłamał.

— Był partyzantem. Jego oddział wybito w ostatnich dniach wojny. Tylko on się uratował.

Zmarszczyła brwi.

— Dlaczego o to pytasz?

— Byłem po prostu ciekaw.

— Nie wierzę ci.

— Ale tak jest — odpowiedział gniewnie. Odwrócił się na pięcie.

— Bram! — krzyknęła za nim. Zastygł bez ruchu. Ellen wzięła głębszy oddech — To nie mógł być mój ojciec — powiedziała wreszcie cicho, tak, żeby tylko on ją usłyszał. Wzruszył ramionami.

Słyszał jak odchodzi. Spojrzał za nią dopiero wtedy, kiedy była już daleko. Znikała właśnie w zamku, drobna kobieca sylwetka.

Wrócił do Lisieckiego. Skończył się pakować. Wziął plecak, karabin, szablę i ruszyli w drogę. Strażnicy wypuścili ich bez słowa. Maszerowali szybkim tempem, nie odwracając się tak długo, aż zamek Starego nie zniknął za ich plecami. Dopiero wtedy zwolnili.

— Właściwie to dlaczego chcesz wracać do Kaźni? — zapytał Lisiecki.

Były to pierwsze słowa, jakie wypowiedział od wymarszu. Bram przystanął. Otarł pot z czoła i sięgnął po manierkę, żeby wziąć kilka łyków wody. Skończył pić i otarł usta rękawem. Lisiecki przez ten czas czekał cierpliwie.

— Bo chyba wiem, jak uratować miasto — odpowiedział wreszcie Holender.

Polak uśmiechnął się szeroko.

— W takim razie powinniśmy się pośpieszyć.

Rozdział 14. Powrót do Kaźni

Siren wykonał dobrą robotę. Kaźń zupełnie nie przypominała miasta, do którego Bram przybył kilkanaście dni wcześniej. Wyglądała spokojniej, była bardziej uporządkowana.

Porzucono nowszą część osiedla, skupiono się na umacnianiu starszej, wraz z okolicami i szpitalem doktora Carridana. Wykorzystywano do tego celu elementy palisady, wozy, deski z rozebranych domów. Holender z zainteresowaniem i niewielkim podziwem analizował dzieło budowniczych. Takie mury co prawda nie powstrzymałyby żadnej armii, ale mogły się całkiem

nieźle sprawdzić przeciwko chudzielcom.

— Chyba niepotrzebnie się tak spieszyliśmy. Wiedzą już, co się stało w forcie — zauważył Lisiecki, kiedy obserwowali z daleka prace fortyfikacyjne.

— Chyba tak — przyznał Bram.

Cieszył się, że podróżował z myśliwym. Poruszali się szybko. Niemal nie odpoczywali i nie jedli. Lisiecki poprowadził ich spokojnymi, bezpiecznymi ścieżkami z dala od głównych traktów, więc ich podróż odbyła się bez żadnych niespodzianek. Pomimo tego przez cały czas mieli się na baczności. Nawet teraz, kiedy ich cel był tak blisko.

Rozmawiali niewiele. Polak wysłuchał pomysłu Brama, jak można by ocalić Kaźń. Po namyśle uznał go za niepewny i szalony, ale wykonalny. Trzeba było więc spróbować.

Sirena spotkali niedaleko jego biura. Szeryf gestykulował energicznie, rozmawiając z jednym ze swoich zastępców, kiedy nieopodal kilku chłopaków rozbierało drewniane szopy poszukiwaczy, ładowało deski na wozy, a potem, pchając je lub ciągnąc, transportowało materiały do starszej części miasta.

Na widok Brama Siren najpierw zbladł, potem zaklął, a potem uśmiechnął się krzywo, jakby właśnie ktoś bardzo ważny, kogo nie można obrazić, nadepnął mu na palce. Z szeroko rozłożonymi rękami ruszył w stronę Holendra.

— No, no, no! Kogo ja widzę!

— Witaj, Siren.

— Kurwa, kiedy tak na ciebie patrzę, to nie wiem, czy mam ci wpierdolić, czy ucałować.

Szeryf nie powiedział, na co się zdecydował. Po prostu Brama uściśnął przesadnie serdecznie, a sam gest miał wyraźnie szyderczą wymowę. Na widok Polaka Siren skłonił tylko lekko głową, a Lisiecki odpowiedział mu tym samym.

— Gdzie dziewczyna? — zapytał szeryf, mrużąc oczy.

— To długa historia.

— Mam czas.

— Nie wygląda na to.

Siren zarechotał krótko.

— Masz, kurwa, rację, Holendrze. Masz kurwa rację...

Zaczął szukać czegoś po kieszeniach spodni i kurtki. Przerwał, kiedy Lisiecki podał mu świeżo zwiniętego skręta. Szeryf przyjął go z wdzięcznością. Wyjął parę zapalek, odpalił od skórzanych butów i zapalił. Potem podał ogień Polakowi, który również miał już papierosa w ustach. Przez chwilę palili w milczeniu, rozkoszując się niebieskawym, ostrym dymem, jakby właśnie wspólnie przeżywali jakiś sakrament.

— Chudzielce zaatakowały fort Korporacji. Mówią, że nikt nie przeżył — rzucił Siren.

— Wiemy. I wkrótce przyjdą do Kaźni.

— Ludzie ciągle mają nadzieję, że jednak nie.

— One tu przyjdą, Siren. Na pewno.

Szeryf zaciągnął się głęboko, a potem wypuścił dym z płuc z cichym jęknięciem. Szary kłęb uniósł się wysoko w górę, gdzie rozwiął go nagły podmuch wiatru.

— Chodźcie za mną — powiedział szeryf i trącił Brama łokciem.

— Iwan! — ryknął w stronę swojego biura.

Głowa olbrzyma wychyliła się na zewnątrz. Rosjanin miał nierówno przystrzyżone włosy i podkrążone od niewyspania oczy. Musiał poświęcić kilka sekund, żeby odnaleźć szeryfa wzrokiem.

— Idę do twierdzy! — zakomunikował Siren — Pilnuj ludzi.

— Tak jest! — odpowiedział Iwan i zniknął w drzwiach. Ale tylko na chwilę, bo zaraz

wyszedł na dwór, w samych spodniach, pokazując szeroki, pokryty gęstymi, poskręcany jak małe sprężyny włosami tors. Zapinał pas z nożem po jednej i rewolwerem po drugiej stronie.

— Zaraz pójdzie znowu spać — oznajmił szeryf, kiedy ruszyli — Wystarczy, że tylko zniknę mu z oczu. Trochę mnie kusi, żeby poczekać, a potem wrócić i skopać mu to jego wielkie ruskie chrapiące dupsko. Z drugiej strony, nie mogę chyba mieć do niego pretensji, co?

— Dlaczego? — zapytał Lisiecki.

Siren zamrugął z niedowierzaniem.

— Nie wiecie, co tu się dzieje?

— Przed chwilą przybyliśmy.

— Ja pierdołę! To wam wytłumaczę. Mamy tu największy burdel od czasu szturm Kuźni.

Kiedy ludzie dowiedzieli się, co się stało z Saint Paris, przerazili się. Do tego dwóch korporacyjnych niedobitków przyniosło wieści o ataku na Fort, i wszystkim zupełnie odbiło.

Połowa chciała spierdalać, połowa ruszać na chudzielce z wyprawą wojenną, a połowa okopać się w swoich domach i czekać nie wiadomo, kurwa, na co.

— To trzy połowy, Siren — zauważył Lisiecki.

Szeryf puścił tę uwagę mimo uszu.

— Z trudem ich przekonałem, że skoro Korporacyjni nie dali rady chudzielcom, to tym łatwiej rozprawią się z bandą pijanych, nieprzygotowanych do walki poszukiwaczy. Tych, którzy chcieli uciekać nie zatrzymywałem. I tak mamy tu mało żarcia. Części chyba udało się uciec, a część... — przerwał i przystanął, jakby słowa właśnie stanęły mu ością w gardle.

— Co się stało? — zapytał Polak.

Siren spojrzał na niego z wyrzutem i pokręcił głową.

— Te lasy roją się od chudzielców. Wczoraj w nocy napadły karawanę uciekinierów. To było blisko, niemal pod samym miastem.

— Próbowali uciekać w nocy?

— Wyruszyć chcieli za dnia, ale to była banda ciamajd i pijaków. Zanim się zebrałi, z ranka zrobił się zmierzch. Ale nie chcieli czekać. Ruszyli. Potem usłyszeliśmy krzyki, popędziliśmy na pomoc. To dlatego Iwan jest taki niewyspany. Pół nocy zajęła nam walka, a potem opieka nad niedobitkami. Z trzydziestoosobowej grupy przeżyła zaledwie dziesiątka, a z tej dziesiątki pewnie jeszcze dwóch lub trzech zdechnie do wieczora. Nie wiem, ilu uciekinierów dorwały chudzielce.

Podjął marsz. Bram z Lisieckim ruszyli za nim i za chwilę ich oczom ukazało się miejsce, które Siren nazywał „twierdzą”. Stara część miasta miała bardziej zwarty, obronny charakter.

Wybudowano ją tak, żeby budynki zachodziły na siebie, wzajemnie się broniąc. Zachowano także miejsca na stanowiska strzeleckie. Z biegiem lat mieszkańcy jednak zapomnieli o ostrożności, a wygoda zaczęła być ważniejsza od bezpieczeństwa. Zabudowano przejścia dla obrońców, zlikwidowano gniazda dla strzelców wyborowych; ściany domów, które równocześnie miały być murami obronnymi, zmurszały i osłabły. Gdzieś tam nawet je rozbito, żeby połączyć budynek z np. drewnianą przybudówką. Teraz — na tyle, na ile było to możliwe, wszystko to naprawiano i wzmacniano, a tam, gdzie się dało, wracano do pierwotnego stanu.

Pracowały nad tym dziesiątki, jeśli nie setki mężczyzn i kobiet, chociaż duża część mieszkańców Kuźni po prostu włóczyła się z miejsca na miejsce z pustymi rękoma, tylko udając że robią coś pożytecznego.

Bram szybko zorientował się, że mieszkańcy mają zamiar bronić się w obrębie starego miasta i niewielkiego obszaru wokół niego, który obejmował przede wszystkim szpital doktora

Carridana. Tam właśnie stawiano nową palisadę i tworzone barykady z desek z rozebranych domostw poszukiwaczy, wozów i wszelkiego rodzaju śmiecia, jaki tylko wpadł budowniczym w ręce.

— Musicie skrócić linie obrony — odezwał się Holender. — Tam i tam. Niepotrzebnie ją wydłużacie.

Wskazał na stojące nieopodal szpitala domostwo, a później na drewnianą, sporej wielkości szopę.

— Te dwa budynki ją przecinają i utrudniają ruch. Jeśli na jednym odcinku będą potrzebować pomocy, ludzie z drugiego nie zdążą jej udzielić. Fortyfikacje muszą być jak najkrótsze i zwarte.

Poza tym i dom, i ta szopa nie wyglądają zbyt solidnie. Nawet chudzielce potrafią je zniszczyć, a wtedy powstanie luka.

Siren kiwnął głową. Przywołał stojącego nieopodal poszukiwacza, który nadzorował prace i przekazał mu słowa Holendra. Mężczyzna zmarszczył brwi w wyrazie niezadowolenia, ale Siren położył mu w wymownym geście dłoń na ramieniu. To wystarczyło. Poszukiwacz gwizdnął na swoją ekipę, która natychmiast, chociaż mało ochotczo, zabrała się do pracy.

— Nie wyglądają na zbyt zadowolonych — zauważył Lisiecki, kiedy poszli dalej.

— Bo są wkurwieni — odpowiedział mu Siren — Woleliby bronić swoich domów. To tylko szalasy, zbitki z desek i namioty, ale zawsze jakieś domy. Poza tym uważają, że bogacze ich wykorzystują. I, niestety, mają trochę racji. Słyszałem już głosy, że ci z dołu najpierw niech wybudują palisadę, a potem już się ich jakoś wyrzuci, żeby oszczędzić na wyżywieniu podczas oblężenia. Dojdzie jeszcze do tego, że się tu sami pozabijamy, zanim zjawią się chudzielce — zakończył gorzko.

Szeryf przez chwilę bawił się niedopałkiem papierosa, który zgasł mu w dłoni pomiędzy jednym a drugim słowem. Wreszcie rzucił go na ziemię i przydeptał ze złością. Uderzenie buta wzbilo w górę mały kłęb kurzu. Siren wydawał się zmęczony i przybity. Brakowało mu energii, pewności siebie i bezczelności. Holender zastanawiał się, czy szeryf naprawdę stracił siły, czy też tylko pozwolił sobie na chwilę słabości. Miał nadzieję, że to drugie. Siren był mu potrzebny. Być może nawet niezbędny. Gdyby pękł, załamał się, wszystko byłoby o wiele trudniejsze.

Holender zerknął na Lisieckiego. Obaj przez chwilę pomyśleli o tym, że mogliby teraz po prostu odwrócić się na pięcie i uciec z miasta. Lasy wokół być może roiły się od chudzielców, ale skoro dostali się do Kaźni nie spotykając żadnego, to dlaczego nie miałyby im się udać w drugą stronę?

— Chodźcie za mną — pogonił ich szeryf — Damy wam jeść. Umyjcie się, bo śmierdźcie jak gówno, które pożarł, a potem znowu wysrał chudzielec. No i będziecie się mogli trochę przespać.

— Mamy wieści.

— W dupie to mam, panie van der Hagenhooper. Mam tutaj zbyt wiele roboty, żeby wysłuchiwać twojego smutnego pierdolenia — wyrzucił z siebie gniewnie Siren, a potem dodał, łagodniejszym tonem — Wieczorem zbiera się rada miasta. Tam wszystko opowiesz.

— Rada miasta? To ona tu rządzi, nie ty? — zapytał Lisiecki.

Siren przystanął. Słowa Polaka zirytowały go. Opuścił głowę, a jego jedna dłoń bez udziału woli zacisnęła się w pięść, a druga powędrowała w stronę kabury z rewolwerem.

— Chodźcie za mną — powtórzył i już bez słowa ruszył przed siebie.

Zaprowadził ich do Savy. Bar na dole zmieniono w jadalnię. Teraz była pełna ludzi, którzy z drewnianymi miskami i karteluszkami w dłoniach podchodzili do prostytutek, które wydawały jedzenie. Dziewczyny zabierały kartki, uważnie czytały to, co było na nich napisane, a

potem darły je na drobne kawałki. Wreszcie za pomocą dużej, metalowej chochli, czarnej od spalonego jedzenia i świecącej od tłuszczu, nakładały każdemu przysługującą mu porcję.

Porządku pilnowało dwóch znudzonych zastępców szeryfa. Bawili się myśliwskim nożami i chyba założyli się, który z nich wypowie najbardziej ordynarny komplement. Rechotali jak żaby, kiedy któraś z dziewczyn odpowiadała im pełnym żółci przekleństwem.

Siren chwycił przechodzącą obok kobietę za ramię. Bram rozpoznał w niej Mette, tę samą, która próbowała go zaczepiać, kiedy po raz pierwszy przybył do miasta. prostytutka miała na sobie długą, szarą suknię, która zakrywała ją od brody aż po same kostki, przez co wyglądała jak worek na kartofle. W drżących dłoniach trzymała jarzący się smutnie niedopałek papierosa.

— Zajmij się nimi. Daj im porządnie jeść, potem wyślij spać. Jak będą chcieli pociupciać, to też im coś znajdź. Jasne, kochana?

— Jasne, Siren — odpowiedziała Mette bez entuzjazmu. Zaraz jednak zaświeciły się jej oczy, kiedy rozpoznała Bramę. Wyciągnęła w jego stronę dłoń z niedopałkiem.

— Ty jesteś tym holenderskim pedałem, nie?

— Tak.

— Słyszałam, że podobno jednak wolisz dziewczyny.

— Bo wolę.

— To będziesz chciał lodzika po żarciu?

— Nie, raczej nie.

— W takim razie raczej pedał jesteś.

Bram wzruszył ramionami. Pożegnali się z Sirenem i Mette zaprowadziła ich do kuchni bocznymi drzwiami. Dostali obaj po misce kaszy z warzywami i kilkoma skrawkami mięsa.

Mette czekała cierpliwie aż zjedzą, śledząc wzrokiem każdy ruch drewnianej łyżki. Bram, nie mogąc tego znieść, oddał jej resztę swojego posiłku. Nie podziękowała mu, ale zjadła resztki błyskawicznie. Potem pokazała im pokoje, gdzie mogli się przespać. Zapytała, czy chcą jakąś dziewczynę. Bram odmówił. Lisecki poprosił o jedną. Spodobała mu się ta ruda, która nakładała w barze jedzenie. Mette obiecała, że zaraz ją przyśle.

*

Bram pamiętał, że nie chciał zasnąć. Ale najpierw zrzucił z siebie brudne rzeczy, na chwilę położył się w miękkiej pościeli i pomyślał, że na sekundę mógłby zamknąć powieki, tylko po to, żeby zobaczyć, jak to jest. Sen spadł na niego jak płachta miękkiego, czarnego aksamitu.

A teraz otworzył oczy. Sava siedziała naprzeciwko niego z rękoma założonymi na piersiach.

Włosy miała wysoko upięte w kok i tylko jeden kosmyk figlarnie zwisał jej wzdłuż policzka.

Zmęczonym ruchem zaczesła go za ucho.

— Wróciłeś — powiedziała.

— Tak.

— Przyszłam do ciebie, bo... Sam wiesz, dlaczego. Miejmy to już za sobą.

Wstała krzesła i podeszła do okna. Otworzyła okiennice, pozwalając żeby do pokoju wpadło świeże powietrze. W tym czasie Bram podniósł się z łóżka, założył spodnie i koszulę. W misce z wodą obmył twarz i pomyślał, że mógłby jeszcze trochę pospać.

— Dlaczego skłamałaś Sirenowi, że chcę zająć jego miejsce?

— Szeryf jest przebiegły, ale w gruncie rzeczy łatwo go przejrzeć. Oszukać dużo trudniej, ale udało się. Dziwię się, że cię nie zabił. Zwykle, kiedy podejmuje jakąś decyzję, to nie ma siły,

żeby go od niej odwieść.

— Dlaczego to zrobiłaś?

— A dlaczego zabrałaś mi Ellen?

W pierwszej chwili zaniemówił. Nie miał czasu, żeby zastanawiać się nad motywacją działania Savy, ale nawet gdyby miał, nigdy nie przyszedłby mu do głowy taki pomysł. Prędzej spodziewałby się, że sprzedała się Korporacji.

— Nie zabrałem ci jej.

— To dlaczego jej tu nie ma?

Nie wiedział, co ma jej odpowiedzieć. Jak wytłumaczyć, że w tym, co się wydarzyło, nie ma jego winy.

— Ona cię oszukała, Sava. Nie kochała cię.

Kobieta drgnęła. Zadrżały jej kąciaki ust.

— Wiem. W końcu całe życie to oszustwo, Holendrze. Ale w tym oszustwie akurat było mi dobrze. A ty je zakończyłeś.

— Nie chciałem.

— A jakie to ma znaczenie?

Podeszła do niego. Spojrzała mu prosto w oczy, a potem złożyła głowę na jego piersi. Objął ją mocno i przytulił. Czuł serce Savy, mocno bijące w klatce żeber i ciepły, regularny oddech.

Zamknął oczy. Jej włosy pachniały pokrzywą.

— Nadchodzą!

Ten krzyk, jego sens i znaczenie, dotarły do niego dopiero po chwili. Puścił kobietę i spojrzał na nią pytająco. Również była zaskoczona. Potem usłyszeli mocne, energicznie bicie w dzwony.

— Chudzielce — powiedziała Sava.

Bram dopadł do okna i wychylił się za parapet. Spał godzinę, może dwie. Na dworze ciągle było jasno, a słońce stało wysoko nad horyzontem.

— Niemożliwe. Za dnia?

Dzwon jednak wcale nie cichł. Holender minął Savę. Wziął pas z szablą, a przez ramię przewiesił sobie karabin. Raz jeszcze spojrzał na kobietę. Kiwnęła lekko głową. Bram zdał sobie sprawę, że to było wszystko, czego mógł się po niej spodziewać. Była zbyt dumna, żeby powiedzieć „przepraszam”.

— Kiedy to się skończy... — powiedział i przerwał. Wiedział, że zabrzmiało to jak groźba, chociaż wcale tego nie chciał.

— Pędź, Holendrze — powiedziała.

Wybiegł z pokoju. W tej samej chwili drzwi od pomieszczenia po drugiej stronie korytarza otworzyły się z hukiem i wypadł z niego Lisiecki. Za jego plecami Bram dostrzegł gołą prostytutkę, która właśnie wcierała sobie brunatną masę w pochwę. Polak machnął dłonią na Holendra i dalej ruszyli razem.

Przylączyli się do mężczyzn, którzy właśnie wspinali się na dach jednego z budynków.

Najpierw musieli schodami wejść na balkon na pierwszym piętrze, a potem skorzystać z drabiny.

Powstał zator. Ludzie popędzali się nawzajem, doszło do kilku przepychanek, które na szczęście udało się przerwać zanim zamieniły się bójkę. Wreszcie Lisiecki z Bramem znaleźli się na dachu domu. Miał on tylko lekki spad — na tyle, na ile to było niezbędne, żeby odprowadzać deszczówkę, dzięki czemu bez trudu można było na nim stać nie tracąc równowagi. Znajdowało się na nim już ponad dziesięć osób. Trzeba było powstrzymać kolejnych, którzy chcieli wejść na

górze, bo zaczynało brakować miejsca.

Bram sięgnął po karabin, odbezpieczył broń i sprawdził magazynek. Do ściany domu zbliżała się horda chudzielców. Mogło być ich kilkadziesiąt. Pędziły po otwartej przestrzeni w dość zwartej grupie. Holender przybrał pozycję strzelecką, przyłożył karabin i wziął na cel jednego z biegnących potworów. Ale nie strzelił. Opuścił lufę.

Na dachu obok znajdował się Siren. Na widok Brama uśmiechnął się i pomachał do niego kapeluszem. Chyba dobrze się bawił. W stronę chudzielców poszły pierwsze strzały z kuszy.

Ktoś użył broni palnej. Nikt nie trafił, bo potwory były jeszcze za daleko. Z tego co zauważył

Holender, tylko on i Polak mieli broń, która pozwalała celnie strzelać na tak długi dystans. Ale żaden z nich nie nacisnął spustu.

— Coś jest nie tak — szepnął Lisiecki.

Bram przytknął. Też to czuł. Potworów było mało. A szturm od tej strony bez jakichkolwiek drabin nie miał szans powodzenia. Do obrony tego punktu wystarczyło góra pięć osób. A było tu już około trzydziestu i ciągle pchali się kolejni. Ludzie śmiali się, żartowali. Czuli się bezpiecznie. Atmosfera przypominała trochę piknik, którego dodatkową atrakcją jest atak chudzielców.

— To podstęp — stwierdził Bram. — Chcą nas odciągnąć.

— Szpital — powiedział Polak.

Nie musiał dodawać nic więcej. Bram podbiegł do krawędzi dachu. O mało nie stracił równowagi, kiedy ktoś go potrącił. Przez chwilę patrzył prosto w dziesięciometrową przepaść, machał rozpaczliwie ramionami, ale Lisiecki chwycił go za kurtkę i przytrzymał. Bram podziękował mu szybko, a potem złożył usta w tubę.

— Siren! — ryknął.

Szeryf chyba go nie dosłyszał. Rozmawiał z łysym poszukiwaczem, który właśnie strzelił z kuszy do chudzielców i cieszył się, bo wydawało mu się, że trafił.

— Siren! — powtórzył Bram i zaczął machać rękoma. Dopiero wtedy szeryf go zauważył.

Zmarszczył brwi i pytająco wzruszył ramionami.

— Szpital!

Siren nie zrozumiał.

— Szpital! Chudzielce!

Nagle do szeryfa dotarło. Spojrzał na bezsensownie uderzające w ściany domów chudzielce, które równocześnie niezgrabnie próbowały unikać spadających na nie pocisków, potem na tłoczących się na dachu ludzi, wreszcie na Brama. Zaklął tak głośno i tak wściekle, że nawet Holender go usłyszał. Zaraz zaczął krzyczeć na ludzi, żeby zleźli z dachu i popędzili do szpitala.

Łysemu, który oponował, przyłożył kolbą rewolweru w głowę, tak że ten padł jak długi z twarzą zalaną krwią.

Bram z Lisieckim nie czekali na to, jak rozwinie się sytuacja. Jako pierwsi dopadli do drabiny, zeszli na balkon, a potem klatką schodową na główny plac. Po drodze udało im się przekonać kilka uzbrojonych osób, żeby poszli z nimi, a nie na dach.

Barykady przy szpitalu nie padły jeszcze tylko dlatego, że wcześniej za radą Holendra skrócono linię obrony, a broniący ich mieszkańcy Kaźni byli zbyt przerażeni, żeby uciekać.

Ojciec zawsze powtarzał Bramowi, że w takich chwilach ciało musi działać samo. Każda sekunda zastanowienia to sekunda, którą przeciwnik wykorzysta. Najczęściej po to, żeby cię zabić. Wbijano mu tę lekcję boleśnie do głowy podczas setek, tysięcy godzin sparingów, długich

lekcji szermierki, strzelectwa, ćwiczeń wojskowych. Masz walczyć, nie myśleć — wrzeszczano mu do ucha, a każda chwila wahania zapisywała się na jego ciele kolejnym sińcem. Ale lata nauki przyniosły rezultaty. Potrzebował zaledwie ułamków sekund, żeby ocenić sytuację.

Kolejnego ułamka, żeby wpaść jak wichur na najbardziej zagrożony fragment umocnień i jeszcze jednego, żeby wystrzelić cały magazynek w szarozgniłą, napierającą na nich kotłowaną ciał chudzielców. Potem w ruch poszła kolba, którą uderzał bezlitośnie w kolejne wykrzywione pyski o oczach pełnych głodu. Ale udało mu się osiągnąć cel. Dał obrońcom chwilę wytchnienia oraz dodał otuchy.

Holender zauważył, że Lisiecki wdrapał się na chwiejną konstrukcję z desek i skrzyń, dzięki czemu znajdował się na lekkim podwyższeniu. Polak położył się na nim, równocześnie wykorzystując jako podpórkę pod lufę. Strzelał nieśpiesznie ale celnie, tam gdzie jego naboje były najbardziej potrzebne. Każde naciśnięcie spustu oznaczało kolejną czaszkę chudzielca wybuchającą szarokrwistą chmurą lub serce zmieniające się w brunatną miazgę.

Wszystko to nie trwało dłużej niż kilkanaście sekund. Potem z posiłkami przybył Siren.

Nowa grupa zastąpiła dotychczasowych obrońców. Chudzielce chyba zorientowały się, że nie mają szans zdobyć umocnień. Część z nich zaczęła uciekać; mniejsza grupa, najwyraźniej oszalała z żądzy krwi, ponawiała bezsensowne ataki tak długo, aż wszystkie zginęły.

— Bram! Patrz! — krzyknął Polak i palcem wskazał w kierunku dawnego obozowiska poszukiwaczy, gdzie teraz pomiędzy nagimi szkieletami namiotów i chałup zwinnie przebiegały potwory. Bram dojrzał tam rycerza w pełnej zbroi i niebieskiej tunice.

— Silvan — wyszeptał.

Czarny Rycerz przez chwilę przypatrywał się dogasającej walce, a potem ruszył w stronę ściany lasu. Zniknął wśród chylących się ku ziemi uschniętych drzew.

*

— Prawie nas dorwały — powiedział Siren. Wydawał się równocześnie wstrząśnięty i rozbawiony. Klepnął Brama przyjacielsko po ramieniu i podał Holendrowi butelkę whisky, którą ten przyjął z wdzięcznością. Musiał się napić. Uspokoić wrzącą w żyłach krew i drżące z nerwów ręce.

W barze u Savy skończyła się już pora wydawania posiłków. Teraz zastępcy szeryfa razem z Mickiem, który chodził dziwnie zgięty i wyglądał jakby ciągle chciało mu się wymiotować, wyganiaли dziewczęta i kolejnych poszukiwaczy. Na ich miejsce zjawili się najstarsi lub najbogatsi mieszkańcy miasta. Siren przedstawiał mu ich po kolei, ale Bram nie zapamiętał żadnego imienia. Wszyscy byli szarzy i bezbarwni, a ich miny zdradzały, że właśnie znaleźli się w sytuacji, która całkowicie i nieodwołalnie ich przerosła. Byli wśród nich handlarze jedzeniem, narzędziami, bronią i alkoholem oraz kilku rzemieślników. Żadnego poszukiwacza, chociaż to z ich ciężkiej pracy i naiwnej wiary żyli.

Z osób, które Bram znał, na radę zaproszeni zostali doktor Carridan, Sava, Siren oraz Lisiecki. Lekarz przywitał się z Holendrem uściskiem dłoni.

— Cieszę się, że nic ci nie jest. Modliłem się o ciebie — powiedział.

— Przepraszam, doktorze. Za to, co się stało u Starego.

— Nie przepraszaj, Bram — przerwał mu Carridan — Niezbadane są wyroki boskie, a ty najwyraźniej byłeś Jego, Ich, jeśli bogów jest więcej, narzędziem. Tylko dzięki temu, że porwałeś Darię, wróciłem do miasta przed atakiem chudzielców.

Zajęli miejsca przy stolikach, które na tę okazję ustawiono w półokręgu tak, że każdy mógł widzieć każdego. Sava z Mickiem oraz jeszcze jedną dziewczyną podali gościom miskę z

jedzeniem oraz wódkę. W barowej sali słyhać było tylko mlaskanie, okazyjne beknięcia i ciężkie oddechy.

— Dobra. Widzę, że żaden pajac nie zabierze głosu — powiedział Siren, podnosząc się z jęknięciem z krzesła — W takim razie ja zacznę.

— Właśnie, zacznij! — krzyknął niski wąsacz w brązowej kamizelce, odkładając miskę na stół — Pierwszy dzień oblężenia i już chudzielce prawie przerwały obronę. Co to miało być, Siren?

— Nie doceniliśmy ich, Vaclaw.

— Ty ich nie doceniłeś — rzucił oskarżycielsko wąsacz — Miałeś dowodzić obroną miasta.

Zaczynam się zastanawiać, czy nadajesz się do tego zadania.

— A ja zaczynam się zastanawiać, dlaczego chowasz jedzenie, skoro uzgodniliśmy, że wszystko będzie wspólne.

Vaclaw pobałdł ze strachu. Rozejrzał się nerwowo, ale napotkał tylko mur nieprzyjaznych mu twarzy.

— Tak, tak, Vaclaw. Worek owsa, kilka kilogramów mąki, kilogram mięsa, worek ziemniaków — wymieniał szeryf — Całkiem nieźle.

— Szpiegowałeś mnie! — krzyknął wąsacz w desperackiej próbie odwrócenia od siebie uwagi.

— Mąka, mięso, ziemniaki! — odpowiedział Siren i pytająco spojrzął na wszystkich zebranych. Nikt się nie odezwał. Mieszkańcy Kaźni chrząkali tylko niemrawo, próbowali z misek wydobyć resztki jedzenia lub ukrywali się za kieliszkami w wódkę. Bram domyślił się, że każdy z nich ukrył coś na „czarną godzinę”. A skoro Siren wiedział o zapasach Vaclawa, to równie dobrze mógł wiedzieć o ich „skarbach”.

— Vaclaw, wiesz, jaka jest kara za ukrywanie jedzenia?

Wąsaczowi zaczęły drgać usta, a w oczach pojawiły się łzy.

— Siren. Nie rób tego. Przecież to nieporozumienie było.

— Sam głosowałeś za tym prawem Vaclaw, pamiętasz?

— Tak, ale...

Siren nie pozwolił mu dokończyć. Pstryknął palcami i nagle, jak duch za plecami wąsacza pojawił się Iwan. Olbrzym chwycił mężczyznę za ramiona i podniósł w górę. Vaclaw próbował się opierać. Szarpał się i kopał. Iwan rzucił go na ziemię, a potem uderzył — wydawałoby się od niechcenia — wąsacza w głowę. Vaclaw osunął się nieprzytomny, a z rozbitych warg pociekła krew. Iwan już nie kłopotał się z podnoszeniem go. Złapał za brązową kamizelkę i pociągnął mężczyznę po ziemi w stronę wyjścia.

Siren klasnął głośno w dłonie i zebrani niemal podskoczyli na swoich miejscach.

— Dobra. Skoro te drobne problemy mamy już za sobą, możemy przejść do bardziej konstruktywnej części naszego zebrania. Wszyscy za?

Zebrani pokiwali posłusznie głowami, jak stado baranów.

— Panie Huygens... Podobno ma pan dla nas wieści.

Bram w pierwszej chwili nie zorientował się, że o nim mowa. Zapomniał już o swojej fałszywej tożsamości.

— Tak. Mam wieści. Ale to będzie długa historia.

— A my mamy czas, panie Huygens. O ile oczywiście nie zaatakują nas chudzielce.

Bram wypił swój kieliszek wódki i zaczął mówić. Opowiedział tyle, ile uznał za rozsądnie.

Zataił informacje o swojej prawdziwej przyczynie pobytu w Kaźni, o Darii, o ucieczce od

Starego. Całą resztę jednak wiernie przekazał. Poszukiwacze słuchali go z rosnącym niedowierzaniem, a potem także przerażeniem. Kiedy skończył, zapadła martwa cisza.

— Piotrze... — szepnął ktoś cicho.

— Ja mu tam wierzę — odpowiedział Lisiecki, który w międzyczasie zwinął sobie papierosa i popalał go z widoczną w każdym ruchu przyjemnością.

Rozległy się ciche przekleństwa. Reputacja Polaka zrobiła swoje.

— Carridan — zaczął szeryf — Czy to, o czym opowiedział nam pan Huygens jest możliwe?

Lekarz wstał i otrzepał rękawy koszuli, jakby właśnie przygotowywał się do wygłoszenia wykładu.

— Cóż... Byłoby to niespotykane, ale...

— Co „ale”, doktoru?

— To skomplikowane, szeryfie.

— Więc to wyprostuj.

Carridan westchnął. Przymknął na chwilę powieki i poruszał bezgłośnie wargami.

— Żywmetal to bardzo dziwny materiał, mający niezwykle właściwości — zaczął — Jak wszyscy wiecie, broń z niego wykonana, ale także przedmioty codziennego użytku często tworzą pewną więź z ich właścicielem. Powszechnie uważa się, że właściciel, jego osobowość, zwyczaje, uczucia, kształtują ten związek. Im więcej żywmetal, tym ta właściwość silniejsza, a dany przedmiot cenniejszy.

— Wiemy, wiemy.

— Rzecz w tym, że istnieje pewna koncepcja, bardziej filozoficzna niż naukowa, że ta relacja działa w obie strony. Nie tylko właściciel kształtuje żywmetal, ale także żywmetal kształtuje właściciela. Co ciekawe, żywmetal może w ten sposób przekazać myśli, uczucia, osobowość jednego człowieka drugiemu człowiekowi. Wydaje się, że to jedna z tych właściwości, dla których nasi przodkowie zdecydowali się na założenie pierwszych kolonii i rozpoczęcie wydobywania. Oczywiście to bardzo subtelna zależność, niezwykle, częstokroć niemal właściwie nie do zaobserwowania.

— Czyli nieistotna? — zauważył ten sam poszukiwacz — I jak to się ma do naszej sytuacji?

Carridan chrząknął niewyraźnie i zerknął błagalnie na Savę. Kobieta podeszła do niego i dolała mu wódki. Lekarz podziękował jej i szybko wypił zawartość kieliszka.

— To jest pierwszy element, o którym chciałem wspomnieć — kontynuował — Drugi jest następujący. Rozważano istnienie czegoś, co nazywano roboczo — punktami węzłowymi. Jeśli żyły żywmetal, uznaje się za nitki sieci, to punkt węzłowy byłby miejscem, gdzie te wszystkie nici się spotykają. Uważa się, że gdyby zidentyfikować taki punkt, byłaby możliwość przekazania mu pewnych uczuć, właściwości ludzkich, które później przeniosłyby się na cały obszar objęty daną siecią. Oczywiście, to tylko koncepcja. Pewien pomysł. Nie do końca sprawdzony, opracowany...

— Uważasz, że bunkier mógłby być takim punktem — przerwał tłumaczenia lekarza Siren.

Carridan zatrzymał się w pół ruchu, a później kiwnął głową.

— Z zastrzeżeniem, oczywiście, że to tylko...

— Wiem, wiem, koncepcja filozoficzna i takie tam. Ale to możliwe. I jeśli cię dobrze rozumiem, możliwe jest, że choroba, na którą umierają twoi pacjenci, to że mamy takie marne plony, słowem cały ten syf spowodowany jest tym, że ta cała księżna zdechła z głodu razem ze swoim orszakiem w punkcie węzłowym?

— Tak, Siren. Oczywiście, biorąc pod uwagę...

— To trochę, kurwa, tłumaczy.

Lekarz zdał sobie sprawę, że raczej nie będzie miał możliwości wygłosić wszystkich zastrzeżeń do swojej teorii, więc po prostu usiadł.

— Mniejsza z tym — ogłosił nieoczekiwanie Siren — I tak nic na to nie poradzimy.

Zastanówmy się lepiej, jak obronić to miasto do czasu nadejścia Starego z odsieczą. No i jak go powinniśmy zawiadomić o naszych problemach.

— Stary nie przyjdzie — powiedział Bram.

— Jak to nie przyjdzie?!

Holender poczuł, że gniew Sirena kieruje się w jego stronę.

— Według Starego ciągle jest winien posłuszeństwo księżnej Izabeli. I dlatego nie zamierza przeciwko niej występować.

— Czy go zupełnie popierdoliło?

— Tylko przekazuję jego słowa, Siren.

Szeryf zacisnął pięści i usta. Wyglądał tak, jakby szukał obiektu, na którym mógłby się wylądować. Nikt jednak nie zamierzał dać mu pretekstu.

— Umawiałem się z gnojem. Jeśli nie przyjdzie... — nie musiał kończyć. Każdy wiedział, jaki los czeka Kaźń bez pomocy. Mieli za mało jedzenia, za mało ludzi. Wkrótce, po tygodniu — może dwóch, będą zbyt słabi, żeby się bronić. A wtedy chudzielce po prostu wejdą do miasta przez nikogo nie niepokojone.

— Chyba wiem, jak uratować Kaźń — odezwał się Bram.

Oczy zebranych natychmiast powędrowały w jego kierunku.

— Chudzielce to żarłoczne, bezwzględne potwory. Ale tylko potwory. Absolutnie bezmyślne, kierujące się instynktem. To Izabela jest ich mózgiem. Sama mi to powiedziała. Jeśli pozbedziemy się księżnej, bez trudu uda się rozpędzić chudzielce.

— A jak chcesz się pozbyć księżnej?

— Zabiję ją.

— Mocne słowa, Holendrze — Siren chrząknął i splunął gęstą flegmą na podłogę — Doktorze, czy takiego upiora da się w ogóle zabić?

Carridan pokręcił głową.

— Nie wiem, Siren. Ta osoba, ta księżna. To dla mnie zagadka. Nie rozumiem, dlaczego żyje, skąd się wzięła.

— Aha. Czyli twój plan Holendrze polega na tym, że wyjdiesz samotnie z miasta, dotrzesz do księżnej i zabijesz ją, pomimo tego, że nie wiadomo, czy w ogóle jest to możliwe i nie do końca wiadomo, gdzie jest?

— Nie wyjdzie sam — włączył się Lisiecki — Pójdę z nim. Księżna musi być gdzieś w pobliżu miasta.

— Aha... I to niby wszystko zmienia?

— Nie — przyznał Bram — Ale taki właśnie jest plan.

— Cóż... — Siren wzruszył ramionami i uśmiechnął się szeroko — Warto w takim razie spróbować.

— Będziemy potrzebowali pomocy — powiedział Holender — Jeśli to ma się udać, będziecie musieli odwrócić uwagę chudzielców.

— Jak? — zapytała Sava.

— Urządzając wycieczkę za mury.

Nim skończył mówić, po samych minach zebranych poszukiwaczy widział, że jego pomysł nie zdobył ich akceptacji i nie ma szans, żeby ich do niego przekonać. Plan Holendra

podobał im się tak długo, jak długo sami nie mieli narażać przy jego realizacji głów.

— To niemożliwe — wyjaśniła Sava — Jesteśmy zbyt słabi. Ludzie nie mają doświadczenia w walce, ledwo bronią murów, nie trzymają szyku i są na bakier z dyscypliną. Naprawdę wyobrażasz sobie, że byliby w stanie przeprowadzić wycieczkę, a potem jeszcze z niej wrócić?

Jesteśmy poszukiwaczami, Holendrze, nie żołnierzami.

Jej zdecydowane słowa spotkały się z pełnymi poparcia chrząknięciami reszty zebranych.

— Moglibyście rzucić jedzenie za mury — zaproponował Lisiecki. — Chudzielce na pewno się na nie rzucają. Ale musiałoby być go sporo. Być może nawet połowa waszych zapasów. Sava parsknęła śmiechem.

— Piotrze! Nie będziemy oddawać chudzielcom naszego prowiantu!

— Ale coś musicie zrobić! Jeśli nie odwrócicie ich uwagi, nie będziemy mieli szans na dotarcie do księżnej! — zaprotestował Bram.

Holender rozejrzał się po twarzach obecnych, ale nikt nie zamierzał go wesprzeć. Nawet Carridan.

— Sztuczka z koniem — przerwał ciszę Siren.

— Słucham?

— Sztuczka z koniem — powtórzył głośniejszym i wyraźniejszym głosem szeryf.

Nikt go nie rozumiał. Mieszkańcy Kaźni patrzyli na siebie pytająco. Siren podszedł do baru i nalał sobie kolejny kieliszek. Wypił go jednym haustem. Nie zamierzał niczego tłumaczyć. To na Bramę spadł ten obowiązek.

— Szpital — odezwał się Holender. — Oddamy im szpital

Carridan poderwał się z miejsca i wycelował w Sirena palcem.

— Nie! — jęknął — Nie! Nie odważysz się!

Po sali przebiegł cichy szmer. Siren tylko wzruszył ramionami.

— Musimy jakoś odwrócić uwagę chudzielców — powiedział — Przez to, że Carridan uparł się, że musimy bronić tej umieralni, niepotrzebnie wydłużyliśmy linię obrony. Dzisiaj o mało co a ta decyzja drogo by nas kosztowała.

— Ale tam są ludzie Siren! Chorzy ludzie!

— A ilu z nich do tej pory uratowałeś, doktorku?! — krzyknął Siren — Żadnego. Ani, kurwa, jednego. Głód zabił każdego, na kogo spadł.

Carridan wyciągnął ręce przed siebie i zrobił trzy kroki w stronę szeryfa. Przez chwilę wydawało się, że zamierza go uderzyć, ale nagle zatrzymał się i opuścił ramiona.

— Tak nie wolno, Siren.

— Ci ludzie i tak umrą, doktorku. Tych, którzy nie są chorzy na głód przeniesiemy do miasta.

Tutaj zorganizujemy nową placówkę. Ale cała reszta zostanie, odwróci uwagę chudzielców.

Zebrani potrzebowali chwilę na zastanowienie, a potem, ku rozpaczy Carridana, zaczęli początkowo nieśmiało, a potem coraz wyraźniej przytakiwać z aprobatą.

— Nie rób tego, Siren — szepnęła lekarz — To są ciągle ludzie. Mają swoją godność, należy im się dobra śmierć. A nie taka... taka od chudzielców.

— Kto jest za? — zapytał szeryf.

Uniosły się ramiona niemal wszystkich zebranych.

— Wniosek przeszedł — oznajmił Siren i odwrócił się w stronę Bramy — Masz swoją przynętę, Holendrze.

Bram przełknął cicho ślinę i poczuł, że musi się napić. Lisiecki w milczeniu, z ponurym

wyrazem twarzy, dopalał kolejnego papierosa. Kiedy skończył, rzucił niedopałek na podłogę i przygniół go obcasem. Wstał, poprawił kurtę i spojrzał prosto w oczy zdruzgotanego Carridana.

— Tak bywa, doktorze — powiedział — Tak to już, kurwa, bywa.

Rozdział 15. Sztuczka z koniem

Noc minęła niespokojnie. Chudzielce atakowały kilkakrotnie w różnych miejscach. Zwykle były to grupy nie większe niż dwadzieścia, trzydzieści stworów. Łatwo było je przegonić, ale obrońcy dostawali gęsiej skórki, ilekroć słyszeli charakterystyczny wrzask potworów. Do tego wieść o tym, że Stary nie przyjdzie z odsieczą szybko się rozniosła i stało się jasne, że miasto długo się już nie utrzyma. Niektórzy poszukiwacze już planowali ucieczkę, inni dopiero się nad tym zastanawiali. Nawet Siren nie miał w społeczności takiego autorytetu, żeby powstrzymać nieuchronny rozpad wspólnoty obrońców.

Bram i Lisiecki, kiedy nie biegli na zagrożone odcinki, siedzieli wraz z szeryfem w jednym z pokoi w hotelu Savy. Za oświetlenie służyły im dwie łojowe świece. Na drewnianym, kwadratowym stole położyli dużą, szarą kartkę papieru, na której ogryzkiem starego ołówka narysowali niezgrabny plan okolicy. Jego centralnym punktem była Kaźń. Bram zaznaczył krzyżykiem miejsce, gdzie do lasu wszedł Silvan.

— Niedaleko tego miejsca znajduje się niewielkie wzgórze. Dobrze z niego widać całe miasto — powiedział Lisiecki.

Holender nachylił się nad mapą i przesunął świeczkę bliżej. Wpatrywał się w nierówne, lekko faliste linie, symbolizujące las krzaczki i wstęgę pobliskiej rzeki.

— Jest jakieś inne miejsce, skąd można dowodzić oblężeniem? — zapytał.

— Nie przeceniasz ich? Może po prostu rzucają na nas chudzielce falami, bez planu i pomysłu.

— Silvan próbował zająć miasto za pomocą pierwszego szturm. Kiedy mu się to nie udało, wysłał kolejne podjazdy, żeby sprawdzić nasze słabe punkty. To nie jest chaotyczne działanie.

On i księżna naprawdę kierują chudzielcami.

Siren nie wydawał się do końca przekonany. Przeszedł pod ścianę i oparł się o nią plecami.

— Dobrze byłoby napić się kawy — zauważył Lisiecki.

— Dobrze by było — zgodził się z nim Bram.

Szeryf oderwał się od desek, otworzył drzwi i zawołał jedną z dziewczyn, niską, pulchną blondynkę. Kazał jej przynieść dzbanek ciepłej kawy i trzy kubki. Potem wrócił do stołu i sam nachylił się nad mapą. Głowy jego i Holendra były tak blisko, że niemal się stykały.

— Mogą być na tym wzgórzu — stwierdził wreszcie szeryf.

Bram zerknął na Polaka, który ledwie dostrzegalnie kiwnął głową.

— W takim razie tam właśnie pójdziemy — zdecydował Bram.

— A kiedy chcecie to zrobić?

— W normalnej sytuacji nalegałbym na akcję tuż przed świtem. Ale chudzielce to nocne stworzenia. Najbardziej rozkojarzone będą w okolicach południa — powiedział myśliwy.

Holender zgodził się z Lisieckim. Siren zaczął odliczać na palcach godziny, które miałyby na wykonanie swojej części zadania.

— Nic z tego — stwierdził — Na południe nie zdążymy. Przynajmniej dwie godziny stracę na to, żeby zagonić tę hałastrę do roboty.

— A na kiedy dalibyście radę?

— Pierwsza, ale raczej druga.

— W takim razie niech będzie w pół do drugiej.

— Niech będzie.

— Jak się wydostaniemy z Kaźni?

— Opuścimy was na linach z budynku po drugiej stronie miasta. Będziecie mieli dłuższą, ale bezpieczniejszą drogę na wzgórze. Pójdziecie lasem.

Wskazał na mapie trasę, którą będą musieli przebyć. Na tyle, na ile Holender pamiętał okoliczne tereny, wydawała się rozsądna. Jeśli chudzielce rzeczywiście ruszą na szpital, raczej nie spotkają żadnego potwora, a poza tym będą mieli okazję zaskoczyć Silvana i księżną.

Mankamentem było to, że mieli do przebycia co najmniej półtora kilometra w trudnym i niebezpiecznym terenie. Nie wiadomo było jak długo chudzielce skupią się na szpitalu i czy Lisiecki z Bramem będą mieli dość czasu na dotarcie do celu.

Ustalili, że jeśli nie znajdą księżnej lub zrobi się zbyt niebezpiecznie wrócą pod ten sam dom, z dachu którego zeszli na ziemię. Na górze będą czekali na nich ludzie z linami, którzy wciągną ich na górę. Wreszcie pożegnali się, życząc sobie nawzajem powodzenia.

Lisieckiemu z Bramem przydzielono jeden pokój. Obmyli się, zgasili świece i położyli do łóżek. Holender poprawił poduszkę i położył na niej głowę. Widział wyraźnie ciemną sylwetkę Polaka i papierosowy, pomarańczowy ogień w jego ustach, który przypominał bardzo dużego świetlika.

— Masz wyrzuty sumienia? — zapytał myśliwy.

— Sami mówiliście, że ci ludzie i tak umrą. Z głodu nikogo nie wyleczono.

— Niby tak. Ale to inna śmierć. We własnym łóżku, z Carridanem u boku, lekarstwami.

— Grałeś kiedyś w szachy? — zapytał Bram.

— Grałem. Uważasz, że poświęcasz piona, żeby dopaść królową?

— Tak właśnie.

— Będiesz tego żałował.

— Być może. Ale, jak się zorientowałem, tutaj prawie każdy czegoś żałuje.

— To prawda. Ludzie przyjeżdżają do Kaźni, żeby odpokutować swoje. Taki Carridan na przykład.

— A ty? Pokutujesz tutaj za coś?

Polak zaśmiał się cicho i strzepał popiół z papierosa na ziemię.

— Nie. Ja nie. Mnie się tutaj po prostu podoba.

Ton jego głosu świadczył o tym, że nie zamierza więcej rozmawiać. Zgasił fajkę i opatulił się kocem.

— Bram — zagał jeszcze.

— Tak?

— Podoba mi się twoja metafora z szachami.

Po czym nie czekając na odpowiedź położył się na boku i chwilę później Bram usłyszał jego chrapanie.

*

Siren stał z boku i obserwował, jak poszukiwacze wznoszą nową barykadę. Kiedy miasto powstało, otoczono je prymitywnymi umocnieniami oraz palisadą, a wejścia strzec miała drewniano-kamienna brama. Po niecałych dziesięciu latach, podczas których Kaźń rozrastała się i pęczniała jak larwa, z pierwotnych umocnień nie zostało niemal nic. Kilka samotnych drągów ze

szpiczastymi końcami sterczało z ziemi to tu, to tam — nachylonych ku ziemi, oczekujące cierpliwie nieuchronnego z nią spotkania. Gdziekolwiek zauważyć można było miejsca, gdzie usypano wały, zanim całej tej ziemi nie splukały jesienne deszcze oraz doły, teraz wypełnione albo deszczówką albo nieczystościami. Za to brama zachowała się całkiem niezłe. Co prawda rozmontowano skrzydła i część pierwotnej konstrukcji, bo utrudniały transport, ale na tym co pozostało można było zbudować całkiem solidny szaniec. Holender poprzedniej nocy narysował

Sirenowi kilka szkiców, jak taka reduta miałaby wyglądać. Chodziło głównie o to, żeby strzelcy mogli razić wroga nawet wtedy, kiedy dojdzie do walki wręcz z pierwszą linią obrońców. Dlatego w niewielkiej baszcie urządzono stanowiska strzeleckie. Ich ilość zwiększono aż do sześciu dobudowując prostą platformę tuż obok niej. Dodatkowo nawet dziesięć osób mogło razić wroga z dachów sąsiednich budynków.

Na polu przed redutą zaczęto kopać kilka długich płytkich dołów oraz budować prymitywne zasieki, które miały spowolnić marsz chudzielców, ale przede wszystkim skierować strumień potworów tak, że trafi na najlepiej umocnioną część barykady.

Na papierze wyglądało to całkiem imponująco, ale w rzeczywistości nie było już tak dobrze.

Brakowało rąk, materiałów, gwoździ, ale przede wszystkim chęci. Poszukiwacze snuli się z miejsca na miejsce, coś tam robili, ale byle jak i powoli, jakby nie zdawali sobie sprawy, że od tej pracy zależy ich życie. Siren miał ochotę na nich wrzasnąć, pobić kogoś dla przykładu, ale instynktownie czuł, że w ten sposób zamiast ich zastraszyć zwróciłby ich przeciwko sobie. Coś się zmieniło od poprzedniego dnia. Ciągle się go bali. Ale to już nie był ten rodzaj strachu, który zmuszał do działania czy do wykonywania jego poleceń, podporządkowania się jego woli. Coś się zmieniło — powtórzył powoli w myślach. Ale jeszcze nie do końca rozumiał, co właściwie.

Westchnął i spojrzął na słońce. Dochodziło już południe. Pozostało tylko około półtorej godziny. Barykada i umocnienia wyglądały już całkiem przyzwoicie. Miał gdzieś co ludzie o nim myśleli. Wiedział, że nie mieli szans na obronę szpitala. Ale teraz, w obrębie starszej części miasta, mogli się utrzymać przez wiele dni. O ile oczywiście, pomyślał gorzko, coś się nagle nie spieszy.

*

Bram raz jeszcze sprawdził zamek karabinu. Przyłożył kolbę do ramienia, przymierzył i strzelił. Pocisk uderzył w umieszczoną około dwadzieścia metrów dalej deskę, łamiąc ją równocześnie na dwie nierówne części. Holender dał znak Lisieckiemu, żeby nie strzelał i podszedł do swojego celu. Podniósł połówki deski, złożył je i przypatrzył się uważnie śladowi po kuli. Karabin znosił trochę w lewo. Będzie musiał o tym pamiętać. Odrzucił drewnianka i wrócił na linię strzału.

Teraz przyszła kolej na Polaka. Myśliwy strzelił właściwie bez celowania. Pocisk uderzył idealnie w środek tarczy. Lisiecki opuścił broń.

— Nigdy nie pudłujesz, co? — rzucił Bram.

— Nigdy.

— A Siren? — przypomniał mu Holender.

— Celowałem w serce, trafiłem w serce. Gdyby nie ta płytka... — myśliwy wyciągnął skreconego wcześniej papierosa i wsadził go sobie do ust — Trzeba było celować w głowę.

Zapalił i zaciągnął się.

— Tytoń mi się kończy — mruknął — Myślisz, że ktoś mnie poratuje?

— Znajdziemy kogoś, jak wrócimy.

— Niech będzie — odpowiedział Lisiecki, ale bez specjalnego przekonania.

Załadowali magazynki do pełna i wrócili do hotelu Savy po rzeczy. Brali niewiele. Karabiny, broń białą, parę sucharów owiniętych w miękką szmatkę, które miały służyć im za pożywienie, gdyby mieli ukrywać się dłużej w lesie i narysowany poprzedniej nocy plan okolicy. Polak wziął odrobinę tytoniu i zapałki, Holender manierkę z wódką. Przed wyjściem napili się jeszcze obaj po kubku wody i poszli na dach.

Czekali tam na nich dwaj poszukiwacze oraz liny przywiązane do kominów i —dla bezpieczeństwa— do wbitych w dachy kołków. Sprawdzili, ciągnąc ile sił w ramionach, czy są dość mocne. Były.

— Chcesz się pomodlić? — zapytał Bram Lisieckiego.

Myśliwy potrząsnął głową, nie rozumiejąc co Holender ma na myśli.

— Wy, Polacy, podobno jesteście bardzo religijni.

— Pomyliłeś nas z Niemcami.

Bram wzruszył ramionami i spojrział w niebo. Słońce już jakiś czas temu minęło zenit. Ich czas nadchodził. Żołądek skręcał mu się w supeł, a dłonie miał mokre i ciepłe od potu, ale umysł miał chłodny i spokojny. A to było najważniejsze.

Usłyszeli przeciągły gwizd. Potem drugi, krótszy i wreszcie trzeci, znowu długi. Umówiony sygnał. Wzięli broń. Poszukiwacze którzy mieli ich asekurować założyli rękawice i chwycili za liny. Polak z Holendrem opuścili się na ziemię. Skuleni pobiegli w kierunku lasu. Dopadli najbliższych chaszczy. Leżeli bez ruchu, wsłuchani w swoje oddechy, obserwujący najbliższą okolicę, bojąc się, że jakiś chudzielec rzuci się za nimi w pogoń. Ale nic takiego nie nastąpiło. Po kilku minutach Lisiecki trącił Brama ramieniem i ruszyli w drogę do miejsca, gdzie, jak mieli nadzieję, znajdą i zabiją księżną.

*

Siren skończył gwizdać. Pomyślał, że po raz pierwszy, od bardzo, bardzo długiego czasu jego los nie zależał już tylko od niego. To było dziwne uczucie, niepokojące, jakby wisiał w powietrzu nie wiedząc czy ma spaść, czy polecieć w górę. Czy chciał, czy nie chciał, musiał życzyć Lisieckiemu i Bramowi powodzenia.

Ewakuację zakończyli dosłownie przed chwilą. Szpital urządzono na parterze domu Vaclawa, jego rodzinę wyganiając na dwór, do rozłożonych niedaleko namiotów. W nowej placówce znaleźli się wszyscy pacjenci, którzy nie chorowali na głód. Nowa barykada była solidniejsza od poprzednich umocnień i dużo łatwiejsza do obrony. Siren czuł się dumny z siebie. Pomysł z obroną szpitala w pierwszej lokalizacji od początku mu się nie podobał, od początku uważał, że znajduje się w nim załączek przyszłej klęski. Teraz, kiedy się go pozbył, czuł się dużo bezpieczniej, pewniej, spokojniej. Wreszcie mieli szansę wyjść z tego żywi. Dlaczego więc w takim razie wszyscy omijali go szerokim łukiem i patrzyli na niego jak na trędowatego?

— O co, kurwa, chodzi? — zapytał sam siebie.

— Jeszcze nie rozumiesz? — zdziwiła się Sava, która wyrosła obok niego z kubkiem wody w ręce. Szeryf nie słyszał, jak do niego podeszła. Podała mu naczynie.

— Nie. Nie rozumiem.

— Chodzi o szpital.

— Mamy szpital.

— O stary szpital, Siren. Nie udawaj głupiego.

Zagryzł wargę ze złości. Wiedział, w którą stronę zmierza ta rozmowa i irytowało go to.

— Co jest ze starym szpitalem?

— Pozostawiłeś tam ludzi, Siren. Żywych ludzi, którzy wkrótce zginą. Chudzielce ich pożrą.

— Chorych ludzi, Sava — sprostował — I tak by umarli.

— Ja to wiem, Siren, ty to wiesz. Oni — zatoczyła ramieniem szeroki łuk — też to wiedzą.

— W takim razie o co chodzi?

— O ich czyste sumienia, Siren. Być może rzeczywiście, pozostawienie chorych w szpitalu, żeby zajęły się nimi chudzielce, to jedyna szansa na nasze ocalenie. Ale to także, z braku lepszego słowa, grzech. A naszych współmieszkańców grzech uwiera.

— Było głosowanie.

— Już o nim zapomnieli. Teraz to ty jesteś wszystkiemu winien, bo to ty wystąpiłeś z tym pomysłem.

— Pierdolenie.

— Jak uważasz, Siren — odebrała od niego pusty już kubek — Rzecz w tym, Siren, że straciłeś Kaźń. Straciłeś ją.

*

Podnieśli się z ziemi i ostrożnie ruszyli w stronę wzgórza Księżnej. Pierwszy szedł Lisiecki.

Biegł od drzewa do drzewa, obserwował teren i dawał Holendrowi znak, że droga jest bezpieczna. Bram, patrząc na niego, nie mógł wyjść z podziwu. Lisiecki był jak duch. Poruszał się niemal bezgłośnie, jakby nie dotykał ziemi. Potrafił perfekcyjnie wykorzystać jako element maskujący każdą niedoskonałość terenu, każdy pień i każdy krzew. Gdyby tylko chciał, mógłby się podkraść do żerującego królika i obciąć mu jajka. Do tego, pomimo setek wypalonych papierosów, płuca miał ciągle mocne. Nie łapał zadyszki, jego oddech był równy i spokojny.

Bram dobiegł do Lisieckiego, a ten gestem kazał mu kucnąć. Wskazał przed siebie. Jakieś osiemdziesiąt metrów od nich żerowała trzyosobowa grupa chudzielców. Potwory dorwały zdziczałego psa i teraz wyszarpywały z rozwartej jamy brzusznej szare wstęgi jelit. Holender powoli ściągnął z ramienia karabin, ale Polak położył swoją dłoń na lufie i skierował ją w dół.

Pokręcił głową. Bram zrozumiał, że Lisiecki boi się huk wystrzału. Niepotrzebnie zwróciliby na siebie uwagę i sprowadzili sobie na głowę kolejne chudzielce. Holender założył broń na ramię i położył dłoń na szabli. Poczł lekkie, noszące spokój drżenie.

— Co teraz? — wyszeptał.

— Możemy spróbować je obejść. Lub zaatakować. Jest ich tylko trójka.

— Przydałaby się kusza — powiedział Bram.

— Przydałaby się.

— Obchodzimy?

Polak potwierdził ruchem głowy. Ruszyli jeden za drugim, pochyleni, ledwo dotykając ziemi.

Co jakiś czas przystawali na dłuższą chwilę i obserwowali chudzielce. Te jednak nie zwracały na nich uwagi, całkowicie skupione na podziale łupu. Wyszarpywały sobie z łap kawały mięsa, zazdrośnie strzegły tych, które już zdobyły, powarkiwały agresywnie. Nieraz wydawało się, że zaraz zaczną ze sobą walczyć, ale zawsze w ostatniej chwili się powstrzymywały.

Wreszcie minęli niebezpieczny rejon i ruszyli szybciej. Jednak już po przebyciu niecałych pięćdziesięciu metrów Lisiecki położył dłoń na piersi Brama i kazał mu się schować za pobliskim głazem. Sam padł na ziemię.

Dopiero po kilku sekundach Bram usłyszał to, co myśliwy. Chudzielce, te same trzy, które przed chwilą minęli, biegły w ich kierunku. Były wyraźnie podniecone, piszczały cicho, wywieszając jęzory lśniące od gęstej, śmierdzącej śliny. Dostrzegły nas — pomyślał Bram ze strachem i sięgnął po szablę. Myśliwy przytrzymał go i położył palec na ustach.

Chudzielce zakreśliły delikatnym łukiem i minęły ich mniej więcej w odległości pięciu metrów. Brama uderzyła w nozdrza ich trupia woń. Nie zauważyły ich. Pędziły gdzieś, wydawały się oszołomione, jakby w amoku. Holender spojrzał na słońce i spróbował ocenić, która jest godzina.

— Poszukiwacze opuścili szpital — szepnął.

Lisiecki kiwnął głową i trącił Brama.

— Ruszajmy. Musimy się śpieszyć.

*

Siren otarł pot z czoła. Ewakuacja szpitala została zakończona. Zbudowano nowe barykady, stare opuszczono. Obrońcy zajęli stanowiska. Przynęta została rzucona. Teraz pozostało czekać, czy chudzielce ją chwycą.

Straciłeś ją — słowa Savy ciągle dźwięczały mu w uszach. Potrząsnął głową, żeby pozbyć się ich przynajmniej na chwilę. Musiał się skupić. Ta dziwka nie mogła mieć racji, po prostu nie mogła. Jeśli plan się powiedzie, jeśli Bram zabije księżną, to Siren uratuje Kaźń, a nie ją straci.

Ale kto będzie wtedy bohaterem — zapytał złośliwie głos, gdzieś wewnątrz jego czaszki. Holender — odpowiedział, zanim nawet zdążył się zastanowić — To jemu zostaną przypisane wszystkie zasługi. A szeryf, szeryf zostanie uznany za tchórza, który oddał chorych chudzielcom. Zrobiło mu się sucho w ustach. Patrzył na twarze poszukiwaczy, widział malującą się na nich pogardę i rozumiał, że ta dziwka mówiła prawdę. Uratował miasto, uratował je, ale nikt nie da mu za to złamanego okruszka. Próbował wypatrzeć w tłumie mieszkańców chociaż jedną osobę, która spojrzy na niego z wdzięcznością, kogokolwiek. Stary Lucas, Jimi Kował, Żydzi z dołu, jego zastępcy, Sava, Mick, wszyscy oni... Nie dokończył myśli. Kogoś brakowało.

— Iwan! Iwan, do mnie!

Rosjanin opuścił swoje miejsce na barykadzie i podszedł do szeryfa.

— Tak, szefie?

— Gdzie jest Carridan?

Olbrzym przełknął nerwowo ślinę. I to wystarczyło. Siren już wiedział.

— Jak to się stało!? — wydarł się wściekły.

— Nie chciał iść, szefie. Powiedział, że zostanie z pacjentami.

— Przecież tu są jego chorzy!

— Powiedział, że zajmie się nimi Nadia. Mu chodziło o tych z głodem.

— Wiem, o których mu chodziło!

Nadia. Wdowa miała blisko czterdzieści lat, a przez połowę tego czasu nosiła czerń. Jej mąż zmarł tak dawno, że pewnie ona sama nie pamiętała jak miał na imię. Pomagała Carridanowi w szpitalu. Sporo się od niego nauczyła. Wszyscy o tym wiedzieli. Potrafiła zszywać rany, przeprowadzać proste operacje, także amputacje, ale nie była prawdziwym lekarzem.

— Dlaczego go nie wyciągnąłeś stamtąd za fraki?!

— Próbowałem, szefie — powiedział ze wstydem Iwan — Ale wtedy wyciągnął nie wiadomo skąd samopał i przyłożył sobie do łba. Powiedział, że albo sobie pójdę, albo strzeli.

— I ty w to uwierzyłeś?

Rosjanin zakłopotany odwrócił wzrok.

— Carridan to pierdolony tchórz. Prędzej by zginął, niż popełnił samobójstwo!

— Nie taki tchórz chyba, jeśli został w szpitalu — powiedział ktoś obok.

Siren odwrócił się gwałtownie. To była Sava. Wydawało mu się, że się uśmiecha. Szeryf chciał ją uderzyć. Dłoń sama zacisnęła się w twardą jak kamień pięść. Powstrzymał się z trudem.

Oddychał głęboko. Próbował się uspokoić, ale to było trudne, bo czerwona chmura gniewu opanowała jego umysł. Pierdolony Carridan. Co mu odbiło? Musiał coś zrobić. Jakoś zareagować!

Powietrze rozdarł głośny, wysoki, piskliwy wrzask. To były chudzielce. Ruszyły na szpital.

*

Doktor Carridan przez całe swoje życie wiedział, co powinien robić. Słuszny, moralny i racjonalny wybór był dla niego widoczny jak na dłoni. Zwykle jednak postępował zupełnie inaczej, bowiem głównym motorem jego postępowania był strach. Dlatego ulegał żądaniom swoich mocodawców, dlatego wykonywał eksperymenty na widzących wiedząc dobrze, że dziewczynki ich nie przeżyją. Z przerażającą łatwością łamał kolejne granice, których obiecywał sobie nigdy nie przekroczyć. Nawet w Kaźni, gdzie przybył szukając odkupienia, szybko podporządkował się Sirenowi, Staremu, a nawet tej małej Ellen. Dopiero teraz, dopiero w wieku pięćdziesięciu dwóch lat postąpił słusznie. Dlaczego? Skąd znalazł sobie w odwagę? Nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie. Na pewno nie dzięki wierze, bo prawda była taka, że w żadnych bogów nie wierzył.

A jednak teraz się modlił.

Bał się, ale strach już nim nie kierował. Ale jeśli nie on, to co? Uznał, że była to desperacja.

W przeciągu pięćdziesięciu dwóch lat życia stracił cały szacunek dla samego siebie. Nie miał rodziny, nie było nikogo kogo kochał ani nikogo, kto kochałby go. Ten moment, ta chwila była prawdopodobnie ostatnią okazją, żeby zrobić coś, z czego mógłby być dumny. Nawet jeśli tym czymś miałyby być niepotrzebna nikomu śmierć. I był na nią gotowy.

Z zamkniętymi oczyma powtarzał cicho kolejne wersy Koranu. Przynosiły mu ukojenie.

— Czy nie przeszedł nad człowiekiem pełen czas, kiedy on nie był rzeczą wspomnianą?

Zaprawdę, stworzyliśmy człowieka z kropli spermy, mieszaniny, aby go doświadczyć. I uczyniliśmy go słyszącym, widzącym. Zaprawdę, poprowadziliśmy go prostą drogą — czy był on wdzięcznym czy niewdzięcznym.

Chudzielec stał tuż obok niego. Carridan słyszał jego chrapliwy oddech, czuł woń zgnilizny, którą wydzielało szare, pomarszczone ciało.

— Zaprawdę, przygotowaliśmy dla niewiernych łańcuchy, kajdany i ogień płonący.

Zaprawdę, ludzie sprawiedliwi będą pili z pucharu, pełnego mieszaniny z kamforą — źródła, u którego pic będą sługi Boga, powodującego, iż będzie ono tryskało obficie.

Pomyślał, że zaraz wszystko się skończy. Chudzielec zrobił krok w jego kierunku i położył dłoń na policzku Carridana. Lekarz poczuł szorstką, suchą skórę i ostre jak brzytwa pazury, które zaraz miały wbić się w jego ciało.

— Oni wypełniali ślubowanie i obawiali się Dnia, którego zło rozprzestrzeni się szeroko. Oni dawali pożywienie — z miłości do Niego — biednemu, sierocie i niewolnikowi. „Karmimy was tylko dla oblicza Boga i nie chcemy od was ani nagrody, ani wdzięczności. Zaprawdę, obawiamy się ze strony naszego Pana Dnia mrocznego, nieszczęsnego.” I Bóg ustrzegł ich od zła

tego Dnia, i dał im spotkać jasność i radość. I wynagrodził ich za to, że byli cierpliwi — Ogrodem i jedwabiem — wyszeptał.

Pojedyncza łza popłynęła po jego policzku. Więc tak wygląda pożegnanie — pomyślał — Pora umierać.

Strzał. Wydawało mu się, że na twarzy wylądowały mu kawałki galarety pachnącej zgniłym jajem. Dopiero po chwili zorientował się, że to odpryski mózgu. Usłyszał kroki kogoś, kto jest zdecydowany postawić wszystko na jedną kartę i kolejne dwa następujące po sobie strzały. Ciała padły z głuchym tąpnięciem na suchą, drewnianą podłogę. Ktoś schował rewolwer do kabury, a wtedy cicho jęknął nóż wyjmowany z pochwy przy pasie. Potem wszystko potoczyło się błyskawicznie: uderzenie pięścią i chrzęst łamanych kości, pisk wściekłego chudzielca, szamotanina i miękkie plaśnięcie, kiedy nóż zagłębił się w ciało, a po skórze wokół rany spływała gęsta krew. A potem cisza. Carridan odważył się otworzyć oczy.

— Siren?

Szeryf stał do niego tyłem. Lekko przygarbiony, ze spuszczoną głową i napiętymi wszystkimi mięśniami. Oddychał ciężko, chrapliwie, jak człowiek który właśnie pokonał samego siebie. W dłoni trzymał zakrwawiony nóż. Pod jego stopami wił się zdychający, rzucający się jeszcze w przedśmiertnych konwulsjach chudzielec, a niedaleko leżały trzy kolejne ciała potworów z dziurami po kulach w czaszkach.

— To jest moje miasto, Carridan. I nikt mi go nie odbierze.

Do szpitala wpadł biegiem zdyszany Iwan, a za nim jeszcze dwóch poszukiwaczy. Wszyscy byli uzbrojeni.

— Szefie?

— Pacjenci są bezpieczni — oznajmił szeryf. — Nie zdążyły się do nich dostać. Ale już słyszę, że nadchodzi reszta. Zajmijcie stare barykady.

— Tak jest, szefie.

Wybiegli. Siren odwrócił się na pięcie i podszedł do Carridana. Wyciągnął rewolwer, otworzył bębenek i wyrzucił puste łuski. Upadły u stóp lekarza i potoczyły się tak, że dwie z nich dotknęły podeszwy jego buta. Doktor wzdrygnął się mimowolnie. Tymczasem szeryf naładował broń, zakręcił nią w dłoni i schował do kabury.

— Polujesz, doktorze?

Pytanie było tak absurdatne, że Carridan początkowo go nie zrozumiał.

— Tak.

— W takim razie musisz tutaj coś mieć, prawda?

Lekarz znowu nie zrozumiał.

— Do polowania — sprecyzował Siren.

— Tak. Mam. Strzelbę.

— To jest dobra pora, żebyś ją wyciągnął, doktorze. Będziemy cię potrzebowali.

— Oczywiście.

Siren jeszcze raz poszedł zajrzeć do sali szpitalnej. W łóżkach leżeli chorzy, wszyscy żywi, chociaż umierający. Nigdzie nie było żadnych chudzielców. Przez niewielkie okienka szeryf dojrzał mężczyzn i kobiety, którzy szykowali się do walki. Powinien być teraz z nimi. Ruszył do drzwi.

— Siren! — krzyknął za nim Carridan.

Szeryf zatrzymał się.

— Dziękuję.

Siren bardzo powoli odwrócił się w stronę lekarza i spojrzał mu głęboko w oczy.

— Zdajesz sobie sprawę, że teraz wszyscy przez ciebie zginiemy — oznajmił Siren

głosem bardzo spokojnym, lodowatym, ale pozbawionym zupełnie gniewu — Chciałem, żebyś o tym wiedział.

*

Niebo zasnuły ołowiane, ciężkie chmury, ale nie zapowiadało się na deszcz. W Kaźni często panowała taka pogoda. Szarość wisiała w powietrzu przez wiele dni; wszystkim wydawało się, że ulewa jest tuż tuż, a pomimo tego z nieba nie spadała nawet kropla deszczu. Dlaczego teraz miałyby być inaczej?

Siren wyciągnął z kieszeni papierosa, wsadził go sobie w usta i zapalił. Płonącą jeszcze zapalkę rzucił w trawę i patrzył, jak powoli dogasa na wilgotnej ziemi. Zaciągnął się głęboko i dym zapiekł go przyjemnie w płuca. Pomyślał, że mógłby jeszcze się napić. Kieliszek zimnej wódki rozgrzałby żołądek, a szklaneczka whisky przypomniała o tym, jak smakuje lato.

Przypomniał sobie, że ma butelkę w kieszeni kurtki, ale nie sięgnął po nią. Z jakiegoś powodu, niejasnego dla niego samego, chciał zachować trzeźwy umysł. Jakby umieranie na trzeźwo było lepsze niż po pijaku, głupcze, zażartował gorzko w myślach.

Do szpitala poszedł sam. To było niemal pewne samobójstwo, wiedział o tym, ale równocześnie nie miał przecież innego wyjścia. Nie, jeśli chciał uratować coś więcej od życia. Za nim przyszli inni. Około dwudziestu poszukiwaczy. Niewielu. Zbyt mało. Westchnął ciężko, zaciągnął się po raz kolejny i spojrzął w górę. Miał nadzieję, że jednak zacnie padać. Ta szarość go dobijała. Nawet strugi deszczu byłyby miłą odmianą.

Dwudziestu poszukiwaczy. Zaledwie sześciu z bronią palną. Siedmiu, licząc Carridana, który właśnie wyszedł ze szpitala z myśliwską dubeltówką. Czterech innych miało kusze. Reszta tylko siekiery, młoty, zastrzone szpadle. Zerknął w stronę starszej części Kaźni. Czy reszta przyjdzie im z pomocą? Nie liczył na to. Teraz zapewne niedawna wrogość i pogarda znikły, zastąpione przez podziw nad jego odwagą, ale to przecież wcale nie znaczyło, że ktokolwiek będzie ryzykował dla niego życie. Z zastępców u boku miał tylko Iwana. Stary dobry Rusek. Zbyt głupi, żeby być nielojalnym.

Z papierosem w ustach wszedł na barykadę i ujrzał dziesiątki chudzielców, które zbliżały się w stronę obrońców. Przybiegły do miasta, kiedy zorientowały się w jakichś sposób, że szpital jest bez obrony. Kiedy usłyszały odgłosy walki, stanęły skołowane. Teraz chyba wiedziały, że poszukiwaczy jest zbyt mało, żeby stawić im skuteczny opór. Szykowały się na ucztę.

Szeryf skończył palić i wyrzucił niedopałek. Nigdy nie wyobrażał sobie swojej starości, nie widział siebie w domku gdzieś w słonecznej okolicy — siwego, siedzącego na ławce z laską w rękę, popijającego dobre wino. Takie marzenia tylko rozleniwiają, odbierają siły i odwagę, a jeśli o czymś świadczą, to tylko o niedojrzałości, miałkości i braku konsekwencji. Świadomie wybrał takie życie, jakie wybrał i wiedział, że jego zwieńczeniem jest śmierć — zbyt wczesna i zbyt gwałtowna. To było oczywiste i nieuniknione, i dlatego pogodził się z tą myślą, oswoił ją tak skutecznie, że stała się jego jedynym przyjacielem. Dlatego teraz był przerażająco spokojny i bawiło go to, że pomimo całego swojego grzesznego życia najprawdopodobniej umrze jako bohater. Ale nie zamierzał tanio sprzedać swojej skóry.

— Wszyscy z bronią palną na pierwszą linię, reszta za nimi — powiedział, a poszukiwacze rzucili się wykonywać jego polecenia — Nie zatrzymamy ich na barykadzie. Nie obronimy tej kupy gruzów i desek. Nie mamy na to najmniejszych szans, rozumiecie?

Byli zdezorientowani, przestraszeni, ale słuchali go — a jego ociekający pewnością i spokojem głos dodawał im otuchy.

— Ale możemy ich odepchnąć, jeśli sami zaatakujemy. Nie będą się tego spodziewać.

Najpierw strzelamy. Wszyscy na raz, na mój sygnał, tyle ile się da. Potem do ruszamy na nich.

Iwan, ty...

Siren nie skończył zdania, bo nie musiał nic mówić. Rosjanin znalazł gdzieś wielki górniczy kilof, tak potężny, że nawet on musiał trzymać go w obu rękach. Sam się domyślił, że to on ma rozpocząć atak.

— Szeryfie! — krzyknęła jedna z poszukiwaczek i podniosła w górę podłużny, walcowaty przedmiot, przypominający ogromne cygaro. To była laska dynamitu. Siren nawet nie próbował się domyślać, skąd dziewczyna ją wytrzasnęła.

— Zaraz po salwie! — wrzasnął.

Miał nadzieję, że rozumiała, że oni wszyscy zrozumieli — bo nie było czasu już czegokolwiek tłumaczyć. Chudzielce ruszyły w ich kierunku. Szeryf ucieszył się, że nie próbowały ich obchodzić, okrążać, tylko uderzyły wprost na barykadę. Wyciągnął rewolwery.

— Czekać! Czekać! Czekać! Teraz!

Salwa huknęła nierówno, rozbijając pierwsze szeregi chudzielców. Siren zauważył, jak nad głowami obrońców pofrunęła laska dynamitu i wylądowała w kłębowisku potworów. Szeryf zastanawiał się, jak długi jest lont. Szybko otrzymał odpowiedź. Wybuch wstrząsnął ziemią, w górę poleciały kawałki mięsa, resztki ciała, oderwane kończyny ze strzępami — makabryczne konfetti. Najgorszy jednak nie był huk, ale fala uderzeniowa, jak cios prosto w brzuch.

— Naprzód!

Na ten sygnał rzucili się z barykady z desperackim krzykiem na ustach, prosto w grupę otumanionych eksplozją chudzielców. Siren żałował, że nie ma przy sobie maczety lub czegoś podobnego, bo teraz mógł użyć tylko długiego myśliwskiego noża o szerokim ostrzu długości ponad dwudziestu centymetrów. Wiedział, że istnieją systemy walki taką bronią, pełne skomplikowanych ruchów i wymyślnych taktyk, ale sam walczył tak, jak zawsze walczyło się w Kuźni na noże — bazując na szybkości, brutalnej sile i palącej wściekłości.

Chwycił pierwszego biegnącego w jego kierunku chudzielca, wbił mu ostrze w brzuch i pociągnął w górę, tnąc miękkie mięso tak długo, aż dotarł do mostka. Pchnął umierającego potwora na nadbiegającą mu z pomocą pokrakę, której później przyłożył dwa razy z pięści prosto w nos i, kiedy otumaniona chwiała się na nogach, zakończył starcie jednym szybkim morderczym cięciem.

Iwan ze swoim kilofem siał spustoszenie niecałe trzy metry od Sirena. Wbijał się w tłum chudzielców jak rolnik z kosą w łany dojrzałego zboża. Za każdym ruchem jego mocarnych ramion szeryfa dochodził suchy dźwięk pękających kości i pełen bólu wrzask potworów. Padały jeden za drugim pod ciosami Rosjanina — coraz bardziej przestraszone i niepewne swojej oczywistej wydawałoby się przewagi. Inni poszukiwacze również nieźle sobie radzili. Walczyli chaotycznie, ale zaciekle, czasami bardziej sobie przeszkadzając niż pomagając. Pomimo tego wygrywali kolejne pojedynki.

Siren uchylił się przed zmierzającym w jego stronę ciosem i wbił chudzielcowi nóż pod żebra. Ostrze utknęło pomiędzy kośćmi, nie dosięgając serca. Zaczął szamotać się z potworem.

Kątem oka dostrzegł leżącego niedaleko trupa poszukiwacza a obok niego siekiere. Szeryf z całych sił pchnął nóż, przyłożył głową chudzielcowi w nos i, wykorzystując moment zaskoczenia, rzucił się w kierunku ciała. Podniósł siekiere, wniósł ją w górę i rozbił pędzącemu w jego stronę potworowi łeb obuchem. Wzniósł ją ponownie i wtedy zorientował się, że nikt go nie atakuje. Podbiegł do chudzielca, który właśnie próbował wyrwać jednemu z obrońców szpadel z rąk, i wbił mu siekiere w kręgosłup. Wyciągnął ją i uderzył jeszcze raz — w nogi. Teraz bestia padła z rykiem. Poblady chłopak z trzęsącymi się wargami podziękował

niewyraźnie.

Siren rozejrzał się wokoło. Tę potyczkę wygrali. Chudzielce uciekły.

— Wracamy na barykadę! — krzyknął.

Zrobili, co im kazał. Na niedawnym polu walki pozostało kilkanaście ciał chudzielców i trzech poszukiwaczy — w tym dziewczyna, która rzuciła dynamitem. Jej gardło zostało rozszarpane, a blond włosy były czerwone od krwi. Nie miała chyba więcej niż siedemnaście lat.

Otarł pot z czoła, a potem krew z ostrza siekiery. Jęknął cicho i pośpiesznie załadował broń.

Spomiędzy chat, ruin dawnej Kuźni, z pobliskich lasów, wychodziły kolejne potwory. Były ich dziesiątki, może nawet setki. Wszystkie zmierzały w ich stronę. Teraz jednak nie atakowały na oślep. Były ostrożne. Zbierały się w jedną, zwartą grupę, żeby wreszcie powoli ruszyć do szturm.

Siren zerknął w stronę twierdzy mając nadzieję, że reszta poszukiwaczy przyjdzie im z pomocą. Ale zobaczył tylko kilku ciekawskich na dachach budynków, którzy obserwowali przebieg wypadków. Pewnie informowali tych na dole o tym, co się dzieje, ale nie wyglądało na to, żeby ktokolwiek szykował się z misją ratunkową. Pomyślał, że powinien zarządzić odwrót.

Nie mieli przecież najmniejszych szans. Ich pozostało mniej niż dwudziestu, potworów było w najlepszym razie dziesięć razy tyle. Próbowali uratować szpital. Nie udało się, trudno. Nikt nie mógł mu nic zarzucić. Ale pomimo tego nie ruszył się z miejsca, a z jego ust nie wyszedł żaden rozkaz.

— Co robimy, szeryfie?

Chudzielce szły powoli, noga za nogą, zbliżając się nieubłaganie z cichym, ale narastającym łakomym jękiem wydobywającym się z w półotwartych ust. Siren nie potrafił wykrztusić z siebie słowa. Wiedział, że powinni uciekać. Pierwsze starcie wygrali tylko dzięki użyciu dynamitu, ale nie mieli kolejnych lasek. Coś go jednak trzymało, coś nie pozwalało się ruszyć z miejsca. To nie było poczucie obowiązku, honor ani inne wzniosłe słowa, ale cichy szurzy głos w jego głowie, który mówił, że jeszcze nie wszystko stracone i żeby po prostu zamknął oczy, a kiedy je otworzy, wszystko będzie już inaczej. To było głupie, ale przez lata nauczył się ufać temu głosowi. Nigdy go nie zawiodł. Chociaż, z drugiej strony, zawsze musi być ten pierwszy raz.

— Co robimy, szeryfie?

Potwory zbliżały się. Zamknął oczy. Odetchnął głęboko. I nagle dotarło do niego to, co próbował przekazać mu ten natrętny głos w głowie.

— Słyszycie?

Chyba myśleli, że oszalał.

— Co takiego, szeryfie? — zapytał ktoś wreszcie.

Nie odpowiedział. Nie było potrzeby. Nagle wśród potworów pojawiło się lekkie zamieszanie, rozległy się pierwsze piski bólu a potem strachu. A potem wszyscy mogli ujrzeć to, co je wywołało — piękną, wielką chorągiew z kowadłem.

— Tętent koni — szepnął Siren sam do siebie. — Stary, ty skurwielu.

Jeźdźcy wyłonili się zza ruin miasta i wjechali na główną drogę. Było ich zaledwie szesnastu, ale to wystarczyło. Poruszali się piękną, równą linią, a z każdym metrem przyśpieszali. Siren próbował ukryć rosnący w nim podziw. Wiedział jak trudno wytrenować konie i kawalerzystów, a ci tutaj zachowywali się tak, jakby na ćwiczeniach spędzali całe dnie, tygodnie, miesiące.

Jeźdźcy wyciągnęli z pochew miecze i szable tak delikatnie, że ich rumaki nie zdążyły nawet tego zauważyć.

— Kuźnia! — krzyknął jeden z nich.

— Kuźnia! — odpowiedziała mu reszta.

Tętent koni się wzmagił; wydawało się, że aż drży od niego ziemia. Zwierzęta powalały i tratowały kolejne chudzielce, które znalazły się na ich drodze, jakby to były kępy trawy.

— Kuźnia! — wrzeszczeli ile sił w płucach, pędzący jak wiatr, z mieczami wzniesionymi w górę.

— Szefie, powinniśmy im może coś odpowiedzieć — zaproponował Iwan.

Siren spojrział na niego ponuro.

— Chyba sobie, kurwa, żartujesz.

Jeźdźcy wpadli w tłum potworów, siekąc bez zastanowienia i tratując każdego, który wpadł im pod kopyta. Chudzielce początkowo próbowały się bronić, ale ludzie Starego przełamali ich opór zanim tak naprawdę zdążyły się jakkolwiek zorganizować. Potwory, nie mając innego wyjścia, zaczęły uciekać prosto na barykadę, gdzie bronił się Siren ze swoimi ludźmi.

— Ładować broń i strzelać!

Wyciągnął rewolwery i naciskał spust raz po raz, nie trudząc się celowaniem. Ciżba przed nim była tak gęsta, że każdy pocisk trafiał celu. Inni poszli w jego ślady. Ale to tylko na chwilę spowolniło chudzielce.

— Bronimy barykady!

Kilka pierwszych chudzielców dopadło do reduty. Natychmiast napotkali na siekiery, włócznie, młoty. Na ich miejsce nadchodziły kolejne. Przez chwilę, która wydawała się długa jak wieczność, zmagali się ze sobą. Obrońcy pilnowali barykady, chudzielce napierały na nią, przy okazji tratując się nawzajem, a z tyłu naciskali ich jeźdźcy Starego.

Nagle z boku, pomiędzy budynków, wypadli Hindusi z nożami *dao*. Było ich sześciu, ale walczyli tak, jakby ich dusze właśnie rozdzierały na kawałki dzikie zwierzęta. W niecałe kilkanaście sekund powalili ponad dwadzieścia potworów, dzięki czemu odciążyli odrobinę obrońców barykady. Ci zaś wykorzystali otrzymany czas na naładowanie broni i wystrzelenie jeszcze jednej salwy w chudzielców. To wystarczyło, żeby ostatecznie rozstrzygnąć wynik bitwy.

Potwory wpadły w panikę. Chciały uciekać, ale żeby się wydostać z kotła, w którym się znalazły, zaczęły walczyć ze sobą nawzajem. Większość z nich zginęła, część uciekła, rozpierzchając się dookoła. Wyglądało na to, że przez dłuższą chwilę obrońcy będą mieli spokój.

Stary podjechał powoli do barykady, kiedy jego ludzie dobijali ostatnie bestie i zabezpieczali pole walki. Ściągnął z głowy hełm i otarł spocone czoło. Cały był pokryty błotem i ciemną krwią chudzielców, ale pomimo tego wyglądał jakby nagle odmłodził o dwadzieścia lat. Uśmiechał się nawet lekko.

— Holender mówił, że nie przyjedziesz — przywitał go Siren.

— Miałbym pozwolić, żeby zabił cię ktoś inny? — odpowiedział Stary ze zdziwieniem w głosie.

Szeryf prychnął rozbawiony i sięgnął do kieszeni kurtki po piersiówkę z whisky.

Otworzył ją i wyciągnął w stronę rycerza. Ten wychylił się z siodła, wziął butelkę i wypił dwa łyki.

— Kiedyś piliśmy wino po bitwie...

— Kiedyś nie miałem włosów wokół penisa, ale wcale nie czułem się z tym dobrze.

Stary uśmiechnął się i oddał butelkę szeryfowi. Tymczasem Ellen podjechała do ojca.

Lepki, krwawy brud i pot oblepiał jej twarz, a krwawe wstęgi plam zdobiły mundur. Kiwnęła głową na Sirena.

— Jesteś cała, córeczko?

— Tak, ojciec.

— To dobrze.

Z oddali doszedł do nich odgłos strzałów.

— To Joachim — wyjaśnił rycerz — Z piechotą.

— Skąd nadchodzą?

Stary wskazał palcem okolice wzgórza, gdzie według podejrzeń Brama miała znajdować się księżna. Siren stłumił przekleństwo i wziął potężny łyk whisky dla uspokojenia.

— Tam właśnie idą Holender z Lisieckim. Cały ten cyrk tutaj — ramieniem zakreślił okrąg obejmujący szpital, barykadę, obozowisko — zrobiliśmy, żeby odciągnąć stamtąd chudzielców.

— Dlaczego tam poszli? — zapytała Ellen.

Siren westchnął cicho.

— Długo by wyjaśniać. Powiem krótko. Jeśli Holender ma rację, to od jego działań zależy, czy ta awantura skończy się dla nas szczęśliwie.

— W takim razie powinniśmy zadbać o jego bezpieczeństwo — zdecydował szybko Stary i gwizdnął na swoich ludzi.

Na ten sygnał żołnierze wskoczyli na konie i ustawili się w szyku z zadziwiającą sprawnością. Poziomem wyszkolenia wydawali się nie odbiegać od jazdy dowolnego z księstw i królestw Federacji — nawet tych najpotężniejszych. Gdzie on ich ukrył? — zadał sobie pytanie Siren. Nie widział tyłu koni, kiedy przebywał w gościnie u Starego.

— Zadbaj o miasteczko, Siren. My jedziemy odciągnąć chudzielców od Brama. Gdzie konkretnie miał się udać?

Siren zawahał się nawet na sekundę. Przy księżnej, tak przynajmniej wynikało z opowieści Holendra, była dziewczynka. Stary co prawda złożył przysięgę, że odda ją po wszystkim szeryfowi, ale czy naprawdę można mu było ufać? Siren nie raz przekonał się, że jeśli chce się doprowadzić interes do końca, to trzeba to zrobić samemu. Dlatego wskazał niewielką dolinkę niedaleko wzgórza. Taką, którą była dość blisko, żeby odciągnąć uwagę chudzielców od Brama i na tyle daleko, żeby szeryf miał szansę dotrzeć do księżnej pierwszy i przejąć Darię.

Stary kiwnął głową i wydał rozkazy. Jeźdźcy ruszyli. Siren obserwował, jak się oddalają i nakazał Iwanowi przypilnować ewakuacji szpitala. Potem zaś spokojnie naładował rewolwery i pobiegł na wzgórze.

*

Do pewnego momentu szło dobrze — ta myśl przemknęła przez głowę Brama w chwili, kiedy przybijał szablą pędzącego na niego chudzielca. Potwór zacharczał chrapliwie, szarpnął się całym ciałem, niemal wrywając broń z ręki Holendra i dopiero wtedy opadł z sił. Mężczyzna wyszarpnął ostrze i rozejrzał się dookoła. Z pięciu chudzielców, które ich napadły, trzy już nie żyły. Z dwoma walczył Lisiecki, ale w ich stronę bieгло już kilka innych.

Dotarli bezpiecznie niemal do samego wzgórza. Dochodziły do nich odgłosy walki w mieście, huk wybuchającego dynamitu, a wreszcie tętent naciągającego z odsieczą Starego.

Wszystkie te wydarzenia odciągały uwagę chudzielców od przekradających się bokiem Brama i Lisieckiego. Do czasu aż nie usłyszeli strzałów niedaleko siebie. Nagle chudzielce, dotąd rozproszone lub zainteresowane wydarzeniami w Kaźni, ruszyły sprawdzić co się właściwie dzieje tuż obok wzgórza. I, zupełnie przypadkiem, jedna z grup odkryła Polaka i Holendra.

Bram odetchnął głęboko i próbował myśleć jasno. Do szczytu, gdzie powinna znajdować się księżna, było już bardzo niedaleko. Polak ciągle zmagał się z dwoma potworami. Jeśli

Holender by mu pomógł, musieliby wspólnie odeprzeć kolejny atak. Gdyby jednak teraz Bram ruszył samotnie, miałby szansę dotrzeć do celu, nim dopadną go chudzielce.

Puścił się przed siebie biegiem, nie próbując się już ukrywać. Po drodze odrzucił karabin, który uderzał go rytmicznie w plecy przy każdym kroku, mając nadzieję, że sama szabla wystarczy. Drżenie w jej rękojeści stanowiło zapewnienie, że tak właśnie będzie. Kątem oka dojrzał jeszcze, że zbliżająca się grupa chudzielców nawet nie próbowała go gonić — wołała rzucić się na Lisieckiego. Polak wołał coś za Holendrem, ale Bram był już za daleko, żeby go zrozumieć. Po chwili rozległy się strzały z karabinu Lisieckiego.

Niespodziewanie, przebijając się przez gęste, suche krzaki, wypadł na polanę która z jednej strony ograniczona była szarymi, popękkanymi skałami, a z pozostałych rachitycznymi, uschniętymi drzewami. Nim zdążył nabrać oddechu i zorientować się gdzie teraz miałby biec, ujrzał jak w jego kierunku z mieczem w ręku zmierza Silvan z Herar. Za jego plecami, niemal przy samej skale, stała księżna wraz z Darią. Dziewczynka była blada, cała drżąca, wyraźnie osłabiona. Słaniała się na nogach, jakby miała zaraz upaść. Obok niej, na krzesłach przykrytych drogą tkaniną, ułożono dwa dziecięce szkielety.

Silvan z Herar zasłonił twarz błękitną szmatą, tak że było widać tylko miedziane oczy, lśniące w słabym świetle dnia. Miecz dzierżył mocno, ale z pewną nonszalancją, jakby nie spodziewał się, że Bram może mu stawić jakikolwiek opór.

Uderzenie, prosty cios z góry, zadane zostało niby od niechcienia, ale równocześnie było tak silne i gwałtowne, że kiedy Bram sparował cios poczuł ból w całym swoim ramieniu. Od razu odskoczył, zbijając kolejne cięcia, a potem sam wyszedł z kontrą, której celem było nie tyle osiągnięcie przeciwnika, ale wygranie chwili potrzebnej na przemyślenie planu działania.

Silvan zaczął walczyć uważniej i trochę ostrożniej. To zwalniał, to przyspieszał tempo, uderzał raz z lewej, raz z prawej, czasami słabiej, czasami silniej. Bram nawet bez wsparcia Kinderjuffrouw nie miałby problemów z odpięrami ataków. Kilkakrotnie wychodził ze swoimi ciosami, jednak żaden nie osiągnął celu.

Krążyli wokół siebie, walcząc coraz szybciej, coraz zaciekłej, aż w pewnym momencie ich ostrza wyglądały jak dwie szare smugi.

— Zabij go w końcu! — wrzasnęła wściekle księżna.

To był sygnał, na który Silvan czekał. Zatańczył mieczem, symulując uderzenie z lewej, a potem skoczył do przodu celując mieczem prosto w pierś Holendra. Bram uskoczył w ostatniej chwili i zdał sobie sprawę, że to jest jego szansa. Uderzył z całych sił, najmocniej i najszybciej jak potrafił. I nagle, w połowie ruchu, zrozumiał, a może to Kinderjuffrouw go ostrzegła, że wpadł w pułapkę. Silvan z Herrar delikatnym, niemal kobiecym ruchem, zbił ostrze szabli. Bram miał w tym momencie odsłonięty brzuch. Krzyknął rozpaczliwie, bo wiedział, że tylko sekundy dzielił go od tego, kiedy miecz Silvana przebije go na wylot. Musiał założyć osłonę, musiał być szybszy.

A potem, w mgnieniu oka, przypomniał sobie opowieść Starego o jego turniejowej walce z Czarnym Rycerzem. Podwójne oszustwo, sztuczka, dzięki której Silvan zawsze zwyciężał.

Najpierw rozpaczliwy atak, który równocześnie zachęcał przeciwnika do kontry, a potem własne kontruderzenie. Tylko że jego głównym narzędziem nie był miecz — to była kolejna zmyłka.

Właściwym atakiem było uderzenie pięścią prosto w grdykę, które odbierało przeciwnikowi dech w piersiach i uniemożliwiało dalszą walkę.

Na ułamek sekundy stał się jednością ze swoją bronią. Czas jakby spowolnił. Wyraźnie widział pędzący w jego stronę miecz, ale nie próbował go zbijać. Skoczył w bok i poczuł, że ostrze przebija mu skórę, mięśnie. Jęknął z bólu. Równocześnie wykonał desperackie cięcie

szablą.

Wydawało mu się, że się pomylił, że coś poszło nie tak, bo czuł jakby przeciął tylko powietrze. Ale wtedy ujrzał pod swoimi stopami odciętą dłoń Silvana. Zaciśnięta była w pięść i uzbrojona w kastet. Czarny rycerz, otumaniony i zdumiony wpatrywał się w przegub, z którego tryskała gęsta jak skalny olej krew. Bram krzyknął i ciął. Głowa Silvana oderwała się od tułowia i potoczyła się kilka metrów po żółtej trawie, a samo ciało padło na ziemię.

Księżna jęknęła cicho. Coś zabulgotało głęboko w jej gardle, kiedy Holender szedł do niej, jedną ręką trzymając się za ranę na brzuchu. Nie próbowała się bronić, wyciągnęła tylko przed siebie ramiona, ale Bram nie zastanawiał się nawet sekundy. Pchnął mocno i poczuł jak ostrze przebija tkaninę sukni, cienką jak pergamin skórę, a wreszcie czarne jak smoła serce.

Zbliżył się do księżnej i popatrzył jej prosto w oczy. I ku swojemu zdziwieniu, a później przerażeniu — ujrzał w nich tylko drwinę. Księżna chwyciła Brama za dłoń w żelaznym uścisku, przyciągnęła do siebie, a szabla wbiła się głębiej w jej ciało. Nie zrobiło to na upiorze najmniejszego wrażenia. Zaciśnął kościste palce na gardle Holendra.

— Ty głupcze — szepnęła Izabela — Przysięgałam, że Pierwszy Miecz to jedyne ostrze, od którego przyjmę śmierć. A nie należy ono do ciebie.

Bram nie mógł oddychać. Szarpnął się, kopnął księżną, ale potwór był zaskakująco silny. Nawet się nie poruszył.

— Zdychaj, synu zdrajcy — powiedziała, kiedy mroczki przysłoniły mu oczy — Będę ucztować z moimi dziećmi na twoim trupie.

I wtedy rozległ się strzał. Holender zobaczył jeszcze, jak księżna otwiera usta. Charknęła niemrawo i zwolniła uścisk. Bram upadł na kolana, wyrываяc z ciała potwora ostrze szabli.

Oddychał szybko, rozkoszując się tym niedocenianym uczuciem, kiedy powietrze dochodzi do płuc.

Księżna chwiała się na nogach. Na jej sukni wykwitła jak kwiat plama krwi. Odwróciła się w stronę szkieletów swoich dzieci. Próbowала coś mówić, ale z jej ust nie wydobywał się żaden dźwięk. Zrobiła krok, jeszcze jeden, a potem poleciała na ziemię z szeroko rozłożonymi ramionami.

Kilka metrów za nią, z karabinem w rękach, stał Lisiecki. Polak miał siniaki na twarzy i przecięty policzek. Bram wpatrywał się w dymiącą lufę, a potem przeniósł wzrok na bezwładne, pozbawione życia truchło księżnej. Przysięgała przyjąć śmierć tylko z jednego ostrza — przypomniał sobie i zrozumiał.

— To byłeś ty — powiedział Holender. — To ty ich zamknąłeś w bunkrze. To ty wykradłeś pieczęć i ostrze. Przetopiłeś Pierwszy Miecz, prawda? — wskazał na karabin.

Polak zrobił krok w stronę księżnej, żeby upewnić się, że nie żyje. Uśmiechnął się lekko.

— Tak właśnie było — potwierdził Lisiecki mimochodem — Pierwszy Miecz dostarczyłem mojemu dowódcy. Myślałem, że będzie ze mnie dumny, że zrobią z tego jakieś trofeum. Pokażą je Zarządowi albo Radzie Nadzorczej. Ale on tylko machnął ręką i powiedział, że mogę go sobie zatrzymać. W nagrodę. No cóż... Nigdy nie radziłem sobie dobrze z mieczem, a potrzebowałem lufy do karabinu. Trochę trwało, zanim się ze sobą dogadaliśmy, ale od tej pory pięknie współpracujemy — powiedział myśliwy i pogładził swoją broń.

— Dlaczego? — zapytał Holender, czując jak to krótkie pytanie z trudem przechodzi mu przez gardło. Jakby zmieniło się w bryłę lodu o ostrych krawędziach.

— Nie bądź taki zdziwiony, Bram. Pamiętasz, co ci powiedziałem, kiedy się spotkaliśmy? — zapytał Lisiecki zmęczonym, pełnym rozczarowania głosem.

Holender wrócił myślą do ich pierwszej rozmowy, która odbyła się, jak mu się wydawało, wieki temu. Leżał wtedy ranny po spotkaniu z żlebodźwiedziem, które przeżył tylko dzięki

niespodziewanemu pojawieniu się Polaka. Razem jedli gulasz, pili wódkę i negocjowali cenę, za którą myśliwy doprowadzi go do Kaźni.

— Że tutaj każdy dla kogoś szpieguje — szepnął.

— Właśnie. Ja akurat szpieguję dla Korporacji. Chociaż szpieguję to chyba nieodpowiednie słowo. Jestem akcjonariuszem, wiesz? — oznajmił z dumą myśliwy — To znaczy, że jestem kimś. Współwłaścicielem. Mam udział w dywidendzie, mogę głosować na walnym zgromadzeniu. To coś znaczy.

— Przecież walczyłeś po naszej stronie podczas wojny!

— Pierwszej i drugiej — przytknął Lisiecki.

— Zabijałeś Korporacyjnych!

— Przyjacielu. Skup się. Ilu ich zabiłem? Dwudziestu? Trzydziestu? Może nawet pięćdziesięciu. A dzięki dostarczonym przeze mnie informacjom, ilu zginęło waszych? — Polak pozwolił, żeby to pytanie zawisło przez chwilę w powietrzu — Co najmniej dziesięć razy tyle.

Korporacja potrafi liczyć zwrot z inwestycji. A inwestycje we mnie, jak pokazują dane historyczne, są bardzo opłacalne.

Bram wstał z ziemi. Polak wycelował w niego i Holender od razu wiedział, że jeśli zrobi choć krok w kierunku myśliwego, Lisiecki nie zawaha się ani sekundy.

— Dlaczego mi pomagałeś?

— Żeby zobaczyć, co zrobisz. Żeby zdobyć twoje zaufanie. Żeby dowiedzieć się, ile wiesz.

Żeby zabić tę dziwkę — kiwnął głową w kierunku księżnej — Po raz drugi zresztą. Z czystej sympatii w końcu. Bo możesz mi wierzyć lub nie, ale lubię cię, Bram. Gdyby tak nie było, rozwaliłbym cię wtedy, kiedy opuściliśmy Kaźń i zwałił wszystko na Rumunów. Rozwahałem wtedy długo tę myśl. Pozostawiłem cię jednak przy życiu i do końca miałem nadzieję, że niczego się nie domyślisz. Szkoda, że tak się stało, bo teraz nie mam za bardzo innego wyjścia niż cię zabić. Wreszcie... Bardzo mi zależy na tej dziewczynce. Chyba sam już się domyśliłeś, dlaczego?

Bram przełknął ślinę. Zbliżała się wojna, a Daria była widzącą; więź związaną z tą ziemią.

A to oznaczało, że dzięki niej, po odpowiednim przeszkoleniu, Korporacja będzie wiedziała gdzie znajdują się wojska Federacji, w jakiej ilości i w jaką broń są wyposażone oraz w którą stronę zacierają. Nic nie ukryje się przed jej wzrokiem. Żaden manewr, żadna taktyczna prowokacja, żaden najmniejszy nawet oddział. Była bezcenna. Holender wściekł się na samego siebie, że dopiero teraz to zrozumiał.

— Przecież pytałem ją o miecz! — krzyknął gniewnie — Dlaczego nie wskazała na ciebie!?

Dlaczego nie powiedziała, że ty go masz?!

— Mylisz się! Nigdy nie zapytałeś jej o miecz — odpowiedział spokojnie Lisiecki — Zawsze interesowało cię tylko, gdzie jest bunkier. A to ci akurat pokazała.

Holender jęknął cicho i opuścił ramiona. Dopiero teraz z niezwykłą jasnością i dokładnością widział jakie błędy popełnił, gdzie zbłądził. Przede wszystkim zaś wiedział, że od początku jego misja była pozbawiona sensu. Pierwszy Miecz już nie istniał, przetopiono go na zwykłą lufę do karabinu.

— Kurwa mać... Wiedziałem, że coś jest z tobą nie tak, Polaczku, ale nigdy by mi nie wpadło do głowy, że jesteś szpiegiem Korporacji.

Holender poderwał głowę. Siren wyłonił się niepostrzeżenie z krzaków, lekko zdyszany i zmęczony, ale zadowolony, jakby właśnie obcasem zmiażdżył łebek małemu kociaczkowi.

Celował z rewolweru do Polaka. Lisiecki natomiast zamarł, z karabinem wciąż wymierzonym w Brama.

— Bardzo dobrze — pochwalił Polaka szeryf — Nawet nie drgnij, bo rozwalę ci czaszkę. Kurwa mać... Stary się ucieszy, jak się dowie. Chyba nawet cię mu oddam. Choć pewnie wtedy nie zobaczą jak zdychasz. Z drugiej strony, na pewno usłyszą jak wrzeszczysz i błagasz o litość. Co zrobić, jak żyć?

— Ile słyszałeś? — zapytał Lisiecki.

— Dość.

— Więc wiesz, że jestem akcjonariuszem. Akcjonariuszem, rozumiesz?

— Rzuć broń.

— Możemy się dogadać, Siren. Mam dojścia. Oddasz mi dziewczynkę, zabijemy Holendra.

W zamian dostaniesz ładny pakiet akcji serii MZ. Będziesz kimś, Siren. W końcu.

— Pierdolenie. Wolę dogadać się z Utherem.

Niespodziewanie Lisiecki roześmiał się głośno i szczerze.

— Z Utherem? Z Utherem?! — powtarzał z niedowierzaniem — Ty ciągle wierzysz, że nasz młody holenderski przyjaciel przybył tu na polecenie Uthera? Pomyśl Siren, choć przez chwilę!

Dlaczego był taki zagubiony, kiedy tutaj przyjechał? Dlaczego nie wiedział nic o tobie, o Starym, o chudzielcach? Przecież wywiad Federacji na pewno ma takie dane. Powiem ci dlaczego. Bo Stary Sęp wcale go nie przysłał. Pewnie nawet nie ma pojęcia o tej eskapadzie. Jeśli Uther chce wywołać wojnę, to wywołuje wojnę! Czy kiedykolwiek potrzebował takiego marnego pretekstu jak Pierwszy Miecz? A nawet gdyby potrzebował, to po prostu kazałby sobie nowy wykuć w Bramie Północy! Ale Pierwszy Miecz to coś więcej niż tylko kawałek żywego metalu. To przede wszystkim legitymizacja władzy książęcej. Uther jej nie potrzebuje. Ale jego brat, Kasabian, to co innego. Mam rację, Bram? To Kasabian cię wysłał, co? Biedny, pogardzany przez wszystkich, zhańbiony, marzący o koronie Kasabian! To on ma chrapkę na tron księstwa Kuźni, prawda?

— Ładna bajeczka, ale jak dla mnie to zwykłe pierdolenie, Polaczku — powiedział Siren — Prawda, Bram? Prawda?

Holender westchnął ciężko. Pod palcami czuł swoją krew, która płynęła z rany zadanej mu przez Silvana. Robiło mu się coraz słabiej.

— Kasabian też cię wynagrodzi, Siren — powiedział — I to hojnie.

— Kurwa mać! — zaklął szeryf. — Ty pieprzony złamasie! Okłamałeś mnie! Kasabian?! Kasabian?! Przecież on jest, kurwa, nikim!

Wyciągnął drugi rewolwer. Ustawił się tak, że z lewej ręki celował do Lisieckiego, a z prawej do Brama.

— Teraz będę musiał zabić was obu — stwierdził.

— Nie wygłupiaj się, Siren — powiedział Lisiecki — Możemy się dogadać.

— Z Korporacją mogę się dogadać bez twojego pośrednictwa, Polaczku.

Lisiecki w tym starciu nie miał najmniejszych szans. A przynajmniej tak się wydawało. Musiał się odwrócić do Sirena, wycelować, strzelić, podczas gdy szeryf po prostu naciskał spust.

Ale Polak i tak spróbował.

Dwa strzały zlały się w jedno. Siren stęknął cicho, zachwiał się i upadł na ziemię, trzymając się za brzuch. Lisiecki błyskawicznie odwrócił się w stronę Holendra, ale Bram już był tuż przy nim. Pchnął, a potem naparł na Polaka całym swoim ciałem. Kinderjuffrouw zadrżała z

satysfakcją. Myśliwy poleciał w dół, a karabin wypadł mu z dłoni. Bulgotał cicho przez chwilę, z ust wydobywały mu się bąbelki z krwi, które pękały z cichym stęknieniem, ale równocześnie wydawał się być zupełnie świadomy tego co się z nim dzieje. Twarz miał białą jak śnieg w środku zimy. Strzelał oczami w różnych kierunkach.

— Bram... — stęknął. — Bram... muszę... ci... coś... powiedzieć...

Holender nachylił się nad myśliwym. Kolanem przygniótł dłoń Polaka, w której znajdował się nóż myśliwski.

— Co takiego?

Lisiecki bezskutecznie próbował poruszyć dłonią z ostrzem. Kiedy zdał sobie sprawę, że nie uda mu się jej wydobyć spod kolana, uśmiechnął się słabo i skonał.

Bram zostawił Polaka i podbiegł do Sirena. Szeryf leżał na ziemi i z całych sił przyciskał dłonie do rany na brzuchu. Holender ściągnął z siebie kurtkę i zrobił z niej prowizoryczny opatrunek. Pomyślał, że powinien podać rannemu coś do picia, ale wtedy Siren chwycił go za przegub i przyciągnął do siebie.

— Pamiętasz wtedy, w Saint Paris, jak powiedziałem, że potrafię równie dobrze strzelać z obu rąk — zagał słabo szeryf.

— Tak.

— Kłamałem wtedy. Nigdy nie radziłem sobie z lewą. I wiesz co?

— Co?

— Ty też mogłeś teraz skłamać. Może obaj byśmy wtedy wyszli z tego żywi.

Coś poruszyło się w krzakach. Bram poderwał się w górę, spodziewając się ataku chudzielców, ale z lasu wyłonili się ludzie Starego, z rycerzem i Ellen na czele. Dziewczyna obrzuciła spojrzeniem pole niedawnego starcia, zmarszczyła brwi i podeszła do Sirena.

— Co tu się stało? — zapytał Stary.

— To nie jest ważne — mówił gorączkowo Bram, ocierając pot z czoła — Nieważne.

Potem wytłumaczę. Teraz musimy sprowadzić Sirena do miasteczka...

— Bram... — zaczęła go Ellen.

— Musi jak najszybciej wylądować na stole u Carridana.

— Bram.

— Na co czekacie?! Bierzcie go i do Kaźni.

— Bram! — wrzasnęła dziewczyna.

Dopiero wtedy Holender się opamiętał i zamilkł. Powoli odwrócił się do Ellen i spojrzał jej prosto w oczy.

— On nie żyje — powiedziała.

Bram kiwnął głową, nie odczuwając zdziwienia. Z jakiegoś powodu wydawało mu się to oczywiste.

Epilog

Znalazła go w stajni. Właśnie kończył przygotowywać konia do podróży. Trzech ludzi Starego, którzy mieli stanowić jego eskortę do granicy z Nową Holandią, siedziało nieopodal.

Znudzeni grali w kości.

— Mam nadzieję, że nie zamierzasz wyjechać bez pożegnania — powiedziała.

Uśmiechnął się lekko. Poprawił popręg i odwrócił się. Ellen opierała się o drzwi stajni.

Wyglądała na zmęczoną, ale zadowoloną. Z zewnątrz dochodził ich odgłos stukania

młotków i drewna ciętego przez piły. Kaźń powoli wracała do życia.

— Oczywiście, że nie.

Podszedł do niej i wyciągnął dłoń w kierunku jej policzka. Zamarł jednak w pół ruchu, nie wiedząc, czy może pozwolić sobie na taką poufałość. Równocześnie zdawał sobie sprawę, że wygląda wyjątkowo głupio, jakby zastygł w pozie wybranej przez nieudolnego rzeźbiarza.

— Chciałem z tobą porozmawiać.

— O czym?

— O Darii.

— Tak?

— Zajmiesz się nią?

Uniosła brew w górę.

— Jeśli podczas wojny ma być z niej jakiś pożytek, nie może opuszczać dawnego księstwa.

Inaczej może stracić swój dar. A tylko tobie ufam na tyle, żeby ci ją powierzyć.

— To komplement?

— Możesz tak to traktować.

Uśmiechnęła się, a nawet — chociaż wydawało się to nieprawdopodobne — zaczerwieniła się. Spojrzeli na siebie i oboje, jak na komendę, odwrócili wzrok. Czuli się równocześnie podnieceni i zażenowani. Była pomiędzy nimi bariera, którą oboje chcieli przekroczyć, ale żadne z nich nie wiedziało, jak to zrobić.

— Ta pieczęć... — zaczął Bram.

— Lisiecki dał ją mojemu ojcu. Powiedział, że znalazł ją przy jednym z korporacyjnych żołnierzy.

— Rozumiem.

— Dalej nie potrafię uwierzyć, że to on zdradził.

— Nie ty jedna — zauważył ponuro Bram.

Kiedy opowiedział o tym, co się wydarzyło na wzgórzu, dano wiarę jego słowom tylko dlatego, że potwierdziła je Daria. Dopiero potem zaczęły wychodzić na jaw pewne drobiazgi, dawno porzucone podejrzenia i niezręczności, które potwierdziły wersję Holendra. Ktoś zauważył myśliwego rozmawiającego zbyt długo z poszukiwaczem podejrzanym o to, że był

korporacyjnym wywiadowcą; ktoś inny przyłapał go na kłamstwie dotyczącym tego, co się z Polakiem działo podczas pierwszej wojny. Tłumaczono takie wydarzenia niewiedzą, kiepską pamięcią lub po prostu o nich zapomniano. Jedną z takich wskazówek był fakt, że grupa, która uwolniła Brama z celi w schronie, zaskakująco szybko odnalazła bunkier. Do tej pory wszyscy myśleli, że zawdzięczali to tropicielskim umiejętnościom Polaka. Okazało się jednak, że Lisiecki prowadził ich po prostu do miejsca, w którym kiedyś już był i którego położenie doskonale znał.

— Towarzyszył nam od zawsze, Bram. Pomagał nam, poszukiwaczom, każdemu. Ojciec uważał go za swojego przyjaciela i człowieka honoru. Myśl, że Lisiecki służył Korporacji jest dla nas po prostu absolutnie nieprawdopodobna. Już prędzej podejrzewałabym ciebie.

Wyszli ze stajni i przez chwilę obserwowali grupę mężczyzn, którzy z zaciętymi minami cięli drewno i przymierzali długie belki do szkieletu powstającego właśnie domu, podczas gdy kobiety zajmowały się dziećmi i przygotowywały śniadanie. Holender przypomniał sobie, że tuż po zakończeniu walk pojawił się projekt, żeby na wszelki wypadek otoczyć Kaźń palisadą lub innym rodzajem umocnień, ale pomysł upadł zanim na dobre się do niego zabrano. Miasto odbudowywało się tak, jak powstało — chaotycznie, bez żadnego odgórnego planu, według wzajemnie sprzecznych zamiarów jego mieszkańców.

— Co teraz będzie? — zapytał Bram — W Kaźni?

— No cóż... Nowy szeryf musi dogadać się ze Starym i ustalić zasady jakiejś współpracy. Ale wydaje mi się, że im się uda.

— A kto jest nowy szeryfem? — zaciekawiał się Holender.

Ellen chwyciła połą kurtki, odgięła ją i odsłoniła gwiazdę na piersi.

— Ty?!

— A znasz kogoś lepszego na to stanowisko?

— Nie, ale myślałem, że będą inni kandydaci. Na przykład ten Iwan...

— Iwan to dobry człowiek — przerwała mu Ellen — Ale woli przyjmować rozkazy niż je wydawać.

— No tak.

Jedna z kobiet gwizdnęła przeciągle na palcach, wydając dźwięk od którego Bramowi ciarki przeszły po plecach. Pracujący mężczyźni porzucili swoje narzędzia i poszli do stołu. Każdy z nich dostał miskę, którą wypełniała jednorodna, szarobiała masa — najprawdopodobniej kasza, wzbogacona korą okolicznych drzew.

— Wiesz, że wczoraj szpital Carridana opuścił pierwszy pacjent chorujący na Głód?

— O własnych siłach?

— O własnych. Carridan był w szoku. Przez cały ten czas próbował bezskutecznie wszystkiego, a teraz nagle ten chłopak po prostu wyzdrowiał. Jakby to było zwykłe przeziębienie.

— Co to za chłopak?

— Jakichś młody Fin. Bardzo sympatyczny. Nie pamiętam jego imienia.

— Głód się skończył.

— Oby...

— Jak będzie z tobą i Savą?

Machnęła ręką.

— Jakoś się ułoży — stwierdziła po prostu.

Odwróciła się do niego i spojrzała mu prosto w oczy. Bramowi po raz kolejny przeszły ciarki po plecach, ale teraz z zupełnie innego powodu. Poczul, że chce coś powiedzieć, coś ważnego, ale słowa nie chciały wyjść mu z gardła. Jakby ktoś chwycił w garść jego struny głosowe i mocno ścisnął. Nie chodziło o to, że się bał. Strach nigdy nie był dla niego przeszkodą. Raczej tkwiło w nim jakieś przecucie, dziwne, nieokreślone i nieracjonalne, ale równocześnie absolutnie realne, że przed nimi jest jeszcze coś ważnego, wielkiego, coś, co wypowiedziane teraz słowa mogłyby tylko zepsuć. A może to była tylko wymówka.

— Jak przekonałaś ojca, żeby przybył z odsieczą?

— Właściwie to ty to zrobiłaś — odpowiedziała i przez chwilę uśmiechała się, rozbawiona jego zaskoczonym spojrzeniem — Opowiedziałam mu historię Ser Caseya zwanego Tarczą Północy; jedyne, który pobił Uthera w polu, największego rycerza swoich czasów, który teraz jest znany głównie z tego, że przez całe swoje życie służył szalonemu władcy i na jego rozkaz doprowadził do śmierci syna i żonę Uthera. A kiedy skończyłam, zapytałam, czy również tak właśnie chce być zapamiętany — jako rycerz na służbie obłąkanej księżnej.

— I co odpowiedział?

— Na początku nic. A potem zarządził wymarsz.

Bram wrócił myślą do chwili, kiedy w drodze do Saint Paris opowiadał Ellen historię ser Caseya i pomyślał, że to niewiarygodne, że takie drobne elementy decydują o tak wielkich rzeczach.

— Mam do ciebie jedno pytanie, Bram.

— Tak?

— Jaki herb nosił ser Casey?

Holender przymknął oczy i próbował sobie przypomnieć śmiertelnie nudne lekcje heraldyki, na które uczęszczał właściwie tylko dlatego, że bał się ojcowskiego pasa. Niemał czuł po palcami wielką księgę, którą wykladał przed nim jego nauczyciel i przewracał pożółkłe strony, wpatrując się w kolorowe, starannie wykonane herby. A potem nagle serce zaczęło mu szybciej bić, a gardło zrobiło się suche jak pieprz. Spojrzał na Ellen i zrozumiał, że ona już wie i że zapytała go tylko dlatego, bo z jakiegoś powodu chciała, żeby on też wiedział.

— Na tarczy nosił kościelną wieżę — powiedział.

— A jakie było jego motto? — naciskała.

— Nie będę palił kościołów — odpowiedział natychmiast.

Ellen przytaknęła.

— Tutaj wszyscy mają jakieś sekrety — stwierdziła dziewczyna — A niektórzy przybywają do Kaźni, żeby odpokutować grzechy poprzedniego życia. Tak to już jest.

Odwróciła się i zrobiła dwa kroki przed siebie, tak że teraz Bram widział jej plecy i kształtną, krótko ostrzyżoną głowę.

— Następnym razem, kiedy cię zobaczę, przybędziesz tu pewnie na białym rumaku na czele armii, prawda?

— Nie wiem, jakiej maści będzie mój rumak, ale tak, przybędę na czele armii.

— Będę na ciebie czekała.

Zrobiła ruch, jakby miała już odejść, ale ostatniej chwili zawróciła. Podeszła do Brama, przytuliła się do niego mocno, a potem pocałowała w policzek. Poczuł jej łzę na swojej skórze. Zamknął oczy i pomyślał, że to piękna chwila i że chciałby ją zapamiętać.

*

Przed wyjazdem poszedł na grób Sirena. To był niewielki kopczyk na prowizorycznym cmentarzu, który urządzono tylko po to, żeby uczcić jakoś tych, którzy zginęli w obronie miasta.

Imię i nazwisko Sirena wypisano na prostej, drewnianej desce, którą następnie wbito w ziemię.

Nie było wątpliwości, że przewróci się po pierwszych deszczach, kiedy gleba rozmięknie.

— Nie wiem, czy wierzył w jakiegokolwiek boga, więc nie umieściłem na nagrobku żadnego symbolu religijnego — wyjaśnił Carridan.

To doktor przyprowadził tu Holendra i pokazał, gdzie pochowano Sirena.

— Można było na niej wyryć gwiazdę szeryfa — zaproponował Bram.

— Zbyt podobna do gwiazdy Dawida. Jeszcze ludzie pomyśliby, że był Żydem.

— A był?

— Nie wiem. Nie wiem, kim był.

Carridan stęknął cicho i wznosił oczy do nieba. Jego usta poruszały się cicho, jakby wypowiadał modlitwę, ale Holender zorientował się, że lekarz tylko mamrocze pod nosem coś do siebie.

— Był dobrym człowiekiem — powiedział Bram.

— Nie — zaprotestował lekarz. — Nie był. Był bezwzględny, bezlitosny, dbał tylko o siebie i swój interes. A jednak... Najwyraźniej kogoś takiego to miasto potrzebowało jako szeryfa.

— Ellen ma przejąć jego obowiązki.

— Wiem. To nie jest dobra wiadomość.

— Dlaczego?

— Bo brakuje jej twardości Sirena. Każdą ją pożre i wypluje szybciej, niż Ellen się spodziewa. Teraz jest jeszcze dobrze. Ludzie pamiętają zagrożenie ze strony chudzielców, wciąż się boją, ale kiedy strach minie i gorączka żywego metalu znowu opanuje umysły i serca poszukiwaczy... Nie da sobie rady. Siren był złym człowiekiem. Bardzo złym. Ale robił tu dobre rzeczy.

Carridan uśmiechnął się słabo, pokłonił się Bramowi na pożegnanie i odszedł, zostawiając Holendra na cmentarzu samego. Zawiął mocniejszy wiatr, przez chwilę zrobiło się chłodniej, a gdzieś daleko na północy niebo zagrzmiało groźnie. Bram przypatrywał się mogile i pomyślał, że ta kupka ziemi i schowane pod nią miękkie, gnijące ciało owinięte w szare płótno to jedyne, co pozostało z marzeń o bogactwie Sirena. A potem doszedł do wniosku, że jeśli istnieje jakieś życie po śmierci, to szeryf właśnie szczyrzy zęby w bezczelnym uśmiechu i rzuca w twarz wyzwanie wszystkim bogom, rozpoczynając walkę o swój własny kawałek nieba. Z jakiegoś powodu ta wizja wydała mu się pocieszająca.

Wyruszyli kilka godzin później, kiedy słońce było już wysoko na niebie. Poruszali się powoli, wiedząc że w lasach ciągle jest dużo chudzielców i że teraz od pośpiechu ważniejsza jest ostrożność. Trasa została wcześniej szczegółowo rozplanowana tak, żeby zawsze nocowali w bezpiecznym miejscu.

Jeden z ludzi Starego, wysoki chłopak o bujnej brązowej czuprynie podjechał do Brama.

— Za trzy godziny staniemy — stwierdził — Jest tam taka jaskinia, gdzie...

— Dobrze — przerwał mu Bram.

Jechali przez moment obok siebie, milczący, obserwując ścianę lasu i wypatrując najmniejszych oznak zbliżającego się zagrożenia.

— Głupio, że nie udało ci się odnaleźć tego miecza — powiedział nagle chłopak.

Carridan i Joachim, kiedy przesłuchiwali Darię, popełnili ten sam błąd co wcześniej Bram.

Żaden z nich nie spytał o to, co się stało z mieczem. Nie znaleźli go przy Bramie ani Księżnej, więc uznali, że rzeczywiście zaginął.

— Głupio... — przyznał Holender, a potem dotknął lufy karabinu, który wcześniej należał do Polaka. Poczł pod palcami pełną niezadowolenia falę. Będziemy się musieli do siebie przyzwyczaić — pomyślał. — Ale się przyzwyczaimy.

Postanowił, że nie odda broni Lisieckiego Kasabianowi. Przetopiony na lufę Pierwszy Miecz był bezużyteczny. Nawet gdyby powtórnie wytopiono z niego ostrze nikt nie uwierzy, że to miecz książąt Kuźni. Za bardzo się zmieniło. Ale co do jednego nie można mieć wątpliwości: nie było lepszego, celniejszego karabinu niż ten. A Bram potrzebował dobrej broni. W końcu zbliżała się wojna.

KONIEC

Spis treści

Strona tytułowa

Prolog

Rozdział 1. Marzenia i koszmary

Rozdział 2. Każdą

Rozdział 3. Łaska boska

Rozdział 4. Oszukany

Rozdział 5. W niewoli
Rozdział 6. Paryż płonie
Rozdział 7. Noc opowieści
Rozdział 8. Zasadzka
Rozdział 9. Chwalebne blizny
Rozdział 10. Wściekłe psy
Rozdział 11. Ucieczka
Rozdział 12. Królowa Głodu
Rozdział 13. Nie palę kościołów
Rozdział 14. Powrót do Kaźni
Rozdział 15. Sztuczka z koniem
Epilog

